

Ludwik XV

Zofia Libiszowska



Ossolineum



**Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo
Wrocław · Warszawa · Kraków**

Zofia Libiszowska

Ludwik XV



Księgozbiór DiGG



2010

Redaktor Ryszard Szlagor
Indeks zestawiał Ryszard Szlagor
Opracowanie typograficzne Stanisław Słowik
Redaktorzy techniczni Iwona Karwacka, Małgorzata Wieczorek

© Copyright by Zakład Narodowy
im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1997

ISBN 83-04-04343-2

Printed in Poland

Wprowadzenie

Niełatwo jest pisać historię człowieka, władcy absolutnego, który panując długo utrwalił się w pamięci pokoleń jako król nieudolny, a nawet nikczemny, sybaryta, trwoniący zasoby skarbu państwa na kapryśne metresy i własne kosztowne zachcianki. Intrygom kobiet na dworze przypisywali też dziejopisarze wpływ na podejmowane decyzje polityczne, personalne i niepowodzenia wojenne. Sądy te utrwalały kąśliwe plotki dworskie oraz wątpliwej wiarygodności pamiętniki ujawniane i publikowane już po śmierci króla.

Ludwik XV otoczony był nie tylko pochlebcami i karierowiczami. Nie brakło wokół niego wybitnych i szczerze mu oddanych ludzi. Bywały też okresy, gdy lud zwał go królem „ukochanym” (*Le Bien-Aimé*) Jednakże w sumie nie pozyskał on serca swego narodu – zawiódł oczekiwania. Już za życia władcy szemrano powszechnie. Po jego śmierci krytyka ruszyła do ataku, stając się zarzewiem przyszłych zmian, które miały wstrząsnąć Francją Burbonów, odwrócić jedną z kart historii Europy. Różne kręgi społeczne były niezadowolone. Jezuici oraz ich sympatycy odgrywali się za rozwiązanie zakonu. Parlamenty, ograniczane w swych starodawnych uprawnieniach rozsądną reformą sądownictwa, podnosiły głowy. Niezadowolenie okazywali dysydenci i janseniści, dyskryminowani wyrokami Rzymu i dekretami monarchy, nawet dewoci tworzący silny opozycyjny klan na dworze i w kraju. Ożywiły się koła filozofów, encyklopedystów i pisarzy zaliczanych do „republiki literackiej”. Jej przywódca Wolter, oddany królowi, rezydował na krańcu ziemi francuskiej we własnej rezydencji w Ferney.

Ujawnienie sensacji i skandali dworskich, puszczanie w obieg ubarwionych lub wręcz zmyślonych anegdot z życia króla i jego licznych metres stało się modą salonów i ulicy, zgorzeniem dewotów i kapelanów. Nawiasem mówiąc, opinia publiczna Francji z dużą tolerancją odnosiła się do romansów władców uwieńczonych laurem zwycięstwa, wśród nich pierwszego Burbona Henryka IV oraz Ludwika XIV; którego metresy przewijały się kolejno przez królewski dwór. Jednakże Ludwik XV nie miał wielu obrońców, gdy monarchia absolutna stanąć miała przed trybunałem historii. Na placu jego imienia zginąć miał pod gilotyną wnuk i bezpośredni następcza – Ludwik XVI, potoczyć się miała głowa królewskiej kochanki pani du Barry.

16 października 1793 roku grupa zorganizowanych „patriotów” ruszyła do katedry St. Denis, by rozprawić się raz na zawsze z kultem zmarłych monarchów, wyrzucając ich kości z sarkofagów i wrzucając do wspólnego dołu, by stały się pogardzanym prochem zmieszanym z ziemią – wśród nich zwłoki Ludwika XV. Rewolucja tworzyła własne prawa, jej karcąca ręka rozprawiała się ze współczesnością i nie szczędziła zmarłych, by zmienić bieg historii, wymazać z jej kart monarchię feudalną.

Rewolucja zniósła barierę między dwiema epokami, „dawnym porządkiem” i „nową erą”. Historycy francuscy datują dzieje po roku 1789 jako historię współczesną (*histoire contemporaine*). System, z którym zrywano, został wyłączony z pamięci narodowej. Odtąd miał być zamkniętym rozdziałem historii i tradycji, od której naród się odwracał i którą odrzucał. Ten wielki przewrót wywarł przemożny wpływ na historyków. Stał się punktem odniesienia w ocenach, rozważaniach i syntezach narodowych. Wszystko, co było przed rewolucją, zdawało się do niej prowadzić, choć w pokoleniu Ludwika XV niemal nikt przewidzieć jej nie mógł. Jeśli nawet powstawały takie domysły, nikt nie miał wyobrażenia, jaki kształt rewolucja oblecze i jaka będzie jej dynamika. Natomiast historycy XIX wieku, bez względu na ich stosunek do Wielkiej Rewolucji, zgadzali się w jednym: droga do niej wiodła przez królowanie Ludwika XV i surowo oceniali tego władcę.

Jules Michelet, autor pierwszej naukowej syntezy dziejów Francji, o przekonaniach żarliwie republikańskich i antyklerykalnych, okazał niewiele uznania dla monarchii absolutnej. Najsurowszy sąd wydał o Ludwiku XV, nie bacząc, iż właśnie za jego rządów narodziły się i kursowały po Francji nowe idee oświeconego wieku. Jawnie mówiono i pisano o prawach człowieka, powstało wielkie dzieło *Encyklopedii*, którego subskrybentem był również Ludwik XV. Deizm stał się modą salonów, a nurty te znalazły również zwolenników w samym Wersalu.

W opinii Micheleta Ludwik XV bronił nie tylko starego porządku, ale też – powodując się podszeptami dworu austriackiego – oddawał interesy Francji w ręce intrygi cudzoziemskiej. W żyłach jego bowiem – przypomina ten historyk – płynęła mieszanka krwi różnych europejskich dynastii. Mariaże i sukcesje były zawsze okazją do cudzoziemskiej intrygi lub interwencji.

„Spisek” austriacki, o którym mówiono głośno w roku 1792, zrodził się – jak twierdził Michelet – znacznie wcześniej. Początkiem jego było pojednanie z Habsburgami i małżeństwo następcy tronu, tj. młodocianego delfina, wnuka Ludwika XV, z Marią Antoniną, najmłodszą córką cesarzowej Marii Teresy. Polityka zbliżenia do Habsburgów była – zdaniem Micheleta –

główną zbrodnią polityczną, której Ludwik XV dokonał wobec narodu francuskiego za podszeptem przewrotnej, oczekującej na fawory dworu wiedeńskiego markizy de Pompadour. Pogląd ten nie wytrzymuje dziś krytyki. Polityka zagraniczna czasów Ludwika XV nie da się określić mianem spisku królów ani dworskiej kamaryli, której przewodziła kobieta. Jak się przekonamy, Ludwik XV postępował całkiem logicznie, acz ostrożnie i zmiennie. Wprawdzie Francja poniosła znaczne straty na rzecz Anglii w swych terytoriach zamorskich, ale uzyskała w tym czasie upragnioną Lotaryngię oraz wyspę Korsykę. Utrzymanie Indii Zachodnich oraz pakt rodzinny z Burbonami hiszpańskimi rekompensował niejako straty w koloniach, pozwolił też na znaczne ożywienie gospodarki i handlu zagranicznego. Wielki napływ srebra zasilił zasoby państwa. Francja stała u progu industrializacji.

Czasy Ludwika XV przyniosły długotrwałą koniunkturę gospodarczą, która załamała się dopiero za jego następcy, już po zwycięskiej wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Nie można więc okresu panowania Ludwika XV zaliczyć do ponurych kart historii Francji. Nie można też jednoznacznie ocenić osobowości samego króla. W podręcznikowych ujęciach dominuje nadal negatywna o nim opinia: egoista, sybaryta, erotoman, dla którego królowanie było prawdziwą udręką. Nieśmiały z natury, nie znosił obowiązującej etykiety, którą ku zgorszeniu dworaków często łamał. Zdawał sobie sprawę z ciężącej na nim odpowiedzialności. Nie uchylał się od codziennego „urzędowania” i programu przyjętego w Wersalu. Ludwik XIV był mu wzorem i przykładem. Chciał go naśladować, choć nie miał jak on wyrobionego poczucia własnej nieomyślności. Nieśmiały i ostentacyjnie małowówny lub wprost opryskliwy w oficjalnych wystąpieniach, był jednocześnie świetnym korespondentem i gawędziarzem w gronie uczonych, artystów i osób zaufanych, kurtuazyjny wobec kobiet. Ludwik XV zdawał sobie sprawę ze swej nieudolności i nieśmiałości, często uważanej za brak taktu. Stąd słowa wypowiedziane do przyjaciela, księcia de Luynes: „stanę się żalną postacią historii”.

Na liście zarzutów stawianych Ludwikowi XV niepoślednie miejsce zajmuje jego niemoralne, czy wręcz wyuzdane, życie osobiste. Wymawiano mu, iż ulegał oficjalnym i mniej oficjalnym metresom, że sprawy państwowe decydowały się w królewskim łożu. Sąd taki ułatwiały rozpowszechniane plotki i fantastyczne wprost opowieści za życia króla i po jego śmierci w gronie jemu niechętnych.

Schyłek XVIII wieku przyniósł szczególnie wiele anonimowych pamiętników, rzekomych relacji z dworu i wyznań osób z nim związanych. Utrwalane drukiem plotki przyjmowane były bez-

krytycznie, rosła czarna legenda Ludwika XV, gnuśnego władcy o niepohamowanym apetycie i lubieżnego kochanka. Tego rodzaju druki mnożyły się, gdyż nie brakowało im czytelników. Krytyka monarchii stała się modna i rosła w nastroszonych przedrewolucyjnych. Drukowanym sensacjom i apokryficznym pamiętnikom zawierzyli też dziennikarze, a wśród nich Ludwik XV nie miał wielu obrońców. Interesowało ich przede wszystkim życie osobiste króla i alkowiane kulisy wielkiej polityki. W krzywym zwierciadle swawolnej epoki rokoko upłynął nie doceniony „Wielki wiek Ludwika XV”.

Słynny pisarz i historyk literatury, Sainte Beuve (Charles Augustin 1804–1869), wydał o Ludwiku lapidarny sąd: „Król o najbardziej niecznym, nikczemnym i tchórzliwym sercu”. Wiek XIX utrzymywał czarną legendę Ludwika XV.

Przełom nastąpił wraz z uporządkowaniem i udośćwieniem spuścizny archiwalnej jego panowania, które obejmowało 59 lat (1715–1774). Rozróżniamy w nim trzy okresy i trzy style sprawowania władzy: regencję, tj. powierzenie władzy zastępczej Filipowi Orleańskiemu; czasy pierwszego ministra, kardynała de Fleury’ego, i osobiste rządy króla, dobrze przygotowanego do swego królewskiego *métier*. Czy był tak złym królem? Objął tron po mocarzu – swym pradziadku, budowniczym Wersalu, który wprowadził Francję do szczytu potęgi, ale pozostawił ją w stanie głębokiego kryzysu. Z kolei Ludwik XV po długim panowaniu oddawał tron swemu niedoświadczonemu wnukowi, Ludwikowi XVI, ostatniemu władcy *ancien régime’u*. To cała epoka, w której największym sukcesem było, iż Europa stała się francuska, a Francja arbitrem Europy.

Dostęp do archiwów pozwolił historykom sięgnąć do olbrzymiej spuścizny rzekomo nieudolnego króla, zapoznać się z problemami tamtych czasów i roli samego króla, uzdolnionego polityka, reformatora, pracowitego wykonawcy obowiązków władcy – w tym własnoręcznej olbrzymiej spuścizny korespondencji, np. sama korespondencja w sprawach polskich liczyła 150 teczek.

Ideologia i myśl Oświecenia, której początek dały kraje protestanckie, Holandia i Anglia, znalazły we Francji żyzną glebę. Stąd promieniowały na całą Europę, a język francuski stał się językiem nie tylko salonów, lecz również językiem nauki, dyplomacji i kultury umysłowej, a ten ośmieszany dwór miał w tym również swój udział. Francja Ludwika XV zmieniła się gruntownie. Przybyło kilka milionów Francuzów, społeczeństwo odmłodziło. Organizacja życia, administracji i państwa unowocześniła się znacznie. Udogodnienia transportu i komunikacji zbliżyły odległe ziemie. Bariery między prowincjami zanikały wobec rozwoju gospodarczego, który ogarnął Francję. Francja prowadziła nie zawsze dla siebie szczęśliwe wojny, ale

daleko poza swymi granicami. Przeciętny Francuz nie odczuwał ich złowieszczych następstw. Na wojnach zaś bogacili się kupcy, dostawcy, przedsiębiorcy, przemytnicy, wojskowi i ludzie morza.

Wybitny uczony, pisarz polityczny wieku następnego, Alexis de Tocqueville, dopatrując się przyczyn rewolucji i porównując jej zdobycze z osiągnięciami starego ładu, zauważa, iż reformy administracji podjęte w toku panowania Ludwika XV nie zostały przez rewolucję obalone, lecz wręcz przeciwnie – utrwalone i rozwinięte.

Dostęp historyków do olbrzymiego i uporządkowanego archiwum czasów Ludwika XV ujawnił wszechstronną aktywność tego rzekomo nieudolnego monarchy. Blask jej przywrócił współczesny nam historyk Pierre Gaxotte w książce, której tytuł zapożyczył od wielkiego Woltera *Le Siècle de Louis XV* (Wiek Ludwika XV). Ten wybitny znawca epoki próbował rozwiązać czarną legendę otaczającą panowanie Ludwika XV. Potrafił również wykazać, jakie rzekomo autentyczne źródła były zmyślane dla gustów publiczności, a jakie zaś zaliczyć należy do klasycznych paszkwili. Nie upiększa swego bohatera, ukazuje postać bez makijażu i bez koturnów. Jest to studium gruntowne, krytyczne, oparte na ogromnej literaturze naukowej. Podsumowuje w nim dorobek historiografii. W ślad za Gaxotte'em poszedł biografista królów z rodu Burbonów, od Henryka IV do Ludwika XVI, Georges Bordonove. Najnowsze, gruntowne opracowanie biografii Ludwika XV daje Michel Antoine, autor wielu studiów monograficznych.

W polskiej literaturze historycznej osoba Ludwika XV jest często wspominana. Wszak był mężem Marii Leszczyńskiej. Geneza tego związku, a potem losy Marii jako królowej Francji, przyciągały uwagę badaczy. Polskie sprawy przewijały się przez cały ciąg panowania Ludwika XV czy to jako oficjalne poparcie Francji dla Stanisława Leszczyńskiego, co doprowadziło do tzw. wojny sukcesyjnej polskiej, czy też jako późniejsze *secret du Roi* (tajna dyplomacja króla).

Pierwsze dziesięciolecie panowania Stanisława Augusta zbiegło się z ostatnią dekadą Ludwika XV. Nie było przyjaźni między tymi dworami. Podejmowano jednak próby nawiązania stałych stosunków dyplomatycznych, przerwane wybuchem konfederacji radomskiej, a następnie barskiej, gdy Francja z Austrią wplątały się w niebezpieczną grę przeciw Rosji, Prusom i Anglii. Nawiasem mówiąc, obaj monarchowie myśleli o małżeństwie z jedną z córek Marii Teresy. Zakłócenie regularnych stosunków między obu państwami nie powstrzymało napływu francuskiej myśli i literatury czytanej powszechnie zarówno w oryginałach, jak i przekładach na język polski. Kraj nasz

znalazł się w orbicie francuskiego Oświecenia, acz jego apogeum przypadło na ostatnie ćwierćwiecze stulecia. Do naszej opowieści o francuskim królu i jego epoce włączać zatem musimy i polskie związki z państwem i społeczeństwem francuskim.

W świetle swej korespondencji, przeważnie własnoręcznej, Ludwik XV jawi się nam jako władca niezwykle pracowity, dokładny, dobrze poinformowany i dalekowzroczny. Imponująco przedstawia się m.in. korespondencja z jego dyplomatami w Polsce. Przechowywana w Archives Nationales w Paryżu, liczy 150 tomów. Podobnie z wielką skrupulatnością Ludwik XV domagał się od swoich ministrów sprawozdań. Spędzał długie godziny na konferencjach i radach, a jego decyzje były stanowcze. Pozbywał się łatwo osób, co do których tracił zaufanie lub które okazywały się nieudolne.

Ludwik XV unikał konfliktów zbrojnych. Chciał uczestniczyć w europejskim systemie równowagi sił, jednak nie udało mu się uniknąć trzech kolejnych wojen, w których Francja odnosiła zarówno sukcesy, jak zagrożenia i klęski. Polityka króla wykazywała, że potrafił on postępować elastycznie. Był ostatnim monarchą absolutnym, jednakże był równocześnie otwarty na ewolucję zachodzącą w jego wieku, na postęp techniczny i ekonomiczny, na konieczność wprowadzania zmian.

Czarna legenda Ludwika XV powoli zanika. Król ten odzyskuje swe właściwe miejsce jako reformator, pracowity biurokrata, twórca nowoczesnej administracji integrującego się państwa. Pojawia się nam jako reorganizator armii, szkolenia jej kadry oficerskiej, w której przywileje szlacheckie miały być zastąpione wiedzą wojskową, jako rekonstruktor marynarki wojennej, w której do dziś żywe są jeszcze tamte tradycje. Równocześnie król był opiekunem talentów i nauki. Ludwik XV okazał się władcą przewidującym, gotowym do kompromisu i zmiany sojusznika. Nie zawsze zwycięski, skazany na Wersal, w którym faktycznie był samotnikiem. W archiwach więc, a nie w wersalskich wspomnieniach, ujawnia się nam wiek Ludwika XV i on sam.

„Trzech przed sobą delfinów miał Ludwik XV – dziada, ojca i brata swego starszego, a tak prawnikiem był Ludwika Wielkiego, po którym następował”. Tym zdaniem Kajetan Skrzetuski rozpoczął rozdział o Ludwiku XV w wydanej w Warszawie w roku 1771 *Historji politycznej Królestwa francuskiego*. Dedykował ją Stanisławowi Augustowi, a pisał za życia Ludwika XV. Dzieje jego panowania są więc nie dokończone, brak im też oceny z perspektywy czasu. Zgodnie z panującą opinią – Skrzetuski dodaje Ludwikowi XV przydomek *Le Bien-Aimé* (ukochany). Koniec panowania odmienił jednak stosunek podanych do umiłowanego początkowo władcy. *Le Bien-Aimé* zamienił się stopniowo w *Le Bien-Hai* (znieawidzony), podczas gdy określenie Wielki przyłgnęło na trwałe do imienia jego pradziada, Ludwika XIV, co mocno zaciążyło na panowaniu jego prawnuka – a dodajmy, iż koronę zgotował mu los w piątym roku życia. W kolejności dziedziczenia był bowiem, jak to zauważył Skrzetuski, na dalekim miejscu. Dziedziczność tronu we Francji – mimo pozorów stabilizacji – nie zapewniała jej bezpieczeństwa ani spokoju. Długowieczny Ludwik XIV zawczasu przygotowywał swego syna, również Ludwika, do funkcji króla (*métier du Roi*). Dobrał mu starannie wychowawców i preceptorów, nad którymi czuwał słynny kaznodzieja i uczony Jacques Bossuet. Delfin nie przeżył ojca, ale zostawił trzech synów, nadzieję dynastii. Spośród nich Filip, książę d’Anjou, drugi w kolejności wieku, po długiej i kosztownej wojnie o sukcesję hiszpańską (1701–1713), został królem Filipem V w Hiszpanii i musiał zrzec się ewentualnych praw do korony francuskiej. Delfinem został jego brat, diuk de Bourgogne, żonaty z uroczą, piękną i radosną księżniczką sabaudzką Marią Adelajdą. Młoda para z zapałem przygotowywała się do przyszłych obowiązków. Królewicz odebrał staranne wychowanie pod kierunkiem wybitnego filozofa i pisarza, Franciszka Fénelona, który wywarł ogromny wpływ na jego mentalność i zamiary przyszłych reform w państwie. Delfin snuł plany, jego młodzianka małżonka zapewniła zaś Francji trzech męskich potomków, najmłodszy z nich to przyszły Ludwik XV.

Tragiczne okazały się losy rodziny nowego delfina, tragiczne dla starego króla, mocarza Wersalu, bezsilnego wobec wyroków losu. Groźna wówczas choroba – rozpoznana jako szkarlatyna – zabrała jednocześnie obu małżonków (1712). Pierwszy ich synek zmarł już wcześniej w wieku trzech lat, dwoje młodszych zapadło również na szkarlatynę, a zapobiegliwi medycy swymi metodami przyspieszyli zgon starszego. Niewiele brakowało,

by i najmłodszy podzielił los rodziców i brata. Zajęci „ratowaniem” życia starszego, który przez dni kilka był już delfinem, dworscy eskulapi nie zwracali na razie uwagi na maleństwo. Uratowała je jego piastunka, pani de Ventadour. Uniósła do swoich komnat i za zgodą króla podjęła się sama wykurować malca. Uniknął więc śmiertelnego zabiegu puszczania krwi, a zdany na kobiecą opiekę, leczony wywarami z ziół i otulony w ciepłe szatki, powracał do zdrowia i ku powszechnej radości ocalony delfin stał się ostatnią nadzieją Francji. Trzeci wnuk Ludwika XIV, książę de Berry, już również nie żył. Z męskich potomków licznej bądź co bądź rodziny Ludwika XIV w roku 1712 pozostał tylko jeden prawnuk w wieku niemowlęcym. Czekąco go sieroce dzieciństwo w opustoszałych komnatach królewskiej rodziny. Uwaga starego króla była na nim skupiona, ale jakże daleko było jeszcze do realizacji jego nadziei. Szanse przeżycia dwuletniego dziecka, poddanego szczególnie „troskliwej” opiece dworskich medyków, były nikłe. Stary władca pragnął zabezpieczyć losy Francji i dynastii przed własnym odejściem, które nieuchronnie się zbliżało. Żył wszakże jego bratanek Filip, książę Orleański, mężczyzna w sile wieku, znany na dworze ze swego nader swobodnego trybu życia i potępianych wówczas libertyńskich poglądów. Filip był nie tylko bratankiem, ale i zięciem królewskim. Gdy nosił jeszcze tytuł księcia de Chartres, za zgodą ojca przymuszony został do poślubienia naturalnej córki królewskiej, panny de Blois, której nie kochał i nigdy nie pokochał. Ludwik XIV go nie lubił i nie ufał mu. Na dworze snuła się plotka, iż on to przyczynił się do nagłej śmierci następcy tronu i jego młodej małżonki, a także ich starszego synka. Plotka wyssana z palca, niemniej wskazująca, jakie wokół osoby Filipa krążyły pomówienia, jaka otaczała go atmosfera. Historyk zaś zadaje sobie pytanie, kto ją lansował i podsycał. Otóż wokół starzejącego się króla powstawały koterie i zmywy, by wpłynąć na przyszłe jego decyzje. Ludwik XIV miał nieślubne dzieci. Dwie długoletnie kochanki, Ludwika de Vallière i pani de Montespan, obdarzyły go licznym potomstwem. Dzieci, które przeżyły niebezpieczny wiek dzieciństwa, otrzymały staranne wychowanie, honory dworskie, piękne tytuły. Król zadbał o ich małżeństwa wśród członków dworu i dalszych krewnych. Spośród królewskich nieślubnych synów dwu tylko dożyło wieku męskiego, książę de Maine, Louis Auguste de Bourbon, i hrabia Tuluzy, Louis Alexandre de Bourbon. Niedługo przed śmiercią król, ku zgorzneniu i rozpaczom niektórych członków dworu, nadał im prawa dynastyczne. I oni więc w kolejności mogli znaleźć się na liście przyszłych władców Francji. Ostatnie lata starzejącego się monarchy upływały wśród intryg dworskich i domysłów, kogo król ustanowi regen-

tem i co w testamencie przekaze. Od razu zaznaczamy, iż Filip Orleański, odsuwany od godności i funkcji przez stryja, nie myślał dzielić się władzą z królewskimi bastardami.

Ludwik XIV sporządził testament. Oddzielił funkcje państwowe od opiekuńczych nad młodocianym królem. Radzie Regencyjnej złożonej z zaufanych dostojników dworu miał przewodniczyć Filip Orleański. Opiekę nad małoletnim delfinem powierzył księciu de Maine i kilku innym zaufanym dworzanom. Chciał w ten sposób utrzymać równowagę funkcji, pohamować ambicje księcia Filipa, by ten pamiętał, że pełni funkcje zastępcze, nie zaś jako prawowity sukcesor. Liczył, że doprowadzi do kompromisu między zwolennikami jednej i drugiej strony i że zdoła uchronić prawnuka od podporządkowania się jednej z nich.

Ludwik XIV umierał po królewsku, bez skargi. Pełen godności stanąć chciał przed Majestatem Boga. Choroba nie trwała długo, czyniła bowiem zatrważające postępy i medycy byli wobec niej bezradni. Była to gangrena nogi. Przed śmiercią król wezwał chłopaczka, który miał stać się kolejnym władcą Francji, i błogosławiąc go przekazał mu swoje dla niego pouczenie. Łzy cisnęły się do oczu umierającego i otaczających go dworzan, gdy padały słowa ułożone przez króla: „Moje drogie dziecko, zostaniesz największym królem na świecie. Nie zapominaj nigdy o swych powinnościach względem Boga. Nie naśladuj mnie w prowadzeniu wojen. Staraj się zawsze utrzymać pokój z twoimi sąsiadami, przynosić ulgę, jeśli to możliwe, swemu ludowi, czego mnie na nieszczęście nie udało się uczynić ze względu na potrzeby państwa. Słuchaj zawsze dobrych rad i miej stale na uwadze, że Bogu zawdzięczasz to, kim jesteś”. Słowa te, czytelnie wykaligrafowane na polecenie pani de Ventadour, umieszczone zostały nad łóżeczkiem dziecka. Pocziwa wychowawczyni otrzymała odrębne błogosławieństwo królewskie wraz z prośbą, by dbała o dziecko.

Król odbył oddzielne rozmowy z księciem Filipem i nowymi książętami krwi, księciem de Maine i hrabią Tuluzy. Pożegnał panią de Maintenon, ostatnią towarzyszkę życia. Spowiednikowi i Bogu powierzył swe zbawienie. Zmarł nad ranem 1 września 1715 roku. Oczekujący na tę wiadomość dworzanie ujrzeni wielkiego szambelana dworu, księcia de Bouillon, który wyszedłszy na balkon, obwieścił donośnym głosem: „Król Ludwik XIV zmarł”, potem cofnął się do wnętrza, zmienił dekorację kapelusza, przypinając w miejscu czarnego, białe pióro i zakrzyknął dziarsko: „Niech żyje król Ludwik XV”. Francja miała nowego monarchę. Rozporządzenia umierającego władcy należało jednak zarejestrować w parlamencie paryskim. Wolę jego ogłosić ludowi. Po wielu latach od pamiętnej Frondy, ignorowany przez Ludwika XIV parlament paryski poczuł znów swą siłę i znaczenie.

Filip chciał pozyskać dostojnych prawników. Obiecywał, że gdy obejmie władzę, będzie rządził „według ich rad i upomnień”. Stawka była wysoka. Chodziło nie tyle o regencję, co o samą sukcesję. Nie prorokowano dobrego zdrowia ani długiego życia małej królowi. Mogło się wiele zdarzyć i sprawa objęcia regencji jednoosobowej była dla Filipa bardzo istotna. Gdyby mała istotka zgasła przedwcześnie, stawał się naturalnym dziedzicem korony. Do tego samego dążył, faworyzowany przez Ludwika XIV, królewski bastard, książę de Maine. Na tronie hiszpańskim zasiadał prawowity wnuk królewski – Filip V. On również mógł się upomnieć o koronę w razie złamania testamentu wielkiego dziada. Filip Orleański nie szczędził więc obietnic parlamentowi w zamian za poparcie jego kandydatury, nie jako przewodniczącego Rady Regencyjnej, lecz wręcz regenta, wyposażonego w pełnię prerogatyw królewskich do chwili pełnoletności właściwego następcy tronu.

Do władzy jednoosobowej doszedł, ale składane obietnice nie wiązały jego następców i dziedziców korony. Zasiał natomiast między parlamentem paryskim a monarchią ziarno niezgody i rywalizacji, które przez cały wiek XVIII dzielić będą te dwie odwieczne feudalne instytucje.

12 września 1715 r., na uroczystym posiedzeniu izb parlamentu paryskiego, pięcioletni Ludwik XV, zachwycając swą dziecącą urodą, odbył swe pierwsze „łoże sprawiedliwości” (uroczysta forma ogłoszenia woli królewskiej w parlamencie). Filip, książę Orleański, obwieszczony został regentem. Rozpoczął się krótki, ale znamienity rozdział w dziejach Francji: regencja (1715–1723).

Kim był człowiek, który w wieku 41 lat przejął sprawy państwowe po doświadczonej i wspaniałym władcy Ludwiku XIV. Rutyny w rządzeniu nie miał. Jego stryj trzymał go zawsze z dala od rządów. Ten uzdolniony i silny człowiek pędził życie bezczynne, na pewno zbyt swobodne. Nieszczęśliwy w małżeństwie z narzuconą mu nieprawą córką Ludwika XIV, czuł do króla głęboką urazę. Owe nieudane małżeństwo rekompensował sobie, oddając się radościom doczesnego życia. Był wręcz hulaką, acz złośliwie pomówienia o romans z własną córką były zapewne czystym domysłem. Drwił z dewotów, uciekał od spowiedników, szydził z ich pouczeń i napomnień królewskiego stryja. Posądzano go o czary i trucicielstwo, gdyż interesował się alchemią i astrologią. Wersalu nie lubił i w Wersalu go nie lubiano, unikał więc dworu i przebywał w swych prywatnych rezydencjach. Miał przyjaciół w otoczeniu króla i snuł z nimi plany na przyszłość, a plany te – zapisane przez pamiętnikarza Saint-Simona – wydają się rozsądne i słuszne. Gdy objął władzę, podjął zaskakujące decyzje. Postanowił zburzyć mit Lu-

dwika XIV, zaczynając od samego Wersalu, przepysznej siedziby i stolicy politycznej państwa. Sam przeniósł się do Paryża, do rodzinnej rezydencji zwanej Palais Royal (Pałac Królewski). Życie polityczne, dworskie i towarzyskie skoncentrowało się zatem w Paryżu.

Palais Royal, położony w centrum miasta, był prawdziwym cudem architektury. Zbudowany w roku 1629 przez architekta Lemerciera dla kardynała Richelieu, przez lat kilka był własnością i siedzibą jego pierwszego ministra. Kardynał ofiarował go rodzinie królewskiej i oddał, tj. od roku 1636, pałac stał się rezydencją młodszej linii Burbonów, zwanej orleańską (brat Ludwika XIII Gaston, potem brat Ludwika XIV i jego syn Filip).

Wersal opustoszał. W imię oszczędności zlikwidowano pensje i stanowiska dworskie. Wersalskie damy, plotkary i intrygantki musiały zadowolić się skromną rentą i wrócić na prowincję. Mały król wysłany został do Vincennes, gdzie w dawnym królewskim czternastowiecznym zamczysku nad Sekwaną w Paryżu – jak uzasadniano – powietrze było zdrowe. Nastąpiły też reorganizacje królewskich rad i ministerstw. Nowi ludzie, nowe tendencje. Wbrew powszechnym oczekiwaniom pozycja arystokracji nie została naruszona. Naruszony został natomiast radykalnie protokół dworski. Załamały się sztywne jego zasady. W Palais Royal bawiono się swobodnie w obecności regenta. On sam nadawał ton nie kończącym się festynom i biesiadom, a że odbywały się one w samym sercu Paryża i światła z pałacu widoczne były z daleka, przykład szedł na całe miasto. Salony paryskie przyjęły podobne zwyczaje i podobne zakwitło w nich życie towarzyskie: swobodne, bez przymusu, bez etykiety, bez hołdowania moralności i konwenansom. Czasy regencji to okres frenetycznej radości, swobodnej zabawy, owianej zmysłowym erotyzmem, pod zasłoną jednak dobrych manier, wytwornych gestów, ciętego dowcipu i literackiego smaku. Iluż malarzy znalazło natchnienie w tej atmosferze swobody obu płci, w kulcie boskiej Wenus i jej posłańca Kupidyna symbolizującego wielkie prawa natury, które ludziom przynieśli sami bogowie. Regent Francji nie wahał się uwiecznić swej wątpliwej już urody na obrazie przedstawiającym Bachusa! Cóż, wino łało się strugami ku zadowoleniu jego producentów. W głowach szumiało, stan upojenia stał się modą i towarzyskim obyczajem. Najślawniejszym malarzem okresu regencji był Antoni Watteau. Jego niepowtarzalne sceny towarzyskiego życia, osnute mgiełką smutku i zadumy, wprowadzają widza w urojony, urzekająco piękny świat niedościgłych marzeń, nie spełnionych pragnień.

Swobodzie obyczajów towarzyszyło również wyzwolenie umysłów, wiew tolerancji wyznaniowej i świt Oświecenia. Choć Fi-

lip nie naruszył surowego edyktu z Fontainebleau, którym Ludwik XIV likwidował w swym państwie swobody religijne, okazał się wyrozumiały: wypuścił uwieczonych za wiarę i przekonania, odwołał stosowane represje, zmusił do powściągliwości jezuickich doktrynerów.

Podmuchy tolerancji i wolności w początkach regencji nie przerosły w huragan ogarniający wszystkich uciemżonych. Zmieniły jedynie atmosferę na dworze i w salonach paryskich, ostudziły żarliwość bigotów. Ład społeczny pozostał jednak nienaruszony. Lata regencji, przypadające niemal bezpośrednio po długiej i wyczerpującej Francję hiszpańskiej wojnie sukcesyjnej, przynosiły odprężenie po długotrwałych cierpieniach, ograniczeniach wojennych i ciężkich klęskach żywiołowych, które u schyłku panowania Ludwika XIV spadły na Francję.

Rozleniwiony sybaryta i jawny przeciwnik autorytatywnych rządów stryjka, książę Filip unikał nadmiaru władzy. Próbował wprowadzić kolektywny jej system. Powołał do swych rad i stanowisk ministerialnych odsuniętych poprzednio arystokratów. Zrzucali więc maski obłudnych dworaków, upominali się o stanowiska i urzędy, zajmując miejsca doświadczonych ministrów starego króla. Nieudolni grzęźli w matni administracyjnych trudności i rychło zniechęcali się do swych obowiązków. Przykładem takiej spóźnionej kariery politycznej był słynny, acz nie zawsze wiarygodny, pamiętnikarz wersalskiego dworu, Saint-Simon. Długie lata pełnił w Wersalu przy starzejącym się już królu rolę dworaka. Marzył o wyróżnieniu. Śnił o władzy, surowo więc oceniał tych, którzy ją sprawowali. Regencja otworzyła mu tę możliwość. Jego przyjaciel Filip powołał go do służby. Jakże szybko się zniechęcił, a obowiązki i rygory, którym miał się poddać, obmierzły mu całkowicie. Podobnie zachowali się i inni książęcy faworyci. Trzeba więc było powrócić do dawnego systemu, oddać praktycznie władzę pierwszemu ministrowi i powołać sekretarzy stanu. Pierre Gaxotte określa te próby nowego stylu władzy jako dążenie do rewolucji arystokratycznej, która – jak stwierdza – poniosła fiasko. Po kilku spektakularnych pociągnięciach, mających zyskać regentowi i jego kolektywnej administracji poklask i sympatię, „odnowa” ustała. Zadowolono się osądzeniem grupy spekulantów, nieuczciwych poborców i intendentów, dostawców wojennych. Kilkunastu nowobogackich powędrowało do więzienia.

Ogłoszono program oszczędnościowy przez likwidację niepotrzebnych urzędów, pensji, gratyfikacji. Podjęto czystkę w aparacie fiskalnym i administracji prowincjonalnej. Ku uciesze gawiedzi winnych stawiano pod pręgierzem, wysyłano na galery, konfiskowano mienie. Pozbywano się łatwo niepopularnych małych funkcjonariuszy, dając ich na pożarcie opinii rozjuszo-

nej krzywdami i uciskiem podatkowym ostatnich lat wojny. I na tym się skończyło.

Atak na spekulantów i nieuczciwych poborców, konfiskata ich mienia i wprowadzenie tu i ówdzie ulg podatkowych (obniżenie znienawidzonej dziesięciny królewskiej) przyniosły pewne oszczędności i doraźne korzyści. Był to jednak przede wszystkim rodzaj zemsty arystokracji na mieszczaństwie i nowo uszlachconych, których Ludwik XIV podniósł do najwyższych urzędów. Wyciśnięto nieco pieniędzy tytułem ich nadmiernego wzbogacenia, wyciśnięto też wiele łez, skazując na surowe kary, ponieważ i rozpacz całe rodziny. Wyroków, które Izba Sprawiedliwości ferowała, nie załagodził upływ czasu. I choć regent spostrzegł się, iż nie tędy prowadzi droga do poprawy finansów Francji i Izbę Sprawiedliwości rozwiązał, arogancja arystokracji i demagogia przez nią rozpętana przyniosły trwałe rozłamy między uprzywilejowanymi a ludźmi interesów, a także między społeczeństwem a urzędem.

Francja z wojny o sukcesję hiszpańską wyszła zubożoną, długi ciążyły szczególnie na skarbie państwa (około 2–3 miliardów liwrów) i droga do ich likwidacji nie wydawała się możliwa. Najteższe głowy nie miały niczego innego do zaproponowania, jak nowe podatki, nowe oszczędności, nowe pożyczki. Doradzano odczekać, gdyż sam upływ czasu winien uzdrowić ekonomikę kraju i pozwoli wyjść z kryzysu (opinia księcia de Noailles, przewodniczącego Rady Finansów). Najbardziej odczuwalny był brak pieniądza. Ilość monety kruszcowej nie nadążała za potrzebami gospodarki, a jedynym ratunkiem państwa było obniżanie wartości kruszcu w monecie, czyli jej dewaluacja. Koło zamykało się. Wyjściem z sytuacji mógł być tylko kredyt oparty na zdrowych zasadach bankowości. Przykład taki dawały domy handlowe i banki dyskontowe w innych miastach europejskich (Londyn, Edynburg, Amsterdam, Genewa czy Wenecja).

I oto zjawił się cudotwórca, który zapewniał, że Francję wyciągnie z impasu i zastoju, a społeczeństwo uczyni bogate i szczęśliwe. Regent, którego gwiazda już przybladła i potrzebny był mu wyraźny, spektakularny sukces, otoczył go protekcją. Nazywał się John Law, nazwisko to dominuje w krótkiej historii regencji i brzmi niemal złowieszczo w pamięci ludzkiej. John Law był Szkotem, synem zamożnego złotnika. Odznaczał się świetną prezencją, doskonałymi manierami, błyskotliwą inteligencją i klarownością umysłu, zaletami szczególnie cenionymi w wieku salonów. Miał również bogatą i burzliwą przeszłość, a w krajach, gdzie przebywał poprzednio, uchodził za szarlataana i szulera. W toku swych podróży za fortuną i rozrywką zdołał jednak zapoznać się dość dokładnie z ówczesną bankowością. Poznał mechanizmy działania banków amsterdamskich czy

londyńskiej giełdy i opracował własną teorię o cyrkulacji pieniądza i zasadach kredytu i ogłosił ją drukiem. Propozycje składane innym panującym nie spotkały się z zainteresowaniem. Law wędrował dalej, przeważnie z przymusu, usuwany za różne przewinienia finansowe lub awanturnicze życie. Trafił na dwór Ludwika XIV, rozpoczęły się pertraktacje przerwane wojną hiszpańską i niechęcią starego króla do ryzykownych operacji. Śmierć Ludwika XIV w roku 1715 niosła zapowiedź „końca terroru”. John Law pojawił się znów w Paryżu i Filip przyjął go z otwartymi rękami. Już w roku 1716 Law otworzył bank dyskontowy, którego pierwszym udziałowcem był skarb państwa. System finansowy, który lansował, nie wymagał ofiar, podatków ani cierpień. Opierał się na zasadzie kredytu i emisji papierowych obligacji. Wydawał się genialnie logiczny i ponętny. Warunkiem zamożności – zdaniem Johna Lawa – jest cyrkulacja środków obrotowych, uruchomienie produkcji i handlu, przyspieszenie tempa gospodarki. Pomysł nie był nowy, ale zasięg wyobraźni jego autora wprost niewiarygodny. System ten mógł być urzeczywistniony, gdyby trafił na bardziej podatny grunt i sprzyjające okoliczności. W podobny sposób w kilkadziesiąt lat później wyszły z długów wojennych i kryzysu finansowego Stany Zjednoczone.

Propaganda sukcesu i gorączkowa pogoń za szybkim zyskiem rozłożyły skądinąd słuszny pomysł. Law otworzył kasy banku, przyjmując kruszcowe pieniądze w zamian za oprocentowane obligacje, gwarantowane zapasami złota i majątkiem prowadzonych inwestycji i kompanii handlowych. Rezultat był nieoczekiwany. Tłumy gromadziły się co dzień pod bankiem, by wykupić wypuszczane sterty papierowych akcji, które krążyły samoistnie jako wartość stale rosnąca, a sprytny właściciel banku, niepomyślnie na realne zapasy kruszcu, emitował je ponad miarę, tj. bez pokrycia. Tym bardziej iż zapowiedziane inwestycje i rozległy plan zagospodarowania Luizjany (tzw. Kompania Missisipi) nie ruszyły. W celu podniesienia prestiżu i zaufania bankiera regent nadawał mu dalsze honory. John Law został generalnym dyrektorem Kompanii do handlu z Indiami Wschodnimi i generalnym zarządcą innych, nieraz fikcyjnych, przedsięwzięć. W roku 1718 bank Johna Lawa ogłoszono bankiem królewskim, a więc państwowym. Uprawnienia jego znacznie wzrosły. John Law mianowany został również głównym intendentem finansów. Zajął więc miejsce słynnego ministra Colberta. Stał się monopolistą, potęgą i sam uległ gorączkowej spekulacji. Opętany przekonaniem, że akcje stale będą rosły i nikt nie wycofa wkładów pieniężnych, sam wykupował i podbijał ich cenę.

Na sprzedaży i kupnie robiono fortunę. Z dnia na dzień można było stać się bogaczem, wielmożą, ba, potentatem, spłacić dłu-

gi. Przezorni lokowali swe zyski w nabywaniu nieruchomości ziemskich i miejskich. Szaleńcy wyzbywali się ziemi i majątków, by zagrać na giełdzie, pokusić się o szybki obrót. Na fali spekulacji powstawały fortuny i bankructwa. Skarb państwa zdołał również zmniejszyć swe zadłużenie.

Jak nagle na fali propagandy wybuchła koniunktura, tak też nagle stopniało zaufanie do banku, a udziałowcy zaczęli pośpiesznie zwracać akcje, żądając wypłaty w kruszcu. Nie starczyło go dla większości. Wozy drogocennego metalu wywieźli książęta de Bourbon i Conti. Przed naporem cisnących się do kas tłumów trzeba było bank zamknąć i ogłosić niewypłacalność (1720). Ruina założyciela była kompletna, ledwo życie ocalał przed rozsierdzonym tłumem i ukradkiem wymknął się za granicę. Umarł w biedzie, wierząc do końca w swój „genialny” pomysł. Systemowi Johna Lawa i jemu samemu sporo miejsca w swych pamiętnikach poświęcił dobry obserwator, Sain-Simon: „Gdyby zadowolono się jego bankiem – pisał – i to bankiem utrzymanym we właściwych i rozsądnych granicach, podwojono by dochody skarbu i niezwykle ułatwiono handel państwa i obywateli między sobą, gdyż bank mogąc zawsze sprostać wszystkiemu, emitowałby banknoty stale wymienialne w pełnej wartości, które stałyby się pieniądzem obiegowym, pieniądzem często wygodniejszym niż monety. Dodając do realnego banku chimerę Missisipi, jej akcje, osobliwy żargon ekonomiczny, stworzono jakieś stałe «podaj dalej», by wyciągnąć pieniądze od jednych i dawać je innym, co musiało doprowadzić do tego, że nie mając ani kopalń, ani kamienia filozoficznego, akcje te okazały się bez wartości i niewielu się na tym wzbogaciło kosztem ruiny bardzo licznych obywateli... Trudno uwierzyć w to, na co się patrzyło, a co przyszłe pokolenia za bajkę będą uważały, gdy nam samym snem się to czasem wydaje”.

Trzęsienie ziemi, które przeżyła Francja, zwłaszcza Paryż, nie dla wszystkich było równie dotkliwe. Rzesze ciułaczy i akcjonariuszy straciły swój wkład i nieraz oszczędności całego życia. Gromadzone akcje stały się w jednej chwili bezwartościowym stosem papieru. Przegrali ci, którzy podnieceni gorączką spekulacji pozbywali się stałego majątku dla uludy szybkiego bogactwa. Stosunkowo mniejsze straty poniosła wielka arystokracja i wielka finansjera, acz i wśród nich dochodziło do bankructw i samobójstw.

Droga do pośpiesznego ożywienia gospodarki przez operacje finansowe okazała się błędna. Niemniej w systemie Johna Lawa tkwiły racje niepodważalne i przez Francuzów dalej realizowane. Życie gospodarcze wyszło z zastoju i powojennego marazmu. Ruszyły kupieckie inicjatywy, podniosło się znaczenie ziemi, która po krachu giełdowym stała się znów podstawowym

bogactwem i środkiem produkcji. Ożywiły się szlaki morskie i drogi eksportu francuskiego. Niemniej straty i wyrwy pozostały długo nie zaleczone. Spadło zaufanie do kredytu i aż do czasów napoleońskich o banku państwowym nikt już nie śmiał myśleć.

Sprawy ekonomiczne nie pozostawały bez związku z polityką zagraniczną. Głównym celem zabiegów regenta tak w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej w pierwszych latach jego rządów było umocnienie własnej pozycji jako przyszłego pretendenta na wypacek śmierci prawowitego dziedzica. Przewidywano, iż król-sierota, zdany na opiekę piastunek i dworskich lekarzy, nie przeżyje wieku dziecięcego. W takim razie najbliższym w kolejności dziedziczenia byłby Filip V, król hiszpański, wnuk Ludwika XIV. Składał on wprawdzie wobec całej Europy zobowiązanie, że nie sięgnie po koronę francuską. Ewentualnej jego kandydaturze zdecydowani byli zapobiec Filip Orleański i wyznaczeni opiekunowie króla-dziecka (bastardzi królewscy).

Filip Orleański planował natomiast założyć własną linię królewską i przemyślał już o małżeństwie swego syna, księcia de Chartres. Wbrew tradycji i doświadczeniom historii, szukał zbliżenia z Anglią przeciw swemu kuzynowi na tronie madryckim. W Anglii były to czasy premiera Roberta Walpola, który prowadził politykę pokojową, rozsądną i dalekowzroczną. Po śmierci ostatniej z rodu Stuartów, Anny, na tronie – zgodnie z przyjętym przez parlament prawem o sukcesji – zasiadł Niemiec, jako Jerzy I, książę hanowerski, przez brababkę spokrewniony z rodziną Stuartów. Miał w społeczeństwie brytyjskim wielu przeciwników, którzy jeszcze liczyli na powrót jakobitów, tj. wygnanych z kraju katolickich potomków zdetronizowanego Jakuba II. Na marginesie przypomnijmy, iż syn Jakuba II, Jakub Edward, pojął za żonę Klementynę Sobieską, wnuczkę króla Jana III, i popierany przez dwór papieski, Hiszpanię oraz Francję dążył do odzyskania korony angielskiej. Klementyna Sobieska nosiła już tytuł królowej Anglii, acz nigdy tam nie dojechała, zmarła bowiem w Rzymie pod opieką papieską, pozostawiając dwu synów, z których starszy stał się kolejnym prezydentem, zwanym „Bonny prince Charlie”. Ani Jerzy, ani Filip Orleański nie czuli się pewni. Mogło im więc zależeć na wzajemnym poparciu i wyciszeniu wiekowej rywalizacji między ich krajami. Negocjacje i układy książę Filip powierzył swemu dawnemu preceptorowi, *abbé* Dubois. Ten zdolny i przebiegły człowiek uznał, iż i dla niego nadeszła szansa odegrania wielkiej roli. Giętka i kręta była to polityka, a rozplątanie wszystkich nici wiodących do układów, przymierzy, porozumień, niełatwe. Osia jej – jak już powiedziano – były interesy dynastyczne regenta. Dubois okazał się niezrównanym dyplomata,

sam podejmował się tajnych misji w charakterze zwykłego agenta. Jeździł w przebraniu po europejskich dworach, wioząc w walizie teatralne akcesoria, zmieniał peruki, kolor wąsów, okulary, kostiumy. Motał, kręcił, rozdawał dukaty. Wprowadzał Francję w wielostronne przymierza (Anglia, Holandia, Austria, Hiszpania). Jakkolwiek by ją osądzić, polityka Francji była znów aktywna i pełna inicjatywy, a cechowały ją intencje utrwalenia pokoju, na którym zależało zarówno Francji, jak i jej dawnym przeciwnikom: Anglii i Austrii. Sojusze te doprowadziły Hiszpanię do kolejnego upokorzenia i kolejnych strat. Anglia wymusiła od Filipa V ponowne zrzeczenie się pretensji do korony francuskiej, a Dubois zdołał narzucić dumnemu władcy propozycję małżeńską, zgodne z interesem regenta. W roku 1720 doszło do tego rodzinnego porozumienia, umocnionego małżeńskimi ofertami. Pozornie miały to być nowe świetne alianse. Regent wymusił zgodę na małżeństwo małej trzyletniej infantki z nieświadomym tych planów Ludwikiem XV. Córki regenta miały poślubić hiszpańskich książąt. Małżeństwa te miały być podstawą paktu familijnego obu linii Burbonów. Dziecięcy wiek przyszłej królewskiej żony odsuwał na dalekie lata możliwość narodzin następnego delfina. Wydłużał czas nadziei dla Orleanów. Intryga przemyślana była nader precyzyjnie.

Dubois, chytry *abbé*, o twarzy przypominającej łąsiczkę, dążył za wszelką cenę do godności kościelnych i państwowych. Cóż, kiedy nie miał nawet święceń kapłańskich. Szybko nadrobił te zaległości. W ciągu kilku miesięcy został księdzem, biskupem, arcybiskupem Cambrai i kardynałem – po czym sięgnął po stanowisko pierwszego ministra i zyskał zgodę regenta. Wracano zatem do dawnych wzorów, władzy skupionej w rękach pierwszego ministra. Przykładem był mu kardynał Richelieu, wielki budowniczy władzy absolutnej. Rządy nowego kardynała trwały zaledwie kilka miesięcy. Jego triumf osobisty nie zapewnił mu zdrowia. Wylew wewnętrzny, spowodowany wrzodem, nastąpił w chwili, gdy wraz z regentem dokonywał przeglądu wojsk. Omdlały spadł z konia i już nie opuścił łoża. Zmarł 10 sierpnia 1723 roku. Regent przeżył go zaledwie o kilka miesięcy. Zniszczony swobodnym trybem życia sybaryty, począł przedwcześnie odczuwać objawy choroby ciśnieniowej, stępienie i znużenie. Zmarł nagle 2 grudnia 1723 roku, rażony apopleksją, w obecności pięknej damy, która przyszła go rozerwać rozmową w godzinie sjeisty. Regencja dobiegła formalnie końca w dniu pełnoletności i koronacji Ludwika XV, o czym mówić będziemy w rozdziale następnym, skończyła się wraz ze śmiercią regenta, jego opiekuna i właściwego sternika państwa.

II. Edukacja króla

„Nie dane mi było nigdy poznać,
czem dla człowieka jest utrata matki”

(Ludwik XV do marszałka de Noailles,
lipiec 1748).

Nie miał prawdziwego dzieciństwa, nie znał rodziców, rodzeństwa, rówieśników, szkoły, nie miał przyjaciół chłopięcego wieku. Było to wychowanie sztuczne, powierzone znacym osobom, lecz bynajmniej nie pedagogom. Oddano im pod opiekę dziecko nieszczęśliwe, skazane na królowanie i rolę, do której nie czuło powołania. Zaczniemy jednak od początku, gdyż dodać należy kilka szczegółów uzupełniających biografię człowieka, który symbolizować będzie całą epokę. Tak jak wszystkie dzieci królewskiego domu przyszedł na świat zgodnie z przewidzianym protokołem. Księżna de Bourgogne, jego matka, była ulubienicą starego króla, promieniem sędziwego wieku i jego nadzieją. Kolejną ciężę swej pupilki Ludwik XIV przyjął z radością. Niecierpliwie oczekiwał rozwiązania. Wydał polecenie, by bez względu na porę dnia czy nocy powiadomiono go o pierwszych bólach. Poród rozpoczął się nad ranem 15 lutego 1710 roku. Przebudzony król zdecydował się na rzecz niezwykłą: odwołał ceremoniał porannej toalety (*levée*) i w domowym stroju udał się do apartamentów księżnej, by osobiście asystować przy porodzie. Okazał się on nietypowy, gdyż dziecko rodziło się nóżkami do przodu, a matka straszliwie cierpiała. Ale zarówno dziecko, jak i matka dobrze znieśli te trudności i kolejny męski potomek wzmocnił dynastię. W dwa lata potem został pełnym sierotą, a jedynie dzięki zapobiegliwej trosce wyznaczonej mu piastunki, pani de Ventadour, nie stracił w niemowlęctwie życia. Serca i opieki matki zaznać nie zdołał. Nawet nie ssał z jej piersi, gdyż w królewskiej rodzinie najmowano mamkę do tej czynności. Jedyne członek rodziny, który zostać mógł w pamięci dziecka, to pradziad i jednocześnie prawzór, który mu zawsze stawiano. Ludwik XIV, zatroskany przed śmiercią o losy państwa, starał się umocnić pozycję nowego delfina, wyznaczając radę opiekuńczą z księciem de Maine na jej czele. Regent, zmieniając testament królewski, uszczuplił również kompetencje księcia de Maine w tym zakresie. Wydaje się jednak, iż bez szkody dla przyszłego monarchy. Regent, wbrew przypuszczeniom i podejrzeniom, zabezpieczył należne dziecku i jego królewskiemu majestatowi honory. Malec już od 5 roku życia musiał występować oficjalnie jako król. W parlamencie wyrokować

w królewskim „łożu sprawiedliwości”, witać gości zagranicznych, bywać na paradach. Przekonywał się, iż jest osobą ważną, gdy gawędzi i żołnierze wołali „Niech żyje król”. Cieszyły go stroje aksamitne, kapelusiki z piórem i złociste wstęgi. Powoli przyzwyczajając się począł do tej niezwykłości. Pani de Ventadour, wyznaczona jeszcze przez Ludwika XIV, niechętnie patrzyła na te ceremonialne obowiązki. Słusznie uważała, że są one dla niego za trudne, że męlec się peszy i denerwuje. Starła się, jak mogła, uchronić go od publicznych wystąpień. Była to kobieta niezwykle dobra i obowiązkowa. Powtarzała niejednokrotnie, iż jej pierwszym obowiązkiem jest ocalić życie dziecka i zapewnić mu zdrowie. Poświęciła mu cały swój czas, stale z nim przebywając w rezydencjach wyznaczonych przez regenta.

Pobyt w zamku Vincennes trwał 18 miesięcy. Przywykli do ogrodów, komnat i powietrza wersalskiego dworzanie traktowali ten pobyt jako zesłanie. Istotnie, trzeba było opróżnić cele więzienne, by pomieścić ten dwór. Utyskiwania i żale odniosły skutek. Regent wyznaczył kolejną rezydencję młodemu królowi, pałac Tuileries w Paryżu. Należało jednak przywrócić pałacowi właściwy wygląd i urządzenie. Było tu jaśniej, cieplej i weselej, acz powietrze paryskie uważane było za niezdrowe. Zgodnie ze starym zwyczajem, chłopiec kończący 7 lat przechodził spod kobiecej pod męską opiekę. Kolejnym wychowawcą mianowany został jeszcze przez starego króla siedemdziesięcioletni marszałek Villeroy, syn wychowawcy Ludwika XIV, towarzyszył jego lat dziecinnych. Stanowisko to zawdzięczał nie tyle swym talentom wojskowym, co zaletom dworaka i lojalności wobec króla. W ten sposób Ludwik XIV chciał uchronić prawnuka od pałacowych intryg, kabał i przewrotów.

W pałacu Tuileries z okazji siódmych urodzin delfina odbył się tradycyjny ceremoniał. Rozpoczynała go kontrola medyczna. Rozebrany do naga chłopiec stał przed sztabem lekarzy i chirurgów, którzy w obecności księżąt i księżnych sporządzali protokoł ze stanu zdrowia króla i potwierdzili jego męską płeć. W dwa tygodnie potem, tj. 13 lutego 1717 roku, pani de Ventadour odstąpiła marszałkowi Villeroy zaszczyt podawania królowi do stołu. Nazajutrz dokonała się uroczystość symbolizująca koniec dzieciństwa. Przy porannej toalecie garderobiani zapytali chłopca, czy mają mu podać szelki. Odpowiedział, że nie, a pani de Ventadour dodała, iż król trzyma się prosto i maszeruje pewnie, nie potrzebuje już dziecinnych przepasek. Wreszcie 15 lutego, wystrojony w nowe szaty, stanął wraz ze swą piastunką przed regentem. Wychodził spod niewieściej opieki. Filip przemówił do malca: „Sire, nie zapomnij nigdy, jak wiele zawdzięczasz pani de Ventadour. Ocaliła ci życie swymi staraniami i wszyscy są zadowoleni z wychowania, jakie ci dała”.

Regent przedstawił mu jego nowy dwór, nauczycieli, oficerów gwardii i niespełna siedmioletniego wnuka marszałka de Villeroy, który miał być mu towarzyszem w nauce i zabawie. Rola pani de Ventadour była skończona. Gdy żegnała się z pupilkiem, malec uprzytomnił sobie, że traci jedyną mu bliską osobę, którą nazywał mamą, a mama odchodziła na zawsze. Rozpłakał się gwałtownie i trzeba było ponownie wezwać zacną piastunkę, gdyż ona jedna umiała go uspokoić. Odjechała hojnie obdarowana przez swego wychowanka.

Według opisów współczesnych Ludwik XV był pięknym i urokliwym dzieckiem. Miał złoto-brązowe duże oczy, śliczny wykrój ust, zgrabny nosek i kręcone blond włosy o jedwabistym połysku. Od małego uczono go dystygnowanych ruchów, ćwiczył chód, a wyrazem elegancji było drobienie kroczków przy usztywnieniu kręgosłupa i nieznacznych ruchach ramion. Nie brakowało też okazji, by małego króla zobaczyć. Przejżdżał nieraz ulicami Paryża w otwartym powozie, przyprowadzano go na oficjalne audiencje z okazji przyjazdu zagranicznych osobistości. W pamięci paryżan zapisała się szczególnie wizyta cara rosyjskiego Piotra I, który w roku 1717 odwiedził Paryż. Scena powitania cara z siedmioletnim podówcza królem oddana została przez pamiętnikarzy i artystę malarza. Car serdecznie uściśkał malca, przepowiadał mu chwałę jego wielkiego poprzednika. Rozeszła się też pogłoska, że w tym małym chłopcu upatruje już przyszłego męża dla swej córki Elżbiety. Oficjalne uroczystości nie zdarzały się jednak zbyt często. Codzienne życie chłopca, od chwili gdy ukończył lat siedem, płynęło uregulowanym trybem. Najwyższą troską pani de Ventadour było uchronić życie wątłego chłopca, a więc również osłaniać go od wysiłków, nadmiernych wzruszeń i wszelkich zagrożeń. Marszałek Villeroy, dawny wojskowy, pragnął natomiast wyrobić w nim tężyznę fizyczną, która w jego mniemaniu była również gwarancją zdrowia psychicznego wychowanka. Ćwiczył go więc przede wszystkim w jeździe konnej, którą chłopiec opanował znakomicie, a z czasem przez wiele godzin z rzędu nie schodził z konia. Inną umiejętnością wymaganą od przyszłego króla był taniec. Poruszanie się w rytmie muzyki, zgodnie z obowiązującym tanecznym stylem, wyrabiało słuch muzyczny, ciało nadawało giętkość, a gestom elegancji. Ważnym elementem było również właściwe trzymanie głowy, ustawienie mięśni szyi, mimika twarzy, z której promieniować miał majestat, łaskawość, siła i piękno. Ruch na powietrzu pobudzał znakomicie apetyt. Ludwik stał się wprost żarłokiem i nie sposób było go pohamować. Jego sylwetka młodzieńca na portrecie pędzla Hiacynta Rigauda wykazuje już wyraźne zaokrąglenia. Na razie jednak wyrastał na bardzo przystojnego, dobrze zbudowanego

wanego, silnego i wytrzymałego młodzieńca. Oddawał się chętnie fizycznym trudom i utarczkom, na łowach i w gonitwach, w których się lubował.

Marszałek chciał wychować swego pupila przede wszystkim na silnego mężczyznę – szefa dworu, mającego wszelkie umiejętności i cechy majestatu królewskiego. Prócz wyuczonych gestów, układności, uczestnictwa w paradach i popisach wojskowych oraz dobrego dosiadanania konia, nie wymagał od niego wiele. Pracować – jak mawiał – będą ministrowie. Edukacja ta, acz spełniała swój cel zasadniczy, zapewniając królowi dobrą kondycję fizyczną, nie uchroniła młodzieńca od psychicznych powikłań, nie zapewniała mu tężyzny charakteru i psychicznej odporności. Nie wypleniała też, a raczej pogłębiła, pewne wrodzone wady i skłonności dziecka, jak lenistwo, upór, czasem wręcz kapryśne wybryki. Nie uwolniła go od nieśmiałości wobec większej publiczności, oschłości wypowiedzi lub drażniącego otoczenie milczenia, które poczytywano za znieważenie i pogardę. Schlebiano mu od maleńkości, z początku brał to dosłownie, z czasem nie ufał ludziom. Łatwo ich sobie zrażał, choć całe życie szukał przyjaźni i możliwości otwarcia się przed najbliższymi. Wychowany bez naturalnej rodziny i rówieśników wyrastał bezwiednie na samoluba. Skłonny do kaprysu i płaczu Ludwik XV nie potrafił opanować cisnących się też, popadał w stany apatii i zniechęcenia. Wychowawcy nie zdołali temu zaradzić.

Na szczęście wśród preceptorów znaleźli się ludzie światli, otwarci na przemiany, którzy zadbali o wykształcenie królewskie. Umysł jego był chłonny, inteligencja nieprzeciętna, pamięć znakomita. Opiekę nad edukacją – zgodnie z wolą starego króla – objął André Hercule de Fleury, biskup odległej diecezji Frejus. Grono nauczycieli pod kierunkiem biskupa Fleury’ego rozwijało umysł chłopca. Program nauki był stosunkowo rozległy. Co dzień odbywały się ćwiczenia w pisaniu, lekcje łaciny, historii, trzy razy w tygodniu lekcje innych przedmiotów, spośród których ulubionym była geografia. Do nauki służyły różne pomoce. Młodzieńca otaczały mapy, globusy, rysunki. Zaistalowano mu w pokoju drukarnię, na której uczył się sztuki wydawniczej, składał i drukował własne wypracowania i kompilacyjne prace. Interesował się astronomią, techniką, rysowaniem i rękodzięłem. Dochowały się zeszyty tego osobliwego ucznia. Wiele w nich wypracowań i wzniosłych myśli na temat królowania i obowiązków monarchy. „W mocy królów leży być kochanymi, ich jedynie winą jest, gdy są znienawidzeni i źle się o nich mówi”. „Sprawiedliwość jest zasadą postępowania królów. Nie ma silniejszych dla królów obronnych fortyfikacji niż miłość i przywiązanie ludów”.

Paryż pokochał to królewskie pachole, toteż gdy 31 lipca 1721 roku podczas mszy św. poczuło się źle i natychmiast wystąpiła wysoka gorączka, miasto zadrżało o zdrowie ulubieńca. Podjęto zwykłe w tych wypadkach leczenie, puszczanie krwi i środki wymiotne. Przetrwał tę końską kurację i po kilku dniach gorączka ustąpiła. Niebezpieczeństwo minęło. 4 sierpnia parlament pierwszy uczcił wyzdrowienie króla radosnym *Te Deum* odśpiewanym przez kler w Sainte Chapelle. Wiadomość ta wywołała frenetyczną radość i spontaniczny entuzjazm pospólstwa. Na ulicach pojawiły się tłumy wiwatujące na cześć króla. Całą noc trwały uliczne pochody i zabawy przy wtórze orkiestr cechowych w blasku iluminowanych okien. Nazajutrz delegacje cechów i kupców cisnęły się do królewskiego pałacu, życząc zdrowia ocalałemu. Straganiarki i przekupki z hal przybiegały, niosąc ryby, wiodąc cielaki i jagnięta w darze do królewskiej kuchni. Obchody te trwały cały tydzień do dnia, gdy król po raz pierwszy od choroby pokazał się publicznie na mszy św. w katedrze Notre Dame. Najstarsi ludzie – jak stwierdzali naoczni świadkowie – nie pamiętali takiego entuzjazmu i takich wybuchów spontanicznej radości. Obawiano się stale o jego zdrowie, a nawet życie. Od tego czasu nazwany został przez lud *Louis Le Bien-Aimé*.

Jakkolwiek chłopiec nie przejawiał jeszcze żadnych zainteresowań płcią odmienną – marzeniem jego była raczej dobra strzelba, którą właśnie otrzymał – wiadomość, iż jest zaręczony, a narzeczona (Maria Anna Wiktoria, infantka hiszpańska) przybędzie niebawem z Madrytu, niemiłe go zaskoczyła. Książę Dubois i regent zażądali, by przyszła królowa edukowała się na dworze francuskim, od dziecka poznała francuski obyczaj dworski i wydoskonalila się w języku francuskim. W rzeczywistości mała infantka miała być gwarantką i zakładniczką politycznego traktatu. Regentowi zależało na jego dotrzymaniu. Wiemy już dlaczego. Stała za tym również Anglia i jej sojusznicy. Najmniej gorliwości okazywali zainteresowani. Mała dziewczynka z płaczem żegnała rodziców, braci i madrycki dwór. Narzeczony bynajmniej jej nie oczekiwał. Do Madrytu wyjechały w zamian dwie córki Francji, córki regenta, spotkać wynegocjowanych przyszłych mężów, księżąt z rodziny królewskiej. I one miały na dworze hiszpańskim doczekać wieku sprawności małżeńskiej. By osłodzić dworowi madryckiemu upokorzenie i tę narzuconą transakcję małżeńską, wyprawiono po infantkę, przyszłą królową Francji, okazałe poselstwo, które sprawował cytowany już kilkakrotnie pamiętnikarz Saint-Simon. Wyruszył 23 października 1721 roku, a w miesiąc potem podpisał ostateczny kontrakt ślubny. Klamka zapadła. Infantka udała się w uciążliwą podróż przez Pireneje do przyszłego

oblubieńca, do przybranej ojczyzny. Przejazd małej dziewczynki budził sensację. Przy drogach pozdrawiali ją mieszkańcy zbiegający się na widok orszaku. Paryż witał ją szczególnie uroczysto i z wielkimi honorami. Paryski mieszczanin w swych codziennych zapiskach komentuje to z sarkazmem (marzec 1722): „Ponieważ trzeba wciąż dostarczać rozrywki ludowi paryskiemu, by mu wynagrodzić brak pieniędzy i pocieszyć w jego biedzie, czyni się zdumiewające przygotowania na przyjazd hiszpańskiej infantki, który ma nastąpić w niedzielę lub poniedziałek. Buduje się na paryskich ulicach siedem czy osiem łuków triumfalnych i zamierza się nawet zaśłać ulice dywanami, co dotychczas nie było w zwyczaju. Jakże to niestosowne czynić tak wielkie przygotowania dla dziecka liczącego trzy lata i dzieśnięć miesięcy, jaki rozum żenić króla w wieku, w którym on sam jeszcze decydować nie może. A jeżeli za dziesięć lat jej nie zechce?”

Istotnie. Chłopiec dąsał się i bronił przed uroczystym spotkaniem, nie chciał się uczyć słów powitania, które wklepywał mu do głowy marszałek de Villeroy, czuł się ośmieszony, upokorzony i zawiedziony. Stan jego odczuć dobrze ilustruje anegdota, zapisana współcześnie. Gdy jeden z jego pokojowych oznajmił mu, iż się żeni, odpowiedział: „Ja posunąłem się dalej, mam narzeczoną, i dziecko w dodatku”.

Chcąc nie chcąc małoletni król wyjechał księżniczce naprzeciw. Małeństwo wygramoliło się z karety i ukłękło przed swym przyszłym mężem i panem. Chłopiec zarumienił się. Podniósł ją i z kolei przyklęknął, mamrocząc słowa powitania. Po czym orszak karet i kolorowych jeźdźców ciągnął przez oblepione tłumem gapiów udekorowane odświętnie ulice Paryża do Luwru. Podczas gdy narzeczoną bawiła się kosztowną lalką, którą otrzymała w zaręczynowym podarunku od króla, Paryż gorzał od iluminacji i ogni sztucznych, a place rozbrzmiewały huczną zabawą ludową. Działo się to 2 marca 1722 roku. Przez cały tydzień obchodzono królewskie zaręczyny, składano hołd małej dziewczynce, przyszłej królowej Francji. Wielkie przyjęcia, bale i festyny wydane przez regenta i miasto gromadziły elitę dworską i arystokrację. Był to pokaz mody, zamożności, obyczaju, okazja do plotek, flirtów i pomówień. Narzeczonemu uczestniczył w tym z przymusu, do narzeczonej nie odezwał się ani razu. Natomiast publiczność bawiła się doskonale. Z zapałem opróżniano bufet i kielichy wina. Podchmieleni tanecznicy rozbijali kryształowe żyrandole, inni zrywali peruki damom i zrzucali je z balkonu, ku uciesze ulicznej gawiedzi. Takie były zabawy w owe lata regencji.

Na zakończenie tygodnia zaręczynowego regent obwieścił, iż dwór królewski powraca do Wersalu. Opustoszały pałac znów

miał się stać siedzibą królewską oraz pełnić, jak poprzednio, rolę stolicy państwa. Chmara dworaków i służby szykowała się do powrotu, by ponownie, zgodnie z wolą króla i regulaminem wprowadzonym przez jego wielkiego pradziada, uczestniczyć w życiu dworskim. Zorganizowanie dworu nie było rzeczą łatwą, tym bardziej gdy po siedmioletniej przerwie Wersal odzyskiwał dawną pozycję i znaczenie. I tym razem młodzik nie miał jeszcze wiele do powiedzenia, acz przynosiny do Wersalu powitał z radością. Przede wszystkim jako zamiłowany myśliwy. Okoliczne lasy i pola oraz rozsiane nieopodal królewskie pałacyki pozwalały na codzienne myśliwskie eskapady. Oddawał się tej pasji z coraz większym zamiłowaniem niemal do końca życia.

Decyzja powrotu do Wersalu osładzała zniewolonemu narzeczonemu los, jaki mu zgotowali regent i kardynał Dubois, stwarzała możliwość wyzycia się w ulubionej rozrywce. Kryły się za nią również i inne powody. Afera Johna Lawa skompromitowała regenta, ujęła mu popularności. Dalsze hulanki w Palais Royal byłyby niestosowne. Zresztą sam Filip znużony już był tym trybem życia. Lepiej było skryć się w gabinetach Wersalu i stamtąd wraz z pierwszym ministrem Dubois kierować losami państwa. Dłuższa przerwa w funkcjonowaniu siedziby królewskiej spełniła swój cel. Dwór Ludwika XIV przestał istnieć. Należało stworzyć dwór Ludwika XV, oderwany od modelu Króla Słońce, ale wrócić do zasady, iż dwór nie powinien rezydować w samym Paryżu pod okiem ulicy i parlamentu. Nie powinna się nigdy powtórzyć Fronda.

Z decyzji przeniesienia dworu do Wersalu cieszyli się najbardziej mieszkańcy tego miasteczka i okolicznych rezydencji oraz pozostała w pałacu służba i oficjaliści. Przygotowywano się więc gorączkowo do przyjęcia nowego władcy i członków Rady Regencyjnej. Remontu wymagały królewskie apartamenty, zaniedbane sale recepcyjne, ogrody, które regent kazał zamienić na warzywniki, należało oczyścić kanał i fontanny. Wszystko dokonało się w wielkim tempie – 15 czerwca odbył się uroczysty wjazd króla do Wersalu. Poprzedniej nocy nikt w Wersalu nie spał. Dekorowano i zdobiono ulice, domy i sam pałac. Rabaty zakwitły świeżym kwieciami. Poprzedzona strażą przyboczną i pułkiem gwardii królewskiej toczyła się powoli królewska karetta, pozdrawiana gromkimi wiwatami i radosnymi okrzykami. Siedział w niej dwunastoletni młodzieniec, „piękny jak młody Bóg w swym paradnym stroju szamerowanym złotem”. Król nie wydawał się podniecony ani ucieszony owocą mu zgotowaną. Zajechał o piątej po południu i natychmiast podążył do pałacowej kaplicy, by oddać się modlitwie. Przygotowywał się bowiem do pierwszej komunii i bierzmowania.

Jego wychowanie religijne powierzone było wybranemu jeszcze przez Ludwika XIV spowiednikowi, księdzu Le Tellier. Regent zmienił spowiednika. Żaden z nich nie był członkiem zakonu jezuitów, co wywoływało ich nieprzychylność dla dworu i regenta. Religijność Ludwika XV była typowa dla wieku kontrreformacji. Była to wiara głęboko zakorzeniona, bezkrytyczna w przyjmowaniu prawd wiary i pouczeń kapłanów, którzy bardziej straszili mękami piekielnymi, niż uczyli miłości chrześcijańskiej. Widmo potępienia, wiecznej kary i mąk piekielnych zaciążyło na całym życiu Ludwika XV, wypaczyło jego moralność naturalną, jego świadomą filozofię życia, której oczekiwać należy od ludzi dzierżących w swym ręku los innych. Bigoteria i dewocja nie formują charakteru, raczej go wypaczają.

Dwunastoletni chłopak przygotowujący się do sakramentu ołtarza w istocie mógł to głęboko przeżywać, unikał poklasku, szukał skupienia. A jednak spowiednicy nie wpoili weń prostej zasady – wdzięczności za okazaną miłość, serce i życzliwe przyjęcie. Wielki kapelan dworu, ksiądz de Rohan, udzielił mu sakramentu komunii świętej w kaplicy pałacowej 9 sierpnia 1722 roku. Uroczystość bierzmowania odbyła się w kościele parafialnym 15 września. Młodzieniec był nabożnie skupiony, podobał się wszystkim.

W Wersalu trzeba było się urządzać, członkowie dworu starali się o własną wygodę. Zajmowali dawne apartamenty faworytów i faworytek Ludwika XIV. Zrobiło się znów ciasno i trzeba było korzystać z mieszkań w królewskich stajniach lub odnajmować kwatery w mieście. Nas interesują apartamenty monarchy i przyszłej królowej. Książę Filip przeznaczył dla króla dawny apartament Ludwika XIV, położony w centrum pałacu nad marmurowym dziedzińcem. Nie był to we właściwym tego słowa znaczeniu apartament, ale ogromne pomieszczenie z wielkim łóżem. Ludwik XIV nie czuł się osobą prywatną. Jego życie toczyło się na oczach całego dworu. Nigdy nie był sam. Wielka sala, w której sypiał, co rano wypełniała się cizbą dworzan zaszczyconych przywilejem uczestnictwa w porannej toalecie króla. Podobnie przed wieczorną toaletą. Wtedy również odbywały się audiencje. Apartamentów królewskich strzegła straż zbrojna, ulokowana w sąsiednim pomieszczeniu, zwanym potocznie od okrągłego okienka „bawolim okiem” (*oeil de boeuf*). Od sali audiencyjnej ciągnęła się dalsza amfilada gabinetów rządowych, rad, urzędów państwowych oraz sala bilardowa. W tym otoczeniu Ludwik XV rozpoczynał swą królewską edukację, przejmował pradiadowską tradycję pod okiem regenta i wychowawców. Nie mógł czuć się swobodnie ani intymnie w pałacowym kolosie i w jego zimnych ścianach. Przewidziana na jego przyszłą małżonkę infantka nie budziła w nim żadnego zainteresowania, unikał jej. Dziewczynce wyznaczono

apartament trzypokojowy, zamieszkały ongiś przez żonę Ludwika XIV. Regent zadowolił się czteropokojowym apartamentem „Wielkiego Delfina” (syna Ludwika XIV), położonym na parterze z widokiem na park. Gdy jednak zakończyły się przeprowadzka i instalacja królewskich osób i państwowych dostojników, dworzan i służby, ten wielki dwór okazał się mało potrzebny, zabrakło mu też codziennego rytmu i regulaminu, któremu za Ludwika XIV byli wszyscy podporządkowani. Roli tej przejąć nie mógł młodociany król pozostający nadal w rękach swych wychowawców i opiekuna z urzędu, regenta. Ten zaś nie wymagał etykiety ani ceremoniału. Cóż więc było robić? Oczekiwać na zmianę, na usamodzielnienie króla i przygotowywać sobie przy nim właściwe miejsce? Pozyskać jego zaufanie i przyjaźń? On jednak nie był podatny na intrygi. Wolne godziny spędzał na polowaniach, przemierzał konno okolice, buszował po lasach i polach w pogoni za zwierzyną, wypróbowywał swą strzelbę, która była jego największym skarbem. Ale i jego czekały poważniejsze doświadczenia.

Nazajutrz po bierzmowaniu ujrzał z okien pałacu odjeżdżający powóz pod eskortą muszkieterów i ich komendanta, d'Artagnana. Wersal opuszczał jego wychowawca, osiemdziesięcioletni marszałek Villeroy, którego regent zwolnił z funkcji gubernera. Sprawa była zagmatwana. Znacny marszałek ponosił konsekwencje skandalu rodzinnego. Zwolnienie było natychmiastowe, a wyjazd przymusowy. Nie było nawet pożegnania ze szczerze do niego przywiązanym wychowankiem. W łóżu Ludwika XV spłynęło wiele łez żalu z powodu tego nieoczekiwanego rozstania, a sytuację pogorszyła wiadomość, że i biskup de Fleury opuścił pałac. Z jego strony była to jednak jedynie próba sił, i na prośby i płacz wychowanka został z powrotem zaproszony do Wersalu. Decyzja regenta nie była przypadkowa ani wybór dnia nazajutrz po bierzmowaniu. Niezależnie od przewinienia marszałka de Villeroy, o czym rozprawiał cały dwór, regent postanowił rozszerzyć edukację młodego króla, wziął go pod swą bezpośrednią opiekę i przyuczał w sprawach państwowych. Już od dziesiątego roku życia pozwalał mu uczestniczyć w zebraniach Rady Królewskiej. Teraz jednak miała to być regularna zaprawa. Codzienne spotkania z kardynałem Dubois, z Radą Królewską, rozmowy i pouczenia od kolejnych sekretarzy stanu, zapoznanie się z wszystkimi resortami, z mechanizmem administracji, rządu i podejmowanych decyzji. Tak jak ongiś Ludwik XIV „terminował” pod kierunkiem kardynała Mazariniego, tak i Ludwik XV rozpoczynał edukację polityczną pod kierunkiem stryja i kardynała Dubois. Niestety, Dubois jedynie tytułem kardynalskim przypominał Mazariniego, w polityce był zręczny, ale brak mu było wszelkiej etyki i linii przewodniej.

Dubois, widząc postępujące u księcia znużenie nadmiarem spraw państwowych, żywił nadzieję, że to on zapanuje nad młodym władcą, który stanie się w jego ręku uległą marionetką. Tego również obawiała się Francja. Dubois w swych ambicjach i zachłanności chciał być pierwszą osobą, wszystkim dyrygować i wszędzie wtykać swój nos i swój interes. Zawiadnąwszy najtłustszymi opactwami, rozsiadł się wygodnie w tych dobrach kościelnych. Jego znaczenie rosło ponad osobę regenta. Z niczego nie chciał rezygnować, nawet z uciech Wenery, których dostarczały mu profesjonalistki w tej branży.

Książę Orleański przyspieszył koronację młodego króla. Nie czekał z tym do jego pełnoletności. 22 października 1722 r., zgodnie z tradycją i obyczajem wszystkich królów Francji – od Pepina począwszy – uroczysta koronacja Ludwika XV odbyła się w Reims. Ten niezwykle ceremonialnie przestrzegany był od wieków i nie sposób opisać całego, wielogodzinnego jego przebiegu.

Koronacja była ceremonią religijną, niemal sakramentem. Symbolizowała odwieczne przymierze między monarchią i Kościołem. Król przed ołtarzem ślubował wierność Bogu i narodowi. Arcybiskup Reims udzielał mu namaszczenia świętymi olejami, kładł koronę na jego skronie, wręczał insygnia władzy: berło i królewskie jabłko. Była to duchowa sankcja sukcesji przypadającej prawem dynastycznym, odąd był pomazańcem Bożym, królem z Bożej łaski.

Naoczny świadek ceremonii nie mógł nadziwić się urodzie i zachowaniu młodego księcia. „Był piękny jak marzenie, w swej długiej szacie i srebrnym toczku, ubiorze neofity, a raczej króla-kandydata. Łzy cisnęły się do oczu z rozrzewnienia nad tym biednym księciem, który w dzieciństwie uniknął tyłu niebezpieczeństw”. Obserwatorów zadziwił zapewne kontrast 12-letniego chłopca i 10 tysięcy żołnierzy stojących pod bronią oraz olbrzymiego tłumu, cisnącego się przed wyściefaną haftowanym aksamitem karetą królewską. Obwieszona cennymi tkaninami katedra jarzyła się tysiącem świec. Od złotej korony, wzbogaconej dwoma olbrzymimi diamentami, biły promienie jak od aureoli.

Pomazaniec Boży odegrał swą rolę bezbłędnie, naturalnie, z wdziękiem i godnością. Przyjął defiladę wojska, dokonał tradycyjnego obrzędu dotykania chorych na skrofuły. Zjechało ich lub przywędrowało około 2500. Każdemu należało położyć dłoń na głowie i powtórzyć starodawną formułę: „Król cię dotyka, niech Bóg cię uzdrowi”. Z kolei pasował nowych rycerzy Orderu Świętego Ducha i powołał Villarsa do godności marszałka. Ludwik XV nie skorzystał też z dyspensy papieskiej, by mógł się pożywić przed nużącą ceremonią. Postanowił na czczo przy-

jąc święty sakrament i dać tym dowód swej pokory wobec Najwyższego. W drodze powrotnej, zamiast uczestniczyć w festynie wydanym na jego cześć przez księcia Orleańskiego, wolał zatrzymać się w Saint-Denis, by złożyć hołd swym wielkim poprzednikom i przodkom. 9 listopada wjeżdżał do Paryża, który witał go triumfalnie.

Po koronacji życie w Wersalu wróciło do dawnej normy. Król uczył się nadal, biskup Fleury kierował krokami młodzieńca, regent i kardynał Dubois zajmowali się sprawami państwa. Ludwik XV wrócił z Reims jakby dojrzały, poważniejszy, pełen wzniosłych postanowień i pobożności. Nie opuszczał nabożeństw, strzegł moralności służby i dworaków. Powoli poczucie własnej ważności wsączało się w jego świadomość. Zauważono, iż częściej przemawia tonem rozkazującym i używa słów: „Ja tak chcę”. Nie wyzbył się jednak wrodzonej nieśmiałości i tego, co można by nazwać nieporadnością, które inni brali za grubiaństwo bądź zarozumiałość. Infantka, dziewczynka bystra i powszechnie lubiana, przyzwyczała się do stałego milczenia narzeczonego, choć w swym dziecinnym sercu bardzo to odczuwała. Inni jednak gorzej znosili jakby znieważające milczenie króla.

15 lutego 1723 r. Ludwik ukończył lat trzynaście. Według prawa dynastycznego (ustalonego przez Karola V) stawał się pełnoletni. Urodziny miały więc charakter uroczysty, łączyło się z nimi przejęcie władzy, a więc koniec regencji. I znów młody władca odmówił uczestnictwa w imprezach organizowanych z tej okazji, nie przyjął zaproszenia do opery i komediowego teatru w Palais Royal. Gdy owego dnia przy porannej toalecie młodego króla odwiedził regent, składając w jego ręce rządy państwa, Ludwik XV nie przełamał milczenia. Nie wiedział, jak się zachować, wiedział natomiast dobrze, iż faktycznie sytuacja pozostanie bez zmian. Kilka dni potem (22 lutego), po mszy świętej w kaplicy Sainte Chapelle, na wyspie Cité w Paryżu, w siedzibie parlamentu odbył się akt „łoża sprawiedliwości” z udziałem koronowanego już króla. Z mocy prawa regencja przestała istnieć. Parlament powierzył dotychczasowemu regentowi stanowisko przewodniczącego nowo utworzonej Rady Najwyższej na miejsce wygasłej Rady Regencyjnej. Zmieniło to niewiele, Dubois pozostał pierwszym ministrem. Król wracał do nauki pod opiekę preceptorów. Ta „przedłużona” regencja nie miała trwać długo i niebawem Ludwik XV zmuszony będzie podjąć państwowe decyzje, przed czym bronił się całą duszą.

W sierpniu 1723 roku zmarł nieoczekiwanie kardynał Dubois. Książę Filip wszedł do królewskiej komnaty i oznajmił krótko: „Sire, kardynał nie żyje”. „Martwi mnie to” – brzmiała odpowiedź. Książę Filip wyraził gotowość przejścia stanowiska pier-

wszego ministra i nie bacząc na swą poprzednią rangę, gotów był złożyć królowi przysięgę wierności. Odpowiedzi nie było. Milczenie oznaczało aprobatę. Nowo mianowany pierwszy minister pisał do jednego ze swych kompanów tego dnia: „Zmarła jadowita bestia. Czekam Cię dziś na kolacji w Palais Royal”. Książę Orleański niedługo pełnił stanowisko pierwszego ministra przy bratanku. I jego zabrała nagle śmierć 2 grudnia 1723 roku, kładąc definitywny kres regencji. Pełnoletni król przejmował samodzielne rządy. Odtąd on, przed Bogiem i Historią, odpowiadał za losy Francji.

III. Maria Leszczyńska wchodzi na scenę

Gdy się ma lat czternaście, nagła śmierć osoby bliskiej robi wstrząsające wrażenie. Po odejściu marszałka Villeroya Ludwik przywiązał się szczerze do regenta, który był mu opiekunem, mentorem i jedynym bliskim krewnym na dworze. Śmierć księcia Filipa zaskoczyła młodzieńca, wylewał więc gorzkie łzy przy jego zwłokach. Państwo straciło sternika, którego należało zastąpić. Nie zdołał jeszcze o tym pomyśleć, gdy stanął przed nim kolejny w stopniu pokrewieństwa książę, Henryk Ludwik de Bourbon, proponując pełnienie funkcji pierwszego ministra. Spłakany młodzieniec nic nie odrzekł, lecz głową dał znak przyzwolenia. Rządy Francji znalazły się w rękach prawnuka Wielkiego Kondeusza, pana na Chantilly. W toku afery Lawa książę ten zrobił olbrzymią fortunę i stał się bajecznie bogaty, a jego rezydencja zaścianowała Wersal. To nagłe wzbogacenie świadczyć mogło o jego inteligencji i rzutkości. Prócz grona zwolenników i pochlebców nikt go jednak za takiego nie uważał. Wybujałe ambicje szły niestety w parze z miernymi zdolnościami, podłością charakteru i odrażającą prezencją. Miał dopiero trzydzieści jeden lat, ale jego wąta, długa i garbem zniekształcona sylwetka znamionowała cechy degenerata. W dodatku oszpecało twarz niewidome oko. Mimo to pan na Chantilly prowadził okazały dwór. Wydawał wielkie przyjęcia i polowania. Choć szpetny, pozyskał serce i względy mężatki, słynnej z urody, dowcipu i sprytu, pani de Prie. Była to dama ambitna i przebiegła, o dużym smaku artystycznym i literackim, opiekunka talentów i debiutantów. Otaczała opieką młodych pisarzy. O jej przyjaźń zabiegał młody Wolter. Marivaux dedykował jej jeden ze swych utworów. Na jej zamówienie tworzył malarz Lancret. Oto początek rozwiniętego na wielką skalę w XVIII wieku mecenatu kobiet w kulturze francuskiej. Gdy więc książę de Bourbon został pierwszym ministrem, władzę nad nim i nad Francją objęła jego kochanka. Był to rodzaj triumwiratu. Para burbońska powierzyła zarządzanie skarbem państwa znannemu ze swych poczynań finansowych, zdolnemu i operatywnemu przedsiębiorcy, Paris Duverney. W jego ręku znalazła się niepodzielnie największa dziedzina państwa, której stan od afery Johna Lawa nie rokował przyszłości. Ciążyły nadal dawniejsze zobowiązania i długi wojenne. Niemniej kolejny regent snuł dalsze plany.

Książę de Bourbon był wdowcem, mówiono o jego drugim małżeństwie. Pani de Prie nie była temu przeciwna, lecz zamierzała sama tą sprawą się zająć i wyszukać umiłowanemu odpowiednią żonę, która by jej uległa i zawarła z nią kompromis.

Uwagę zwróciła na królewską córkę, Marię Leszczyńską, rezydującą z rodzicami w zamku w Wissemburgu. Mariaż mógł przynieść korzyści. Księżniczka, bądź co bądź z królewskiego rodu, o wielkich parantelach w Polsce. Małżeństwo z nią dawało, być może, perspektywę tronu polskiego. Plany były rozległe, mniej lub bardziej fantastyczne. Bourbon chciał być w polityce aktywny, budował nowe konstrukcje, nowe wizje. Zbliżenie do Polski, największego w ówczesnej Europie po Rosji państwa, było od czasów Henryka Walezego dążeniem Francji. Ludwik XIV przez całe swe panowanie nie spuszczał z oczu spraw polskich, dążąc do wprowadzenia swego kandydata na tron polski i pozyskania w Polsce trwałego sojusznika przeciw Habsburgom i Brandenburgii. Przegrana księcia Conti na czas jakiś pogrzebała te dążenia. Sezonowy król Stanisław Leszczyński, który dzięki przyzwoleniu regenta osiadł w Wissemburgu i otrzymał od Francji skromną rentę, mógł być atutem w razie odmiany sytuacji na mapie politycznej. We Francji Ludwika XV nie rezygnowano z tronu polskiego. Jest to sprawa podstawowa, która nie tylko uzasadnia wątle starania księcia de Bourbon o rękę Marii Leszczyńskiej, ale też wyjaśnia kontekst polityczny, zaskakującego opinię współczesnych mariażu samego króla. Zaczęło się od intrygi dworskiej dwojga kochanków, którzy obmyślili ten układ, by nadal panować na dworze i wziąć zarówno młodego króla, jak i jego małżonkę pod własną kuratelę. Okazało się, że przeliczyli się całkowicie, natomiast intryga i oficjalna polityka dworu skierowana ku Polsce i przyszłej elekcji mogła przynieść Francji poważne korzyści. Wróćmy zatem do intrygi snutej przez sprytną panią de Prie.

Na dworze istniały zadawnione antagonizmy między domem Orleańskim a domem de Condé. Książę Filip Orleański z myślą o własnych planach dynastycznych zaręczył młodzietkiego króla z trzyletnią infantką, odsuwając tym samym o lat kilkanaście możliwość pojawienia się nowego delfina. Za regencji Bourbona dziewczynka miała dopiero osiem lat. Trzeba było czekać co najmniej dalszych siedem lat na jej dojrzałość małżeńską. W razie śmierci młodego władcy, prawo do tronu przypadało linii orleańskiej, tj. księciu de Chartres, który od śmierci ojca nosił tytuł księcia Orleańskiego. Wokół jego ożenku snuto i rozważano pomysły matrymonialne. Mówiono o Elżbiecie, córce cara Piotra I, i ewentualnych przyszłych zabiegach o tron Polski dla tej pary. Swaty i kombinacje matrymonialne, jako sprawy najwyższej wagi państwowej w tajnej dyplomacji, przewijają się w relacjach i instrukcjach.

Stało się jasne, iż Ludwika XV należy ożenić, nie czekając na pełnoletcie hiszpańskiej księżniczki. Młody król był fizycznie nad wiek rozwinięty, dojrzały do małżeństwa, silny i witalny.

Na dworze czyhały nań pokusy i „niebezpieczne związki”. Skażenie na dalsze siedem lat celibatu wydawało się niemożliwe. Wprawdzie król nie okazywał nadal żadnych zainteresowań dla młodych dziewczyn i dojrzałych kobiet, ale mogło się to zmienić w każdej chwili. Mimo dobrej kondycji fizycznej zapadał jednak często na zdrowiu, gnębiły go gorączki. Bourbon postanowił króla ożenić, dla dobra dynastii i przyszłości Francji, na złość Orleanom.

Trzeba było zacząć od zerwania królewskich zaręczyn, Ludwik przyjął to spokojnie. Natomiast mała narzeczona, która się już we Francji zadomowiła, nie wiedziała, dlaczego pakują ją do karety i odsyłają do Hiszpanii. Pocieszono ją, iż jest to wizyta należąca rodzicom po długim rozstaniu. Trudniej było decyzję przekazać – zinnemu ze swej dumy – dworowi madryckiemu. Istotnie, wiadomość o zerwaniu zaręczyn wywołała ogromne oburzenie, rozruchy uliczne, manifestacje antyfrancuskie. Afront pociągał za sobą zerwanie stosunków dyplomatycznych. W odwet, dwór hiszpański odesłał obie córki Filipa Orleańskiego, których małżeństwa były wynegocjowane jednocześnie z zaręczynami infantki. Jedna z nich była już wdową. Jej mąż Ludwik, na rzecz którego Filip V abdykował, zginął w wypadku na polowaniu. Druga przywiązała się już bardzo do przyszłego męża – Don Carlosa i radośnie oczekiwała na zbliżający się ślub. Obie księżniczki nie zdołały już sobie życia ułożyć. Umarły młodo, w smutku i zapomnieniu. A cóż z małą infantką? Wyszła za mąż za księcia portugalskiego. Została królową Portugalii. Urodziła kilkoro dzieci, których – jak pisał Wolter – „nie dano jej urodzić królowi Ludwikowi XV i nie była szczęśliwa”. Pozycja Francji była już na tyle silna, iż nie potrzebowała się obawiać dąsów ze strony królewskiego stryja Filipa V, który sam nie czuł się pewnie na hiszpańskim tronie.

Pierwszy minister i jego doradczynie zabrali się rażno do dzieła. Gromadzili informacje o wszystkich księżniczkach Europy odpowiadających wiekiem młodemu królowi. Na liście znalazło się ich aż 99. Po pierwszej selekcji 82 odpadły. Wśród pozostałych znalazły się francuskie księżniczki krwi, carówna Elżbieta, wnuczka króla Wielkiej Brytanii Anna (protestantka).

Każdy z tych związków miał jednak poważne minusy i nie uzyskiwał pełnej aprobaty ambitnej pary kochanków. Ostatecznie wybór ich padł na księżniczkę bez królestwa, córkę wygnanego króla polskiego, Stanisława Leszczyńskiego, o której „wywiad” pani de Prie był już dobrze poinformowany. Dla władcy wielkiego królestwa była to pozornie skromna partia, nawet megalians. Zdetronizowany ojciec panny pędził ubogie życie w Wismemburgu, oganiając się przed wierzycielami. Utrzymywał się ze skromnej i nieregularnie wypłacanej pensji francuskiej i za-

stawianych klejnotów żony, Katarzyny Opalińskiej. Maria otrzymała staranną edukację, ale odmienną niż jej rówieśniczki z panujących dworów. Brakowało w niej rozrywek, strojów, próżności i próżniactwa. Wyzbyta egoizmu, czas swój wypełniała pożytecznie, pomagając innym lub oddając się lekturze. Pragnęła życia rodzinnego i domowego ogniska. Z etykietą dworską zetknęła się na tyle, iż zachowywała się bez zarzutu, poruszała się doskonale, tańczyła z wdziękiem i z talentem grała na klawesynie. Nie olśniewała urodą, którą Francuzi określali jako typowo polską. Miała lat 21, gładką cerę, blond włosy, orzechowe oczy. Kąciki ust lekko podniesione dodawały jej uśmiechowi uroku i słodyczy. Była więc miłym i pociągającym stworzeniem. Jako pierwsza kobieta w życiu przyszłego męża i starsza o siedem lat od niego zawiadnąć mogła z łatwością jego zmysłami i sercem, a poniekąd też i umysłem. Żyjąca w zapomnieniu królowna, wydobyta z kłopotów swego domowego życia, okazać winna również wdzięczność i uległość w stosunku do sprawców jej wywyższenia. Za takich uważali się nie bez słuszności pierwszy minister książę de Bourbon i jego metresa. Kandydatkę na królową zaaprobował również biskup Leury, godząc się na pomysł Bourbona, innymi jednak kierował się motywami. Ani Maria Leszczyńska, ani zaskoczone królewskim wyborem społeczeństwo francuskie nie przewidywało jednak, że ta uboga, niepozorna księżniczka przyniesie Francji potężne wiano. O tym jednak dowie się czytelnik na innym miejscu.

Na razie król przyjął propozycję przedstawioną mu przez grono opiekunów, zainteresował się wykonanym przez Lancreta portretem panny. 27 maja 1725 roku w czasie publicznej ceremonii swej porannej toalety ogłosił o swych zaręczynach. Nowina spadła jak grom z jasnego nieba. „Dwór – jak zapisał jeden z pamiętnikarzy – posmutniał tak, jakby mu oznajmiono o apopleksji Króla”. Gratulacje były chłodne. O wybrance krążyły różnorodne plotki, powstawały kąśliwe kuplety, podchwytywane z kolei przez paryską gawieź. A jednak ta niechciana królowa zyskała sobie niebawem powszechny szacunek, a lud ubogi nazywał ją potocznie „Dobra Królowa” i taką pozostała w pamięci pokoleń.

Z zapowiedzianej zmiany zadowolony był wyraźnie piętnastoletni wówczas król. Z niecierpliwością oczekiwał oblubienicy. Nie posiadał się też z radości jej ojciec. Otwierały się przed nim nowe horyzonty polityczne, doraźnie zaś zamążpójście córki przynosiło kres dokuczliwym niedostatom. Znaleźli się natychmiast chętni wierzyciele. Można było wykupić zastawione klejnoty i jako tako przygotować się do nowej roli. Paryż jednak był przekonany, iż narzeczona królewska nie ma nawet jednej koszuli.

Leszczyńscy, za zgodą króla, przenieśli się do Strasburga. Rozpoczęły się tu intensywne przygotowania do ślubu i koniecznej dla młodej panny wyprawy. Zjechała opiekuńcza i usługowa pani de Prie. Od niemal pierwszego dnia narzeczeństwa brała dziewczynę pod swą kuratelę, nie szczędząc jej rad kobiety dojrzałej, niezawodnego gustu i przyszłej damy dworu królowej. Nie obeznana z dworem wersalskim księżniczka zawierzyła jej „życzliwym” radom, ustalając za jej podszeptem skład swego niewieściego dworu.

Królewski małżonek wysłał po swą oblubienicę 75 pojazdów. Młody książę Orleański wiódł ten orszak. Miał reprezentować Majestat królewski przy spisaniu kontraktu małżeńskiego, składać przed ołtarzem *per procura* małżeńską przysięgę i przejąć od rodziców ich córkę – królową Francji. 15 sierpnia 1725 roku doszło do podpisania małżeńskiego kontraktu. W prastarej katedrze strasburskiej kardynał de Rohan, arcybiskup Strasburga, pobłogosławił przyszły związek. Ceremonia była morderczo długa. Maria, odziana w białozłotą brokatową suknię z potężnym trenem, wyglądała przepysznie. Pokornie klęczała przez całą mszę św. w świątyni oświetlonej tysiącem świec. Publiczność cisnęła się, by ujrzeć tę jedyną w swoim rodzaju ceremonię. Przyjaciele Leszczyńskich, których już wokół było niewiele, nie posiadali się z radości. Rozpromieniony teść królewski snuł już w sercu nadzieję na powrót do własnego królestwa, a przedtem zlikwidowania nałożonego przez Augusta II sekwestru swych dóbr. Po ślubie orszak królowej Francji ruszył do Paryża.

Stanisław Leszczyński w szczególny sposób wyposażył swą córkę. Ułożył dla niej, królowej Francji, rodzaj instrukcji lub nie wygłoszonej mowy ślubnej, zatytułowanej: *Przestrogi Króla dla Królowej Francji w chwili jej małżeństwa*. Zaopatrzył ją w podtytuł: *Ecoutez ma Fille et voyez. Portez l'oreille à mes paroles et oubliez votre peuple et la maison de votre père* (Słuchaj moja córko i patrz. Nastaw ucha na moje słowa. Zapomnij o swym narodzie i domu twego ojca).

Rząd karet i pojazdów posuwał się przez kraj nawiedzony żywiołową kłęską powodzi. Ulewne deszcze zniszczyły znojny trud wieśniaka, wezbrane rzeki zalały pola, zagrażały ludzkiemu istnieniu. Widmo głodu i nędzy zaglądało do chłopskich zagród. Rozciągnięty na długość całej mili ciąg pojazdów włókł się po rozmiękłych drogach. Karety grzęzły w błocie, utykały na wybojach. Wystrojone dwórki musiały wyskakiwać z unieruchomionych pojazdów, brnąć po kolana w błotnistej mazi.

Mieszkańcy, nie bacząc na pogodę, zbiegali się, by ujrzeć to niezwykle widowisko. Wiwatów było niewiele. Więcej zaiste płaczu, skarg i ludzkiej rozpaczycy docierało do wrażliwego serca

młodej królowej. Podczas tej uciążliwej drogi rozdawała hojnie jałmużnę najbiedniejszym. Wreszcie 3 września orszak zbliżał się do Fontainebleau.

Na ostatnim noclegu, w miejscowości Moret, odbyła się niezwykła prezentacja. Królową Francji witał wielki kapelan dworu i preceptor króla biskup Fleury. Wiedziała o nim wiele i zgadywała, iż ma on wielki wpływ na swego wychowanka. Z czcią i szacunkiem witała kapelana. Była już królową Francji, choć jeszcze męża nie знаła i nie mogła wiedzieć, jaką rolę odegra jego siedemdziesięcioletni preceptor. Nadbiegł też specjalny posłaniec anonsujący, że król oczekiwać będzie małżonki u granic tej królewskiej posiadłości. Zbliżała się chwila spotkania. Zwabieni wiadomością o przyjeździe nowej królowej przybyli mieszkańcy z bliższej i dalszej okolicy, by przyjrzeć się orszakowi i powitaniu królewskich małżonków. Rozścielono na ziemi dywany. Szczęśliwie niebo się wypogodziło, powietrze było łagodne. Maria, przyodziana w szatę ze złotego brokatu, wysiadła z karety i upadła do nóg małżonka. Wzruszenie malujące się na jej twarzy uczyniło ją piękną, radość króla była szczerą i gest niewymuszony. Podniósł ją żwawo i ucałował w oba policzki, a nawet zdołał wypowiedzieć słowa przywitania i radości z jej przybycia. Potem wsiedli razem do karety i przy dźwiękach trąb i bębnow udali się do pałacu.

Nazajutrz w kaplicy pałacowej odbył się właściwy ślub. Trzy godziny trwała toaleta panny młodej. Wystąpiła w aksamitnej fioletowej sukni haftowanej w złote lilie i obramowanej prawdziwie królewskim futerkiem, gronostajami. Suknię obciążał 10-metrowy tren. Król nosił obcisły strój ze złotego brokatu, głowę jego zdobił kapelusz o białych, powiewnych piórach. Odchylone rondo kapelusza przytrzymywała mieniąca się brylantami klamra. Blask bił od bogatych, usianych drogimi klejnotami strojów. Związek małżeński błogosławił kardynał de Rohan. Była wytworna ucztą, przedstawienie molierowskiej sztuki, wreszcie iluminacja, którą gwałtowny wiatr ugasił. Młody małżonek tylko na to czekał, ogłosił koniec zabawy, by tym szybciej znaleźć się sam na sam ze swą żoną. Nie licząc „technicznej lekcji”, udzielonej mu przez jedną z „doświadczonych” dam dworu, Maria Leszczyńska była pierwszą kobietą w jego życiu.

IV. Król w rodzinie

Tworzyli szczęśliwą parę. Wbrew smutnej legendzie, która otacza postać Marii Leszczyńskiej na tronie francuskim, małżeństwo jej było udane i obu małżonkom przyniosło wiele chwil szczęśliwych, wspólnych przeżyć – troski i smutków, które łączą rodzinę i tworzą wspólnotę nawet wtedy, gdy uczucie stygnie. Ich małżeństwo trwało 43 lata. Nie można więc jednoznacznie go oceniać, gdyż „każdy wiek ma swoje prawa”, a dodać należy, iż kobiety w tych czasach, choć przeciętna długość ich życia była wyższa niż mężczyzn, starzały się wcześniej i wcześniej wycofywały w zacisze domowego życia. Przy różnicy wieku obu małżonków, ten próg dla Marii Leszczyńskiej zbliżył się rychło. Król zaś zachował do później starości dużą witalność i, co gorsza, zainteresowania erotyczne. Nie wchodząc na razie w polityczne tego konsekwencje, zatrzymajmy się przy prywatnym życiu królewskiej pary. Miesiąc, a raczej miesiące miodowe spędzili w Fontainebleau w ciągłych uniesieniach, wielce w sobie rozmówani. Tam nie obowiązywała ścisła etykieta dworska, były to prawdziwe wakacje królewskie i jednocześnie początek pełni życia dorosłego człowieka. Maria i jej obecność wyzwoliły w młodym człowieku nieznane mu przedtem uczucia. Był troskliwy, oddany, wdzięczny, czuł się w pełni mężczyzną i już myślał o roli ojca przyszłego delfina. Współżycie z żoną i codzienne z nią intymne spotkania korzystnie wpływały na jego osobowość. Manifestował swe zadowolenie, stał się przystępny, otwarty, serdeczny wobec otoczenia. Rozkoszował się urokami prywatnego życia i próbował zachować tę prywatność nawet wtedy, gdy opierać się temu będzie dworska etykieta, a czasem i sama królowa. W Fontainebleau czas dzielił między ulubiony sport myśliwski a młodą małżonkę. Obie te pasje, polowanie i intymność w towarzystwie ukochanej kobiety kolidować będą z obowiązkami króla wielkiego narodu. Król chciał się podobać i okazywał żonie maksimum starań i względów. Z okazji ich małżeństwa odbywały się w pałacu różne rozrywki, teatry, koncerty, popisy i kawalkady konne, parady wojskowe. Nawet na polowania, te mniej uciążliwe, Ludwik zapraszał żonę. Chciała z nim dzielić wszelkie jego upodobania. Poeci wysilali się, by zręcznymi panegirykami utrwalić chwile królewskich zaślubin i uroki miodowego miesiąca. Artysta Lancret, rekomendowany przez panią de Prie, malował na zamówienie dworu. Przybywały delegacje akademii, parlamentu paryskiego, Sorbony, by złożyć hołd królewskiej parze z okazji jej małżeństwa.

Do Fontainebleau zaproszeni zostali także rodzice Marii. Zięć serdecznie witał teścia, oddawał należny hołd królowi-wygnan-

cowi. Maria promieniała u boku męża. Stanisław Leszczyński był oczarowany przyjęciem oraz widokiem szczęścia swej córki i dał temu wyraz w listach do przyjaciół.

Nadchodziła zima, czas było wracać do Wersalu, podjąć obowiązki królewskiego stanu, choć leżały one niemal całkowicie w rękach pierwszego ministra i jego przyjaciółki. Przyjazd do Wersalu nastąpił 1 grudnia 1725 roku. Dla Ludwika XV był to powrót, dla Marii pierwsze z nim zetknięcie. Również dla ciekawskiego dworu było to pierwsze spotkanie z nową królową. Istotnie, całkiem nową. Mało kto z dawnych dworzan mógł pamiętać poprzednią królową, żonę Ludwika XIV, Marię Teresę Austriaczkę. Zmarła w 1683 r. cicho i spokojnie. Na dworze wschodziła wtedy nowa gwiazda, pani de Maintenon. Metresy królewskie odgrywały na dworze większą rolę niż królewska żona, do której tuzin Ludwik XIV był szczerze przywiązany. Pytano więc teraz, jaki styl przyjmie Ludwik XV już jako dorosły i żonaty mężczyzna, jaki zakres obowiązków i reprezentacji przypadnie królowej. Czy będzie miała wpływ na sprawę państwa? Jak więc należy ją przyjąć? Nie zabrakło przy niej pochlebców, doradców i donosicieli. Racją istnienia tego dworu była intryga i koterie, w których zachodziły różne zmiany i przetasowania. Trwała walka o stanowiska, synekury. W rzeczywistości chodziło przede wszystkim o zabicie nudy, która snuła się po pałacu. Każda okazja była dobra, szukano plotek i małych sensacji.

Królowa z prawdziwą emocją wstępowała po Schodach Ambasadorów, przeszła przez lustrzaną galerię do wyznaczonych jej apartamentów. Zajęła tę samą sypialnię, w której przed piętnastu laty urodził się Ludwik XV. Skład jej dworu obmyśliła pani de Prie. Acz sama zadowolili się stanowiskiem jednej z dwunastu dam dworu, zadbała o wybór jego ochmistrzyni i podsunęła królowej listę pozostałych. Godne miejsce wśród tego żeńskiego dworu dostało się również Marii Annie Clermont de Bourbon-Condé, siostry księcia de Bourbon. Wymagała tego etykieta i dworska dyplomacja. Pozostałe damy to zauszniczki, powiernice i przyjaciółki pani de Prie i jej dwu „wspólników”: księcia de Bourbon i intendenta finansów Paris-Duverneya.

Do wielkiego pałacu i licznego dworu trzeba się było przyzwyczaić, umieć się w nim poruszać i znaleźć w nim swoje miejsce. W tym okresie Ludwik XV okazał się dobrym i zapobiegliwym mężem. Choć młody i słabo w dworskich układach zorientowany, starał się rozweselić codzienne życie, które królową czekało. Pierwsze tygodnie i miesiące w Wersalu upłynęły wśród ciągłych rozrywek, atrakcji i podniosłych uroczystości. Przyjeżdżał teatr paryski wystawić *Mizantropa* Moliера, to znów amatorski teatr złożony z dworzan odegrał tę samą komedię dla

królewskiej pary. Król organizował wycieczki wokół Wersalu, by królowej pokazać jego okolice i całą królewską siedzibę. Wszędzie w kościołach rozlegał się dziękczynny hymn *Te Deum* i *Veni Creator* z okazji ich ślubu. Obchodzono nabożnie święta Bożego Narodzenia. 1 stycznia w Saint-Cyr nastąpiła ceremonia nadania Orderu Świętego Ducha, którym wyróżniony został Polak, krewny królowej, hrabia Michał Tarło. Karnawał spędzili w Marly, nieopodal Wersalu, ulubionej rezydencji Ludwika XIV. Parze królewskiej towarzyszyło ponad 100 osób. Wśród łowów i rozrywek upłynęły tu znowu kolejne dwa miesiące. Król się bawił i dużo wydawał. Skromna Maria poddawała się panującej wokół euforii.

Miłe i niczym nie zakłócone były pierwsze miesiące pożycia królewskiej pary. Po powrocie do Wersalu król pragnął nadal uchronić przed oczyma dworu godziny intymności i prywatnego życia. Przyjął się zwyczaj, iż król przychodził do apartamentów królowej na tak zwane małe posiłki nie objęte rytuałem dworskim i pogwarke w jej buduarze.

Buduar ten zdobiło wspaniałe zwierciadło, na jego obramowaniu postać bogini miłości rzucała kwiaty, jakby wielbiąc osobę w nim przyglądającą się. Był to prezent ślubny od ulubieńca. Zwierciadło stanowiło część toaletowego kompletu złożonego z 51 przyrządów, drobiazgów i cacek, wyczelowanych w srebrze i pozłoczonych, a wykonanych przez najlepszego złotnika Paryża nazwiskiem Germain. W tej prawdziwie rokokowej oprawie czuli się dobrze, spokojnie i swobodnie.

Rodzice Marii nie zamieszkali w Wersalu. Sprzeciwiały się temu względy etykiety i wymagania tajnej dyplomacji. Jeśli król nie mógł mieć Leszczyńskich u siebie, to jednak chciał ich mieć w pobliżu. Ludwik XV przeznaczył im na rezydencję pałac w Chambord, który – jak twierdzą znawcy – jest najpiękniejszym wśród zamków nad Loarą. Była to jedna z królewskich siedzib, odwiedzana często przez Ludwika XIV, dopóki nie stał się dobrowolnym „więźniem Wersalu”. Maria miała więc bliższy znacznie kontakt z rodzicami, a i oni łatwiej mogli ją widywać.

Oboje Leszczyńscy, a po śmierci żony (1749) sam król Stanisław, spędzali corocznie dwa tygodnie w Wersalu. Te odwiedziny sprawiały radość licznej rodzinie królewskiej.

A jednak, choć początki były tak obiecujące i uczucie Marii dla króla zdawało się rosnać, doszło niebawem do pierwszych nieporozumień między małżonkami. Były one następstwem intrygi dworskiej i przesilenia rządowego we Francji, w które królowa pośrednio została zamieszana.

Otóż pewność Bourbona i markizy de Prie, a także braci Paris, finansowych doradców, od czasu małżeństwa króla znacznie

wzrosły. Ciesząc się dobranym związkiem królewskiej pary, liczyli już na zupełne zawładnięcie małżonkami. Rozsadzała ich żądza władzy, niepodzielności w panowaniu i drapieżne wprost dążenie do zaszczytów i fortuny. Cień biskupa Fleury'ego, moralisty i preceptora młodocianego króla, kładł się jednak między nimi a jego koronowanym wychowankiem. Obawiali się tego kościelnego dostojnika, którego wpływ mógł im zagrozić. W podjętych staraniach o odsunięcie biskupa i oddalenie go z dworu wykorzystali naiwność i życzliwość królowej. Ona zaś, widząc w nich swych dobroczyńców i przyjaciół, nie orientowała się w intrydze.

Książę de Bourbon, pewny swego triumfu, przeszedł do jawnej ofensywy. Fleury go uprzedził. Nastąpił nagły zwrot określany jako rewolucja pałacowa. Szesnastoletni król musiał dokonać wyboru między wujem a kapelanem. Zdecydował się na zamach stanu. Grom z jasnego nieba spadł na pierwszego dostojnika państwa. Bourbon został zdegradowany i natychmiast odesłany do swej rezydencji w Chantilly, bez prawa wstępu do Wersalu (po kilku latach zakaz ten został cofnięty). Jego towarzyszką, pani de Prie, zesłana do odległych swych dóbr, pozostawać miała na zawsze przy mężu (niebawem ze zgryzoty umarła). Nie lepszy los spotkał nadintendenta Paris-Duverneya i jego brata.

Był to również wstrząs dla królowej, która tak bardzo zawiaryła księciu ministrowi i pani de Prie. Po raz pierwszy odczuła dezaprobatę króla i jego wyraźną oziębłość. Ludwik żywił głęboki żal do żony, winił ją, iż dała się wpłatać w sytuację zmuszającą go do drastycznych rozstrzygnięć. Nie mógł jej tego wybaczyć. Pozostały na placu biskup Fleury, tak ze względów moralno-religijnych, jak i politycznych nie chciał pogłębiać kryzysu małżeńskiego. Napomniawszy więc Ludwika, by po czasie pokuty powrócił do pożycia małżeńskiego i był żonie wierny. Podobnych rad udzielał Marii jej spowiednik, Polak, ksiądz Labiszewski. Czas uniesień miłosnych zakończył się jednak bezpowrotnie.

Rola Marii nie była jednak skończona, dopiero się zaczynała. Francja oczekiwała delfina, a sam król pragnął, by dała mu go kochająca żona. Ludwik XV wrócił do żony i wspólnego łóża. Stworzyli dużą rodzinę. W ciągu pierwszych 12 lat pożycia małżeńskiego przyszło na świat dziesięcioro dzieci, z których ósmioro dożyło wieku dojrzałego, w tym jeden syn i siedem córek. Te Córy Francji, Mesdames, jak je tytułowano, to na równi błogosławieństwo Boże, jak i udręka rodziców. Żaden król, najbardziej katolicki, nie pozostawił tak licznego potomstwa żeńskiego i jednocześnie tak niewiele zdziałał dla zapewnienia im przyszłości i osobistego szczęścia.

O pierwszej ciąży królowej wiedziała niebawem cała Francja. Król był pełen radosnego niepokoju. Przygotowania były w toku. Narodziny miały być obchodzone triumfalnie. Zapowiedziano wielki festyn i sztuczne ognie w Paryżu.

Na wieść o zbliżającym się rozwiązaniu Ludwik XV udał się natychmiast do apartamentów królowej. Z wielką troską, niepokojem i czułością asystował przy porodzie, pełen współczucia dla cierpień żony. Udany poród przyniósł jednak cięń rozczarowania. Zamiast oczekiwanego syna 14 sierpnia 1727 roku przyszedł na świat żeńskie bliźniaczki, Ludwika Elżbieta i Henriette-Anne. Zawodu nie okazał, cieszył się swym podwójnym ojcostwem. Zarządził dziękczynne *Te Deum* i realizację programu przygotowanego na uczczenie narodzin delfina. Osobiście też organizował opiekę nad dziewczynkami, dobierał im mamki i opiekunki.

Następny rok przyniósł nowe rozczarowanie. Przyszła na świat trzecia córka. Tym razem festyny, iluminacje i dziękczynne *Te Deum* zostały odwołane. Król jednak nie tracił humoru, wyznaczył akuszerowi rendez-vous za rok. W trzecim kolejnym porodzie 4 września 1729 roku Maria Leszczyńska dała mężowi i Francji oczekiwanego delfina, następcę tronu. Król, który i tym razem nie opuszczał łoża małżonki, nie posiadał się z radości i dumy. Okazywał jej wdzięczność i szacunek.

Radosną wiadomość rozesłał przez gońców do teściów w Chambord, do parlamentu paryskiego, do burmistrza Paryża i wszystkich ambasadorów. Cała Francja zdawała się być poruszona. Nad Paryżem zabłyśły ognie sztuczne, w kościołach gruchnęło dziękczynne *Te Deum*. Lud tańczył i bawił się na ulicach miasta. Niebawem dzieciątko przyjęte zostało do wspólnoty chrześcijańskiej. W obecności miejscowego proboszcza chrztu z wody udzielił mu kardynał de Rohan. Małego Ludwika czekała jeszcze ceremonia zawieszenia mu na szyi Orderu Świętego Ducha. Potem mógł już spokojnie ssać wyznaczoną mu przez króla mamkę w przygotowanym dla niej apartamencie, pod opieką niezawodnej pani de Ventadour. Szczęście małżonków wydawało się spełnione. Ich małżeństwo utrwalone. Maria ze wzruszeniem pisała do ojca: „Nikt nigdy nie kochał tak, jak ja go Kocham”. W ogólnej radości nie zabrakło i dziadków. Ludwik XV zaprosił ich, by poznali tę nową przyszołość Francji, owoc polsko-francuskiego związku.

Rok następny przyniósł czwarty, kolejny poród i drugiego syna. Dynastia zdawała się więc zabezpieczona. Niestety, nie na długo. Filip, książę d'Anjou, drugi syn królewskiej pary, o którym już rojono, iż w przyszłości obejmie tron polski, zmarł po trzech latach w wyniku niestarannej opieki.

Następne ciąży i porody świadczą o zgodności i harmonii życia królewskiej pary, o wierności królewskiego małżonka, sta-

łości jego uczuć i przywiązaniu do tej samej kobiety. Z jej strony zaś było uparte dążenie, by dać jeszcze jednego syna królowi i Francji. Ten coroczny przyrost rodziny królewskiej zadziwiał i wręcz niepokoił członków dworu, nawet świątobliwego kapelana, kardynała de Fleury'ego. Gdy w roku 1737 znów pojawiła się dziewczynka, a dworzanie zapytywali króla, jaki będzie nosiła tytuł, zniecierpliwiony odpowiedział: „Madame Ostatnia” (*Madame La Dernière*). Na dworze istniał zwyczaj, iż córki królewskie nosiły tytuły Madame. Od pokoleń jednak nikt nie pamiętał takiej liczby królewskich córek. Osiem córek! Nadawano im więc kolejny numer: Pierwsza Madame, Druga Madame itd. Potocznie tak je określano w dworskim protokole. Ostatnia Madame zapowiadała koniec małżeńskiego pożycia pary królewskiej. Od pewnego czasu pojawiły się rysy w ich wzajemnych stosunkach. Nietrudno to wyjaśnić. W epoce, gdy swoboda seksualna ogarnęła wyższe kręgi społeczne, a na dworze stała się wprost modna, nie mógł się jej też oprzeć cnotliwy król. Był zbyt przystojny i pociągający jako mężczyzna, a jako rozdawca łask – upragniony, by nie zwracać na siebie oczu dam i panien dworu, które bez namysłu gotowe były znaleźć się w jego ramionach, nawet choćby przelotnie. Niejedna marzyła, by stać się oficjalną metresą, drugą Vallière lub Montespan. Król pantoflarz, ojciec mieszczańskiej rodziny, spędzający sam na sam wieczory z żoną i w stale rosnącym gronie swych dzieci, był przykładem w Wersalu nieznanym i niechcianym. Racją istnienia dworu był sam król, jako jego władca i opiekun. Wszystko kręciło się wokół niego. A dwór pragnał rozrywki, zabawy, plotki, skandalu. W dodatku walczyły tu i rywalizowały ze sobą dawne i nowe koterie – Orleańczycy, Burbonowie z Chantilly i Burbonowie usynowieni przez Ludwika XIV, dewoci i libertyni. Podziały się krzyżowały, zawierano taktyczne porozumienia, zmieniały się przyjaźnie, intryga snuła się po obszernych komnatach.

Permanenta niemal cięża i połogi królowej uniemożliwiały jej towarzyszenie mężowi i udział w zabawach i uroczystościach wyznaczonych tradycyjnie regulaminem dworskim. Nie mogła również, tak jak ongiś, podróżować wraz z królem ani uczestniczyć w szaleńczych polowaniach, które były zawsze jego pasją. Ubitej drobnej zwierzyny liczone na setki sztuk. W każdym parfors padało też po kilka jeleni. Były to łowy okrutne. Oszałałe ze strachu zwierzęta, wytropione przez psy, wpadały do przygotowanych pułapek, toczyły beznadziejną walkę z rozwścieczonymi ogarami i ginęły dobijane grotem myśliwego. Królewska psiarnia i królewskie stajnie były pasją Ludwika XV. Ten prastary obyczaj i rycerska zabawa zamieniły się w istny pogrom i rzeź, Ludwikowi XV wypełniał wiele godzin

dnia, stał się jego nawykiem. Przyzwyczajał się do stałego zabijania i łatwego triumfu nad bezbronnym zwierzęciem. Rozkoszował się widokiem swych psów, strzelców w liberiach i forysiów, dźwiękiem hejnału obwieszczającego początek polowania lub jego zakończenie. Sam świetnie dosiadał konia. W gonitwie był pierwszy. Nie oszczędzał koni ani ludzi, niejednokrotnie zajeżdżał na śmierć swe ulubione wierzchowce. Na łowach był niestrudzony i nigdy nie zmęczony. Nużył się natomiast uczestnicząc w Radzie Najwyższej, urzędując w swym gabinecie, wypełniając rutynowe obowiązki królewskie. Sceny z polowań królewskich odtworzył wiernie jego nadworny malarz, świetny artysta, Jean Baptiste Oudry.

Te upodobania króla wykorzystała dworska intryga, której nawet nie zapobiegł królewski opiekun, kardynał de Fleury. Królewska ciotka i jej mąż, hrabia Tuluzy, usynowiony bastard Ludwika XIV, szczerze kochali bratanka. Urządzali dla niego w swej posiadłości Rambouillet, zalesionej i pełnej zwierza, polowania kończące się kolacją, w gronie małym, lecz dobranym. Brało w nich udział kilka par małżeńskich, wśród nich młode niewiasty, wpatrzone w pięknego Nemroda. Atmosfera niemal rodzinna, szczerść i swoboda, konwersacja ożywiona, nieraz cięta i dowcipna, kontrastowały z nudą buduaru królowej, w którym, jak się Ludwik wyraził, „można jedynie muchy łapać”. Maria Leszczyńska zbyt szybko zrezygnowała z wszelkiej kokieterii, nie starała się króla utrzymać świeżością cery, makijażem, młodą sylwetką, odmianą toalety. Stałe cięższe zepsuły jej figurę, a świetny apetyt, żeby nie powiedzieć łakomstwo, nie pozwalał jej na przestrzeganie diety. Dogadzała sobie i opróżniała półmiski z zapałem. Traciła urok i młodość, stała się ociężała, leniwa. Jej wielka pobożność, przechodząca w dewocję, wiodła ją ku rezygnacji z uciech dworskich i blichtru wielkiego świata, do którego Ludwik XV zaczął się skłaniać i w nim odnajdywać nowe podniety i zadowolenie. Wiedział, iż się podoba i chciał się podobać kobietom. Pierwszych jego przelotnych zainteresowań, które zrodziły się w kręgu Rambouillet, nie można nazwać miłością ani nawet zdradą małżeńską. Cofał się przed nią i nie miał jeszcze odwagi przekroczyć progu grzechu. Wracał jednak późno do pałacu. Zaniedbywał żonę. Czekająca nieraz do północy na jego stałą wizytę w sypialni. W jej sercu rodziła się zazdrość, zły doradca. Gdy wracał zadowolony, po mile spędzonym dniu, witała go gorzkimi wymówkami. W przypływie zniechęcenia odmówiła mu małżeńskiego współżycia. Popełniła błąd. Poczul się dotknięty, a być może na to tylko czekał. Opuścił sypialnię z gniewem, oświadczając, że już nigdy do niej nie wróci. Słowa dotrzymał.

„Kronika skandali” (*Chronique scandaleuse*) Ludwika XV roz-

poczyna się po dwunastu latach wierności małżeńskiej. Jest to swoisty rekord dla króla wychowanego we frywolnej atmosferze regencji i narażonego nieustannie na pokusy. Odłożmy na później omawianie królewskich przygód miłosnych, które stanowiły część życia dworu, a nawet wiązały się z wielką polityką. Zostańmy jeszcze w jego rodzinnym kręgu. Świadom obowiązków ojca rodziny, król nigdy dzieci nie zaniedbywał. Ludwik XV był troskliwym, kochającym i opiekuńczym ojcem, oczywiście jak na króla przystało i w stopniu określonym etykietą dworską.

W Wersalu nie było miejsca dla dzieci. Członkowie dworu, nawet małżeńskie pary, nie mieli prawa trzymać potomstwa przy sobie. Noworodki oddawano poza obręb pałacu do mamek, nianiek lub krewnych. Kto chciał żyć w blaskach „Króla Słońce” i jego następców musiał się wyrzec życia rodzinnego. Jedyny wyjątek stanowiła rodzina królewska. Apartamenty przeznaczone dla królewskich dzieci i wyznaczonej im służby nie były jednak przygotowane, aby pomieścić tak liczną gromadkę. Dość skromne były więc pomieszczenia córek królewskich, pokoje sypialne, miejsca do zabawy i nauki, a także rekreacyjne place w wypielęgnowanym parku pałacowym. Nie miały rówieśników ani rówieśnic. Dlatego też rodzeństwo było ze sobą bardzo żyte, zarówno starsze, które edukację odbywało w domu, jak i te córki, które zostały wysłane do klasztoru.

Za radą kardynała de Fleury’ego, królewskie rodzice zgodzili się oddać cztery młodsze córki na wychowanie do opactwa Fontainevrault, odległego o trzynaście dni drogi (ok. 60 mil). Decyzja nie przyszła łatwo, dziewczynki były jeszcze takie małe i rozdzielanie ich od rodziców wydaje się nam okrutnym pomysłem. Małeństwa wyrwały się opiekunom i towarzyszącym im osobom orszaku, by schronić się w ramionach żegnających je rodziców. Nie przypuszczały nawet, że rozstanie będzie takie długie. Adelajda, trzecia według protokołu Madame, uniknęła tego losu, wszak i ona – jak było ustalone – miała dzielić los młodszych siostrzyczek. Rezulutna dziewczynka przeczuła jednak, że rozstanie ze starszym rodzeństwem i rodzicami będzie długotrwałe. Wyrwała się więc z powozu – uchwyciła ojca i łkając, błagała, by jej nie wysyłał. Łzy, jak groch, potoczyły się po twarzy Ludwika XV, nie mógł odmówić jej prośbom i Adelajda pozostała. Cztery panienki, acz staranie o nie i ich edukacja były na prawdziwie królewskim poziomie zapewnione, przebywały w tym odosobnieniu przez całe dzieciństwo. Wiktoria powróciła po dziesięciu latach, Zofia i Luiza Maria po dwunastu, jedna z sióstr zmarła w klasztorze. Powracającym paniom pozostałe rodzeństwo i królewska para zgotowały radosne i serdeczne przyjęcie.

Podczas gdy młodsze córki przebywały w Fontainevraut, starsze odbierały edukację domową pod okiem matki i samego króla. Najwięcej troski i zainteresowania poświęcono jednakże jedynemu synowi i następcy tronu – delfinowi. Jego edukacja potoczyła się tym samym trybem, co ongiś Ludwika XV.

Do lat siedmiu wychowaniem delfina zająła się powszechnie szanowana na dworze i przez króla pani de Ventadour, dawna *maman* króla-sieroty. Gdy chłopiec ukończył lat siedem, przeszedł pod opiekę wychowawców męskich. I tym razem urodziny obchodzono uroczystie. Ludwik XV wygłosił podobne, jak ongiś regent do niego, słowa, apelując do syna, by zachował wdzięczność dla swojej opiekunki. Sztab guwernerów powołano do kształcenia umysłu chłopca, zaniedbano jednak jego wychowania fizycznego. Chłopiec był ociężały, nie rwał się do konia ani do polowania, nie wydawał się także zbyt zainteresowany sprawami królestwa ani przyszłym królowaniem. Usposobieniem bliższy był matce niż ojcu. Bogobojny i cnotliwy, unikał faworyt królewskich, nie znosił markizy de Pompadour. Wpływ ojca na chłopca nie był więc duży, ale miłość, którą król obdarzał delfina, była głęboka i pełna troski. Ileż niepokoju przeżyła para królewska, gdy ich jedyny już syn, jedyna nadzieja, zapadł na ospę, jakże niebezpieczną wówczas chorobę. W dniach przesilenia choroby życie na dworze niemal zastygło. Ze wszystkich kościołów płynęły modły. A gdy lekarze orzekli, iż niebezpieczeństwo minęło, w kościele Notre Dame w Paryżu odśpiewano radosne *Te Deum*. Delfin był ocalony. Ojciec też wcześniej pomyślał o jego ożenku. Zgodnie z jego królewskim przeznaczeniem i tradycją dynastii wybrał mu za żonę infantkę hiszpańską Marię Teresę. Delfin poślubił ją bez miłości, z nakazu ojca, i choć małżonka zgasła już po siedemnastu miesiącach pożycia, w młodym człowieku pozostał uraz, iż do tego związku został zniewolony.

Z córkami było inaczej. Jak przystało na królewskie córy, otrzymały dobrą i staranną edukację. Pierwsza Madame, jedna z bliźniaczek imieniem Maria Ludwika, ulubienica króla, już w wieku 12 lat opuściła Wersal. Czekał na nią w Madrycie młodziutki królewicz, przyszły narzeczony i mąż. Król osobiście towarzyszył jej w pierwszym etapie podróży. Pożegnanie było rzewne, a łzy lały się rzęsiście. Była jedyną z królewskich córek, która wyszła za mąż, a ojciec wywianował ją godnie. Jej podróży do Hiszpanii towarzyszył istic królewski orszak. Została z czasem księżną Parmy. Po kilku latach uzyskała zgodę hiszpańskiego dworu na odwiedzenie rodziców, a jej przyjazd był ewenementem w życiu królewskiej rodziny. Jej bliźniacza siostra Henrietta zająła z kolei pierwsze miejsce w sercu króla i często mu towarzyszyła w jego podróżach i pracach. Łagodna

i dobra, ukrywała przed rodzicami objawy trwającej ją choroby, zmarła na gruźlicę jeszcze w wieku dziecięcym. Był to bolesny cios dla obojga rodziców.

Miejsce Henrietty zajęła trzecia Madame, Adelajda. Największa indywidualność spośród królewskich cór. Utalentowana, dowcipna, o męskim charakterze i kryształowym sercu. Adelajda, na prośbę króla, zamieszkała obok jego apartamentów, przebywała z nim wiele i król odwiedzał ją często. Była dla ojca bardziej tolerancyjna niż jej matka i brat. Nie znosiła jednak pani du Barry i przyczyniła się do jej wygnania, gdy tylko król zamknął oczy. Adelajda miała konkurentów, lecz król ich lekceważył i nie doszło do mariażu. Pozostałe trzy córki (Wiktoria, Zofia i Luiza Maria) wędły powoli w panieństwie i trudno dziś zrozumieć, dlaczego rodzice nie wykazali więcej starań, by im zapewnić przyszłość. Żadna z nich nie stała się też obiektem plotki dworskiej ani jakiegoś romansu. W przeciwieństwie do Adelajdy, głosnej, „pyskatej”, żyły cicho, bogobojnie, przykładnie i w rezygnacji.

Rodzina królewska była częścią Wersalu, integralną częścią dworu, dworskiego obyczaju, miała swoje miejsce wyznaczone w rytmie dnia. Rano uczestnictwo w toalecie królewskiej. Trzy razy w tygodniu obiad z rodzicami, określone dni wizyt królewskich, udział w audiencjach dla dyplomatów i innych imprezach dworskich.

Każdy dzień królewien, delfina i delfiny był zorganizowany, i miejsce każdego z członków rodziny królewskiej wyznaczone etykietą dworską. W dzieciństwie królewskie dzieci nie miały kontaktu z rówieśnikami, w późniejszych latach również, gdyż dzieliła je bariera etykiety i dworskiego rytuału. Prawdziwi książęta krwi nie prosili o ich rękę, nie ślali poselstw z odległych stolic. Ludwik XV z czasem ubolewał nad losem swych córek i chciał im jak mógł rozweselić młodość. Organizował dla nich małe karnawały, bale, podwieczorki, w których sam brał udział, zabierał na przejażdżki i polowania. Poza protokołem i wbrew regulaminowi odwiedzał je w ich pokojach, zapraszał do swych małych apartamentów na kawę, którą sam znakomicie zaparzał. Był wtedy rozmowny, bezpośredni, dobrotliwy i pobłażliwy. Księżniczki bynajmniej nie były skrzępowane obecnością swego królewskiego ojca.

Ale przewidziane protokołem dworskim życie rodzinne z czasem ograniczało się jedynie do obowiązków etykiety. A król, znudzony obiadem z milczącą przeważnie żoną, wstawał od stołu i wędrował do pokoi, gdzie weselsza czekała go kompania.

V. Kardynał

Miała Francja kilku purpuratów, którzy dzierżyli ster władzy, i kilku innych, którzy na nią czyhali. Przyjęło się bowiem w życiu politycznym, iż kardynał był bardziej stanowiskiem państwowym niż kościelnym. Wprawdzie papież mianował kardynałów, ale wybierał spośród kandydatów proponowanych mu przez władców, co gorsza, nie wszyscy mieli święcenia kapłańskie. Purpura i kapelusz kardynalski dawały szczególną pozycję w państwie i w hierarchii kościelnej. Wzorem i modelem był kardynał Richelieu, pierwszy minister i wszechwładny wielkorządca w czasach Ludwika XIII. W okresie małoletności Ludwika XIV, w latach regencji Anny Austriaczki, infantki hiszpańskiej, pierwszym ministrem został Włoch w służbie francuskiej, Juliusz Mazarini, uhonorowany tytułem kardynalskim, lecz bez święceń kapłańskich. Jego adwersarz, Paul de Gondy, koadiutor diecezji paryskiej, uzyskał wprawdzie purpurę jako kardynał Retz, ale nie osiągnął celu, tj. zajęcia miejsca swego przeciwnika. Ludwik XIV nie mianował pierwszego ministra. Dopiero w okresie regencji stanowisko to przywrócono a – jak pamiętamy – objął je Guillaume Dubois, nie mający nawet pełnych święceń kapłańskich.

Przy małoletnim królu pojawił się nowy eklesiasta, skromny, cichy i cnotliwy biskup de Fleury. Wychowawca, mentor i przyjaciel swego ucznia, Ludwika XV, stał się wkrótce pierwszą osobą w państwie, choć stanowiska pierwszego ministra nigdy nie zajął. Jaka była droga życiowa tego męża stanu? André Hercule de Fleury (1654–1743) urodził się w skromnej rodzinie ubożego poborcy dziesięcin (Langwedocja). Ojciec przeznaczył go do stanu duchownego. Kalkulacja była prosta. Kościół otwierał możliwości kariery ludziom plebejskiego pochodzenia. Edukacja nie wymagała nakładów od niezamożnych rodziców, w przyszłości zaś zapewniała nie najgorszą życiową pozycję. Wpływy jansenistyczne i wykładnia teologii w jezuickiej szkole odcisnęły się na światopoglądzie księdza de Fleury'ego i jego stosunku do spraw wyznaniowych zawsze jeszcze traktowanych we Francji emocjonalnie. Ksiądz de Fleury odznaczał się tolerancją, łagodnością i mądrością. Obce mu były sofizmaty i zawile dowodzenie zacietrzewionych teologów. Dobrze ułożony i pobożny ksiądz stał się z czasem kapelanem dworu królowej Marii Teresy, żony Ludwika XIV. W nagrodę otrzymał biskupstwo w Fréjus, diecezję najuboższą i najbardziej odległą od stolicy. Mawiał też żartobliwie, iż jest biskupem Fréjus „z niełaski Bożej”. W tej odległej, starożytnej mieścinie przebywał piętnaście lat, z pokorą i rezygnacją znosząc jednostajność codziennego życia. Ta pokora stała się przyczyną

jego wielkiego wyróżnienia i awansu. Ludwik XIV zapamiętał ci-
chego, nie wmiśzanego w żadne intrygi dworskie i powszechnie
lubianego kapelana. Nawet jezuici patrzyli nań życzliwym
okiem. Tuż przed śmiercią Ludwik XIV powołał go na precep-
tora swego prawnuka, jedyne go już męskiego potomka dyna-
stii. Objął swe obowiązki za regencji. Godził się z rządami kar-
dynała Dubois. Nie przeszkodził nominacji księcia de Bourbon
i pogodził się z obecnością pani de Prie. Zaaprobował rozwinięty
przez nich plan małżeństwa królewskiego, a gdy ono okazało się
szczęśliwe, wyszedł z ukrycia, by nie dopuścić do wzrostu wpły-
wów nad królem i królową przez koterię burbońską i stojącymi
za nią aferzystami braćmi Paris. Książę de Bourbon, pewny
swojej przewagi, przeszedł do jawnej ofensywy. Wciągnął w nią
zdezorientowaną królową. Nastąpił wówczas nagły zwrot,
określany jako rewolucja pałacowa. Szesnastoletni król zdecy-
dował się na zamach stanu. Upadek Bourbona nie był li tylko
następstwem intrygi dworskiej. Jego rządy we Francji stały się
znenawidzone. Bourbon ratował finanse, oddając je na łup bra-
ci Paris, z których jeden, Paris-Duverney, został nadintenden-
tem finansów i w dodatku sekretarzem dworu królowej. Ogrom-
ne przykręcanie śruby podatkowej, chwiejność monety, obniżanie
sztucznie jej wartości zubożyły społeczeństwo, bogaciło do-
braną kompanię. Polityka zagraniczna Bourbona spowodowa-
ła osłabienie paktu rodzinnego z Hiszpanią i jej zbliżenie
do Habsburgów. Złe plony i inne żywiołowe klęski doprowadziły
ludność do rozpacz, tu i ówdzie wybuchały groźne rozruchy.
Monarchię uratować mogła jedynie zmiana wielkorządców. Do-
konało się to w roku 1726. Po wyjeździe Bourbona i obaleniu
braci Paris, młodociany król oświadczył Radzie Najwyższej, iż
odtąd nie będzie mianował pierwszego ministra, lecz przejmuje
osobiście władzę. Szedł w ślady swego wielkiego pradziada.
Brakowało mu jednak lat i praktyki rządzenia, którą Ludwik
XIV obejmując rządy już miał. A także brakowało mu wytrwa-
łości i woli opanowania samego siebie. Uczynił krok rozsądny.
Nie mianując pierwszego ministra, powołał do Rady i uczest-
nictwa we wszystkich ministerialnych naradach swego ukocha-
nego wychowawcę, biskupa Fleury'ego. Ministrom i własnej żo-
nie przesłał pisemne polecenie, by wykonywali decyzje biskupa
tak, jakby to król je zlecił. Postarał się też u papieża o wyniesienie
go do godności kardynała. Wszyscy zrozumieli, że rozpoczynają
się faktycznie rządy kardynała w monarchii absolutnej. Nie roko-
wano im jednak długiej przyszłości. Kardynał liczył już 73 lata
i nikt nie przypuszczał, że dożyje 90 lat i do końca nie wypuści
z rąk steru państwa. Historyk Jules Michelet określił kardynała
lapidarnym powiedzeniem „przyjemne nic” (*agréable rien*). By-
ła to opinia krzywdząca.

Siedemnaście lat jego władzy były dla Francji pomyślne, także w dziejach panowania Ludwika XV to dobry okres. Nie były to jednak osobiste rządy króla, choć formalnie brał w nich udział. Dogadzało mu, iż decyzje zapadają bez niego, unikał samodzielnych rozwiązań, przyzwyczał się łatwo, że jest wyręczany w uciążliwym *métier du Roi*. Byłoby to naturalne, póki był młodziekiem i nie czuł się jeszcze na siłach dźwigać ciężaru spraw państwowych. Ale przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Kardynałowi de Fleury'emu odpowiadała sytuacja, w której król rzadko ustosunkowywał się do podejmowanych decyzji. Podsuwał mu je gotowe do podpisu. W ten sposób skromny i cichy kapelan stawał się jedyną postacią, z którą na dworze i w kraju się liczone. To on faktycznie był władcą absolutnym. Jego niebywała witalność i pracowitość oraz tryb życia, w którym nie było czasu na wypoczynek i rozrywkę, zjednały mu autorytet, uznanie i podziw. Tak długowiecznego męża stanu i jedynowładcy nie znała historia. Mówiono o nim żartobliwie, trawestując tytuł Jego Eminencja – Jego Wieczność. Na rządach starca Francja zyskała. Można by je określić jako patriarchalne i umiarkowanie ostrożne, bez awanturnictwa politycznego. W polityce zagranicznej kierował się zasadą utrzymania pokoju i unikania gwałtownych konfliktów, co dawało Francji szansę podniesienia jej prestiżu i uwolnienia się od agresji zewnętrznej. W sprawach wewnętrznych należało przede wszystkim uporządkować finanse, rozbudować centralną administrację, dźwignąć skarb państwa, łagodzić konflikty społeczne i wyznaniowe, rozwijać idee tolerancji. Zacząć należało od systemu oszczędności, rezygnacji ze zbędnych wydatków, rozbudowywania siły zbrojnej, luksusu i komfortu władzy. Sam kardynał dał tego przykład. Żył nadzwyczaj skromnie, w wyznaczonych mu pokojach. Nie posiadał osobistego majątku ani go w toku swej dworskiej kariery nie zgromadził. Był wzorem męża stanu i członka dworu, który nie dążył do własnego wzbogacenia ani zapewnienia intratnych stanowisk swej rodzinie. Nie było w tym cienia hipokryzji. Skromność i ubóstwo były faktycznie jego podstawowymi zaletami. Niemniej skromność nie wyklucza ambicji, które zaspokoił u schyłku życia. Powściągliwości i oszczędności wymagał również od innych. Królowi obcinał jego wydatki na rozrywki i nowe budowle. Maria Leszczyńska i jej kobiecy dwór również miały narzucone ograniczenia. Dla królowej było to dotkliwie, gdyż większość sum, którymi dysponowała, oddawała na cele dobroczynne. Ludwik XV nie umiał się też przeciwstawić swemu opiekunowi, gdy ten – ze względów oszczędnościowych – nakłonił króla do wysłania czwórki młodszych córek na edukację klasztorną. Zarządzenia oszczędnościowe na dworze, w administracji i wydatkach państwo-

wych dały pewien efekt. Podstawowym jednak zadaniem było zrównoważenie budżetu państwa i przywrócenie, zachwianego od czasu afery Lawa, a ostatecznie pogrzebanego przez aferzystów braci Paris, zaufania do pieniądza. Zaczęło się od czystki w aparacie finansowo-skarbowym, wygnania braci Paris i reorganizacji systemu podatkowego. Powrócono do dawnego zwyczaju wydzierżawiania podatków czterdziestu tzw. wielkim dzierżawcom (*fermiers généraux*) za określoną sumę płatną z góry do skarbu państwa. Sumę tę ustalono początkowo na 80 milionów lirów rocznie, co było już gwarancją jednego regularnego źródła przychodu. Instytucja wielkich dzierżawców przetrwała do Rewolucji Francuskiej. Wokół ich działalności utworzyła się legenda, przeważnie czarna. Rozwiewa ją znakomita źródłowa praca, poświęcona instytucjom i ludziom z nią związanym, opracowana przez współczesnego nam badacza Ives Duranda. Wielcy dzierżawcy poprzez poborców podatkowych odbierali sobie ze znaczną nadwyżką wyłożone pieniądze, poborcy zaś ściągali różnego rodzaju podatki obciążające ludność. W tym zakresie panowała zarówno duża dowolność, jak i odwieczne zwyczaje, istna mozaika odmienności. Choć podstawowy podatek *la taille* obowiązywał, z wyjątkiem stanów uprzywilejowanych, całą ludność, to jego wysokość była każdorazowo regulowana przez królewskie dekrety. Z kolei króla ograniczały przywileje, zwolnienia i obniżenie świadczeń na rzecz monarchii wydane przez jego poprzedników na tronie. I tak jedne prowincje płaciły podatek od soli (*la gabelle*), inne były od niego zwolnione. Podobnie było z innymi podatkami i opłatami, które nakładano bądź na daną prowincję lub na grupy zawodowe. Nie sposób było również odebrać stanom wyższym ich finansowych przywilejów. Spróbował tego Ludwik XIV w sytuacji, gdy wojna groziła załamaniem się państwa, wprowadzając dziesięcinę, podatek bezpośredni obowiązujący każdego Francuza. Nie dała ona oczekiwanego rezultatu, odstąpiono też rychło od tej formy podatku. Kardynałowi Fleury'emu udało się sięgnąć do kieszeni uprzywilejowanych przez wprowadzenie 5% podatku od dochodu jako daniny powszechnej. Okres ten cechuje również staranie o nieprzykręcanie śruby podatkowej, a raczej szukanie innych sposobów sanowania państwa i jego ekonomii. Ostrożne zabiegi kardynała Fleury'ego w zakresie reform finansowych Wolter skwitował złośliwą uwagą, iż metodą kardynała było „nie działać”. A jednak przeprowadzona została operacja finansowa o znaczeniu kapitalnym, która przywrócić miała zaufanie do pieniądza, ustabilizowała jego wartość i choć nie zapobiegała stopniowej wyżce cen, przyniosła pomyślne rezultaty dla gospodarki. Była to reforma walutowa. W związku z aferą Lawa pisaliśmy już o zbyt szczupłych zasobach srebrnej

i złotej monety we Francji, o tym, iż system Lawa zmierzał do zastąpienia monety kruszcowej obiegową walutą papierową, emitowaną przez bank Francji i o jego załamaniu. Bracia Paris uciekli się do innego manewru. Obniżali sztucznie lub podwyższali wartość obiegowej monety, czym zamierzali ratować deficyt państwa i wzbogacić jednocześnie finansowe kręgi Paryża, którym przewodzili. Jak to robili? System monetarny Francji aż do samej rewolucji był nader skomplikowany. Tytułarnym pieniądzem był liwr i w stosunku do liwra obliczało się ceny i transakcje. Była to jednak wartość nominalna, a w rzeczywistości takiej monety nie było. Monety były dwójakiego rodzaju: srebrne o nazwie *écu* i złote nazwane *luidor*. Relację wzajemną między *écu* i *luidorem* a *liwrem* określały zarządzenia i dekrety królewskie. Ta sama moneta mogła być więc z dnia na dzień obniżana lub podwyższana. Tworzyło to żer dla spekulantów i brak zaufania do francuskiej monety nie tylko w samej Francji, ale i w świecie.

Ludwik XV, bo do niego należała ostateczna decyzja, za radą kardynała Fleury'ego, ustabilizował wartość monety srebrnej oraz złotej i ustalił wzajemną ich relację do liwra. Specjalnym dekretem (1726) ustalone zostały te wartości jako niezienne (przynajmniej w dość odległym terminie) 24 liwrów za *luidora*, 6 za *écu*. Zwyciężyła w tym systemie ekonomiczna zasada silnego pieniądza, prowadząca wprawdzie do deflacji i tezauryzacji, ale pobudzająca do ożywienia inicjatywy gospodarczej i handlu zagranicznego. Rezultaty były pomyślne. W roku 1739 po raz pierwszy od wielu lat budżet państwa osiągnął równowagę.

Ekonomika pociąga za sobą zmiany w strukturach społecznych i wymaga również zmian w systemie obowiązujących praw. Kardynała Fleury'ego i jego wychowanka nie można zaliczyć do luminarzy Oświecenia. Epoka Woltera i Monteskiusza dopiero nadchodziła. Fleury należał jeszcze do filarów „starego ładu”. Ale i on, w imieniu swego wychowanka, rozpoczął pierwsze próby reformy państwa w duchu oświeconego absolutyzmu i zdrowego rozsądku. A jednak tego zdrowego rozsądku zabrakło jeszcze społeczeństwu, gdy przyszło borykać się z opozycją jansenistyczną, z jednej strony, a ortodoksyjnymi dewotami, z drugiej strony.

Przypomnijmy, iż jansenizm zrodził się w XVII wieku we Francji jako jeden z nurtów intelektualnych katolickiej kontrreformacji. Twórcami doktryny byli księża i zakonnicy skupieni wokół augustiańskiego klasztoru Port Royal. Byli zwolennikami doktryny św. Augustyna. W ich ujęciu człowiek jest jednostką słabą, bezsilną wobec grzechu i własnej natury. Siłę czerpać może w miłosierdziu Boga, które jest jedyną drogą do zbawie-

nia. A łaska jest sprawą Bożą, działa poza człowiekiem, bez jego woli. Człowiek jest więc niewolnikiem swego przeznaczenia. Wolna wola i dobre uczynki nie zapewnią mu zbawienia. Doktryna ta, zbliżona do kalwinizmu, miała swą bardzo interesującą wykładnię w pouczeniach etycznych, moralnych i drodze życia swych zwolenników. Zdani na wspólny, niepewny los ludzkie muszą się wzajemnie miłować i sobie współczuć. Jak każda doktryna religijno-moralna, niezgodna z ortodoksją, jansenizm z czasem obrastał w politykę. Miał wielu przeciwników w hierarchii kościelnej, wśród zwolenników kościoła gallikańskiego, a także w kręgu centralistów rzymskich. Zaczął tworzyć własną teorię społeczną. Zawziętymi przeciwnikami jansenistów byli jezuita, lansujący odmienną doktrynę opartą na zasadzie wolnej woli. Człowiek ma prawo wolnego wyboru między dobrem i złem, które decyduje o zbawieniu lub potępieniu jego duszy. Kanon moralny wychowania jezuickiego różnił się znacznie od ideałów postaw jansenistycznych. Port Royal nie tylko wypracował teorię i lansował ją w formie modlitewnika i traktatów religijnych, ale również prowadził szkołę i kształcił młodzież duchowną i świecką. Niezależnie od prześladowania hugonotów, po odwołaniu tolerancyjnego edyktu nantejskiego za Ludwika XIV, toczyła się walka z jansenizmem. Doktryna ich została przez Rzym uznana za fałszywą. Ich szkolnictwo unicestwiono, Port Royal przestał istnieć (1712). Kolejne represje uwięczyła bulla papieska potępiająca jansenizm (1713). Zapowiadała ciężkie kościelne kary dla ich zwolenników i wyznawców. Bulla nie zdążyła wejść w życie przed śmiercią Ludwika XIV, regent zaś zawiesił chwilowo jej wykonanie. Spór o zatwierdzenie jej jako aktu państwowego trwał przez kilka następujących lat. Stał się przyczyną dalszych rozłamów i walk natury politycznej. Obrońcą jansenistów był paryski parlament, w którego gronie znajdowali się ich zwolennicy i wyznawcy. Parlament bronił też swobód Kościoła francuskiego, nie godząc się na jego większą uległość wobec Rzymu. Następstwem przyjęcia bulli było bowiem usunięcie ze stanowisk biskupów jansenizujących. Sprawa zataczała coraz szersze kręgi. Stawała się niewygodna dla władcy i jego pełnomocnika kardynała, zwolennika małych, lecz skutecznych kroków i kompromisu w sprawach wiary. W żadnym wypadku jednak nie mógł doprowadzić do powstania się sytuacji z okresu frondy parlamentarnej. Ludwik XV wolał również być papieski niż jansenizujący. Wzbraniającemu się przed zarejestrowaniem bulli parlamentowi trzeba było bezpośrednio narzucić wolę królewską. Stało się to za pomocą „łoża sprawiedliwości”, w toku którego król swą władzę demonstruje i narzuca ją rozkazem. 3 kwietnia 1730 roku zarejestrowano bullę.

W chwili gdy wchodziła w życie, ostrze jej było już mocno stępione. Stawała się anachroniczna, wobec coraz wyraźniej już zarysowujących się sceptycyzmu religijnego i laicyzacji kół intelektualnych. Niemniej jansenizm zszedł do społecznych nizin. Stał się tam jakąś nową jakością, zbitką różnych poglądów i przesądów religijnych, jakimś swoistym odrodzeniem chiliastycznych postaw, zbiorowej hysterii.

Spór króla z parlamentem dopiero się zaczynał. Jego decyzje wywołały niezadowolenie i nowe spory. Rodziły się wątpliwości interpretacyjne. Warto zatem przypomnieć epizod, który rozegrał się na drodze Paryż – Wersal. 50 delegatów w prawniczych togach z upoważnienia swych kolegów wyruszyło w kilkunastu karocach do Wersalu, a raczej do Marly, gdzie chwilowo bawił król. Na próżno wędrowali od jednego do drugiego dygnitarza. Wszyscy jakby zapadli się pod ziemię. Nikogo nie zastali. Gdy wreszcie udało im się złapać jednego z ostatnich ministrów, ten przyniósł im odpowiedź od króla. Jego Królewska Mość ze zdziwieniem dowiedział się o ich przybyciu, nie ma im nic do powiedzenia i prosi, by odjechali.

Powrót niefortunnej delegacji wzbudził poruszenie. Parlament nie dał za wygraną. Wymuszono więc na pierwszym prezesie parlamentu, o nazwisku Portail, by poprosił o audiencję u króla, grożąc, że w razie odmowy parlament zawiesi swoje czynności. A więc zanosilo się na strajk paryskiego trybunału sprawiedliwości. Audiencja została udzielona. Król wysłuchał tylko pierwszych zdań dostojnika sądowego, przerwał mu. Wyraził swe niezadowolenie i obrócił się do niego plecami. Audiencja była skończona. Ale spór nie. Członkowie parlamentu domagali się ponowienia starań o audiencję i wyłuszczenie ich spraw. Kolejna audiencja odbyła się 10 czerwca 1732 roku w Wersalu. Delegaci zostali wprowadzeni do sali przyjęć, a minister Maurepas zapowiedział im, że nie wolno im zabierać głosu dopóty, dopóki król do nich nie przemówi. Król wszedł w otoczeniu kardynała Fleury'ego, kanclerza, kanclerza pieczęci i księcia Orleańskiego.

„Oto już drugi raz zmuszacie mnie, bym was przyjął i okazał moje niezadowolenie z waszego postępowania. Moje intencje wyjaśni wam mój kanclerz”. Po tych słowach króla przemówił kanclerz. Twardo i zdecydowanie. Uprzedzał, iż wszelkie próby podważania królewskiego autorytetu monarcha uzna za nieposłuszeństwo i rebelię. Podsumowując sprawę, wyjaśnił dobitnie: „Władza stanowienia praw jest tylko i wyłącznie w rękę króla. Rolą parlamentu jest jedynie czuwać nad ich wykonaniem. Ograniczać się więc ma wyłącznie do tego, co król mu powierzy w zakresie administracji i sprawiedliwości”.

Posłuszeństwo jest pierwszym obowiązkiem wykonawców prawa. Król zaś dodał z satysfakcją: „Oto moja wola. Niech mnie

Panowie nie zmuszają, bym musiał dać wam odczuć, iż jestem waszym zwierzchnikiem”. Na odpowiedź nie czekał. Konflikt nie wygasł, zwłaszcza gdy przejawy zbiorowej religijności i fanatyzmu ułatwiły parlamentowi dalsze działania przeciw ortodoksyjnej hierarchii kościelnej. Obustronne zacietrzewienie i błędy taktyczne doprowadziły do rzeczywistego strajku paryskiego parlamentu. Czynności prawne i wymiar sprawiedliwości ustały. Król zdecydował się przełamać opór, skazując członków parlamentu na wygnanie poza obręb stolicy, do dość odległych miejscowości Angoulême i Soissons. Wygnanie nie trwało długo. Obie strony były znużone przewlekłym sporem i szukały kompromisu. Koniec grudnia przyniósł uspokojenie i rzec można pojednanie. Stanowisko króla podyktowane było przez jego receptora. Na zawilościach teologii i zawartości bulli *Unigenitus* niewiele osób we Francji się znało. Awanturę można by nazwać burzą w szklance wody, gdyby nie była ona symptomem większych strukturalnych konfliktów i narastającej wyraźnej niechęci do rządów absolutnych. Kardynał Fleury lepiej niż inni zdawał sobie z tego sprawę. Jansenistów nie popierał, ale też nie chciał pełnego zwycięstwa ortodoksyjnej hierarchii. Spokój wewnątrz kraju i pokój na jego granicach wydawały mu się ważniejsze. Francję należało dźwignąć wzwyż, by uniknąć doraźnych pożarów i napięć. Rozładowywał je jak mógł, bez rozgłosu. I to była cenna strona jego polityki, choć w sprawach wyznaniowych zawiodła go ona niejednokrotnie. Porównując kardynała Feury,ego z jego wychowankiem, należy chyba dodać, iż po odejściu swego wspaniałego doradcy Ludwik XV już nie potrafił być w pełni tolerancyjny. Był bardziej skrupowany naciskami konserwatywnej arystokracji i kół katolickich. O tym, jak bardzo jeszcze wyznaniowe różnice dominowały w świadomości społecznej, świadczy również podjęta przez rząd próba uregulowania prawa małżeńskiego. Kością niezgody stały się małżeństwa protestanckie. Zgodnie z interpretacją hierarchii katolickiej małżeństwa nie zawarte w kościele były nieważne. Dzieci zrodzone z tego związku uważano za nieślubne, z wszystkimi skutkami prawnymi. Nieślubne dziecko nie miało więc prawa do sukcesji majątkowej. Przeto dalsza rodzina mogła wystąpić w charakterze sukcesorów. By krzywdę tę naprawić, należało staczać istne boje, dopóki nie znaleziono formuły kompromisowej, która – szanując autorytet religii państwowej – dała jednak szansę „nieślubnym” dzieciom. Cóż z tego, kiedy papież Benedykt XIV sprzeciwił się tej formule i sprawa upadła, wbrew staraniom Rady Królewskiej. Zatem błędem byłoby zrzucać na dwór wersalski całą odpowiedzialność za opóźnienie reform, a właściwie za ich pogrzebanie do czasu Rewolucji.

Niemniej Francja pod rządami kardynała Fleury'ego miała szansę wejść na drogę strukturalnych zmian. Stary preceptor unikał jednak reform podstawowych. W swojego wychowanka wpoił również zasady ostrożności i przestrzegania nienaruszalności królewskiej władzy w zakresie decyzji i legislacji. Lęk i niezdecydowanie, przy pozorach silnej władzy, cechują długie lata panowania Ludwika XV – bez kardynała.

VI. O polską koronę

Tytuł rozdziału zapożyczony jest od Emanuela Rostworowskiego, który tej tematyce poświęcił szczegółową, erudycyjną monografię *O polską koronę. Polityka Francji w latach 1725–1733*. Historycy francuscy natomiast jako hasło wywoławcze tego etapu polityki Francji przyjmują określenie: przyłączenie Lotaryngii. Tytuł niesie zapowiedź interpretacyjną autorów. Francuzi dostrzegają ten jeden najważniejszy, ich zdaniem, element, to jest włączenie upragnionej dla nich ziemi do terytorium francuskiego. Wszystko to, co do tego doprowadziło, schodzi w ich ujęciu na plan drugi. Stanisław Leszczyński i jego starania o koronę Polski stały się mało ważnym epizodem wielkiej sprawy. Czy rzeczywiście polityka kardynała i Ludwika XV ten jeden cel miała na myśli?

Szczegółowy wgląd we francuskie źródła dyplomatyczne i rozległą korespondencję wysłanników francuskich z Polski do samego Ludwika XV, zaangażowanego osobiście w powodzenie akcji, wskazuje, iż plany królewskie były znacznie rozleglejsze, a towarzyszyły im przede wszystkim dawne dążenia wyniesienia Francji do roli państwa pierwszoplanowego, o najwyższym autorytecie w Europie. Ten cel wymagał wskrzeszenia koncepcji „bariery wschodniej”, opartej na porozumieniu z Polską, Szwecją i Turcją w celu skutecznego szachowania zawsze jeszcze groźnych Habsburgów. Wreszcie, małżeństwo Ludwika XV z córką wygnanego króla Stanisława Leszczyńskiego stanowiło dla młodego króla pewne zobowiązanie. Nieoficjalnie ułatwił Leszczyńskiemu powrót do Polski w celu ponownego objęcia tronu. Maria Leszczyńska byłaby zatem nie tylko królową Francji, ale też córką sprzymierzonego władcy. Zarysowała się też możliwość uzyskania, godnego królowej Francji, posagu.

Czy powrót do dawnej polityki był możliwy i czy stanowił on realną szansę? Trudno odpowiedzieć. Przełom XVII i XVIII wieku przyniósł tak znaczne zmiany w układach międzynarodowych, iż hegemonia Francji w Europie wydawała się raz na zawsze przekreślona. Wojna o sukcesję hiszpańską (1701–1713) i równoległe toczona wielka wojna północna zadecydowały o nowym układzie sił europejskich. Na zachodzie zarysowała się dominacja potęgi morskiej Wielkiej Brytanii, na wschodzie rósł i wybijał okna na europejski rynek handlowy i polityczny rosyjski kolos kontynentalny, którego granice sięgały od Bałtyku po Pacyfik. W każdym poważniejszym konflikcie europejskim liczyć się należało ze stanowiskiem tych dwu potęg.

A jednak Francja Ludwika XV i kardynała Fleury'ego zdołała odbudować swój autorytet międzynarodowy i stać się arbitrem w sprawach dzielących jej bezpośrednich sąsiadów.

Z Hiszpanią Filipa V stosunki były nie najlepsze, a stały się wręcz wrogie, gdy odesłano do Madrytu infantkę, pierwszą narzeczoną młodocianego króla. Hiszpania z naturalnego sprzymierzenia przedzierzgnęła się w naturalnego wroga. W kim znalazła sojusznika? Oczywiście w cesarstwie, na czele którego stał Karol VI Habsburg. Sojusznik skierowany był zarówno przeciw Francji, jak i przeciw Anglii, do której obaj partnerzy żywili pretensje, Hiszpania o Gibraltar, Karol VI o interesy handlowe powstałej w Ostendzie Kompanii Wschodniej, zagrożonej przez angielską konkurencję. Ten dziwaczny i nietrwały sojusz hiszpańskiego Bourbona z Habsburgiem wiedeńskim wywołał natychmiastową reakcję, porozumienie Francji i Anglii, dwu przeciwników w poprzednich wojnach Ludwika XIV. Pokojowo nastawiony Robert Walpole wyciągał dłoń do kardynała Fleury'ego, rządzącego w imieniu swego władcy Ludwika XV. W dyplomacji zakotłowało się. Każda ze stron dobierała sobie nowych partnerów i sojuszników. Weterani wojenni czyszcili znów broń. Horyzont europejski zaciemnił się i zanosiło się na wojnę, której, tak naprawdę, nikt nie chciał. W Europie jednak nie było stabilizacji, zmiany sojuszy zaś świadczyły jedynie, iż pokój w Utrechcie i Rastadt nie był respektowany przez żadną ze stron. Także interesy nowych sojuszników nie były zgodne. Najwięcej pretensji zgłaszała Hiszpania, dążąca zdecydowanie do osadzenia w księstwie Parmy królewskiego syna, Don Carlosa i pozbycia się Anglików z Gibraltaru. Wprowadzenie Hiszpanii na teren Włoch, gdzie tradycyjnie już Habsburgowie utrzymywali przewagę, nie było po myśli Karola VI. Był on jednak skrępowany własną zasadniczą sprawą sukcesji. Karol VI nie doczekał się syna i wszystko wskazywało na to, iż go już mieć nie będzie. Natomiast miał dwie córki, z których starsza, Maria Teresa, stać się miała dziedziczką posiadłości habsburskich. Sprawa nie była łatwa z punktu widzenia formalnego i prawnego. Kobieta nie miała pełnych praw sukcesyjnych, w każdym razie w niektórych ziemiach, stanowiących zlepek terytorium korony habsburskiej. Trzeba więc było zabiegać o poparcie Europy, by uznane zostały prawa córki do całego, niepodzielnego dziedzictwa tronu. W tym celu cesarz wydał specjalny dokument, tzw. „sankcję pragmatyczną”, która zawierała klauzulę o prawach sukcesji tronu przez kobietę. Skierował też drogą dyplomatyczną owo pismo do wszystkich władców europejskich, by sankcję przyjęli, a zatem zobowiązali się, iż nie zakwestionują praw sukcesyjnych Marii Teresy ani terytorialnej jedności ziem habsburskich. Wiązała się z tym deli-

katna sprawa korony cesarskiej. Tej kobieta nosić nie mogła. Upatrzoneo więc z góry narzeczonego dla małej panienki, Franciszka Stefana, księcia Lotaryngii, który niemal od dziecka przebywał na dworze wiedeńskim. Widziano w nim przyszłego cesarza. Sprawa sukcesji tronu i korony cesarskiej krępowały Karola VI w podejmowaniu zdecydowanych i kategoriycznych kroków wojennych, choć opinia publiczna tego oczekiwała.

Stan napięcia, nerwowych negocjacji, zmiennych decyzji ze strony niemal wszystkich zainteresowanych, lokalne konflikty, w tym zbrojna próba oblężenia Gibraltaru przez wojska hiszpańskie, trwały całe lata. Negocjacje się rwały, ale cierpliwy kardynał Fleury wiązał te zerwane nici i nie ustawał w próbach pogodzenia stron i ustalenia rozsądnego kompromisu. To samo czynił jego partner londyński Robert Walpole. Sojusznice państwa, Francja i Anglia, do których dołączyły Prusy, znalazły się jednak w sytuacji dość kłopotliwej, gdyż ten trzeci sojusznik wycofał się ze swych zobowiązań, kiedy przyszło do ustaleń jego militarnej pomocy. Fryderyk Wilhelm cynicznie oświadczył, iż jego armia zbyt wiele go kosztowała, by miał ją wyprowadzić na ryzykowne pole bitewne.

Ostatecznie w wyniku wynegocjowanego kompromisu nastąpił nowy traktat między zwaśnionymi stronami podpisany w Wiedniu (1731). Na mocy tego traktatu Hiszpania odstąpiła od swych pretensji do Gibraltaru, a co istotniejsze, przywróciła wszystkim kupcom francuskim, angielskim i holenderskim odebrane im prawa. Don Carlos zaś otrzymał księstwo Parmy. W zamian wszystkie kraje, prócz Francji, przyjęły sankcje pragmatyczną na rzecz Marii Teresy. Dlaczego Francja odmówiła jej zatwierdzenia? Na przeszkodzie stała sprawa Lotaryngii, o którą Francja od dawna zabiegała. Księżę Franciszek, jej władca, miał zostać w przyszłości mężem Marii Teresy i cesarzem. Jakże tu zgodzić się na taki układ i formalnie niejako zrzec się pretensji do tej ziemi należącej jeszcze nadal do Rzeszy. Kwestii Lotaryngii w sukurs przyszła sprawa polska, która od lat kilku przewijała się równolegle w dyplomacji Ludwika XV.

August II zmarł nagle 31 stycznia 1733 roku w Dreźnie. Ale zdrowie jego budziło niepokój już od kilku lat i zainteresowane polską sukcesją państwa snuły już zawczasu plany co do przyszłej elekcji w Polsce. Sam August II pragnął tronu dla syna Fryderyka Augusta, którego ożenił z córką cesarza Józefa I, Marią Józefą. Zapewnione więc miał poparcie ze strony Austrii. Ale na dworze saskim istniało również stronnictwo profrancuskie, gotowe nawet poświęcić koronę polską w zamian za bliższe kontakty z Francją, za niedopuszczenie do przyjęcia sankcji pragmatycznej. Toteż od roku 1729, gdy mnożyć się poczęły

sygnały bliskiego zgonu Augusta II, każda strona chciała się przygotować na tę ewentualność. August II jednak nie zmarł tak szybko, jak tego oczekiwano, i intryga ciągnęła się przez lata w zmienionych politycznych okolicznościach. W tym czasie Francja odzyskała stanowisko arbitra Europy. Jej niezaprzeczalnym sukcesem było uratowanie pokoju i układy wiedeńskie. W sprawie elekcji polskiej kardynał Fleury i Ludwik XV zamierzali użyć wypróbowanej broni – negocjacji i naciśku dyplomatycznego, przy zastosowaniu pozorów przygotowań militarnych. W dodatku kardynał chciał, by operacja odbyła się bez większych wydatków, czego nie dało się uniknąć. Sam Stanisław Leszczyński nie omieszkiał wykorzystać każdej okazji, by utrzymać kontakt ze swymi sojusznikami w Polsce i dworami, które ongiś go popierały, przede wszystkim ze Szwecją, Turcją, a nawet zwycięską Rosją. Krążyli jego emisariusze. Koronowany zięć Leszczyńskiego zdawał się ignorować dyplomację zamku Chambord, ale jej nie przeszkadzał. Liczba zwolenników Stanisława w Polsce rosła. Manifestowali zbyt głośno swe profrancuskie sympatie, urażając tym dwór Augusta II i nie wahali się pisać wiernopoddańczych listów do Ludwika XV i kardynała Fleury'ego. O tych objawach gotowości opowiedzenia się za Stanisławem Leszczyńskim donosił do Wersalu specjalny jego wysłannik do Polski, markiz Antoine Felix de Monti. „Wprawdzie sprawy polskie wymagają wiele uwagi i względów – pisał Monti do Ludwika XV – ale Bóg raczy wiedzieć, kiedy się będzie można posłużyć stronnikami króla Stanisława” i przewidywał sukces jego elekcji (Monti do Ludwika XV, 30 IX 1730, cyt. za Rostworowskim..., s. 208). Przeciwnicy francuskiej polityki i elekcji Piasta nie zaniebdywali sprawy. Jeszcze na rok przed śmiercią Augusta II państwa ościenne, Rosja, Prusy i Austria, zobowiązały się wzajemnie do poparcia syna zmarłego Sasa i niedopuszczenia innego kandydata (tzw. traktat Loewenwolde'a, 13 IX 1732, lub dobitniej „traktat trzech czarnych orłów”). Między Polską i Francją krążyły zatem kurierzy i wysłannicy dworu wersalskiego i zamku Chambord. Na wiadomość o nagłym zgonie Augusta II Wersal natychmiast podjął działania dla poparcia kandydatury Stanisława Leszczyńskiego. Pierwsze zasiłki pieniężne skierowane zostały do Polski na ręce markiza de Monti za pośrednictwem bankierów gdańskich już w lutym 1733 roku. Złoto francuskie przekonać miało wątpiących i niezdecydowanych. Drugą decyzję, którą należało podjąć, to sposób przetrzucenia Leszczyńskiego do Polski – morzem czy lądem. Podjęta w 1696 roku niefortunna wyprawa pretendenta do tronu polskiego księcia de Conti drogą morską pozostawiła przekonanie, że niepowodzenie tkwiło w znacznym opóźnieniu podjęcia wyprawy i oddale-

niu portu od samej stolicy – Warszawy. Zdecydowano wyprawić Leszczyńskiego incognito, w przebraniu, drogą lądową przez Niemcy, a dla zamaskowania jego poczynań wysłać z Brestu do Gdańska okazałą eskadrę wojenną, która odegrałaby rolę manifestacji zbrojnej oraz czegoś w rodzaju honorowej świty kandydata. Jednemu z wyższych oficerów polecono nawet odgrywać rolę Leszczyńskiego, by zmylić czujność jego wrogów i ułatwić mu rzeczywistą przeprawę, odciągnąć uwagę od niecodziennego podróznego.

Znakomity historyk polski Józef Feldman cały ten fortel uważa za niesmaczną maskaradę, upokarzającą jedynie polskiego króla i potwierdzającą niejako osobiste przekonanie autora, iż Francja i kierownik jej polityki zagranicznej nie zamierzali naprawdę angażować się w elekcję polską. Nie podzielam tego zdania. Kardynał Fleury i cały rząd francuski zdawali sobie sprawę, że Francja siłą nie narzuci swego kandydata ani nie obroni jego słusznych praw.

Francja przeciw Austrii gotowa była wystąpić zbrojnie, Prusy były niejako jej sojusznikiem, ale z Rosją podjęcie wojny nie wydawało się realne i w żadnym wypadku skuteczne. Kardynał Fleury był konsekwentnym pacyfistą. Nie mógł i nie chciał wciągnąć Francji w wojnę europejską, postawić ją w obliczu nowej koalicji. Ludwik XV, choć szczerze pragnął korony dla swego teścia, podzielał jego poglądy i metody. Jedynie zaskoczenie i zmylenie przeciwnika mogło przynieść szansę. Jeśli naród opowie się za wybranym przez siebie królem, ościenne państwa nie zdecydują się na brutalną akcję. Tego rodzaju wybiegi, fortele, przebieranie i posługiwanie się sobowtórami należało do dyplomatycznych środków często w XVIII wieku stosowanych. Manewr się udał. Zanim poprzedzona głośnymi zapowiedziami eskadra francuska dopłynęła do Kopenhagi, wioząc na pokładzie ucharakteryzowanego odpowiednio hrabiego de Thianges, prawdziwy Leszczyński dotarł już do Warszawy. Nieoczekiwane pojawienie się Stanisława w Warszawie, na kilka zaledwie dni przed samą elekcją, zapewniło mu sukces. Zwolennicy Króla Piasta, których w toku całej kampanii stale przybywało, poczuli się pewnie. Wielu do obozu Piasta przyciągnęło złoto, którym Monti sypał hojnie. Przekupieni nie należeli jednak do nieustępliwych i nie zamierzali ginąć dla sprawy Leszczyńskiego. I tym razem złoto nie zostało przekute w żelazo, ani nawet w żelazną lojalność.

10 września, za namową markiza de Monti, Leszczyński w stroju polskim wkroczył na mszę do kościoła Świętego Krzyża, gdzie zebrały się już tłumy jego zwolenników. Owacja była ogromna, wprost oszałamiająca, nie akceptowany poprzednio „sezonowy” król, wydawał się obecnie wybrańcem Opatrzności,

wybawicielem ojczyzny – prawdziwym królem-Polakiem, Piastem. Można już było przewidzieć wynik elekcji. Na polu elekcyjnym na Woli Leszczyński nie miał przeciwników. Prymas mógł więc obwieścić 12 września, iż jego wybór został dokonany. Wieść poszła natychmiast w świat. Przeciwnicy Piasta zgromadzili się w obozie na praskim Kamionku, by opowiedzieć się po stronie Augusta.

Eskadra francuska dopłynęła do Kopenhagi 20 września, oczekiwana przez hrabiego Plélo de Brehan, ambasadora francuskiego w Danii. Poinformował on komendanta floty, hrabiego de Luzerne, o sukcesie Leszczyńskiego. Dania zgotowała serdeczne przyjęcie francuskim przybyszom. Oficerowie, w liczbie 280, zaprezentowani zostali na dworze królewskim. W kaplicy ambasadora odbyło się nabożeństwo dziękczynne, rozległo się uroczyste *Te Deum*. Zorganizowano też wielkie przyjęcia dla dyplomatów i członków rządu duńskiego. Wznoszono toasty za pomyślność Francji i nowego króla Polski. 8 października komendant floty, hrabia de Luzerne, otrzymał rozkaz powrotu wraz z flotą do kraju, misja była spełniona. Francuska flota nie wyszła z niej bez szwanku. Wichry i sztormy uszkodziły ją znacznie. W czasie gdy jedni wiwatowali i radośnie spełniali ją zdrowie najjaśniejszych monarchów, w stoczniach Kopenhagi nerwowo dokonywano remontów, by przysposobić statki do powrotnej drogi. Należało się spieszyć. Wieści z Polski nie były pomyślne. Na terytorium Rzeczypospolitej wkroczyły wojska rosyjskie pod dowództwem gen. Lacy w celu wsparcia wojsk saskich, wysłanych przez elekta mniejszości, Augusta. Leszczyński wraz z markizem Monti zbiegli do Gdańska, by w jego bezpiecznych murach doczekać francuskiej pomocy. Rozkazy z Francji wyprzedziły te wiadomości. Flota francuska była już gotowa do odplłynięcia, ale nie do działań ofensywnych. Na dobitkę na kilka mil od redy portu w Kopenhadze pojawiła się eskadra rosyjska. Jaka była reakcja dowódców? Flota, zgodnie z rozkazem, opuściła Kopenhagę, ale po zawinięciu do portu Elseneur, pod naciskiem ambasadora Plélo zdecydowano, iż trzy statki wezmą kierunek na Bałtyk, by ochraniać lub przynajmniej ułatwić odwrót Leszczyńskiemu zamkniętemu w murach Gdańska. I z tego planu zrezygnowano, a okręty te dogoniły całą flotyllę w Dunkierce.

Niepomyślny obrót sprawy zmusił Wersal do podjęcia nowych kroków i decyzji. Z Gdańska alarmował Monti o pomoc i zbrojną interwencję. Ludwik XV jednak za wszelką cenę chciał uniknąć bezpośredniej konfrontacji z Rosją. Usiłował więc poruszyć jej dawnych przeciwników, aliantów Francji – Szwecję i Turcję. Podjęto szybkie negocjacje z dworem szwedzkim, obiecując duże subsydia, gdy zdecyduje się na wojnę z Rosją. „Nie widzę

innej możliwości zapewnienia Wam realnej pomocy, jak tylko poprzez Szwecję”, odpisywał Ludwik XV ambasadorowi Monti na jego apele, a także radził, by zachęcić gdańszczan do wytrwania w wierności dla króla Leszczyńskiego. „Niech Pan ich zapewni, że nie będą pozostawieni sami sobie. Może Pan w tym celu posłużyć się moim imieniem”. Gorączkowo szukano wyjścia z sytuacji, która z każdym dniem się pogarszała. Leszczyński tracił zwolenników, armia za nim nie poszła. Czekaając na wyniki dyplomatycznych sondaży, Francja – co stwierdził w swych badaniach Edmund Cieślak – dokonała ważnego kroku, wysyłając ukradkiem i pod jakimiś pozorami do Gdańska statek wyposażony w znaczną ilość broni. Dyplomatyczne próby poniosły fiasko. Szwecja nie odważyła się wystąpić w sprawie Leszczyńskiego, zgodziła się jedynie na ochotniczy zaciąg na swej ziemi, co w efekcie dało 200 uzbrojonych ludzi. Kardynał Fleury i Ludwik XV nie zwlekali już z decyzją. Przymierze „trzech czarnych orłów” można było rozerwać, wypowiadając wojnę jednemu z nich. Wojna o sukcesję polską została wypowiedziana Austrii, a dołączyli do niej sojusznicy Francji – Sabaudia i Hiszpania. Niebawem rozpoczęły się działania nad Renem i poza Alpami. Na tym nie zakończyła się francuska batalia o polską koronę. Wersal podjął również decyzję o ponownym wysłaniu zbrojnej floty na Bałtyk, Francja nie była potęgą morską i nie była przygotowana do tak ryzykownej i długiej wyprawy. Trzeba było w szybkim tempie przygotować ludzi i okręty, zapewnić im ekwipunek i żywność, zabezpieczyć poprzez rokowania dyplomatyczne morską drogę u wybrzeży nie zawsze życzliwych sąsiadów oraz znaleźć wytrawnych żeglarzy obeznanych z warunkami Morza Bałtyckiego. Przedsięwzięcie duże, ryzykowne i kosztowne. Dwa bataliony żołnierzy, po 800 ludzi każdy, załadowano w porcie Calais 17 i 23 kwietnia 1734 roku, w kilka dni później wyprawiony został trzeci batalion. Instrukcja królewska nakazywała dowódcom podporządkować się rozkazom Leszczyńskiego i markiza de Monti. Pierwszy batalion dopłynął do Gdańska w chwili, gdy wojska rosyjskie gwałtownie szturmowały jego mury. Bez przeszkód jednak zakotwiczone w Wisłoujściu i wojsko wysadzone zostało na Westerplatte. W mieście wybuchł entuzjizm. Francuscy dowódcy oceniali jednak odmiennie sytuację i po kilku dniach odpłynęli do Kopenhagi. Zrozpaczony Monti przesłał dowódcy gwałtowne upomnienie. „Niech Pan pomyśli, iż nie na to wysłał was Król z tak daleka, by wojska francuskie stały się pośmiewiskiem Europy. Lepiej zginąć tutaj, niż narazić się na dyshonor”. Do opinii Montiego dołączył się ambasador Plélo z Kopenhagi i zdołał przekonać komendanta, by ponownie zawiązać do Gdańska. Ambasador opuścił swą ambasadę i towarzyszył wyprawie. Okaza-

ła się nieszczęśliwa, acz plan był dobrze pomyślany. Zamknięte w Gdańsku wojska miały wyjść naprzeciw lądującym i wspólnie odeprzeć ataki oblegających miasto wojsk rosyjskich. Do połączenia jednak nie doszło. Wywiązała się krwawa bitwa z Rosjanami, poległo wielu żołnierzy i oficerów wojsk francuskich, wśród nich bohaterski i wierny „kawaler” de Plélo. Na podstawie źródłowych materiałów Cieślak obliczył straty francuskie na 232 zabitych i rannych. Dodać należy do nich straty poniesione już po kapitulacji, w drodze powrotnej, która dla niektórych rozciągnęła się na długie miesiące. Wielu nie powróciło, zginęli w falach morskich jako rozbitkowie uszkodzonych statków lub w wyniku wyczerpania. Liczba ofiar co najmniej się podwoiła, większość statków nie była zdolna do użytku. Wyprawa okazała się zupełnym fiaskiem. Jednak oręż francuski i zręczność dyplomatyczna niezawodnego kardynała uratowały Francję od klęski i kompromitacji. Śmierć francuskich marynarzy i żołnierzy pod murami Gdańska na Westerplatte nie poszła na marne. Dowiodła, iż Francja ma duże możliwości, by przeprowadzać swe plany. Rosjanie nie zamierzali wdawać się w wojnę nad Renem ani w Alpach. Honorowo potraktowano francuskich interwentów w Gdańsku. Leszczyński zdołał się wywinąć z pułapki. Sporządzony przezeń opis niesamowitych przygód podczas ucieczki, świadczy o jego poczuciu humoru i zimnej krwi.

Wypadki toczyły się szybko. Nad Renem błyskotliwe zwycięstwo nad armią austriacką odniósł weteran wielu kampanii, marszałek Jacques F.J. diuk de Berwick. Na froncie włoskim podobnie fortuna sprzyjała wysłużonemu marszałkowi Claude Louis Villarsowi. Dla obu dowódców był to ich ostatni wojenny wawrzyn. Fleury nie zamierzał wojny przedłużać, podjął rokowania. Umiarkowane warunki strony francuskiej uchroniły Francję od groźby wrogiej jej koalicji. Długotrwałe rokowania doprowadziły ostatecznie do podpisania traktatu w Wiedniu 18 listopada 1738 roku. Franciszek, książę lotaryński, mąż (od roku 1736) Marii Teresy, odstąpił Lotaryngię Stanisławowi Leszczyńskiemu, który miał być dożywotnim jej władcą, po jego śmierci zaś prowincja ta miała zostać złączona z Francją. „Posag” Marii Leszczyńskiej nie ustępował temu, który koronie francuskiej wniosła ongiś Anna Bretońska, dziedziczka prowincji Bretanii. Książę Franciszek otrzymał piękne odszkodowanie, księstwo Toskanii, obiecane poprzednio hiszpańskiemu księciu Don Carlosowi. Ten z kolei stał się królem Neapolu i Sycylii, ale zrzekł się Parmy. Królestwo Sardynii powiększyło swe terytorium o skrawki Lombardii. W Polsce królem uznany został August III. Polityka francuska odniosła triumf propagandowy, a historia potwierdziła, iż odzyskanie Lotaryngii, po

wielu latach sporów i zmagania, było największym sukcesem panowania Ludwika XV. Niemniej współcześni i sam dwór tuszowali fiasko swych znacznie rozleglejszych celów, które Ludwik XV snuł od chwili małżeństwa z córką pretendenta do tronu polskiego. Sądził, że kontynuując politykę wschodnią swego wielkiego pradziada, zdoła osiągnąć sukces, który tamtemu wymknął się z ręki. I on z kolei się zawiódł. Szczęśliwiej natomiast powiodło się Francji w obronie swego drugiego naturalnego sojusznika, Turcji. Austria i Rosja – nie spodziewając się oporu ani pomocy Francji, po nauczce, którą w Polsce otrzymała – zaatakowały Turcję, w zamiarze otwarcia Cieśniny Egejskiej i Morza Czarnego. Przerażony sułtan powierzył organizację obrony francuskiemu ambasadorowi, wysłużonemu dowódcy, hrabiemu de Villeneuve. Ku zdumieniu Europy, wojska tureckie stawiły czoło armii austriackiej i w pokoju belgradzkim (1739) cesarz zwrócić musiał zdobyte przez księcia Eugeniusza Sabaudzkiego na Bałkanach okręgi wraz z miastami Belgradem i Orsową.

O kompromitacji Leszczyńskiego i stojącego za nim Ludwika XV rychło zapomniano. Leszczyński mógł prawnie używać tytułu króla, mógł oddawać się swym dwóm wielkim pasjom – budowaniu i filozofowaniu. Stworzył w Nancy godną monarchii stolicę i godną intelektualisty i mecenasa siedzibę muz i nauki. Znosił wprawdzie nadzór finansowy i administracyjny, sprawowany przez francuskiego gubernatora-intendenta, i liczyć się musiał z centralną administracją, niemniej Nancy stało się drugą po Paryżu stolicą umysłową Francji i o tym Francuzi do dziś pamiętają. Zyskał sobie też miano Dobroczyńnego Filozofa (*Le Philosophe Bienfaisant*). Karta polska nie była jeszcze przegrana, zarówno Leszczyński, jak i jego uparty zięć próbowali raz jeszcze ją odwrócić.

Na razie jednak mogła się Francja chlubić skutkami osiągniętego pokoju. Od dawna nie była tak potężna i tak szanowana. Według ocen Fryderyka II Francja była arbitrem Europy. Wolter komentował ten sukces następująco: „Żaden z sąsiadów nie miał powodów uskarżać się na nią, a wszystkie narody widziały w niej swego rozjemcę i wspólną matkę”.

Triumf i pokój nie trwały długo. Rzecznik pokoju, kardynał Fleury, w wieku lat dziewięćdziesięciu żegnał się z tym światem w styczniu 1743 r. Pozostawiał Francję wplątana w wojnę europejską, nierozsądną w założeniach i niszczyielską w skutkach. Pragnął jej uniknąć, ale nie zdołał dyplomatycznie jej zapobiec.

VII. Przełom w Metz

W latach wojny o sukcesję polską król nie był już młodziekiem kierowanym przez swego preceptora. Minął już dziesiąty rok jego pełnoletności i dziesiąty rok królowania na dworze wersalskim. Kardynał Fleury, choć wykazywał ogromną energię i niespotykaną wprost pracowitość, wyraźnie się starzał, acz starości poddać się nie chciał. Zadawano sobie pytanie, jak będzie wyglądała Francja bez kardynała, kogo król dobierze na głównego doradcę. Sam Ludwik XV, świadom również decyzji, które go czekają, w ostatnich latach życia kardynała wykazywał większe zainteresowanie sprawami państwa, a szczególnie polityką zagraniczną. Historycy nie są zgodni co do jego bezpośrednich decyzji w sprawie poparcia elekcji polskiej i wynikłej stąd wojny. Jedni widzą w polityce Francji wyłącznie rękę kardynała Fleury'ego (Feldman, Boyé), inni (E. Rostworowski i E. Cieślak) zwracają uwagę na osobisty współdziałanie króla w poleceniach wydawanych dyplomatom i dowódcom. Wszystkie dokumenty wychodziły w imieniu króla i były sygnowane jego ręką. Niektóre nawet mają charakter listów poufnych i zleceń doraźnych. Polityka Ludwika XV i jego poglądy na miejsce Francji w Europie nie odbiegały od koncepcji, jaką wpoił mu jego preceptor, koncepcji pacyfistycznej, ale przy aktywności instrumentu dyplomatycznego, różnego rodzaju naciskach w zjednywaniu sojuszników i szantażowaniu przeciwników. Chcemy bowiem podkreślić, iż Ludwik XV był świadom obowiązków królowania, które miał przejąć z rąk starca i władzę nie zamierzał się dzielić.

W zamiarach i poczynaniach króla – dojrzałego już mężczyzny – złowróżbną rolę odegrało jego dworskie otoczenie, inaczej mówiąc, sam Wersal. Ludwik XIV – „Król Słońce” stworzył wersalską siedzibę, zorganizował swój dwór, który był oprawą i odbleskiem jego majestatu, żył zgodnie z rytmem życia władcy, nadawał mu z kolei blasku, autorytetu. Król był głową i zwierzchnikiem wielkiej wersalskiej rodziny, która wokół niego się opłatała, by mu oddawać cześć i spełniać jego wolę. Ale między Ludwikiem XIV a Ludwikiem XV była regencja. Wersal przestał być siedzibą króla i dworu. Miraż absolutnego monarchy nieco przygasł. Narodziła się krytyka władzy despotycznej i dworskiego obyczaju. Powrót młodego króla do Wersalu zapowiadał nawrót do tradycji jego pradziada, ale tradycji tej nie dało się już w pełni wznowić. Styl życia dworu uległ więc zmianie, a jego rola i znaczenie ujawniały się przede wszystkim w intrygach knutych wokół monarchy i walce koterii, by nad nim wpływ rozciągnąć. Rola wielkiego patriarchy nie leżała w możliwościach Ludwika XV.

Gdy jego pradziad przeniósł swą siedzibę do zbudowanego przez siebie kompleksu pałacowego, był już człowiekiem niemłodym. Nie opuszczał jej niemal nigdy. Stał się nawet dobrowolnym więźniem własnej wielkości i majestatu.

Ludwik XV do Wersalu przybył jako królewskie pacholę i tutaj dojrzywał jako mężczyzna, ojciec rodziny, władca samodzielny. Nie zamierzał zamknąć się w splendorach Wersalu, lecz podróżował dużo i często. Lubił wypadki do Paryża i innych królewskich siedzib. Jeździł nawet incognito, by w operze, teatrze czy na ulicy nie być rozpoznany przez ciekawskich i móc znaleźć się wśród zwyczajnych ludzi. Nie dlatego, iż szukał z nimi kontaktu, ale by uniknąć wszelkich ceremonialnych przyjęć, powitań i pokłasku. Nie lubił reprezentacji, etykiecie dworskiej poddawał się z przymusem, z natury nieśmiały unikał publicznych występów – wielkich audiencji. A może, nieufny i podejrzliwy, jak sądzą niektórzy biografowie, bał się ludzi? W Wersalu obowiązywała jednak etykieta i ścisły rozkład zajęć codziennych. Król, jeśli był w Wersalu, przestrzegał tych reguł, a jeśli przemieszczał się oficjalnie z dużym dworem, dopełniał ceremonii toalety również i poza Wersalem. W starszym wieku poruszał się znacznie mniej, ograniczał wyjazdy, polował w pobliskich lasach i stawał się powoli, tak jak jego pradziad, symbolem absolutnego władcy.

Gdy szansa powrotu do Wersalu stanęła przed dawnymi dworzaczami, zjeżdżali zewsząd. Niebawem dwór znów był wielki i okazały. Pałac i jego otoczenie, okoliczne rezydencje i mieszczkańskie kamieniczki zaludniły się po brzegi. Narbonne, urzędnik dworu, zapisał, iż w Wersalu przebywało 4000 osób. Nie dla wszystkich jednak życie dworskie było równie ponętne. Paryż, właściwa stolica, tętnił wielkomięjskim życiem, a jego salony bardziej przyciągały niż nudne ceremonie dworskie. Niektórzy dworzacy pozostawiali rodziny w mieszkaniach czy pałacach paryskich, inni w ogóle dojeżdżali tylko do codziennych obowiązków przy królu lub w ministerstwach, jeszcze inni przynosili się oficjalnie do pałacu lub jego oficyn, ale traktowali to sezonowo i zagospodarowywali się jedynie prowizorycznie, a przy każdej okazji czmychali do Paryża lub własnej rezydencji wiejskiej. Przy Ludwiku XV, spędzającym czas na myśliwskiej rozrywce, i jego żonie Marii Leszczyńskiej, nabożnej i oddanej dziełu pomnażania rodziny, pobyt na dworze pozbawiony był większej atrakcji. A jednak oddalenie od dworu było równie nieostrożne. Wszak można było stracić okazję faworów, wyróżnienia, urzędu, tytułu, orderu i wielu innych korzyści, które tylko łaska królewska mogła zapewnić.

A więc, jak ongiś, oddawano się intrygom, plotkom, pomówieniom, trwała rywalizacja między Burbonami orleańskimi a ty-

mi z Chantilly, odzywały się dawne anse do potomków, nieślubnych dzieci Ludwika XIV, kojarzyły się pary, mariaże, mezalianse i romanse. Posiew libertynizmu w czasie regencji, niemal aprobowany, spotykał się z wściekłym kontratakiem partii dewotów i kleru. Te sprzeczne nieraz tendencje i interesy personalne otaczały młodego władcę. Przyjął postawę ostrożną, co ułatwiała mu jego naturalna małomówność, nie uniknął jednak fałszywych kroków i sam padł ofiarą niejednej intrygi dworskiej.

Dzień zaczynał w ogromnej sali, gdzie stało łóże Ludwika XIV. Król wyskakiwał rano z własnego łóżka i wślizgiwał się do królewskiej komnaty do łóża swego pradziada, po czym odzwierny ogłaszał początek królewskiej toalety, w którym uczestniczyło wielu dworzan i zaproszonych gości. W toku ceremonii, jak ongiś za Ludwika XIV, praktycznie każdy miał dostęp do króla, mógł złożyć mu swoje prośby, zażalenia. Toaleta trwała długo. Ludwik XV dbał bardziej niż jego poprzednik o higienę ciała i jego pielęgnację. Twarz nacierano mu wodą ze spirytusem, po czym kilkakrotnie ją zmywano. Każda czynność należała do innego dworzanina, a pełnienie jej było wyróżnieniem i zaszczytem. W ceremonii tej nastąpiła jednak pewna zmiana. Za Ludwika XIV odbywała się ona zawsze o tej samej godzinie, Ludwik XV co wieczór wyznaczał godzinę, w której należy go obudzić. Podobnie było z wieczorną, ceremonialną toaletą króla. Jego ulubione kolacyjki spożywane w apartamentach przyjaciół, krewnych, w późniejszych zaś latach w małych apartamentach czy u oficjalnych metres, przeciągały się nieraz zbyt długo i dworzanie z rezygnacją czekali na pojawienie się króla. Bywało i tak, że król poddawał się toalecie o zwykłej porze, po czym powracał do miłej kompanii. To kładzenie się pozorne do łóża wielkiego poprzednika rano i wieczorem sprowadzało cały obyczaj do próżnej fasadowości. W pamiętnikach zaufanego dworzanina i osobistego przyjaciela króla, księcia de Luynes, znajduje się szczegółowy opis porannej i wieczornej toalety królewskiej. Odbywała się ona według ułożonego regulaminu. Udział dworzan był ściśle określony. Przy różnych fazach ubioru lub rozbierania króla dostęp do niego zależny był od hierarchii zajmowanego na dworze miejsca, urzędu, pokrewieństwa z monarchą. Praktycznie przewijał się tu kolejno cały dwór, a w zasadzie każdy miał sposobność, by do króla przemówić i swą prośbę przedstawić.

Dziwić się wprost wypada, iż w wieku Oświecenia, ogólnego postępu i narastających w świecie zmian, tego rodzaju dworskie praktyki stanowiły przedmiot głównego zainteresowania tej zamkniętej społeczności, w której rywalizacje o podanie królowi koszuli czy pantofli stanowiły główny powód zmartwień czy ambicji.

A jednak świątek dworski zmieniał się również. Nowe zwyczaje i impulsy twórcze rodziły się już jednak nie w Wersalu, lecz w Paryżu. Paryscy rzemieślnicy i artyści lansowali zmiany w modzie i urządzeniu wnętrz, paryskie oficyny dostarczały książek bulwersujących serca, umysły i zmysły. Ostentacja klasycyzmu przechodziła w rokokową dezynwolturę, gestu, słowa, igraszki, zmysłowości. W małych apartamentach króla, wyposażonych według jego gustu i smaku, zapanował nowy styl w estetyce życia codziennego i w używaniu życia.

Czym zatem były te *levées* okresu Ludwika XV? Wydaje się, że ich znaczenie leżało w kolportażu nowości. Można by je nazwać dworskim spotkaniem, nieoficjalną rewią mody i gustów, miały one też po części charakter dzisiejszej konferencji prasowej króla. Każde słowo, które padło z jego ust, wychwytywane przez uszy dworaków, znajdowało echo na dworze, w Paryżu, a nawet w całej Francji. Owe publiczne audyencje odbywane w koszuli czy bez peruki miały coś z rodzinnej atmosfery, coś nieoficjalnego, czego nie należy kwitować uśmiechem lekceważenia. Tego rodzaju zwyczaje obowiązywały na wszystkich dworach europejskich, a nawet na dworach wielmoży, ale tylko w Wersalu wypracowano tak ścisły i teatralny wprost ich przebieg.

W toku porannej toalety, około godziny dziewiątej, król na oczach dworzan spożywał pierwsze śniadanie. Ludwik XV cieszył się wielkim apetytem, pił filiżankę mocnego bulionu lub gęstej czekolady, pogryzał pieczywem. Nie brakło też różnorodnych owoców i łakoci. Po zakończeniu długotrwałej ceremonii toaletowej odmawiał pacierz. Przestrzegał tego zwyczaju przez całe życie, gdyż był w głębi serca pobożny, wierzący i bogobożny. Wychowany przez kapelanów w atmosferze kontrreformacji, drżał przed piekłem i karą Bożą, i choć w zachowaniu przejawiał nieraz zupełnie libertyńskie tendencje, korzył się i łzy wylewał nad własną słabością. Następnie przechodził do sali Rady, gdzie przewodniczył lub uczestniczył w codziennym omawianiu spraw państwowych. Nie był nimi tak pochłonięty jak jego wielki pradziad. Nie można mu jednak zarzucić, by od nich stronił lub je zaniedbywał. Brakowało mu wytrwałości i decyzji, które lubił składać w ręce swych doradców.

Od śmierci kardynała Fleury'ego w roku 1743 nikt już przy królu takiej pozycji nie osiągnął, prócz markizy de Pompadour. Nie brakło jednak pretendentów do tytułu pierwszego ministra. Wśród ekipy sekretarzy stanu, zwanych też ministrami, znajdowali się wybitni politycy, ludzie oddani królowi i Francji, zajmujący przez wiele lat swe stanowiska, a oddaleni przeważnie niełaską królewską, wywołaną intrygami i pomówieniami. W tej hierarchii najwyższe miejsce zajmowali kanclerz i mini-

ster spraw zagranicznych, marszałek dworu (*Maison du Roi*), policji i minister marynarki.

Ludwik XV, przewodnicząc Radzie Stanu, zaskakiwał małomównością. Wolał milczeć, gdy nie miał gotowej odpowiedzi, osobiście z urzędu udzielał audiencji akredytowanym na stałe przy dworze ambasadorom państw obcych. Będziemy mieli możliwość w innym miejscu przytoczyć opis ceremonialnej audiencji polskiego posła nadzwyczajnego, Feliksa Łoyko, na dworze wersalskim. Ambasadorowie skarżyli się niejednokrotnie na długie wyczekiwanie ich akredytacji.

Król równie lakoniczny był w czasie audiencji publicznej, która odbywała się każdego dnia po posiedzeniu Rady. Stał przed balustradą wielkiej audiencjonalnej sali, a zainteresowani ustawieni byli w dużej od niego odległości. Bliskie podejście do króla groziło przykrymi konsekwencjami. Odpowiadał krótko. Czasem wręcz odwracał się od petenta. Program poranny kończyła codzienna msza św. celebrowana w kaplicy pałacowej w obecności króla, po czym spożywał obiad. Do stołu zasiadał sam, czasem z rodziną. Natomiast posiłek wieczorny nie miał już tego protokolarnego charakteru. Ludwik XV kolacje spożywał w niewielkiej sali jadalnej, w tzw. małych apartamentach królewskich, w towarzystwie zaproszonych gości. Stało się prawdziwym snobizmem i marzeniem, by znaleźć się wśród nich. Grono jednak było ograniczone, a gdy nadeszły czasy markizy de Pompadour, to praktycznie ona decydowała o składzie zaproszonych. Wieczory w miłej kompanii przedłużały się, niecierpliwi dworzanie i kapelan próżno oczekiwali na ceremoniał wieczornej toalety królewskiej, podsypiali w kątach wielkiej sypialni. Bez względu na spóźnioną porę, trybem zwyczajnym, król poddawał się wieczornej toalecie, kładł się do łóżka swego pradziada, a gdy tylko sala opustoszała, udawał się do własnej, prywatnej sypialni lub wracał do miłej kompanii. Czasem nawet pozwalał sobie wyjechać z pałacu incognito i powrócić dopiero nad ranem. W ten sposób król próbował łączyć tradycję i zwyczaje wersalskie z własnymi upodobaniami, nie tylko władcy, ale i człowieka. Jego pradziad Ludwik XIV miał silną osobowość i mistrzowsko grał rolę króla, a Ludwik XV poplątał te dwie role. Jako król był za mało królewski, jako człowiek za mało ludzki. Wersalskie otoczenie wypaczało króla, deprawowało człowieka.

Jak już wiemy, na pożyciu małżeńskim królewskiej pary zarysowały się poważne rysy. Powoli odchodzili od siebie. Oboje się zmienili. Maria Leszczyńska stawała się matroną oddaną modlitwie i dobroczynności, swemu kobiecemu dworowi i własnym zainteresowaniom artystycznym. Z czasem zaczęła jednak unikać pożycia z mężem, zmęczona tyloma ciężami i porodami.

Król przeciwnie, nadal był w pełni sił męskich, a przede wszystkim wiedział, że się podoba i że budzi zainteresowanie.

Pierwsze jego pozamałżeńskie przygody były zaaranżowane i wydają się potwierdzać, że to nie król, lecz znakomita większość wersalskiego dworu, nie wyłączając może nawet nabożnego kardynała, dążyła do powrotu czasów, gdy w Wersalu dominowała markiza de Maintenon François d'Aubigné, a przed nią kolejne metresy.

Ukrywany i dość ostrożny romansik, który król za pośrednictwem hrabiny Tuluzy nawiązał z jej krewną panią de Mailly, z domu de Nesle, został ujawniony prowokacyjnie przez jednego z dworzan i król zdecydował się publicznie ogłosić, iż pani de Mailly została oficjalną jego metresą. Najtrudniej zdecydować się na pierwszy krok.

Początkowo królowa jedynie sercem i kobiecą intuicją odczuwała zmiany w swym mężu. Nie знаła całej prawdy. Pani de Mailly była damą jej dworu, wierną, codzienną towarzyszką, a na dworze obowiązywała lojalność i wierność. Dla królowej była to zdrada podwójna. Cios zadany z dwu stron. Od tej chwili (1738) zaczął się faktycznie jej wdowieński żywot. Co więcej, utarł się zwyczaj, że oficjalne metresy z „urzędu” wchodziły w skład dworu królowej.

Pani de Mailly nie grzeszyła urodą. Twarz zbyt pociągła, czoło wysokie, wargi grube, ruchy bez wdzięku. Choć nieśmiała i mało zaborcza, zakochała się w pięknym królu, liczącym wówczas lat dwadzieścia osiem. Ulokowana została blisko królewskich apartamentów, jednak nie na długo, jej własna siostra bowiem, pani de Ventimille, bez skrupułów, pozyskała miłość i względy króla. Była znacznie brzydsza od swej rywalki. Budziła wręcz lęk nadmiernym wzrostem, rubasznym nieco zachowaniem, twardym spojrzeniem, ale oczy jej błyszcząły inteligencją i energią, której królowi i jego żonie brakowało. Ujęła króla właśnie swym żywiołowym zachowaniem, swobodnym sposobem bycia, wielką otwartością. Pokochała go szczerze, gorąco, z oddaniem. Mimo to dochodziło między nią a królem do częstych starć i wymówek.

Urodziła królowi syna (1741), ale w wyniku porodu niebawem zmarła. Ludwik XV przeżył gorzko tę śmierć, dręczyły go ciężkie wyrzuty sumienia, że stał się jej przyczyną. Dzieckiem zajął się troskliwie. Podobieństwo malca do ojca było tak uderzające, że nazwano go na dworze pół-Ludwikiem (*demi Louis*); w przyszłości otrzymał tytuł markiza Du Luc. Rodzina de Nesle rościła sobie widocznie prawa niezbywalne do miłości królewskiej. Oto w szranki o serce pogrążonego w smutku kochanka stanęły następne siostry. Na powrót do łask liczyła pani de Mailly, rywalką jej stała się przystojniejsza od niej i bardziej przedsiębiorcza

pani Maria de Tournelle, przez króla utytułowana jako księżna de Chateauroux. Odniosła zwycięstwo. Miała, jak się wydaje, dobry wpływ na króla, a zapewne też żywiła własne ambicje, by odegrać rolę heroiny przy królu-wodzu.

Wbrew złoshiwym kupletom, pani de Chateauroux nie była złym duchem króla. Niemniej od śmierci kardynała zmieniły się dworskie obyczaje. Królewska kochanka stawała się istotnie pierwszą osobą na dworze. Oszczędnościowy reżim kardynała przestał obowiązywać. Mogła więc więcej wymagać niż jej siostry w tej samej sytuacji i oczywiście więcej niż sama królowa. Toteż zadreżczała króla swymi żądaniami. Chciała nawet wpoić mu ambitne zamiary i wyrwać ze stanów melancholii, w które łatwo popadał. Znana jest jej odpowiedź na westchnienie udręczonego króla: „O, Madame, Pani mnie zabija”, „Tym lepiej Sire, trzeba, aby król zmartwychwstał!” – brzmiała odpowiedź. Było to już w toku austriackiej wojny sukcesyjnej. Kardynał Fleury nie żył, gdy wojna niebezpiecznie zbliżyła się do francuskich granic. Ale o polityce mówić będziemy w innym miejscu. Niemniej miłość i polityka spotkały się w obozie w Metz, dokąd król podążył, by osobiście zaakcentować swoją gotowość walki i dowodzenia. Dlaczego jednak wyrzec się miał na ten czas kochanki? Partia dewotów i zwolenników królowej ze zgrozą patrzyła na ten nowy romans królewski. Wzięto na języki wszystkie trzy siostry de Nesle. Kapelani królewscy już od dłuższego czasu odmawiali królowi rozgrzeszenia. Cały dwór zauważył, że w okresie Wielkanocy nie przystąpił do Stołu Pańskiego i ceremonia uzdrawiania chorych na skrofuley została odwołana. Król nie był w stanie łaski uświęcającej! Powiało grozą i zgorzeniem.

3 maja 1744 roku król z 24 gwardzistami wyruszył z Wersalu. Królowa i delfin pozostali w pałacu. Na drodze przejazdu spotykał się z wielkim entuzjazmem. Cała Francja witała swego króla-wodza i on sam czuł, że dokona rzeczy wielkich. Istotnie, wojska francuskie zajęły Menin (Meenen) i Ypres. Ale triumfowano przedwcześnie, gdyż Austriacy zaatakowali Alzację. Król zdecydował się wyjść im naprzeciw z osiemnastotysięczną armią w kierunku Metz, gdzie ustanowił kwaterę główną. Niebawem cała Francja wiedziała, że w królewskim obozie jest pani de Chateauroux, którą – usłużny jak zawsze w dostarczaniu królowi rozrywek książe de Richelieu – przywiózł wraz z innymi damami. Kwatera królewska w siedzibie prezydenta miasta została dyskretnie złączona specjalnie zbudowaną galerijką z opactwem, w którym zamieszkała pani de Chateauroux. Niebezpieczeństwo wojenne zostało zażegnane, dzięki interwencji sojusznicznych Prus i Austriacy wycofali się z Alzacji. Ale Francję obiegła niebawem złowróżbna wiadomość, że król w Metz

ciężko zaniemógł. Objawy gorączki wystąpiły 7 sierpnia i z każdym dniem stan króla się pogarszał. Prawdziwy jednak cios zadali jego organizmowi medycy, stosując na zmianę puszczenie krwi i środki przeczyszczające. 11 sierpnia stan króla wydawał się beznadziejny. Przerażeni lekarze i służba potracili głowy. Na scenę wkroczyli dewoci i królewscy kapelani. Pani de Chateauroux i Richelieu znaleźli się w sytuacji oskarżonych, winnych królewskiego grzechu, za który karała go Opatrzność. W całej Francji obudziły się te same nastroje: współczucia dla ginącego monarchy i nienawiści do jego kusicieli. Jedyiny ratunek dla króla to oddalenie kochanki i szczera spowiedź. Ludwik XV, który rzeczywiście stał u progu śmierci i już czuł jej dotyk, pod presją spowiedników zdecydował się, dla ratowania swej duszy i przyszłego odkupienia, odesłać kochankę i publicznie wyznać swą skruchę. Biskup Soisson udał się do pani de Chateauroux i w imieniu króla zażądał jej natychmiastowego wyjazdu, a nawet użyczył jej swej karety. Galeryjka łącząca rezydencję królewską z klasztorem, gdzie mieszkały damy, została zburzona. Król przyjął Sakrament Ołtarza. Miał przy tym wymamrotać następujące wyznanie: „Do dnia dzisiejszego byłem niegodny królowania. Ileż przyjdzie spłacić rachunków władcy, który stanie przed Bogiem. O, jak przerażająca jest ta przeprawa”. Dusza była uratowana, lecz życie wciąż zagrożone. Zarówno w Metz, jak i w Wersalu, i Paryżu snuto więc plany sukcesyjne. Mówiono o regencji. Królowa, powiadomiona o wszystkim, wraz z delfinem pośpieszyła do Metz, łamiąc poprzednie rozporządzenie króla, by pozostawała w Wersalu. O dziwo, wszyscy dworacy, nawet ci, którzy sprzyjali królewskim zdraodom małżeńskim, licząc się obecnie z możliwością jej regencji okazywali królowej wielki szacunek i usłużność we wszystkim. Nie rozproszyło to jej obaw, a przeciwnie – pogłębiło. Drżała o życie Ludwika. Gdy dojechała do Metz, kryzys minął, król był uratowany i z każdym dniem wracał do sił. Przepraszał ją z całego serca, przeżywał jeszcze wstyd i strach, który napędziła mu choroba. Także w jego psychice pozostał głęboki ślad – lęk przed piekłem i spowiednikami oraz świadomość upokorzenia, którego nie mógł im darować. Stał się jeszcze bardziej zamknięty, nierówny, często owładnięty melancholią. Wbrew mniemaniom, jego stosunki z żoną nie poprawiły się. Nie chciał, by mu towarzyszyła w dalszej podróży po Alzacji. Książę Richelieu był nadal przy nim i głosił, że jezuita i ich poplecznicy wykorzystywali słabość króla. Powodzenie wojenne było zmienne. Król odniósł jednak pewne sukcesy, z jego nadejściem kapitulował Fribourg (1 listopada). Po czym „ukochany” Ludwik wracał do Paryża. Na całej trasie podróży przyjmowany był owacyjnie. Witano go jako cudownie uzdrowionego i zwycięzcę. Ale gdy zna-

laź się w domu, znów poczuł melancholię i pustkę. Zateśknił do swej wybranki, którą odsunął w chwili krytycznej. I ona przeszła przez pasmo upokorzeń i zagrożeń. Trzeba było użyć eskorty wojskowej, by ochronić jej powrót do Paryża, obrzucono ją obelgami, towarzyszyły jej wrzaski i złorzeczenia. Zaszła się w odosobnieniu. Mimo to, na pierwszy królewski zew, nie wahała się do niego powrócić, a król postanowił otrząsnąć się z narzuconego mu przez spowiedników reżimu.

Jednak kochanków dosięgła, jak powszechnie interpretowano, ponownie „kara Boża”. Pani de Chateauroux przeziębła się, co przerodziło się w gwałtowne zapalenie płuc. Wzbudziła podziw księdza, którego osądowi powierzyła swą duszę i sumienie. Z rezygnacją i skrucą oczekiwała końca, zmarła po kilku dniach.

Śmierć jej przygnębiła króla, który czynił sobie wyrzuty, że był tego przyczyną. Znów poczuł się opuszczony i samotny. Dewoci i kapelani królewscy liczyli jeszcze na szanse powrotu króla do własnej żony. Nie było to już możliwe i sama królowa tego nie chciała. Ludwik, za radą księcia de Richelieu, podjął starania o względy kolejnej z sióstr de Nesle. Ale ta odmówiła, przedkładając nad fawory królewskie szacunek otoczenia. Nadchodziła godzina pani de Pompadour.

VIII. Znana i nieznana pani de Pompadour

Wielka miłość rodzi się zazwyczaj z przypadku i przeważnie od pierwszego wejrzenia. Wielka miłość jest trwała, a gdy nawet przemija, nigdy naprawdę nie gaśnie. Wielkiej miłości towarzyszy wzajemne przywiązanie, przyjaźń i pełne zaufanie. Gdy król zmieniał kochanki, Wersal się poruszał, niepokoił. Koterie zastawiały sidła, by pozyskać wybranekę jego serca. Miłośkom króla towarzyszyła atmosfera zawiści, zazdrości, pomówienia i zgorszenia. Po serii miłosnych przygód z siostrami de Nesle i przykrych ich konsekwencjach, które bulwersowały cały dwór, nadszedł czas wielkiej miłości. Jej początek był poniekąd sprawą przypadku, lecz nie przypadkiem król zdecydował się oddać swe serce wybrance spoza grona wersalskich piękności.

Miłość – a potem szczerze przywiązanie Ludwika XV do markizy de Pompadour – trwała od pierwszego ich spotkania w roku 1745 do ostatniego dnia jej życia (1764). Zdziwiająca kariera i dwudziestoletnie jej nad królem panowanie budziły zdumienie współczesnych, wywołując różnorodne komentarze, komentarze, oceny i sądy wypowiedziane w korespondencji prywatnej bądź w pamiętnikarskich zwierzeniach publikowanych przeważnie dopiero po latach. Na tym materiale źródłowym opierali się historycy, wystawiając markizie na ogół niepochlebne świadectwo. Rosła czarna legenda, urokliwej, lecz przewrotnej markizy, przeciwniczki dewotów i zakonu jezuitów. Ujemny sąd uległ z czasem zmianie. Zbliżyliśmy się dziś niemal do pełnej rehabilitacji kobiety, która z niskiego stanu, przeniesiona do apartamentów wersalskich, stała się wyrocznią mody i gustu, mecenasem sztuki i dobrego smaku, protektorem artystów, filozofów, encyklopedystów, muzą poetów, żywym wcieleniem stylu rokoka w życiu i sztuce nazwanym od jej nazwiska stylem Pompadour. Stała się wyrocznią w wielu kwestiach, nie tylko artystycznych. „Niekoronowana królowa” Francji ucieleśniła zalety i wady swej epoki i swoistego feminizmu, który w wieku Oświecenia ujawnił się w całej Europie. Jej zwycięstwo w Wersalu, nie tylko nad zakochanym Ludwikiem, ale nad całym snobistycznym światkiem diuków, parów, książąt, księżnych i Mesdames, było bezprecedensowe. Nawet królowa Maria dostrzegła w niej niepospolite zalety.

Rola markizy de Pompadour przy królu nabrała z czasem cech instytucjonalnych, była nie mniejsza niż niejednego ministra. Wszak niedawno ministrom i królowi dyktował swą wolę do stojny starzec w purpurze kardynalskiej. Czyżby, jak twierdzą niektórzy, zajęła jego miejsce? Wraz z upływem lat markiza zyskiwała sobie szacunek i uznanie otoczenia. Nie brakło w nim

wprawdzie pochlebców i fałszywych przyjaciół, którzy po jej śmierci zapomnieli o jej życzliwości, ale niewątpliwie uznanie to sobie wypracowała. Rosła też zawzięta niechęć jej przeciwników, z jakże odmiennych powodów i jakże zróżnicowany był ten obóz. Być może przyznać należy nieco słuszności historykowi, który początków rewolucji francuskiej i zaangażowaniu się w niej ulicy paryskiej dopatruje się w swobodzie obyczajów (Guy Breton, *Histoire d'Amour de l'Histoire de France*, t. V, Paris 1955). Wersal i monarchia w oczach przeciętnego Francuza stały się siedzibą płochości, małżeńskiej zdrady, wybujałego erotyzmu, hedonistycznych zachcianek zaspokajanych dużym kosztem z funduszy płynących z trudu i pracy poddanych. Swoistym potępieniem tego stylu życia była w latach Rewolucji szczególnie gwałtowna akcja niszczenia pałaców króla, powstałych w okresie jego związków z panią de Pompadour, a potem z panią du Barry. Nie rabowano, a wręcz niszczone, unicestwiano te niezaprzeczalnie architektoniczne cacka, wraz z ich niepowtarzalnym wyposażeniem i dziełami najwyższej rangi artystów, wykonujących zamówienia utytułowanych mieszczanek.

O pani de Pompadour i jej stosunkach z królewskim kochankiem pisano we Francji wiele, lecz niewiele z tych publikacji uznać można za wartościowe, do których zaliczyć należy monografię wybitnego historyka czasów Ludwika XV, Pierre'a de Nolhac, *Louis XV et Madame de Pompadour* (Paryż 1928) i *Madame de Pompadour et la politique* (Paryż 1930).

Minęło już ponad ćwierć wieku od ukazania się polskiego przekładu książki Jacquesa Levrone, *Nieznana Pani de Pompadour* (Warszawa 1961), w której utworował drogę pozytywnej opinii o pięknej i dla Francji zasłużonej damie. Dzięki niej pani de Pompadour nie jest już osobą nieznaną polskiemu czytelnikowi. Jej nazwisko było i jest hasłem wywoławczym Francji połowy osiemnastego stulecia, budzi więcej skojarzeń i wytworów wyobraźni niż sam władca absolutny Ludwik XV, który ją do tych wyżyn wyniósł. Nie wszystko jednak wydaje się wyjaśnione. Wokół uroczek markizy unosi się nadal mgła tajemniczości i woalka pozy, pod którą ukrywała swe własne, nie zawsze udane i nie zawsze szczęśliwe życie.

Największym skandalem w pojęciu dworaków wersalskich było nieszlacheckie pochodzenie wybranki. Urodziła się (1721) w małomieszkańskiej rodzinie Poisson, co znaczy dosłownie – ryba, i już samo nazwisko dało okazję do złośliwych przycinków i kalamburów. Ojciec pracował przy zaopatrywaniu Paryża, armii itp., dopóki oskarżony o malwersacje nie musiał zbiec za granicę. Pozostawiona z dwojgiem maleńkich dzieci matka borykała się z trudnościami. Dzięki swej niezwykłej urodzie zna-

laźła możnych opiekunów, którzy umożliwili jej utrzymanie pozycji towarzyskiej i materialnej. Joanna Antonina, późniejsza markiza, zwana w domu *Reinette* (królowna), oddana została do sióstr urszulanek w Poissy i przebywała tam kilka lat pod ich dobrą opieką, zyskując sympatię pocziwych zakonnic. Zachowała dla nich głęboką wdzięczność. W chwilach swego życiowego powodzenia nie zapomniała o klasztorze, który zastąpił jej dom rodzinny, i wspierała go hojnymi datkami. Uroda i umysł małej Reinette rozwijały się harmonijnie. Dziewczynka wyróżniała się też pięknym głosem i wrażliwością artystyczną. Uczyła się śpiewu, gry na instrumentach, malarstwa, rytownictwa. Robiła wszystko z zapałem, promieniując pogodą i radością. Zdrowie jej jednak budziło stałe obawy. Częste przeziębienia i gorączki były zapewne zwiastunem choroby płucnej, która zgasiła ją w czterdziestym trzecim roku życia.

Po powrocie do Paryża panna Poisson zyskuje wstęp do głośnych salonów pani Geoffrin czy pani de Tencin. Poznaje tam młodych, a już sławnych ludzi pióra: Marivaux, Woltera, Duclosa, Monteskiusza czy szacownego uczonego Fontenellego.

Joanna Antonina Poisson w wieku dziewiętnastu lat zostaje wydana za zamożnego szlachcica, Karola Wilhelma Le Normant d'Etioles. Ostatni człon nazwiska określał nazwę jego wiejskiej posiadłości. Panna Poisson zmieniła się w panią d'Etioles, zamożną ziemiankę i to nazwisko nosić będzie do czasu otrzymania markizatu. Młoda dziewczyna z łatwością poddała się woli matki, zakochała się nawet w przeznaczonym jej mężu. Szczęśliwe były początki ich pożycia, opromienione nadzieją potomstwa. Po pierwszej nieudanej ciąży, ku radości rodziców przyszła na świat ukochana ich córeczka Aleksandryna. Młodej, zachwycająco pięknej mężatce, utkwily jednak w pamięci słowa wróżki, do której zaprowadziła ją ongiś przesądna matka. Wróżka miała powiedzieć: „To dziecko będzie kiedyś oblubienicą króla”. Toteż Joanna, zapewniając męża o swoich uczuciach, miała oświadczyć żartobliwie: „Nie opuszczę cię nigdy, dla nikogo, wyjąwszy oczywiście króla”. Posiadłość d'Etioles sąsiadowała niemal z Wersalem. Jej nowa właścicielka, objeżdżająca w zgrabnym powoziku włosci swego męża, musiała zwrócić uwagę okolicznych mieszkańców. Wieść o jej niezwykłej urodzie mogła dojść i do króla. Pani d'Etioles nie zadowolila się życiem wiejskiej szlachcianki. Urządziła ze smakiem swą rezydencję wiejską, stworzyła tu coś w rodzaju salonu. Przybywali z Paryża zwabieni urokiem gospodyni i dobrą kuchnią dawni jej przyjaciele, zjawiali się literaci i artyści, szybko rozchodziła się wieść o pięknej pani opodal Wersalu.

Nie wiemy, kto wyreżyserował pierwsze spotkanie Ludwika XV z uroczą sąsiadką. To, co nastąpiło w Wersalu, zapewne nie by-

ło kwestią przypadku, lecz dobrze przygotowaną intrygą. Nie wiemy też, czy król w tej intrydze od początku brał udział, czy była to sprawa samych dworaków i zainteresowanej tym spotkaniem damy. Chwila była wybrana dobrze. Popolnicy goście pojawić się mogli w Wersalu jedynie w wyjątkowych okazjach. Stało się nią małżeństwo królewskiego syna Ludwika, szesnastoletniego delfina, z infantką hiszpańską i wydany z tej okazji bal maskowy. Od czasów Ludwika XIV zmieniły się dworskie obyczaje. Zaproszenie nie obowiązywało. Jedynym warunkiem wstępu do Wielkiej Galerii, gdzie 25 lutego 1745 roku odbyć się miał bal weselny był kostium i maska. Służba wpuszczała każdego, kto ukrył swą twarz pod maską. Ileż możliwości do intrygi, a także dla różnego rodzaju szarlatanów lub nawet zwykłych łotrzyków, grasujących wśród wielkiej cizby, która wtargnęła do Wersalu. Widowisko było okazałe. Park i pałac gorzały od lampionów. Raz po raz podjeżdżały pojazdy ciągnące niekończącym się sznurem od samego Paryża. Kostiumy były pomysłowe, ukryte pod maską twarze budziły nadzieje, skojarzenia, domysły. Nie mniejszą uwagę skupiał bufet obficie zapatrzonej w potrawy rybne, gdyż bal odbywał się w dzień postny. Widziano, jak kryjąc oblicze pod maską, goście wpychali co się dało do obszernych kieszeni swych okryć. W mig opróżniono zastawione stoły. Oczekiwanie na rodzinę królewską przeciągało się. Wielkie wrażenie zrobiło wkroczenie królowej w otoczeniu młodej pary. Czarna suknia królowej usiana była perłami, we włosach błyszcząły dwa największe brylanty francuskiej korony. Delfin występował w stroju wiejskiego ogrodnika, jego młodzianka żona jako sprzedawczyni kwiatów. Czekano nadal na pojawienie się króla, a tymczasem pannę młodą wiodł w tan zamaskowany wytworny młodzieniec. Gubiono się w domysłach, kim może być ten nieznamy. Zagadka wyjaśniła się nazajutrz. Był to kucharz jednego z dworskich dygnitarzy. Różne zatem niespodzianki kryły się pod tajemniczymi maskami. Po północy w Galerii pojawiło się siedmiu identycznie przebranych mężczyzn. Domyślano się, że wśród nich jest król. Oryginalny ich strój imitował drzewo cisowe. Korona z liści zasłaniała całkowicie głowę. Ruszyły do ataku oczekujące na tę chwilę damy. Każda z nich pragnęła zdemaskować króla. On zaś skierował swe kroki do pięknej Diany, która przykuwała oczy i budziła zaciekawienie. Pod maską bogini kryła się pani d'Etioles. Król nie czekał, by poznać tajemniczą postać i zerwał jej maskę, uchylając także swej. Odtąd nie odstąpił jej do końca weselnego balu. W tydzień potem w ratuszu paryskim miasto czciło wielkim balem zaślubiny delfina. I znów pani d'Etioles uzyskała bilet wstępu, a król znów znalazł się przy niej i razem opuścili uroczystość. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i oświadczyła obojgiem całkowicie. Ludwik XV liczył 34 lata, pani d'Etioles 23.

Wieść o romansie rozeszła się szybko. Dewoci zadrżeli. Życzliwym okiem witali nowy królewski romans bywalcy salonów paryskich. Wolter układał panegiryki i schlebiał młodej damie. Mąż jej był na razie daleko. Pani d'Etioles postanowiła być uczciwa. Zażądała od niego separacji, wyjawiając jej przyczyny. Niebawem zamieszkała w Wersalu i umiejętnie chłoneła jego atmosferę i poznawała rygory dworu.

Oficjalna intronizacja królewskiej metresy wiązała się z nadaniem jej tytułu odpowiedniego do dworskiej rangi. Odnaleziono nie obsadzony markizat, który wbrew zwyczajom przypadł, z woli króla, tej mieszczańskiej córce. Stała się markizą de Pompadour i odtąd tylko tego nazwiska będzie używać. Czekala ją więc uroczystość prezentacji w tym charakterze rodzinie królewskiej i całemu dworowi. Świeżo upieczona markiza przeżywała ogromną treść, gdy świetnie wystrojona, przemierzała wersalskie galerie i giąć się musiała w głębokim dygu przed królową, delfinem, Mesdamami, księżętami i księżnymi krwi. Po tym trudnym egzaminie wiadomo było powszechnie, że jest nie tylko członkiem dworu, ale jego faktyczną władczynią. Współcześni, a za nimi historycy, zwracają przede wszystkim uwagę na polityczną rolę, jaką pani de Pompadour spełniała przy królu. Należy to przekonanie skorygować. W pierwszych latach swego pobytu na dworze, polityka nie interesowała markizy. Owładnęła nie królem, ale mężczyzną. Chciała go mieć dla siebie i uczynić możliwie szczęśliwym. Z wielkim smakiem urządziła swój apartament, stwarzając w nim atmosferę intymności, wyrafinowanego piękna, królującej w nim kobiecości. Jakież kontrast z komnatami królowej nie odnawianymi od lat!

Jej trzypokojowy apartamencik, położony nad małymi apartamentami króla, wyłączony był od wymagań dworskiej etykiety, której Ludwik XV poddawał się tak niechętnie. Wewnętrzne kręte schodki wiodły wprost z małych apartamentów króla do apartamentów boginki. U niej mógł być sobą, czuć się swobodnie. Ona zaś umiała mu wieczory miłą rozrywką, domową kolacją, koncertem, wreszcie spektaklem teatralnym. Związała go z Wersalem. Ustały ciągle wyjazdy w poszukiwaniu rozrywki, odmiany. Miał ją teraz na miejscu i dwór również ożywił się w promieniach królewskiej miłości, która jakże króla odmieniła. Stał się weselszy, łagodniejszy, opanowany, bardziej też zainteresowany swymi obowiązkami królewskiego stanu.

Dobroczyne skutki tego udanego związku nie uszły uwagi otoczenia. Nawet królowa tolerowała tę faworytę, oświadczając, że jeśli już ktoś musi nią być, lepiej by to była ona.

Pani de Pompadour była mistrzynią w organizowaniu królewskiej rozrywki, wypoczynku. Rozpraszała jego stałe skłonności do pewnej melancholii, apatii, obojętności i zniechęcenia.

Z drugiej strony, dążyła do utrwalenia swej pozycji na dworze. Nie zamierzała być jego przelotną gwiazdą i zgasnąć tak, jak gasły kolejno siostry de Nesle. Postanowiła nie dać się zepchnąć nikomu w królewskim sercu, pełnić wzorowo wyznaczone jej na dworze obowiązki, stać się niezbędną, dać przy tym upust zamięłowaniam artystycznym i podobne zainteresowania obudzić w królu. Wniosła do staroświecczynny Wersalu podmuchy nowości, którymi żyły salony, kawiarnie i teatry paryskie. Osiągnęła sukces. Król, którego główną i jedyną rozrywką było dotychczas polowanie, z czasem stawał się koneserem sztuki, stylu, gustu, amatorem komfortu i dobrej konwersacji, a nade wszystko polubił teatr.

W małych apartamentach, a potem w głównej klatce schodowej (Schody Ambasadorów), wzniesiono scenkę pomysłu faworyty. Ona też obmyślała każdy spektakl, była jego reżyserem i wykonawcą głównej roli kobiecej. W repertuarze pojawiał się oczywiście Moliere, ale triumfowały sztuki nowoczesne Woltera, Crébillona i Marivaux. Byli to autorzy znani ze swych swobodniejszych poglądów i krytycznego stosunku do Kościoła. Wrogowie nowej faworyty wynajdywali więc preteksty, aby utracić jej teatralne pomysły. Minister dworu, księżę de Richelieu, zamknął kasę na wydatki związane z teatrem. Pani de Pompadour przeniosła wówczas swą scenę do uroczego pałacyku Bellevue. Z czasem najwyższym snobizmem dworskich arystokratów było otrzymać zaproszenie na spektakl przez nią organizowany. Za nie mniejszy zaszczyt poczytywano sobie udział w wieczornej kolacji w małych apartamentach króla lub bezpośrednio u pani de Pompadour. Panowała tam pełna swobody rozmowa, a król, publicznie milczący i osowiały, okazywał się świetnym gospodarzem i gawędziarzem.

Po Paryżu i po Francji rozpuszczano wieści o wielkich wydatkach, na jakie faworyta sobie pozwalała. Wszak trwała jeszcze wojna. Przebieg jej nie był dla Francji pomyślny. Oręż francuski z trudem borykał się z koalicją wrogów. Niepowodzenia w tej wojnie i jej zadziwiający finał, bez aneksji i bez chwały, przypisywano już wtedy wpływom pani de Pompadour na Ludwika XV i jego decyzje wojenne. Jacques Levron, a przed nim jeszcze Pierre de Nolhac i Pierre Gaxotte, słusznie prostuje te narosłe uprzedzenia. W pierwszych latach romansu istotną sprawą dla zakochanej faworyty było zawładnąć sercem króla i utrzymać się w Wersalu, w gnieździe intryg, pomówień i rywalek. Koterie i intrygi – doprowadzające do niełaski, a nawet wygnania, były codzienną praktyką dworskiego życia okresu królewskiego absolutyzmu. Tam, gdzie nie dochodzi głoś publicznej opinii, gdy się jej nie kształtuje, gdy się jej nie wyrabia, tam decydują gry koterii dworskiej. Odchodzili

w niepamięć i pod byle pretekstem popadali w niełaskę ministrowie i urzędnicy dworu. Ludwik XV wprowadził jednak szczegółowy sposób okazywania niełaski. W dniu, gdy miała ona spaść na upatrzoną osobę, wyjątkowo życzliwie z nią rozmawiał, zapraszał na jakąś dworską uroczystość, a list zwalnający z funkcji, wyznaczający odsuniętemu termin opuszczenia Wersalu, był już przez niego podpisany. Zapewne za namową pani de Pompadour doszło do kilku zmian personalnych. Broniała swego stanu posiadania, pozbyć się chciała tych, którzy jej szczególnie dokuczali. Umiała jednak zawierać kompromisy, sojusze i tworzyć własną grupę na dworze.

Markiza de Pompadour zyskała sobie, jeśli nie sympatię to w każdym razie wyrozumiałość ze strony Marii Leszczyńskiej. Odnosiła się do niej zawsze z najwyższą czcią, a niewątpliwie pod jej wpływem, król okazywał teraz więcej względów i kurtuazji swej żonie niż w czasach romansów z paniami de Nesle, które przyniosły jej tak wiele gorzkiego upokorzenia. Markiza nie opuszczała okazji, by królowej się przypodobać, pomóc w jej kłopotach, namówić króla na prezent dla żony. Gdy dwór królewski przenosił się do pałacu w Compiègne czy do Fontainebleau na sezon polowań, królowa godziła się na wyjazd wspólny i wszelkie wymagania etykiety dworskiej były przestrzegane. Pozostały jednak królewskie pałacyki i prywatne rezydencje markizy, dokąd dwór nie jeździł, a tylko grono wybranych osób towarzyszących królowi i markizie.

Pani de Pompadour zakupiła kilka niewielkich pałacyków, które przebudowywała i urządzała na nowo, zatrudniała renomowanych artystów, skupywała rzeczy piękne i cenne, dobierając je ze smakiem i gustem. Każda z tych rezydencji stanowiła małe arcydzieło, rozkoszne zacisze kameralnych wieczorów spędzanych tu intymnie w ucieczce przed nudą Wersalu.

Spośród uroczych samotni, które zapewniały intymność i azyl kochankom, wyróżniał się smakiem i artystycznym gustem, dziś już nie istniejący, królewski pałacyk Bellevue. Wszystko w nim podporządkowane było miłości i wyrafinowanemu urokowi życia. Dobra grupa artystów, wśród nich sama markiza, opracowała we wszystkich szczegółach koncepcję tej rezydencji, w jej urokliwym naturalnym otoczeniu. Stąd nazwa Bellevue (Piękny widok).

Budowanie i ozdabianie było pasją markizy. Wydawała na to ostatnie grosze, a w sumie miliony. Nie tylko ze skarbu państwa, nie tylko z królewskiego daru, ale też z dochodów własnych. Pasji tworzenia i budowania nie należy potępiać, jak to czynili dawni historycy, bolejący nad wojennymi stratami Francji, czy inni, którzy woleliby widzieć Francję bardziej uprzemysłowioną. Nie sztuka wojenna, ale sztuki piękne dają

świadcstwo epoce, a pod tym względem Francja nadal Europie przodowała. Pomijając koszty budowlanych przedsięwzięć, przybudówek i remontów, aż trudno uwierzyć, że w ciągu dwudziestu lat wersalskiego królowania pani de Pompadour zdołała tyle inicjatyw podjąć i, co dziwniejsze, doprowadzić je do końca.

Prócz wiejskich siedzib markiza de Pompadour posiadała pałac w samym Wersalu. Na terenie dawnej wieży wodnej zbudowano z polecenia króla, ale pod jej artystycznym kierunkiem, pałacyk zwany od miejsca lokalizacji, Palais des Reservoirs. W Paryżu zaś zakupiła dom leżący u wjazdu na Pola Elizejskie. Przebudowała go i urządziła z przepychem, zapisując go w testamencie Ludwikowi XV. Stał się więc własnością Francji. Dziś pod nazwą Pałacu Elizejskiego stanowi siedzibę prezydentów francuskich. Niemal naprzeciw znajduje się „Hotel de Marigny”, arcydzieło architektoniczne, zbudowane według planów markizy dla jej brata noszącego, z łaski Ludwika XV, nazwisko i tytuł hrabiego de Marigny. Dla pani de Pompadour pieniądze były środkiem, a nie celem. Wydawała ponad miarę swych dochodów i przyznanej jej przez króla wysokiej pensji. Gdy była w tarapatkach siadała do gry, by chwilowym uśmiechem fortuny uzupełnić luki budżetowe. Nie cofała się też przed zastawieniem, a nawet sprzedażą ulubionych klejnotów. Po śmierci w jej kasce znalazło się gotówką tylko 37 luidorów. Na swój sposób była dobroczynna. Po części z próżności, a po części z dobrego serca utrzymywała rzeszę sług w Wersalu i w swoich wiejskich dworach i pałacach. Wyplącała pensje i rozdawała zasiłki. Nie szczędziła jałmużny, wsparcia zakonnym zgromadzeniom i pobożnym fundacjom. Suto płaciła za klasztorną edukację jedynej swej córeczki, z którą rozstać się musiała, podejmując swe dworskie obowiązki w Wersalu.

Z biegiem lat ambicje jej rosły. Chciała Francji pozostawić podarek godny jej wywyższenia. Brała przykład ze słynnej pani de Maintenon, która pozostała legendą Wersalu jako „niekoronowana królowa Francji” ostatnich lat panowania Ludwika XIV. Ukochanym dziełem pani de Maintenon była pensja żeńska w Saint Cyr. Pani de Pompadour postanowiła założyć w Paryżu szkołę rycerską, pepinię przyszłych oficerów i dowódców, których brak Francja w ostatnich wojnach odczuła dotkliwie. Ileż trudu, energii i wysiłku włożyła w to zamierzenie. Ileż poniosła kosztów i starań, by osiągnąć poparcie i pomoc króla i jego otoczenia. Dopięła swego. W lipcu 1756 roku pierwsi elewowie zakładu przekroczyli jego mury. Pierwotna siedziba tej królewskiej szkoły wojennej mieściła się w dzielnicy Grenelle.

Drugim trwałym dziełem markizy była manufaktura porcelany w Sevres. Pomysł nie był nowy, acz wyrób porcelany w Europie był jeszcze bardzo mało rozpowszechniony. Początek jej dała

manufaktura elektora saskiego (króla polskiego Augusta II) w Miśni. Nieco później powstała pierwsza we Francji manufaktura porcelany w Vincennes pod Paryżem. Nie zdołała jednak skutecznie sprostać cieszącej się dużym powodzeniem porcelanie importowanej z Saksonii. Zaniedbana, ledwo wegetowała. Pani de Pompadour uzyskała zgodę króla na przeniesienie tego przedsiębiorstwa do Sevres, tuż obok jej posiadłości, ulokowana w nim kapitałów, wybudowania odpowiednich pomieszczeń. Była to manufaktura królewska i od 1759 roku rozpoczęła produkcję. Początkowo król i markiza byli głównymi zlecniodawcami. Ich śladem poszli inni. Rozwojowi porcelanowej zastawy sprzyjała wojna. Szlachetne kruszce potrzebne były mennicy. Król ofiarował swą srebrną zastawę na cele skarbu. Jej miejsce na stole królewskim zajęło nakrycie porcelanowe. Uznano je za estetyczne, modne, choć niemniej niż srebro kosztowne. Porcelana zapanowała również w zamożnych domach mieszczańskich. Pani de Pompadour dbała nie tylko o przysporzenie klientów królewskiemu przedsiębiorstwu. Własną ręką kreśliła wzory zdobnicze i skłaniała najlepszych artystów do ich opracowania.

Rozrywki dworskie, teatry, budowanie i ozdabianie, fundacja szkoły wojskowej w Paryżu i manufaktury w Sevres – to główne, acz nie jedyne, kierunki intensywnej działalności królewskiej faworyty. W listach do przyjaciół skarżyła się nawet na przeciążone dni, na obowiązki, które jej przypadły, jako reżyserowi, scenografowi i aktorce teatru dworskiego, jako damie dworu, gospodyni we własnym apartamencie i w małych apartamentach króla, w ciągłych wędrowniach do pobliskich rezydencji. Nieraz trzeba było kilkakrotnie w ciągu dnia zmieniać toalety, a wiadomo czego ówczesna moda kobieca wymagała. Wystarczy spojrzeć na jeden z portretów markizy. Ileż tam dorobczków przy każdej sukni, nie mówiąc już o drutach i gorsetach, które się pod nią ukrywały. Po uciążliwych zabiegach toaletowych należało prowadzić błyskotliwą konwersację, pełnić obowiązki pani domu, być czujną i zawsze uważną na zmienność królewskiego nastroju. Markiza wiele godzin spędzała przy swym sekretarzyku i gęsim piórem kaligrafowała długie i niemal literackie listy do swych przyjaciół. Nie mniej czasu zabierały jej odpowiedzi do tych wszystkich natrętów i pochlebców, którzy za jej pośrednictwem zabiegali o łaski królewskie, szukali u niej protekcji. Mniemali, iż markiza jest wszechpotężna i jedyna droga do króla wiedzie przez jej buduar.

Istotnie, wpływ na króla był rzeczywiście znaczny, ale korzystała z niego ostrożnie, z rozwagą i nigdy wbrew oczywistym interesom państwa.

Polotem umysłu górowała nad Ludwikiem XV, aczkolwiek wszystkie świadectwa ludzi, którzy z nim stykali się poza sferą działań urzędowych, wyrażają podziw dla jego dowcipu, celnej riposty, szybkiej orientacji i umiejętności wyławiania sedna sprawy. W stosunkach urzędowych był natomiast chłodny, kostyczny, niemal gburowaty. Spryt i wdzięk osobisty ułatwiały pani de Pompadour działanie. Wbrew silnej opozycji na dworze ze strony niektórych ministrów zazdrosnych o jej wpływy i nie mniej wrogiej grupy „dewotów”, potrafiła zjednać króla dla dzieła *Encyklopedii*, której stał się subskrybentem, uratować je w krytycznej chwili. Była rzecznikiem pojednania religijnych odłamów, obrońcą prześladowanych jansenistów, których sam król wziął w opiekę przeciw dekretem kościelnym.

Rola polityczna markizy de Pompadour zaczyna się dopiero po latach, gdy romans wygaś, a król szukał już nowych podniet i miłosnych przygód. Pani de Pompadour nie stawiała przeszkód tym królewskim kaprysom. Po części nawet była im rada. Natura nie obdarzyła jej ognistym temperamentem, przeciwnie, pożycia seksualne stały się przyczyną wielu udręk i utraty zdrowia. Przez pięć co najmniej lat panowała niepodzielnie nad królem, w latach następnych pozostawała wiernym, bliskim przyjacielem monarchy i o tę pozycję walczyła jak lwica z koteriami dworu i intrygami swych rywali. Tolerowała królewskie zdrady, a nawet jego niesmaczne przygody w Parku Jeleni, tak długo, dopóki na horyzoncie nie pojawiła się potencjalna kandydatka na oficjalną metresę. Zawsze umiała ją utracić. Zręczność jej postępowania, pobłażliwość dla królewskich przygód erotycznych, przy niezmiennym oddaniu dla króla – władcy Francji – przywiązały go do niej szczerze. Jej pozycja nie zachwiała się, lecz ugruntowała. Była królowi potrzebna. Mógł jej powierzać sprawy własne i sprawy państwa, które przytłaczały go nieznośnym ciężarem. A jednak i ona nie miała dostępu do najtajniejszej królewskiej dyplomacji, określanej kryptonimem „Sekret króla”. Natomiast markiza była oficjalnie dopuszczana do udziału w zebraniach Rady Stanu, gdzie zasiadała w obecności ministrów i nie krępowała się zabierać głosu.

Wpływ markizy de Pompadour zaznaczył się najbardziej w personalnych decyzjach, łaskach, niełaskach, awansach, odznaczeniach czeredy dworaków, urzędników, oficerów i zagrożonych. Mniemano, że od niej wszystko zależy. To mylna opinia. I łatwo ją w oparciu o archiwalia sprostować. Pozbywała się wprawdzie z czasem ministrów, którzy kopali pod nią dołki. Woląła jednak wchodzić z nimi w kompromisy, by Francja nie straciła uzdolnionych mężów stanu.

W otoczeniu Ludwika XV wybitnych indywidualności było nie-

wielu. Niełaska ministra marynarki, Jean Frédéric Maurepas'a, nie była – jak sądzono wówczas – następstwem jego podjazdowej wojny przeciw królewskiej faworycie, ale wynikiem kłeski, jaką marynarka francuska poniosła w starciach z flotą angielską w toku wojny sukcesyjnej austriackiej oraz długotrwałego konfliktu tego zasłużonego skądinąd ministra z jego kolegą, ministrem dworu – księciem de Richelieu. Ten ostatni również nie należał do przyjaciół pani de Pompadour, przeciwnie, robił co mógł, by ją utracić, gdyż związany z klanem de Nesle'ów był orędownikiem kolejnych siostr do królewskich faworów. Markiza znosiła jego afronty i dokuczliwości przez wiele jeszcze lat. Niełaska królewska spadła na niego, gdy w toku wojny siedmioletniej, jako naczelny dowódca armii Renu, zaniedbał wyraźnie swoje obowiązki. Podobnie minister wojny i policji, Marc René hrabia d'Argenson, należał do wrogów pani de Pompadour wraz z całym klanem d'Argenson, od pokoleń związanym z monarchią. D'Argenson pozostawał w stałych kontaktach z Marią Leszczyńską i jej otoczeniem. Był częstym gościem w apartamentach królowej, obawiał się, że obecność faworyty uszczupli jego wpływ na króla. Niełaska, którą odczuje w przyszłości, niewiele ma wspólnego z jego antypatią do pani de Pompadour, ale ze zmianą kierunku polityki i układu sojuszów, które poprzedziły wojnę siedmioletnią. Panowało jednak powszechne mniemanie, że król zmienia ministrów z kaprysu pani de Pompadour. Jej rekomendacji natomiast zawdzięczał swe stanowisko Etienne François de Stainville, obdarzony tytułem księcia de Choiseul, największy w tym okresie mąż stanu, który reprezentował kurs pojednania i współpracy z Austrią.

Ludwik XV od dawna do tego sojuszu zmierzał. Pojednanie z Austrią przyszło za późno. Partner był słaby, wyczerpany poprzednią wojną. W arkanach ówczesnej polityki nie orientowali się bowiem nawet ci, którzy je zarzucali. Był to okres, gdy Europa od polityki dynastycznej i rywalizacji sąsiedzkich przechodziła do polityki światowej, globalnej. Dawne sojusze, anse i konflikty ustąpić musiały nowym perspektywom, które z okien gabinetów i królewskich rezydencji nie były jeszcze dostrzegalne.

Pani de Pompadour wykazywała dużą, raczej intuicyjną, nie mniej trafną orientację w polityce międzynarodowej. Jej przyjaźń z Choiseulem, ministrem spraw zagranicznych, cytowana jest jako przykład jej władzy nad nim. Nic podobnego. Markiza snuje swe myśli, wyraża swe opinie, przepuszczenia, bynajmniej niczego nie narzuca, niczym nie kieruje, raczej zbiera informacje, chce być poinformowana, znać prawdę i zakola polityki. Nie po to, by nią kierować, lecz by sobie wyrobić pogląd, przekazać zasłyszane informacje królowi, czuć. Jej wpływ na

sprawy państwa jest raczej pozorny. Będąc bez reszty oddana królowi, którego nigdy nie przestała kochać, pragnie jego powodzenia i triumfu Francji. O tym, by pobudzona chętną ambicją działać mogła na polecenie dworu wiedeńskiego – jak to insynuował Fryderyk II, który również obawiał się jej wpływów – nie może być mowy. Cesarzowa Maria Teresa nigdy do niej listu nie napisała, a prezent, który jej posłała z okazji pojednania obu dworów, nie wychodził poza kurtuazyjne zwyczaje. Dochowane listy pani de Pompadour są arcydziełem sztuki epistolograficznej, pisarskiego temperamentu, świadectwem jej rozległych horyzontów. Do jej korespondentów należał wielki Wolter, który cenił jej umysł i niezależność myślenia. Osobistym jej lekarzem był wybitny pisarz i filozof Oświecenia, twórca fizjokratyzmu, François Quesnay.

Zbałamuciona opinia publiczna rządowi kochanki i jej rozrzutności przypisywała klęski oręża francuskiego i niepowodzenia królewskiej dyplomacji. W nią najostrzej godziła satyra i kąśliwe paszkwile, zwane od jej panińskiego nazwiska „poissonnami”. Podobno w tych paszkwilach celował minister królewski Jean F. Maurepas.

Piękna, urocza, beztrudnie uśmiechnięta dama, jaką przedstawiają liczne jej portrety wykonane przez czołowych malarzy Francji, w istocie ciężko płaciła za swą na dworze pozycję i zaszczyty. Była bowiem również damą dworu królowej, a z czasem uzyskała nawet przywilej „taboretu”, to jest prawo przysiadania na stołku w obecności królowej. Było to dużym wyróżnieniem, gdyż w obecności królowej jedynie król i delfin zasiadać mogli w fotelu.

Goryczy i upokorzeń los jej jednak nie oszczędził. Najcięższym ciosem, jaki znieść jej przyszło, była nieoczekiwana śmierć ukochanego dziecka, którego bezradne zakonnice uratować nie potrafiły. Mała Aleksandrynka dostała prawdopodobnie zapalenia wyrostka robaczkowego i zmarła w konwulsjach. Miała lat trzynaście.

Przy intensywnym i niezdrowym trybie życia pani de Pompadour, choroba płuc, która od dzieciństwa jej zagrażała, robiła widoczne postępy. Zauważono, że cera jej nabiera niebezpiecznie ziemistego koloru, pojawiają się obrzęki pod oczami – figura przybiera zaokrąglone kształty. Mleko oślicy, które jako kurację zalecał jej Quesnay, nie rekompensowało nieprzespanych nocy, zmęczenia i nerwowego napięcia, w którym żyła od lat. Wypadki wojny siedmioletniej i towarzyszące jej negocjacje i rachuby polityczne pochłaniały bez reszty jej uwagę. Drżała stale o króla, od czasu zamachu na jego życie dokonanego przez szaleńca Damiensa (o czym będzie mowa). Odporność pani de Pompadour wyraźnie malała. Słabły również jej fizyczne siły.

Uzyskała zgodę na przeniesienie się z wysokiego piętra pałacu w Wersalu do apartamentów na parterze. Zaoszczędziło to jej stałego wspinania się po krętych schodach w ciężkich nieraz szatach rozpiętych na drucianych stelażach.

Nie został zrealizowany pomysł zbudowania w parku wersalskim zacisznego pawilonu, w którym mogłaby odpoczywać i leczyć nadwerżone płuca. Pałacyk ten, zwany Małym Trianon, ofiarował król ostatniej faworycie, pani du Barry. Po śmierci Ludwika XV zawładnęła nim Maria Antonina.

Gwałtowne ataki choroby, kaszel i krwotoki, które pani de Pompadour ukrywała przed otoczeniem, wyczerpywały ją ostatecznie.

Koniec zbliżał się nieuchronnie. Powiadomiony o chorobie eks-mąż odmówił przybycia. Zmarła w Wersalu, pogodzona z Bogiem, 15 kwietnia 1764 roku. Tej samej nocy owinięte w przecieradło zwłoki wyniesione zostały ukradkiem z pałacu. Regulamin nie pozwalał umierać w pomieszczeniach pałacowych nikomu, poza rodziną królewską. Po uroczystych egzekwiach w miejscowej parafii Notre Dame zwłoki odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku do kościoła Kapucynów w Paryżu. Pięćdziesięciu zakonników oczekiwało na zwłoki markizy, która jeszcze za życia cały ten pogrzebowy ceremoniał obmyśliła. Z okien wersalskiego pałacu Ludwik XV śledził żałobny odjazd wiernej towarzyszki i – jak zanotował świadek sceny – dwie łzy stoczyły się po jego policzkach.

Również i królowa Maria Leszczyńska okazała swą wielkoduszność i prawość charakteru. Zamówiła mszę św. za spokój duszy zmarłej. Zapytana przez jedną z dam dworu, dlaczego to czyni, odpowiedziała: „To przecież naturalne, moja miła, pani de Pompadour była damą dworu i nigdy nie mogłam się na nią skarżyć. Reszta mnie nie obchodzi, to sprawa między Bogiem a królem”.

Wraz ze śmiercią pani de Pompadour intrygi dworskie nie ustały. Z niepokojem oczekiwano, kto zajmie miejsce u boku pięćdziesięcioczworoletniego króla.

IX. „A jak poszedł król na wojnę”

Pacyfistyczna polityka kardynała Fleury'ego załamała się jeszcze za jego życia, a w konsekwencji przyniosła Francji wielkie straty. Francja była wielką potęgą kontynentalną, która w okresie panowania Ludwika XIV osiągnęła bezwzględną hegemonię w Europie. Ale – jak już pisaliśmy – na przełomie wieków nastąpiły istotne, wielkie przegrupowania w polityce i świecie. Morskie państwa Europy rywalizowały już nie o sąsiednie ziemie i wzajemne granice, ale o szlaki oceaniczne, handel i zamorskie tereny. Do państw morskich należała i Francja, której położenie między Morzem Śródziemnym i Atlantykiem oraz przecinające cały kraj bogate arterie wodne predestynowały ją do udziału w tej konkurencji o rynki świata. W polityce Ludwika XIV i jego poprzedników dominowała niemal całkowicie koncepcja rywalizacji z Habsburgami, których posiadłości szczelnie otaczały Francję. Wydarcie Habsburgom hiszpańskim i wiedeńskim frankońskich ziem i bogatych Niderlandów było głównym celem jego wieloletnich starań i zbrojnych interwencji. Walka o tron hiszpański w ostatnich latach panowania tego króla była końcowym akordem jego wysiłków. I ten cel osiągnął, ale kosztem tak wielkim, iż w rzeczywistości była to przegrana.

Pokój w Utrechcie i w Rastadt zapewnił przewagę Wielkiej Brytanii. Przemieszanie, jakie się w tym kraju dokonało po „wspaniałej rewolucji 1688”, nie od razu były prawidłowo ocenione w Europie. Nie rozumieli ich przede wszystkim politycy francuscy, popierając stale, wytrwale i w kosztowny dla skarbu państwa sposób, usuniętych z tronu angielskiego Stuartów – Jakuba II, a potem jego syna i wnuka. Zdobywając przewagę, jako państwo morskie, Wielka Brytania pod kierunkiem partii wigów strzegła swych handlowych priorytetów, które sobie zapewniła przez liczne akty nawigacyjne oraz w pokoju utrechckim. Miała przecież zagwarantowane bazy na Morzu Śródziemnym (Gibraltar, Minorka), wjazd do rzeki Świętego Wawrzyńca (Nowa Funlandia i półwysep Akadia), angielska zaś Kompania Wschodnioindyjska skutecznie wypierała francuską rywalkę. Walka konkurencyjna oparta była na teorii merkantylizmu realizowanego również za pomocą przymusu, gwałtu, konfiskaty lub nawet zatapiania statków przeciwnika. Panem na morzu był silniejszy. Przewagę zapewniała flota, nie tylko kupiecka, ale przede wszystkim wojenna. Konwoje płynęły pod osłoną okrętów wojennych. Siła floty zależała od wyposażenia okrętów w armaty i zasięgu ich og-

nia. Handel musiał mieć osłonę, a osłona zbrojna miała usuwać wszelkie przeszkody mu stawiane.

W pierwszych latach rządów Ludwika XV, a raczej regenta, a po nim kardynała Fleury'ego, Francja, choć niezdolna do podejmowania większej inicjatywy politycznej i jakiegokolwiek ryzyka, umiała wyjść z ciężkiego impasu politycznego, w którym się znalazła w chwili śmierci pokonanego mocarza Wersalu. Największymi sukcesami jej dyplomacji było przyłączenie Lotaryngii, układ wiedeński (1739) i ostateczny pakt rodzinny z Burbonami hiszpańskimi. Sytuacja zdecydowanie się odwróciła. To Wielka Brytania z kolei znalazła się w orbicie państw burbońskich. Ameryka Łacińska była w ich rękach. Kolonialna potęga Hiszpanii graniczyła już bezpośrednio z angielskimi koloniami Ameryki Północnej. Francja nie tylko posiadała Kanałę, o którą zresztą nikt tak bardzo nie zamierzał wojować, ale też opanowała dorzecze rzek Ohio i Missisipi, siedząc niejako na zapleczu brytyjskich osadników, którzy – wciśnięci w wąskim pasie między górami Allegheny i Oceanem Atlantyckim – nie mieli już praktycznie dalszej szansy ekspansji. Francuzi panowali w Północnej Ameryce od Montrealu i Québecu, poprzez Wielkie Jeziora aż do Zatoki Meksykańskiej, gdzie założyli port (1718) o dumnej nazwie Nowy Orlean (na cześć ówczesnego regenta). Zanosilo się na wielkie imperium kolonialne Francji w Północnej Ameryce. A jednak za panowania Ludwika XV imperium to rozpadło się doszczętnie, a jego śladem jest jedynie frankofońska prowincja Québec, której mieszkańcy, pomimo ponad 200 lat łączności z Wielką Brytanią, zachowali swój ojczysty język.

Jak do tego doszło? Do dziś Francuzi odczuwają pewien kompleks tej przegranej. Była ona, jak się wydaje, nieunikniona. Zaczniemy więc od stylu prowadzonej przez nich kolonizacji na tak wielkim obszarze i w tak odmiennych warunkach geograficznych i klimatycznych. O systematycznym osadnictwie trudno tu mówić, choć oczywiście osiedlali się tu nie tylko wygnańcy i zesłańcy. Nowy Świat kuśił i wabił – przyciągał, swobodą życia, szansą fortuny. Znakomita jednak większość Francuzów, nawet uciskani przez seniorów i fiskusa chłopci, nie miała ochoty opuszczać Francji, której od niepamiętnych czasów towarzyszyło określenie „la douce France”.

Ludność francuską w Kanadzie, a potem w tzw. Luizjanie, tworzyli przede wszystkim żołnierze wysłani tu jako gwaranci posiadania francuskiego. Okopywali się w fortach, nad którymi powiewała francuska flaga. Za nimi szli nabożni i pokorni misjonarze, uważając za swą powinność zjednać dzikich Indian dla prawdziwego Boga i uczynić z nich wiernych poddanych wielkiego króla. Towarzyszyli wyprawom traperzy, kupcy

i myśliwi, przeważnie tylko sezonowo, gdy można było kupić skórki zwierzęce o zimowym futrze i inne skarby nieprzebranych puszczy i jezior. Na wybrzeżach osiedlali się rybacy, dostawcy ryb suszonych i solonych. Pojawiali się też poławiacze wielorybów, na które popyt wynikał nie z ich walorów jadalnych, lecz przemysłowych. Ich wartość stanowił tłuszcz – tran, potrzebny do smarowania osi w pojazdach, i ości służące do różnych akcesoriów toalety damskiej, jako tzw. fiszbiny. Elegantki płaciły za nie wysokie sumy. Nie chronione wieloryby, od których roić się Zatoka Świętego Wawrzyńca, ginęły od ciosów harpunów.

W sumie osadnicy i wędrowcy, rozsiani na tak olbrzymich przestrzeniach, liczyli według prowizorycznego szacunku ok. 100 tysięcy ludzi. Umieli jednak zjednać sobie życzliwość Indian i w razie potrzeby posługiwać się tymi groźnymi wojownikami, by odeprzeć konkurencję brytyjską. Przyczyna słabego napływu nowych osadników z Francji leżała też w podziałach religijnych. W Kanadzie obowiązywał edykt królewski (Ludwik XIV) odwołujący tolerancję religijną. Nie przyjmowano tam hugenotów. Hugenoci francuscy emigrowali raczej do kolonii brytyjskich niż do pobratymców w katolickiej Kanadzie. Drugą przyczyną rozwiania nadziei na przyszłość kolonii było bankructwo banku Lawa i wystawionych przezeń obligacji Kompanii Missisipi. Przestano wierzyć w cud kolonialny i skarby tego rejonu. Nie pomogły też zabiegi władz oficjalnych, które próbowały zasiedlić te tereny więźniami i skazańcami i dodać im za żony sieroty z przytułków i dziewczyny uliczne ujęte na zakazanym procederze.

Francuzi jednak nie odwrócili się całkowicie od Oceanu. Statystyki handlowe wykazują ogromny wzrost obrotów już w pierwszej połowie stulecia. Francja, dzięki swym zasobom naturalnym i manufakturom, szczególnie tekstylnym, stała się jednym z światowych centrów produkcji i handlu. Dzięki paktowi familijnemu odzyskała dostęp do kruszców Ameryki Południowej. Największe jej bogactwo płynęło jednak z wysp na Morzu Karaibskim.

Rzecznikiem rozwoju eksportu i handlu morskiego był minister marynarki Jean F. Maurepas. Pochodził z rodziny arystokratycznej, od pokoleń pozostającej w służbie monarchii, oddany i wierny swej służbie. Urząd ministra marynarki objął w chwili pełnoletności Ludwika XV i pełnił go do dnia swej niełaski w roku 1749. Okrągle dwadzieścia pięć lat, wystarczający okres, by ocenić pozytywne rezultaty jego starań i ich negatywne skutki. Maurepas okazał się mężem stanu przewidującym i myślącym dalekosiężnie. Przyszłość i pomyślność Francji łączył z jej morską i handlową potęgą. Stuszenie mniemał, iż nie

ma handlu bez siły i ochrony państwowej i przez cały czas swego urzędowania zasypywał króla i jego Radę memoriałami, wskazując na zbowienne skutki handlu dla zamożności Francji i zasobów jej skarbu. Domagał się odpowiednich sum z budżetu państwa na budowę floty, która by dorównać mogła wyposażeniem flocie brytyjskiej.

Memoriały tego kontynuatora colbertowskiej myśli ekonomicznej były jednak nie doceniane przez kardynała Fleury'ego, który prowadził taktykę wielkich oszczędności, by wyciągnąć skarb państwa z deficytu lat poprzednich. Za te oszczędności przyszło Francji jeszcze drożej zapłacić i tego słusznie obawiał się Maurepas. On sam zapłacił utratą stanowiska (1749), gdy flota francuska została unicestwiona przez brytyjską.

Kardynał Fleury politykę oszczędności opierał na swych pacyfistycznych zamiarach. W Anglii znalazł godnego partnera w osobie długoletniego premiera Roberta Walpole, który podobnie jak on uważał, iż wojna może być wymazana ze środków polityki międzynarodowej, wszak handlem i pracą narody się bogacą. Rywalizacja angielsko-francuska przycichła i przez wiele lat stosunki sąsiedzkie były nie tylko poprawne, ale wręcz sojusznicze.

Kupców angielskich i polityków bardziej wojowniczego skrzydła niepokoił jednak wzrost i rozwój francuskiej ekonomii, jej związki z kolonialną Hiszpanią i zagrożenie brytyjskich osadników. W Ameryce nie było spokoju. Konflikty i pograniczne porachunki, w które wciągani byli czerwonoskórzy tubylcy, nie ustawały, a wzmacniały się. Trzeba było interwencji wojsk brytyjskich, a to stwarzało samo w sobie sytuację groźną dla pokoju.

Dla Wielkiej Brytanii kolonie były terenem osadnictwa nadmiaru jej mieszkańców, którzy na ubogiej wyspie wyżywić się nie mogli. Była to więc naprawdę „Nowa Anglia”, przestrzeń życiowa spragnionych ziemi i pokoju przybyszy, w znakomitej większości farmerów. Trudnili się przeważnie rolnictwem, zbywając swe produkty w kraju macierzystym. Dopiero z czasem rozwinął się plantacje w koloniach południowych, a dzięki wydarciu Hiszpanii przez Wielką Brytanię monopolu przywozu niewolników afrykańskich (*asciento*), zaczyna się i tam pojawiać system niewolniczy. Niewolnictwo jednak rozwinęło się przede wszystkim w tzw. Indiach Zachodnich, to jest na wyspach archipelagu Antyle. Dochód z tych wysp, podzielonych między Francję i Hiszpanię, przekraczał znacznie wszelkie korzyści, które napływały do krajów macierzystych z pozostałych amerykańskich kolonii.

Dysproporcje jednak rosły. W trzynastu koloniach angielskich, w połowie XVIII stulecia, ludność liczyła już około 2 milionów.

W tym samym czasie, przypominamy, Francuzów na dużo większych przestrzeniach Ameryki Północnej osiedliło się ok. 100 tysięcy. Jeśli więc mówimy o rywalizacji, trzeba zdawać sobie sprawę, że Wielkiej Brytanii zależało zarówno na przetrzeniu, jak i na obrotach handlowych, Francji niemal wyłącznie na handlu. Gdy więc dojdzie do sytuacji krytycznej, zrzeknie się ona niezmiernych obszarów w Ameryce za cenę uratowania swych wysp na Morzu Karaibskim.

W konsekwencji podwójnego zaangażowania – jako państwa kontynentalnego, a zarazem państwa morskiego – Francja dała się wciągnąć w niebezpieczną grę polityczną, której gasnący kardynał Fleury nie potrafił zapobiec. Podobnie i w Wielkiej Brytanii zwyciężyły nastroje wojownicze. Sprowokowane incydenty między statkami hiszpańskimi a brytyjskimi na wodach Meksyku doprowadziły do gwałtownego wzburzenia opinii londyńskiej i zmusiły starego premiera Walpole'a do wypowiedzenia wojny Hiszpanii (1739 – tzw. wojna o ucho Jenkinsa). Na pomoc hiszpańskiemu sojusznikowi wypłynęły z Tuluzy dwie francuskie eskadry marynarki wojennej, złożone każda z 15 okrętów.

W Europie zanosilo się również na wielką awanturę w związku z konfliktem o następstwo tronu po śmierci cesarza Karola VI (1740). Zmarły cesarz, ufny w skuteczność sankcji pragmatycznej, którą przyjęły niemal wszystkie europejskie dwory, przekazywał swe trony i korony jedynej córce, Marii Teresie, predestynując na cesarza Rzeszy jej męża Franciszka Stefana, Księcia Lotaryńskiego, od roku 1738 Wielkiego Księcia Toskanii.

W tym samym roku (1740) po śmierci Fryderyka Wilhelma, „króla sierzanta”, jego syn Fryderyk II objął tron pruski. Nie on jeden wpadł na pomysł, by zakwestionować legalność sankcji pragmatycznej, ale pierwszy zdecydował się na krok militarny i bez wypowiedzenia wojny dokonał rajdu na Śląsk. Złamał sojusze, zobowiązania i zasady współżycia sąsiedzkiego, zainicjował nową w polityce zagranicznej strategię – faktów dokonanych. Pomoc Austrii zadeklarowała natychmiast Anglia, licząc na rozbięcie sił i odciążenie Francji od rywalizacji na morzu. Groźbę tę dostrzegał kardynał Fleury i Ludwik XV. W pałacu wersalskim odbywały się narady i dokonywano oceny sytuacji. Małomówny król, określił swe stanowisko lapidarnie: „Nasze miejsce jest na wzgórzu Pagnotte”. Został zrozumiany i aprobowany.

Wyjaśnić trzeba, że Pagnotte to pagórek w pobliżu Wersalu, na którym wzniesiona była myśliwska ambona do obserwacji terenu. Wypowiedź króla oznaczała: przeczeć i obserwować, nie włączać się. Tak mniemał rozsądny monarcha. Ale w Radzie je-

go zasiadali ministrowie wrogo do Austrii usposobieni, kontynuatorzy dawnej linii politycznej traktowania Habsburgów za główne niebezpieczeństwo. Uważali, że nadszedł czas, by rozprawić się z nimi definitywnie, odebrać Niderlandy, pozostające w ich ręku od pokoju utrechckiego, stanąć niezłomnie na Renie i nie dopuścić męża Marii Teresy do tronu cesarskiego. Obawiano się, że jako cesarz sięgnie znów po utraconą Lotaryngię. Argumentów nie brakło, by antyaustriackie stanowisko znalazło ogromne poparcie w opinii publicznej. Nawoływano wprost do wojny. Powiało entuzjazmem. W samej Rzeszy liczyć można było na kilku sojuszników, a wśród nich Prusy i Bawarię.

Przez dwa wieki panowało przekonanie, że celem polityki francuskiej jest osłabić Habsburgów. Na próżno Fleury, powołując się na ostatnie wskazanie Ludwika XIV, dowodził, że Habsburgowie nie są już niebezpieczni i że nie z ich strony należy wypatrywać zagrożenia. Minister spraw zagranicznych, markiz d'Argenson, replikował: „I cóż, przepuścić mamy ten wielki moment śmierci Cesarza i z niego nie skorzystać?” Polityce króla i kardynała przeciwstawiły się nastroje panujące w samym Wersalu i w Paryżu. Na czele stronnictwa antyaustriackiego, stronnictwa wojny, stanął hrabia Belle-Isle, wnuk nadjendanta finansów Nicolasa Fouqueta, skazanego przez sąd królewski na ciężkie więzienie za malwersacje finansowe. Ambitny ten człowiek czynem wojennym zmazać chciał hańbę ciążyącą na jego nazwisku. Oddał się karierze wojskowej, wykazywał duży talent i jeszcze większą pewność siebie. Budził zapał i gotowość, wiarę i nadzieję. Zdobył już pewne doświadczenie w wojnie o sukcesję polską, a potem był komendantem twierdzy Metz. Pod naporem opinii i samych ministrów król wezwał go do Wersalu. By uczynić zadość jego ambicjom, a jednocześnie uniknąć otwartego konfliktu zbrojnego, Belle-Isle dostał polecenie reprezentowania Francji na elekcji cesarza mającej odbyć się we Frankfurcie. Miał w imieniu Francji i jej króla nie dopuścić do wyboru Lotaryńczyka. Misja ta dała wojowniczemu ambasadorowi okazję dalszego działania. Kolejno wyrывał od króla nowe ustępstwa. Subsydia na poparcie elekcji księcia Bawarskiego, niebawem cesarza Karola VII, alians sojuszniczy z Fryderykiem II i wreszcie upragniony akt wypowiedzenia wojny królowej Marii Teresie. Napór był tak wielki, iż wszystkie ostrzeżenia i starania umierającego kardynała – jak je określano „podstępny starej małpy” – nie znajdowały posłuchu. Jak prowadzić kampanię wojenną? Belle-Isle postanowił wyprowadzić wojska na teren przeciwnika i pospiesznym marszem ruszył aż do Pragi. Zaskoczenie było duże i szturmem Pragę zdobył (listopad 1741). Odrąbiono ten sukces jako wiel-

kie zwycięstwo. Ale wojna dopiero się zaczynała. Armia francuska do wojny nie była przygotowana. Zniknęli już weterani świetnych kampanii Ludwika XIV. Zmieniła się taktyka wojenna. Choć nadal sądzono, iż jedna bitwa rozstrzyga o wygranej, do tej ostatniej bitwy było jeszcze daleko. A tymczasem, ku zaskoczeniu Europy i zdradzonych sojuszników, Fryderyk II zawarł separatystyczny pokój z Marią Teresą, która scedowała mu Śląsk (traktat we Wrocławiu 11 czerwca 1742 roku).

W ten sposób Francja znalazła się sam na sam w wojnie z Austrią, na rzecz której poświęcić musiała swe interesy morskie i kolonialne. Wojnie tym bardziej niepotrzebnej, że cel główny – wybór elektora bawarskiego cesarzem – został już osiągnięty. W Paryżu i Wersalu nastąpiła konsternacja. Jeden tylko Wolter opiewał sukces Fryderyka II i jego rozsądek wycofania się z wojny i dalszego zbędnego rozlewu krwi.

Ostatnie starania kardynała Fleury'ego, zmierzające do nawiązania kontaktu z Marią Teresą, poniosły fiasko. Wojska austriackie blokowały już Pragę i zamkniętą tam załogę francuską.

Marszałek Belle-Isle ciężko zaniemógł. Zastępca jego został marszałek de Broglie, ale między obu wodzami nie było harmonii, co pogarszało sytuację odciętej armii. Wreszcie w nocy z 16 na 17 grudnia 1742 roku udało się marszałkowi Belle-Isle wyprowadzić z Pragi znaczną część armii i powieść ją nad Ren. 11 tysięcy piechoty, 3 tysiące jazdy, 30 armat, 300 wozów, 6 tysięcy mułów i koni pociągowych. Był to marsz heroiczny. Ruszali nocą przy blasku księżyca, przez lasy i bezdroża, wśród śniegu i zimna, niemal bez wytchnienia i niemal bez chleba. Żołnierze padali z wyczerpania, z głodu i zamarzali na śmierć. Ich ciała znaczyły ślad odwrotu zwycięskiej niedawno armii. Pozostała w Pradze załoga skapitulowała po dalszych kilkunastu dniach na zasadach honorowych. Opuszczali obóz z bronią w rękę, ale wymizerowani do ostateczności głodem, brakiem zaopatrzenia i mrozem. Bohaterska armia ambitnego dowódcy przestała istnieć.

W tych tragicznych dniach umierał po krótkiej chorobie kardynał de Fleury (29 lutego 1743), który ponad 20 lat kierował Francją, a w służbie króla pozostawał od jego dzieciństwa. Wiadomość o śmierci przyniesiono królowi w chwili, gdy przewodniczył on obradom komisji finansów. Natychmiast przerwał zebranie i wybiegł do swych apartamentów, by opłakać stratę wiernego przyjaciela. „Mogę powiedzieć – pisał do stryja w Hiszpanii – że mając nieszczęście utracić matkę i ojca zanim doszedłem do wieku świadomości, w nim ich widziałem, czyni to moją stratę tym bardziej bolesną”. Śmierci kardynała towarzyszyły złośliwe kuplety i epigramy, co odnotował z satysfakcją minister d'Argenson, jego przeciwnik w Radzie Królewskiej.

Po śmierci kardynała król zdecydował się, podobnie jak jego pradziad, na rządy osobiste. Żaden z ministrów nie uzyskał pierwszeństwa, żaden nie był królewskim faworytem. Wprawdzie niebawem faworyta urosła do rangi ministra, ale już na innych zasadach. W Radzie Królewskiej nastąpiły pewne przegrupowania. Główną w niej rolę odgrywali minister Maurepas, książę de Noailles i kardynał Tencin, znany ze swego umiaru i daleko idącego taktu w stosunkach Kościoła i państwa. Postanowiono wycofać się z butnych a ryzykownych planów marszu na Wiedeń i ścigania przeciwnika w jego sercu. Pod naporem opinii Maurepasa przyjęto strategię działania tam, gdzie interesy Wielkiej Brytanii wiążą się z interesami Austrii, to jest nad Renem we Flandrii i w księstwie hanowerskim, w którym król angielski Jerzy II był dziedzicznym władcą. Księstwo hanowerskie wyřęcało Anglię w wojnie na kontynencie i książę de Noailles w skuteczny sposób odparł ofensywę brytyjsko-hanowerską i najemnych Niemców. Odtąd stał się mężem zaufania Ludwika XV w sprawach wojskowych. Król powierzył mu reorganizację armii nad Renem, przy wykorzystaniu szczątków armii księcia Belle-Isle, i podjęcie działań ofensywnych.

Ludwik XV zdecydował się na wypowiedzenie wojny Anglii. Orientował się bowiem, iż jest ona najgroźniejszym przeciwnikiem. Dyplomacja francuska domagała się też od Fryderyka II wykonania jego sojuszniczych zobowiązań. W obawie, iż Anglia i Austria zatriumfują i Hanower może stać się konkurentem do ekspansji pruskiej na terenie Rzeszy, Fryderyk zdecydował się na wysłanie pomocniczego korpusu do zagrożonej Alzacji. Ludwik XV postanowił nie tylko kierować polityką ze swego wersalskiego gabinetu, ale udać się do obozu, stanąć na czele operacji wojennej, swą obecnością poderwać żołnierzy, zastraszyć przeciwników, zaimponować Europie. O pierwszej jego wyprawie pisaliśmy już w poprzednich rozdziałach. Zaczęła się ona od militarnego sukcesu, kapitulacji kilku miast, utworzenia silnego obozu w twierdzy Metz. Ale też przyniosła cios ambicjom króla i jego kompromitację, gdy powalony chorobą – jak się wydawało śmiertelną – korzyć się musiał za swe osobiste przewinienia przeciw moralności (sierpień 1744).

Po zimowej przerwie rozpocząć się miała następna kampania, wiosenna. Ludwik XV pozyskał nowego wodza. Był nim naturalny syn Augusta II, książę Maurycy Saski, który przeszedł na służbę francuską. Ten wybitny kondotier, o nieprzeciętnych zdolnościach wojskowych, którym dorównywał jego szlachetny charakter i upodobania intelektualne, stał się zbawcą Francji. Wyprowadził ją z jakże trudnej i ciężkiej wojny politycznej, przewlekłej i kosztownej. Rozegrał oczekiwana „ostatnią bi-

twę”. Król uznał, iż jego obowiązkiem jest być w obozie, stanąć w polu. Okazać się królem-żołnierzem, królem zwycięzcą. Syn jego wchodził w wiek męski. W lutym 1745 roku miało miejsce jego wesele z wynegocjowaną mu małżonką, dziewczęcą jeszcze infantką hiszpańską. Ślub ten w życiu osobistym króla zapisał się szczególnie. Wtedy rozpoczął się wielki romans z uczestniczącą w weselnym balu panią d’Etioules.

Tym razem Ludwik XV nie zamyślał zaprosić do obozu swej nowej bogini, lecz zdecydował zabrać syna na pierwszą w jego życiu wyprawę wojenną. Spisali się doskonale. Wieść o obecności samego króla wśród operujących wojsk dodawała wszystkim otuchy, nieprzyjacielowi zaś większych emocji. Wiele twierdz poddawało się bez większego oporu, wśród nich miejscowość Ypres. Rozegrana pod Fontenoy bitwa (11 maja 1745) miała przebieg dramatyczny. Ustalając jej plan i wybór pola, Maurycy Saski wiedział, iż podejmuje wielkie ryzyko. Sam był ciężko chory, nie mógł dosiąść konia. Ułożony w specjalnej kołysce objeżdżał stanowiska i pułki. Proponował też królowi, by wraz z synem zajął stanowisko za rzeką, w dalszym odwodzie i w otoczeniu własnej gwardii. Król odmówił, pragnął pozostać na głównym teatrze walnej rozprawy i użyć swej gwardii nie tylko do własnej obrony. Wieczór poprzedzający bitwę Ludwik XV spędził z synem w obozie – był dobrej myśli. Przypominał, że od Jana Dobrego żaden francuski król nie był w polu z własnym synem, a od czasu Ludwika Świętego żaden król osobiście nie stawiał czoła Anglikom. Pod Fontenoy zmierzyć się miały wojska francuskie z świetnie uzbrojoną i przygotowaną armią angielsko-hanowerską pod dowództwem wytrawnego wojownika, księcia Cumberland. Przeciwnik nie był łatwy, a królewski optymizm chyba przedczesny.

O świcie 11 maja 1745 roku Ludwik XV rozkazał odtrąbić pobudkę i wraz ze swoją świtą i ministrami dołączył do głównej kwatery. Teoretycznie przysługiwało mu naczelne dowództwo i być może książe Maurycy Saski obawiał się, że się o nie zapomni. Król rozwiązał wszelkie wątpliwości, oświadczając obecnym: „Panowie, życzę sobie, by wszyscy okazywali posłuszeństwo Marszałkowi. Tutaj on dowodzi, a ja pierwszy dam przykład posłuszeństwa”.

Bitwa pod Fontenoy dowiodła geniuszu wojskowego księcia Maurycego. Były chwile krytyczne i wręcz groźne. Były też akty rycerskiej kurtuazji. Do legendy przeszły apele dowódców angielskiego i francuskiego: „Panowie z gwardii francuskiej, strzelajcie pierwsi!”, „Do was należy ten honor, panowie Anglicy” – brzmiała odpowiedź. Jakkolwiek rzecz się miała, bitwa w istocie była zacięta i krwawa.

Anglicy górowali siłą ognia swej znakomitej, zablokowanej

w ataku piechoty. Francuscy wodzowie się nie oszczędzali. Były chwile, że i król odważnie wiodł pułki swej gwardii do kontrataku, zwracał lękliwych. Jeśli wierzyć źródłom, bitwa pod Fontenoy kosztowała życie 9 tysięcy Anglików. Triumf był niewątpliwy. Po bitwie król objeżdżał regimenty, a żołnierze witali go okrzykami. Maurycego Saskiego ucałował. Oprowadzając młodocianego delfina po polu bitewnym, gdzie widoczne było straszliwe żniwo śmierci, zruszony rzekł do niego: „Synu mój! Przyjrzyj się, jaka jest cena zwycięstwa. Krew nieprzyjaciół jest zawsze krwią ludzką, prawdziwą chwałą jest jej oszczędzać”.

Maurycy Saski już bez przeszkód zajmował miasta niderlandzkie, m.in. Gandawę, Brugię i Ostendę. Praktycznie cała dzisiejsza Belgia znalazła się w rękach Francuzów. Po triumfalnym wjeździe do zdobytej Gandawy zwycięski król nie zapomniał o nowej kochance. W tym mieście podpisał akt nadania pani d’Etioules tytułu markizy de Pompadour. 1 września król opuścił obóz, pozostawiając Maurycemu Saskiemu dalsze zadanie organizowania zajętego kraju. Mianował go gubernatorem tej prowincji, jak się okazało, nie na długo. W nagrodę za zwycięstwo i błyskotliwą kampanię, Ludwik XV ofiarował księciu Maurycemu zamek w Chambord. Kazał go ozdobić sześcioma armatami, które miały upamiętniać zasługi księcia. Stali się prawdziwymi przyjaciółmi, ale los tak zrzucił, że gdy talent wojenny Maurycego był znów potrzebny, legendarny wódz już nie żył.

Powrót króla po zakończonej kampanii do Paryża był triumfalny, powitania gorące, serdeczne, spontaniczne. Królowi spieszo było do Wersalu, zamienić zbroję na aksamity. 10 września odbyła się w Wersalu oficjalna prezentacja nowo kreowanej markizy. Podjęła się jej najstarsza dama z rodu Contich w zamian za uregulowanie przez Ludwika XV jej długów karcianych. Świątek dworski wchłonął ponownie „króla-zwycięzcę”. Na scenie politycznej zaszły istotne zmiany. Po niespodziewanej śmierci forsowanego przez Francję Karola XII (1718) o koronę cesarską nikt się już nie ubiegał poza mężem Marii Terezy, Franciszkiem Stefanem Lotaryńskim. Para ta dała początek dynastii habsbursko-lotaryńskiej, tak więc sprawa sukcesji skończyła się, trwała jednak nadal wojna sukcesyjna. Jak ją zakończyć? O ile Francja i Austria rezygnowały z wojny między sobą, o tyle pozostawała Anglia, faktyczna rywalka Francji, oraz Prusy, które nie zamierzały oddać zagarniętego już Śląska.

Dla Francji, szczególnie dla Ludwika XV, który dostrzegał plany morskie rywala, kwestią najważniejszą było powstrzymanie brytyjskiej ekspansji. Podjęto jeszcze jedną próbę obalenia dy-

nastii hanowerskiej przez militarne i polityczne poparcie kolejnego pretendenta do tronu szkockiego i angielskiego Karola Edwarda – wnuka Jakuba II i Klementyny Sobieskiej, wnuczki Jana III; był zatem prawnukiem króla polskiego. Sympatie Polaków i całej Europy katolickiej były po stronie pretendenta. Osobista brawura i podjęte ryzyko przysparzały mu również zwolenników na Wyspach Brytyjskich. Zorganizowanie tej dywersyjnej wyprawy otwierało Francji pewną szansę. Jednakże w warunkach toczącej się na kilku frontach wojny, prawidłowe jej zorganizowanie nie było możliwe. Nikła więc okazała się pomoc państw katolickich dla brawurowego młodzieńca.

Po pierwszych sukcesach na terenie rodzinnej Szkocji, książę poniósł straszną klęskę pod Culloden (kwiecień 1746) i w przebraniu umykał na kontynent europejski. Wyprawa zakończyła się fiaskiem. W toku negocjacji pokojowych Ludwik XV zobowiązać się musiał do wydalenia pretendenta z Francji. Książę zlekceważył ten nakaz, ostentacyjnie poruszał się po Paryżu, pokazywał się w operze. Właśnie w trakcie jednego ze spektakli wprowadzony został z łoża i odstawiony poza granice Francji. W Paryżu zapanowało oburzenie skierowane przeciwko królowi. Wypomniano mu niegodną wielkiego władcy postawę. Społeczeństwo przywiązywało mniejszą wagę do strat Francji na odległych szlakach oceanicznych i kolonialnych.

Zmaganiom na kontynencie europejskim towarzyszyły znacznie trudniejsze walki na morzach i oceanach, w klimacie tropikalnym czy skutej lodem i śniegiem Kanadzie, wśród nieprzyjaznej nieraz ludności tubylczej. Na tych rozległych frontach i szlakach wodnych powodzenie było zmienne. Francja była w defensywie. Jej flota nie mogła sprostać ani ilościowo, ani siłą ognia flocie przeciwnika. W Ameryce Północnej padł potężny fort Louisbourg. Pomoc Hiszpanii nie miała też większego znaczenia. Jednak podobnie jak na kontynencie, tak i na morzu ujawnił się prawdziwy talent i mąż opatrnościowy, który uratował pozycję morską Francji. Był nim admirał Joseph François Dupleix, będący od lat we francuskiej służbie kolonialnej. Zadał ciężkie straty Anglikom w Indiach, uratował swą niewielką armię ekspedycyjną. Odcięty od macierzystego kraju, zdany na własne siły jako gubernator Pondichery (1741), przez wiele lat nie tylko utrzymał stan posiadania francuskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, ale go jeszcze poszerzył.

Wojna dobiegała końca. Wygasła z powodu wyczerpania sił i potencjału militarnego wszystkich kontrpartnerów. O przyspieszeniu rokowań pokojowych zadecydowała wiadomość, że caryca Elżbieta Piotrówna, zgodnie ze swym wobec Marii Teresy zobowiązaniem, wysłała korpus ekspedycyjny nad Ren.

Armia pod dowództwem księcia Mikołaja Repnina przemierzała już terytorium Polski.

Do rozmów pokojowych delegował Ludwik XV uzdolnionego dyplomata hrabiego Saint-Severin d'Aragon. Przekazał mu ściśle instrukcje i w toku negocjacji pisał doń odręczne listy i polecenia. Nie ufał swym ministrom. Toteż historycy do dziś dnia zastanawiają się, w czyich rękach leżały decyzje polityczne – króla, czy zmieniających się ministrów?

Francja nie była pokonana, ale przedłużanie wojny mogło jej przynieść nieobliczalne zagrożenia. Ludwik XV dążył do pokoju, który byłby do przyjęcia dla wszystkich stron konfliktu, tj. do pokoju bez aneksji. Dzięki temu Francja uratowała swe granice i zamorskie terytoria, ale zdobyczy nie zatrzymała. Nie utrwalali też swych aneksji Anglicy, a więc godzili się na równowagę. Takie były warunki pokoju, które Ludwik XV uznał za sprawiedliwe.

Pokój w Akwizgranie (1748) nie przyniósł definitywnych rozwiązań. Zasada *status quo ante bellum* musiała prowadzić do ponownego narastania konfliktów, skoro przyczyny ich powstania nie zostały zlikwidowane. Jedynie Fryderyk II nie uznał zasady powrotu do stanu sprzed wojny i wyśmiewał tych, co się jej poddali. Wcielonych już do swego państwa prowincji nie myślał zwracać. Głosił, że fakty dokonane obrosną z czasem w argument tradycji historycznej.

Maurycy Saski podporządkował się rozkazom Ludwika XV wycofania wojsk z Niderlandów. Uważał to jednak za wielki błąd polityczny oraz przekreślenie wojennego wysiłku. Więcej samodzielności wykazał markiz Duplex, który latami nie słuchał rozkazów płynących z Wersalu. Ogłosił się nababem Indii Południowych.

Ludwik XV nie chciał być porównywany do Fryderyka II, politycznego „rozbójnika”, który łamał własne zobowiązania. Wolał być wielkodusznym i wysoko dzierżyć honor narodu francuskiego. Pokój przyniósł mu pewną satysfakcję rodzinną: jego córka, Madame Elisabeth wraz z mężem – infantem don Filipem, objęła księstwo Parmy, Piacency i Guastali. Brat Filipa don Carlos przejął koronę Neapolu i Sycylii. Umocniły się więc ogniwa familijnego paktu z hiszpańskimi Burbonami. Jednakże nikt nie wierzył w skuteczność pokoju, choć wszyscy bardzo go pragnęli. Nawet przekupki z hal paryskich mówiły: „Głupi, jak ten pokój”. Podobno przekupki londyńskie mówiły to samo. Minister René-Louis d'Argenson, rzecznik wojny z Austrią i niezręczny dyplomata, otrzymał dymisję. Na dworze komentowano ją jako zemstę obrażonej na niego pani de Pompadour.

X. „Francja może być szczęśliwa bez Québecu”

Pokój w Akwizgranie przywrócić miał zachwianą w Europie równowagę sił. Okazało się jednak, że nie na długo. Wysiłki Ludwika XV na rzecz utrzymania pokoju nie powiodły się. Pokój nie zlikwidował przyczyn napięcia. Główna antagonistka Francji, Anglia, nie zadowoliliła się równowagą, ale nadal dążyła do wytkniętego przez swych mężów stanu celu: stworzenia imperium morskiego. Pod tym względem zarówno torysi, jak i wigowie, walczący o mandaty w parlamencie, nie różnili się znacznie. Natomiast Ludwik XV i jego zmieniający się ministrowie nie mieli wyraźnej koncepcji politycznego działania. Jedni dążyli do rekonstrukcji armii lądowej i ostatecznego załatwienia zadawnionych porachunków z domem habsburskim. Drudzy dostrzegali już zagrożenie najżywościjszych interesów handlowych i kolonialnych Francji. Zagrożenie upatrywali przede wszystkim i nie bez słuszności w apetytach Anglii na zagarnięcie Indii Zachodnich i wyparcie francuskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i jej baz wojskowych. Ludwik XV, w stałych naradach z ministrami i za pośrednictwem własnej tajnej dyplomacji, zmierzał tym razem zdecydowanie do pojednania z Marią Teresą. Był przekonany, że w ten sposób uda się stworzyć trójalians z Prusami, a więc osiągnąć jedność Europy Zachodniej, utrwalić pokój, a całą czujność skierować przeciw Anglii.

W gronie doradców króla i w opinii publicznej panowały jednak nadal nastroje antyaustriackie. Opinia elity oświeconej, z natury swej pacyfistyczna i antyabsolutystyczna, rozniecała w społeczeństwie mniemanie, iż ani jeden żołnierz francuski nie powinien zginać za Kanadę. Filozofowie cieszyli się większym prestiżem niż bohaterowie wojenni. Salony paryskie wyrokowały nie tylko w sprawach mody i gustu, ale także polityki.

I znów wszystko zaczęło się na brytyjsko-francuskim pograniczu w Ameryce Północnej. Pokój bez aneksji pozwolił Francuzom odbudować odzyskane forty, Louisbourg stał się ponownie groźny, z drugiej zaś strony, brytyjskie kompanie handlowe wdzierały się bezceremonialnie na francuskie tereny, prowadząc tam na własną rękę osadniczą akcję. Mnożyły się incydenty, osadnicy brytyjscy czuli się jednak niepewnie i domagali się wsparcia militarnego od metropolii.

Wielka Brytania, która w poprzedniej wojnie zaangażować mu-

siała własne wojska lądowe i opłacać ich najem w Niemczech, by wesprzeć zagrożoną Austrię, swego lądowego partnera, zdecydowała się na zmianę sojusznika. W gąszczu dyplomatycznych zabiegów, które otaczały lata międzywojennych przygotowań i negocjacji, trudno zaiste ustalić precyzyjnie, kto kogo zjednał. Kto komu ofiarowywał sojusz? Czy Fryderyk II pierwszy powziął myśl porzucenia nieudolnego partnera, jakim wydała mu się Francja, a pozyskania w Anglii operatywnego sojusznika? Prócz bezpieczeństwa dla Hanoweru, dziedzicznego księstwa królów brytyjskich, Anglia nie zgłaszała żadnych pretensji terytorialnych w Europie. A może – jak twierdzą inni – to właśnie Anglia w bitnym i zdeterminowanym królu pruskim dojrzała godnego swej polityki partnera. Tajnie, ukradkiem i za pomocą osób trzecich toczyły się pertraktacje, których ostatecznym owocem był traktat westminsterski (16 stycznia 1756 roku).

O tajnej dyplomacji Fryderyka II nie wiedział lub nie chciał wiedzieć król francuski, podejmując podobną taktykę wobec Austrii i innych ewentualnych sprzymierzeńców. Zanim świat zdumiał się wielką odmianą w polityce, zwaną „odwróceniem przymierzy”, w dyplomacji kotłowało się. Grę dyplomatyczną prowadził sam Ludwik XV, poprzez swych oficjalnych, nieoficjalnych i tajnych agentów, spełniających jego najbardziej poufne polecenie. W orbicie tej polityki znajdowała się również Polska, złączona unią personalną z Saksonią. Oficjalnym posłem pełnomocnym Francji przy Augustacie III był książę Charles François de Broglie. W Polsce jednak działały potężne klikki magnackie, dążące do realizacji własnej polityki, antysaskiej lub prosaskiej w oparciu o odmienne polityczne układy. Trudnym zadaniem było zjednać dla Francji tradycyjnie już skłócone między sobą rody (Potoccy, Czartoryscy, Branicki). Wraz z atramentem, płynącym strugą na instrukcjach, raportach, poleceniach wydawanych w imieniu Ludwika XV, płynęły też obficie francuskie luidory. W Europie przyjął się fałszywy obraz Polski, iż za pieniądze można w niej znaleźć sprzymierzeńca. Z reguły przegrywali ci, którzy dali się skusić brzękiem złota. Ludwik XV sprawy Polski włączył do swej tajnej dyplomacji. Jeśli głosił jej wyzwolenie, to z myślą o osłabieniu swych własnych wrogów. Jednym z nich był August III, zwycięski rywal Stanisława Leszczyńskiego do korony polskiej. W latach wojny sukcesyjnej Ludwik XV drogą dyplomatyczną montował konfederację, by doprowadzić do detronizacji Sasa i nie dopuścić do przemarszu wojsk rosyjskich przez Polskę. W nowym przegrupowaniu politycznym pojednania Francji z Austrią jej sojusznik August III stawał się również sojusznikiem Francji, nie tylko wojennym. Związały się również więzy pokrewieństwa

z dworem francuskim. Córka Augusta III, Maria Józefa, była drugą żoną delfina. W żyłach dzieci urodzonych z tej pary płynęła zatem krew Burbonów, obficie zmieszana z krwią Leszczyńskich i Wettynów. Gra dyplomatyczna przejść mogła na drugie pokolenie. August III był teściem delfina, podobnie jak Stanisław Leszczyński był teściem aktualnego króla, Ludwika XV. Tajna dyplomacja miała więc dalsze perspektywy i Ludwik XV sprawie polskiej poświęcał wiele uwagi. Świadczą o tym opasłe tomy wysłanej w jego imieniu korespondencji do księcia Charles François de Broglie'go i innych agentów oraz ich raporty spoczywające w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu. Zawilościami tej politycznej gry zajmował się W. Konopczyński w świetnym, dwutomowym dziele *Polska wobec wojny siedmioletniej*. Lektura wywołuje głębokie przygnębienie. Suwerenny organ władzy, sejm, nie istniał, gdyż z reguły był zrywany. W imieniu króla polskiego występuje jego minister Brühl, bezsilny wobec potężnych, opozycyjnych klik magnackich. Wprawdzie mówi się już i pisze o potrzebie reform, ale są to tylko papierowe plany. Nikt serio nie myśli o wzmocnieniu obronności kraju. Szlachta łądzi się, że neutralność Rzeczypospolitej w konfliktach międzynarodowych nie tylko ją uratuje, ale i umocni. Odwrócenie przymierzy w skutkach okazało się dla Polski tragiczne.

W Wiedniu gorącym zwolennikiem pojednania z Francją był kanclerz Wenzel Antoni Kaunitz, poprzednio ambasador wiedeński w Paryżu, wybitny mąż stanu, właściwy kierownik nawy państwowej, swej władczyni. W długich i szczerych rozmowach z Ludwikiem XV wyczuwał jego skłonność do pojednania z Austrią. Chwalił też jego rozległą wiedzę, orientację, umiejętność zadawania pytań nawet w sprawach szczegółowych. Ludwik XV oceniał Kaunitza jako męża stanu wielkiej rangi. Był to rok 1751. Odwołany do Wiednia (1753), do bezpośredniego kierowania polityką zagraniczną, pozostawił w Paryżu zdolnego następcę, hrabiego Jerzego Adama Starhemberga. Zarówno kanclerz, jak i ambasador zdawali sobie sprawę, jak silna była w Wersalu opozycja przeciw porozumieniu z Austrią. Opinia publiczna była mu również przeciwna. Postanowili działać ostrożnie, szukać bezpośredniego dojścia do samego Ludwika, znaleźć godnego zaufania orędownika. Orędownikiem tym w pierwszym kontakcie była pani de Pompadour, której ambasador Starhemberg przekazał list poufny Marii Teresy do Ludwika XV. Niewątpliwie pani de Pompadour mogła być zadowolona z roli, jaką odegrać jej przyszło i okazanego jej ze strony dworu wiedeńskiego zaufania. Spełniła jednak rolę dyskretnego pośrednika. Ale udział jej nie zakończył się na tym. Król, po naradzie ze swymi doradcami, ofertę przyjął, wyznaczając do rozmów i dalszych spotkań

z wiedeńskim ambasadorem księdza Franciszka Joachima (François Joachim) de Bernis, wyrobionego już we francuskiej służbie zręcznego dyplomate. Dla niepoznaki i utrzymania pełnej tajemnicy rozmowy między tymi przedstawicielami dwu monarchów toczyły się w pałacyku Bellevue, gdzie pani de Pompadour pełniła rolę uroczej gospodyni.

Warunki przymierza przedstawione ze strony Marii Teresy określić można jako niemal wspaniałomyślne. Godziła się na odstąpienie Francji znacznej części Niderlandów w zamian za zobowiązanie pomocy w odzyskaniu Śląska. Rozmowy nie były jednak łatwe. Ludwik XV nie zamierzał się angażować w wojownicze zamiary Marii Teresy, jako legalista nie chciał zrywać aliansu z Prusami, którego termin jeszcze nie wygasł. Gotów był dać gwarancję, że pokoju będzie przestrzegać i do końca łu dził się, że ugoda nastąpić może w wyniku negocjacji. Gdy jednak „zdrada” Fryderyka II stała się faktem, gdy bez uprzedzenia porzucił sprzymierzeńca, Francja stanęła wobec groźby politycznej izolacji. W obliczu skierowanego przeciw niej sojuszu lwa morskiego z „rozbójnikiem” Europy, alians z Austrią okazał się koniecznością. Podpisany 1 maja 1756 roku traktat wersalski miał charakter defensywny. Każda ze stron zobowiązała się w razie napaści udzielić sobie wzajemnej pomocy w wysokości 24 tysięcy żołnierzy.

Ludwik XV uznał to za swój osobisty sukces dyplomatyczny. „To moja robota – pisał do księcia de Broglie’go – i uważam ją za dobrą”. Wraz z nowym kursem polityki tekę ministra spraw zagranicznych powierzył zręcznemu negocjatorowi, księdzu de Bernis, wyniesionemu niebawem do godności kardynała.

W Europie zagotowało się. Odwrócenie sojuszy, to prawdziwa rewolucja w polityce i w dotychczasowych obyczajach. Odwieczna rywalizacja zamienić się miała w trwałą przyjaźń i współdziałanie, w konsekwencji w braterstwo broni. Na tym właśnie ostatnim ogniwie załamał się sukces, którego wyniki militarne na polach bitewnych okazały się dramatyczne. Politycznie rozsądny i uzasadniony krok, który mógł zapobiec niebezpiecznemu wzrostowi kontynentalnej ekspansji Prus i monopolistycznym aspiracjom Wielkiej Brytanii do panowania nad światem, militarnie nie został zrealizowany. Nie politycy a dowódcy doprowadzili do klęski i kompromitacji. Wojna była niemal ciągłą improwizacją, której oczywiste błędy i zaniedbania wykorzystał słabszy w tym czasie przeciwnik, Fryderyk II. Zaangażowana w rozpaczliwie skomplikowaną wojnę w Europie, Francja nie potrafiła oprzeć się brytyjskim siłom na morzu i desantom regularnych wojsk, wspieranym milicją miejscową w Ameryce.

potem nazwano, miała bowiem wielorakie oblicza i w każdym kraju inaczej ją określano. Toczyła się na wielu frontach, zaangażowała niemal całą Europę i podległe jej terytoria zamorskie. Była więc wojną światową, a jedna z jej głównych akcji rozegrała się w Europie Środkowej. Tu spotkały się największe armie, jakie znał wiek XVIII. Wojna ta, według obliczeń rosyjskiego uczonego B.C. Urłanisa, pochłonęła 550 tysięcy ludzkich istnień, o 100 tysięcy więcej niż poprzednia. Gdyby boje trwały nieustannie przez siedem lat, byłoby to istne wyludnienie terytoriów, po których się przetaczała. Na szczęście ówczesna taktyka wojenna polegała na kluczeniu, omijaniu lub wyprzedzaniu przeciwnika, manewrowaniu, by go zwieść lub pociągnąć w przeciwnym od zamierzonego przezeń kierunku. W porze zimowej na lądzie, a tym bardziej na morzu, wszelkie działania ustawały. Przebiegłość, pomysłowość i umiejętność dowódców decydowały o powodzeniu ich armii. Każdemu zależało, by swych wojsk nie narazić na szwank. Oczywiście były bitwy i kampanie, które wymagały maksymalnego wysiłku żołnierzy i ofiarnego szafowania krwią.

Dowodzić, to przewidywać, nie dać się zaskoczyć, nie wpaść w pułapkę. Dowodzić, to również utrzymać karność i dyscyplinę żołnierzy, nie tolerować rabunku, bo od niego zaczyna się dezercja. Żelazna dyscyplina panowała w bitnej, acz liczbowo mniejszej od połączonych sił przeciwnika, armii pruskiej. Żołnierze od czasu Fryderyka Wilhelma byli wzorem musztry i znajomości swego rzemiosła. Niemniej jednak armia francuska wciąż jeszcze uważana była za najlepszą i najliczniejszą w Europie. Pozyskanie takiego sojusznika było dla Austrii ogromnym sukcesem. Armia austriacka składała się ze zbieraniny rekrutowanej we wszystkich krajach korony habsburskiej oraz w niektórych księstwach Rzeszy, jako tzw. wojska okręgowe. Liczyć można było przede wszystkim na Węgrów, którzy już w poprzedniej wojnie okazali swą wierność Marii Teresie. Wreszcie do obozu francusko-austriackiego włączyła się Rosja cesarzowej Elżbiety, zawziętej przeciwniczki Prus, i państwo bałtyckie, Szwecja. Dołączył również elektor saski, król Polski August III, czego żałosne skutki odczuła neutralna Rzeczpospolita.

W sumie trzy wielkie państwa, dysponujące największym potencjałem militarnym, wchodzący w porozumienie przeciw królowi Prus. Jego alians z Wielką Brytanią zapewniał mu utrzymanie drugiego przeciw Francji frontu u jej wybrzeży, na szlakach morskich i w posiadłościach kolonialnych. Dla Wielkiej Brytanii taktyka eliminowania przeciwników na morzu była znacznie skuteczniejsza niż poszukiwanie ich na lądzie, w ich własnych krajach. Zauważyć jednak należy, iż Anglia uniikała wszelkiej wojny w pojedynkę, miała zawsze partnerów

w Europie, wśród państw lądowych i ich wojskami mogła się posługiwać. W imię zasady równowagi sił poróżnić mogła sąsiedzkie dwory. Taką taktykę zastosowała w wojnie sukcesyjnej austriackiej, szykując przeciwnikowi francuskiemu i francuskim osadnikom za Atlantykiem przykre pułapki i zaskoczenia. Na to też liczyć mógł Fryderyk II, przygotowując się do nowej rozgrywki o Śląsk, a może i coś więcej?

Król pruski nie zaniedbał też akcji propagandowej przeciw Francji. W rozsiewanych paszkwilach i ułożonych przez siebie samego wierszykach wyszydzał sojusz francusko-austriacki, przypisując go wyłącznie intrydze pani de Pompadour, która zdradzała interesy Francji w zamian za względy Marii Teresy. Obóz filozofów również burzył się na ten sojusz z koronowaną dewotką przeciw najbardziej oświeconemu władcy Europy. Propaganda chwyciła. Społeczeństwo bynajmniej nie było przekonane o słuszności i celu tego „monstrualnego” sojuszu.

18 maja 1756 roku Anglia wypowiedziała wojnę Francji. W sierpniu Fryderyk II bez uprzedzenia ruszył przeciw Saksonii i bez trudu wyeliminował jej armię z dalszej wojny. August III uszedł do Warszawy, by przeczekać zawieruchę. Wzięte do niewoli saskie wojska wcielone zostały do armii pruskiej. Jeden z sojuszników był obalony. Niemniej jego przebywanie w Polsce stanowiło dla Fryderyka II pretekst do grabieżczych rajdów w głąb Rzeczypospolitej. W latach wojny siedmioletniej Saksonia stała się faktycznie prowincją pruską, wzmocniła wydatnie potencjał gospodarczy i militarny Prus. Zagarnięte w Dreźnie polskie stemple mennicze umożliwiły Fryderykowi bicie polskiej, fałszywej monety i zalewanie nią naszego kraju w toku rekwizycji wojskowych i wykupywania produktów rolnych. Ta operacja przyniosła milionowe korzyści pruskiemu skarbowi. Francja wzięta została w dwa ognie. Zawziętość angielskiego premiera Williama Pitta i jego żelazna konsekwencja zapowiadały trudniejszą walkę niż w poprzednich wojennych zmaganiach. Pierwsze miesiące wojny były dla Francji nawet pomyślne i nie brakło sukcesów. Flota francuska i jej wojska desantowe zajęły w brawurowym ataku wyspę Minorę, utracając tym samym Wielkiej Brytanii główną bazę na Morzu Śródziemnym. Nie gorzej wiodło się za Renem, który przekroczyła armia lądowa. Wodzem jej był markiz Louis Ch. d’Estrées, zdolny dowódca i odważny człowiek. Louis François Armand de Plessis, książę Richelieu, naczelnym dowódcą armii Renu, pozazdrościł mu sukcesu i postanowił sam poprowadzić dalszą kampanię skierowaną na Hanower. Ambicje tego arystokraty nie szły w parze z talentem wojskowym, uczciwością człowieka i lojalnością wobec dworu. Pragnął laurów dla siebie. Armia Renu była główną armią francuską, liczyła nominalnie 99 tysięcy lu-

dzi. Po zwycięskim starciu z wojskiem hanowersko-angielskim, dowodzonym przez diuka Wilhelma Augusta of Cumberland (trzeci syn Jerzego II), podjął z nim na własną rękę rokowania, doprowadzając do rozejmu (Kloster-Zeven, 6 września 1757). Na własną rękę też wyznaczał wysokie kontrybucje ujarzmianym przez swe wojska miastom i ludności. Był tak tym zaferowany, iż nie myślał o planach współdziałania z sojusznikami i nie reagował na wezwanie nadchodzące z innych frontów wojennych. Nie bez podstaw mniemać można, iż wysokie kontrybucje szły nie tylko na utrzymanie jego armii, lecz były rodzajem okupu ze strony mieszkańców i zasilaly prywatną kieszę marszałka. Wpływało to również negatywnie na morale jego armii. W swych zapędach posunął się dalej, niż wymagała tego sytuacja wojenna, plądrował nie tylko Hanower, ale też sąsiedni Hamburg i miasta Westfalii. Sukces doraźny stał się z kolei przyczyną wielu późniejszych niepowodzeń i bezpośrednio załamania się drugiego frontu wojny.

Francja i Austria w obliczu agresji króla Prus ponowiły swe wzajemne zobowiązania. W rocznicę pierwszego aliansu doszło do podpisania następnego (1 maja 1757), który przewidywał już ściśle braterstwo broni, w zamian Austria zobowiązała się solennie do oddania sojusznikowi Niderlandów. Dyplomacja Ludwika XV mierzyła wysoko, a widoki na jej osiągnięcie były realne. Podjęto też decyzję wystawienia stutysięcznej armii i udzielenia subsydium Austrii (12 mln liwrów rocznie). Punktem zbornym sił sojuszniczych miał być Lipsk. Opanowanie Saksonii przywrócić miało to księstwo jej właściwemu władcy i tędy wieść miała dalsza droga na Śląsk.

Faworyzowany przez markizę de Pompadour generał Charles de Rohan Soubise, zdolny, acz mało doświadczony w dowodzeniu, został dowódcą dwudziestoczwartotysięcznej armii skierowanej do współdziałania z sojusznikami. Generał Soubise, zgodnie z ustaleniami podjętymi w Wersalu, wzywał księcia de Richelieu do wsparcia operacji. Temu zaś, ze znanych nam już powodów, nie spieszo było opuszczać wygodne stanowiska. Fryderyk II przybył pierwszy do zagrożonej strefy, nie chcąc dopuścić do połączenia armii francuskiej z „okręgową” armią Rzeszy pod dowództwem księcia von Hildburghausena. Obie te armie łącznie górowały liczebnie nad siłami pruskimi. Taktyką Fryderyka było uniemożliwić współdziałanie sojuszników i rozbić ich w pojedynkę. Manewr ten doprowadził do zguby armii francuskiej. Okrażone i zaskoczone wojska generała Soubise’a poniosły ciężką klęskę pod Rossbach 5 listopada 1757 roku. Bitwa była bardzo krwawa. Armia francuska straciła większość oficerów, jej rozproszone niedobitki uchodziły z pola bitewnego. Była to największa w tej wojnie klęska i od niepamiętnych

czasów kompromitacja oręża francuskiego. W miesiąc później rozeszła się wieść, że ten sam los spotkał armię Rzeszy maszerującą w kierunku Lipska. Została rozbita i rozniesiona 5 grudnia pod Lützen (Lutynią). Fryderyk II zaskoczył Europę nie tylko swą bezwzględnością, ale również i talentem wojennym. Triumf Fryderyka nie trwał długo, ale klęski Francji nie już odwrócić nie mogło. Kompromitacji dowódców zmazać się nie udało i choć gen. Soubise odniósł jeszcze w tej wojnie kilka błyskotliwych zwycięstw, pozostał w pamięci i legendzie nieudolnym ośmieszonym wodzem, który stracił armię. Zdaniem W. Konopczyńskiego bitwa pod Rossbach była również klęską Polski i przesądziła o jej dalszych losach.

Na froncie nadreńskim po pierwszych sukcesach nie działało się dobrze. Marszałek de Richelieu zapewne nie spodziewał się, że wojna na tym froncie będzie tak rychło wznowiona. Nie podjął więc odpowiednich starań, by armię utrzymać w dyscyplinie i wyrównać jej straty. Wielka Brytania nie znała rozejmu zawartego na własną rękę przez dowódców. Diuk Wilhelm A. of Cumberland został odwołany. Jego miejsce zajął książę Ferdynand Brunszwicki, który już w listopadzie podjął działania zaczepne. W Wersalu nie opadł jeszcze entuzjazm wywołany zwycięstwem pod Kloster-Zeven, gdy nadeszły wieści o klęsce pod Rossbach i zerwaniu rozejmu nad Renem. Reakcją Ludwika XV było odwołanie naczelnego wodza. Księcia Richelieu zastąpił hrabia Clermont (Louis de Bourbon-Condé), który, zmuszony do odwrotu wzdłuż linii Renu, nie zdołał popisać się żadnym zwycięstwem. Armie południową, zwaną też armią górnego Renu, trzeba było rekonstruować i obmyślać nowy plan współdziałania z armią austriacką. Wszak i sprzymierzeniec poniósł niepowetowane straty od pruskiego oręża.

Od razu rzecz można, iż w wojnie tej zawiódł zespół dowódczy. Król prowadzenie wojny powierzył wojskowym, podległym teoretycznie ministrowi wojny i samemu monarsze. Ale właściwego współdziałania między nimi nie było. Przeciwnie, pochłonięci własnymi ambicjami nie zamierzali się dzielić sukcesami, klęski zaś przypisywali nieudolności kolegów. Obok strategii militarnej, nigdy nie opracowanej do końca, działała dyplomacja, a ponad dyplomacją i jej stałą siecią snuły się w gabinetach dworów monarszych tajne i ekstratajne intrygi i sondáže. Ludwik XV, nie dowierzając do końca swym ministrom, podejmował próby własnej utajnionej polityki. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie o wszystkich zamiarach i decyzjach króla wiedziała jego dobra wróżka lub, jak kto woli, zły duch – markiza de Pompadour.

Nie tylko wzajemna niechęć dzieliła dowódców. Główną przeszkodą w ich działaniu były niedostatki i trudności, które każ-

dy na własną rękę usiłował pokonać. W armiach brakło wszystkiego, a cierpień przede wszystkim żołnierzy. Była to armia *ancien régime*'u, w której korpus oficerski stanowiła niemal wyłącznie szlachta. Stanowiska dowódcze zarezerwowane były z reguły dla arystokracji. Talent wojskowy to nie atrybut błękitnej krwi. Minęły czasy, gdy Ludwik XIV po prostu nadawał szlachectwo i tytuły wybijającym się oficerom, gdy nobilitowani (*noblesse de robe*) krwią własną zdobywali wyróżnienia. Ludwik XV ulegał naciskom możnych, rozdawał im pułki i buławy. Przekonał się jednak, już po pierwszych doświadczeniach wojny o sukcesję austriacką, iż dowódcom nie wystarcza dobre urodzenie. Musieli odtąd wykazać się również dyplomem szkoły wojennej i praktyką na polu walki. Kazano im również przebywać w obozie, brać udział w przygotowaniach armii do zadań polowych. Nie przestrzegano jednak tych wymogów, oficerowie i dowódcy armii rezydowali przeważnie we własnych posiadłościach. A gdy już konieczność zmuszała do wyruszenia na front, wlekli za sobą prawdziwe orszaki służby i pospolitych ciurów. Ładowne wozy, obciążone wszelkiego rodzaju sprzętem, odzieżą, namiotami, żywnością, winami i łakociami, miały zapewnić owym wielmożom podobnie wygodne, jak we własnych rezydencjach życie. Obiadowano więc suto w kwaterach dowódców, podczas gdy dla żołnierzy największym problemem było zdobycie racji chleba. Transport to pięta Achillesa armii francuskiej w ruchomej wojnie siedmioletniej. Wozy, pojazdy i luzacy wyższych oficerów – wszystko to utrudniało przeprawy. Niełatwo było natomiast uruchomić dostawy mąki i zorganizować wypiek chleba. Mizernała więc armia, mnożyły się w niej dezercje. Określane w układach wojennych kontyngenty armii sojusznicznych i zarządzane nakazami królewskimi pobory nie osiągały nigdy zamierzonego stanu. Niedostatkowi towarzyszyły również zakaźne choroby i wszelkie następstwa życia obozowego w warunkach prymitywnych. Świeży rekrut nie nadawał się do walki, w ciągu tylu lat wojny odczuć się dawał brak wyszkolonego żołnierza, odpowiedzialnych oficerów oraz zdolnych dowódców. Częsta wymiana dowódców frontowych sytuacji nie zmieniała. Rzecz można, że ją pogarszała. Po reformach i reorganizacjach sił zbrojnych przeprowadzonych we Francji za Ludwika XIV armia francuska, nie bez racji, uważana była za najlepszą lądową armię w Europie. Nastąpiła jednak stagnacja, sam król nie chciał zmieniać wprowadzonych za czasów jego pradziada zasad organizacyjnych i reguł bojowych, a tymczasem inne państwa dościgać poczęły Francję, a nawet ją wyprzedzać. W wojnie sukcesyjnej austriackiej możliwości swe ukazała armia pruska, nie ustępowała jej mała, ale bitna armia Hanoweru. O sile bojowej armii rosyjskiej, po reformach Piotra I,

krążyły już w Europie legendy. Pierwsze straty zadane francuskiej armii, których już do końca wojny nie można było całkowicie powetować, ciążyły również na morale wojska i samego społeczeństwa. Dla przeciętnego Francuza cel i sens wojny były niezrozumiałe. Operacja odwrócenia przymierzy była całkowicie niepopularna, wobec zadawnionych ans do Austrii, a reklamy, jaką cieszył się władca oświecony, filozof na tronie, Fryderyk II. Obrona Kanady, jakże trudna w warunkach wojny morskiej i wysyłania regularnych wojsk do Ameryki, była na równi niepopularna, co niezrozumiała. Społeczeństwo francuskie tej wojny nie poparło. Pierwsze zaś klęski całkowicie do niej zraziły. Kogóż więc opinia obwiniąta za poniesione klęski i straty? Oczywiście „przewrotną markizę”, rzekomą autorkę aliansu z Austrią. Niewątpliwie na fali powszechnego niezadowolenia i podniecenia nastąpił zamach na samego monarchę (por. rozdz. – „Królóbójca Damiens”).

Rok 1757, pierwszy rok działań wojennych, okazał się tragiczny dla Francji i jej sprzymierzeńców. Osłabła wola walki i wiara w zwycięstwo. Wodzowie zwątpili, zwątpił również minister spraw zagranicznych, poprzednio zręczny negocjator, ksiądz de Bernis. Godność kardynała i płynące stąd zaszczyty odciągały go od funkcji, która wymagała ogromnej energii i uwagi. Chętnie z niej zrezygnował w momencie, gdy przestał wierzyć w powodzenie sojuszu, który sam montował. Przychylał się nawet do myśli podjęcia rokowań pokojowych lub separatystycznego pokoju. Podobne myśli snuli też doradcy Marii Teresy. Ona jednak nie chciała słyszeć o rezygnacji ze Śląska i ponawiała prośby, by caryca rosyjska Elżbieta co rychło wojska swe wysłała. Sojusz austriacko-rosyjski wesprzeć miał nieudolne dotychczas braterstwo broni austriacko-francuskiej. Istotnie, wojska rosyjskie niebawem wkroczyły do Prus Wschodnich i przeszły przez Polskę w marszu po zwycięskie laury na Śląsk. Następcą kardynała de Bernis na stanowisku ministra spraw zagranicznych został dotychczasowy ambasador Francji w Wiedniu Etienne François de Stainville. Wraz z nominacją na ministra spraw zagranicznych otrzymał tytuł diuka de Choiseul i pod tym nazwiskiem przeszedł do historii. Był rzecznikiem sojuszu francusko-austriackiego i zarazem utrzymania w mocy paktu familijnego, a tym samym stworzenia silnego bloku przeciw Anglii i Prusom. Myślał jednak przede wszystkim o zagrożeniu Francji w jej posiadłościach kolonialnych. Szczególnie niebezpieczna i godna wsparcia była walka o Antyle. Gdyby nawet książę de Choiseul pragnął wszczęcia rokowań z Anglią, nie miałyby one żadnych szans wobec nieprzejednanego stanowiska premiera Williama Pitta, zawziętego wroga Francji, budowniczego pierwszego imperium kolonialnego Wielkiej Brytanii. Wojna

miała więc dwa wyraźne oblicza. Rywalizację na śmierć i życie między dwiema morskimi i kolonialnymi potęgami oraz zmagania dwu państw niemieckich o przewagę i przewodnictwo w ramach Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego. O tym rozstrzygnąć miała przedłużająca się wojna, jakkolwiek każdy z partnerów i kontrpartnerów chętnie by do rokowań przystąpił, ale pilnie strzeżony szantażem wojennym lub dyplomatycznym nie zdołał się z matni wywinąć. Jedynym państwem, o którym powiedzieć można, iż odniosło bezsporny sukces, była Wielka Brytania, ale i ona w ostatniej fazie wojny musiała zadowolić się kompromisem.

A cóż Ludwik XV, absolutny władca najpotężniejszego państwa w Europie. Jak reagował na klęski zewnętrzne i brak poparcia ze strony społeczeństwa? Określano go przymiotnikiem *impénétrable* lub *indéfinissable*, nieodgadnionego. Wojna wymagała szybkich decyzji i oczywiście możliwości ich wykonania. Przegrana Francji wróżyły już lata poprzednie, gdy po długiej i uciążliwej wojnie sukcesyjnej austriackiej trzeba było leczyć rany, zapobiec deficytowi skarbu, tworzyć armię i marynarkę. Rosła fala krytyki monarchii absolutnej, zarówno w salonach, jak i w parlamencie paryskim. Nie godzono się na nadzwyczajne podatki, koncepcja lansowania wysoko oprocentowanych pożyczek upadła również. Sugestię dobrowolnej ofiary na rzecz wojny odrzucił także Kościół, zasłaniając się swymi odwiecznymi uprawnieniami. Sprzeciw parlamentu i Kościoła oraz wieści o rozruchach na ulicach Paryża zmusiły króla do rezygnacji z rygorystycznych zarządzeń. Francja rozpoczęła wojnę z zadłużonym skarbem i z niedostatecznie zrekonstruowaną armią i marynarką. W tych warunkach niełatwo było ustalić priorytet wydatków. Równie trudno było odmówić wojsku wypłaty, jak dworakom pensji czy faworycie spełnienia jej gustownych i kosztownych zachcianek. Doszło do tego, że król oddał do mennicy własne srebra stołowe, by kruszec ten przetopić na monetę. Wzywał też innych możnych do pójścia jego śladem. Podobnie postąpili pani de Pompadour, marszałek Belle-Isle, książę de Choiseul i inni ministrowie, dostojnicy dworu i książęta. Król codziennie otrzymywał listę nazwisk osób, które tę ofiarę złożyły. Wstyd było nie znaleźć się na niej. Był to jednak raczej gest niż prawdziwy ratunek, ale na pewno suma zebrała się niebagatelna. Ta ofiara ze srebrnej zastawy przyczyniła się do rozpowszechnienia stołowej porcelany, która za przykładem dworu królewskiego zdobiła stoły zamożnych rodzin i wyparła definitywnie srebrne talerze, półmiski, miski i miseczki. Nawet ci, którzy srebro nie oddali, woleli je ukryć i iść za modą dworską. Nie wypadało już jadać na srebrnych talerzach, skoro król zadowalał się porcelaną. Nie tylko pustki

w skarbie utrudniały skuteczne prowadzenie wojny i spraw państwowych. W warunkach wojennych rządy muszą być zdecydowane i skupione wokół głowy państwa. Ludwik XV, choć regularnie brał udział w zebraniach Wielkiej Rady, pozostawiał ministrom znaczną swobodę w ich resortach. Każdy z nich był u siebie absolutnym panem, nie liczył się z potrzebami innych resortów, starał się zagarnąć jak najwięcej dla siebie. Każdy z nich, a byli to często ludzie słabego charakteru, związany był z jedną z dworskich koterii, rozgrywał partykularne, jednostkowe sprawy – Ludwik XV im nie ufał. Starał się rozciągnąć nad nimi kontrolę, działał nieraz ponad ich głowami i bez ich wiedzy. Niejednokrotnie zmieniał ministrów. Jeden z dworskich dygnitarzy – Henault, prezydent paryskiego parlamentu – w pamiętnikach swych porównywał tę zmianę ról do scen zmieniających się w operze. W toku wojny siedmioletniej nastąpiła czterokrotna wymiana ministra wojny i pięciokrotna ministra marynarki. Metoda niełaski pogłębiała trudności i wywoływała antagonizmy personalne między ludźmi odpowiedzialnymi za losy państwa. „Król chciał pracować bezpośrednio ze swymi ministrami – pisał w swych wspomnieniach złośliwy adwersarz Fryderyk II. – Jego zapał wygasał w ciągu kilku dni i Francja była rządzona przez czterech mniejszych królików, niezależnych jeden od drugiego. Tak mieszany rząd mógł załatwić pomyślnie drobne sprawy w poszczególnych wydziałach, ale spojrzenia ogólnego, które obejmuje całość dobra państwa i jego interesy, brakowało tej Radzie”.

A jednak horyzonty polityczne Ludwika XV nie były bynajmniej ani ciasne, ani krótkowzroczne. On pierwszy dostrzegł, iż pokój europejski zależy od pojednania dwu antagonistów – Habsburgów i Burbonów – i zdawał sobie sprawę, że podtrzymywanie tego konfliktu leży w interesie potęg trzecich, przede wszystkim Wielkiej Brytanii i młodego królestwa Prus, które dało już dowody niezwyklej agresji. Dążył do utrzymania zwartego bloku pojednanych rywali paktem familijnym, związanych także z monarchią hiszpańską i jej posiadłościami w Europie i w świecie. Ten blok mógłby utrzymać równowagę również wobec Wielkiej Brytanii i jej ekspansji morskiej oraz kolonialnej. Szybkie i zdecydowane działanie Fryderyka II w pierwszym roku wojny plany te załamało, co więcej, umożliwiło Wielkiej Brytanii rozpoczęcie działań wojennych na morzu i w koloniach w najbardziej dogodnej chwili, to jest klęski oręża francuskiego.

Od Anglii szło śmiertelne dla Francji niebezpieczeństwo. Toteż Choiseul, za zgodą króla, doprowadził do ograniczenia zobowiązań militarnych i finansowych wobec Austrii.

Scenariusz wojenny na froncie za Renem z roku na rok powtarzał się. Armie francuska i sojusznicze zmierzały do otoczenia

wojsk pruskich, a Fryderyk II, żonglując między nimi, rozbijał lub zmuszał do odwrotu każdą z osobna, zanim zdążyły wypracować taktykę współdziałania. Król w polu, jako naczelny strateg i jednocześnie szef państwa, mógł oczywiście sprawniej prowadzić wojnę niż nakręcana w Wersalu ociężała machina administracyjna scentralizowanego państwa francuskiego. Dowódcy armii podporządkowani byli ministrowi wojny, a był nim marszałek Belle-Isle, niezbyt fortunny wódz w poprzedniej wojnie. Wymagał od podległych mu marszałków podporządkowania się jego planom strategicznym i rozkazom z Wersalu.

Ludwik XV bezpośrednio reagował rzadko i równie rzadko słał odręczne listy i rozkazy do dowódców. Czynił to jednak w sposób kategoryczny i rozkazy jego nie mogły podlegać krytyce. Hrabie de Clermont (prawnuk wielkiego Kondeusza) zabronił dalszego wycofywania wojsk, gdy ten dowódca usiłował ratować resztki armii Renu odwrotem za rzekę (1758). Rozkaz nie został wykonany i marszałek po kilku miesiącach dowodzenia otrzymał dymisję. Dymisja spotkała również jego następcę, markiza Louis-Georges de Contades. Najbardziej utalentowanym wodzem w tej wojnie był marszałek Victor François de Broglie. Przez dwa lata był naczelnym wodzem. Osiągnął znaczne sukcesy w kampanii za Renem (bitwa pod Corbach 11 czerwca 1760), w walce z wojskami hanowerskimi i okupował Hesję. Nie doszło jednak do zgodnego współdziałania z armią południową marszałka Soubise, a wynikiem tego nieporozumienia była przegrana pod Filingshausen (15 czerwca 1761). Fryderyk II, choć śmiertelnie ugodzony przez wojska rosyjskie, potrafił się jeszcze odegrać. Za tę porażkę książe de Broglie otrzymał dymisję. Oto treść królewskiego pisma: „Mój kuzynie, osądzisz, iż intencje twego działania i memoriał o wydarzeniach ostatniej kampanii nie są zgodne z dobrem w mojej służbie i stanowią zły przykład w moim królestwie, wyrażam moje niezadowolenie pozbawiając Cię dowództwa w prowincji Alzacji i nakazuję ci oddalić się do posiadłości w Broglie i tam czekać na nowe rozkazy”. Wojnę kończyli dwaj dowódcy, marszałek d'Estrées, jako wódz armii dolnego Renu i marszałek Soubise, niefortunny wódz w pierwszej wielkiej klęsce pod Rosbach. Chroniła go protekcja pani de Pompadour, ale też wytrwałość i wcale dobre wojenne doświadczenie. W tym ostatnim roku działań wojennych na lądzie, po nieoczekiwanej klęsce austriackiej pod Torgau (3 listopada 1760) i „cudzie domu brandenburskiego”, gdy po śmierci carycy Elżbiety (1762) Piotr III odwołał z Niemiec wojska rosyjskie, wojna już tylko się tliła. Rokowania pokojowe, które towarzyszyły niemal całej wojnie, rozpoczęły się na dobre. Połączone wojska marszałka d'Estrées i marszałka Soubise z trudem tylko utrzymywały się

na zajętych terenach. Preliminarze pokojowe pozwoliły im z honorem wycofać się zza Renu.

Wojna lądowa, acz była niepomysłna, kosztowna i pochłonęła tysiące istnień ludzkich, toczyła się z dala od granic francuskich. Stopa nieprzyjacielska nie stanęła na jej terenie. Ludność nie doznała zniszczeń, które stały się udziałem ziem niemieckich. Dla nich wojna była prawdziwą katastrofą i klęską elementarną. Armia francuska była zawsze w ofensywie, a gdy się cofała, nie wpuściła przeciwnika poza granice własnego państwa. Bilans wojny lądowej był wprawdzie niekorzystny, tragiczny dla *ancien regime*'u, niemniej jednak społeczeństwo francuskie w swej masie nie doznało skutków wojennej pożogi. Również pokój nie uszczuplił francuskich granic. Rozwiały się jednak ponownie złudne perspektywy oparcia granicy na Renie poprzez uzyskanie obiecywanych przez Marię Teresę Niderlandów. Również i ona wyrzec się musiała nadziei na odzyskanie Śląska.

Znacznie gorzej przedstawiał się bilans wojny z Wielką Brytanią, wojny rozgrywanej na morzu, u wybrzeży i na obu półkuliach. Francja niezdolna była prowadzić działania na tyłu tak rozległych frontach z morskim przeciwnikiem. Nie można jednak mniemać, iż nie podjęto przygotowań do tej rozgrywki. Marynarka wojenna, po dymisji ministra J.F. Maurepasa, została w miarę możliwości finansowych zrekonstruowana, dzięki energii i pomysłowości jego następcy Jean Baptiste d'Arnouville Machault. Flocie tej zabrakło jednak admirała i zdolnego dowódcy. Niemniej plan wojny był opracowany. Do Kanady popłynął (1756) dwutysięczny korpus wojsk desantowych w celu obrony tej prowincji i wsparcia miejscowych załóg. Podobnie cztery tysiące żołnierzy wysłano w kierunku Pondichery (1759), głównej bazy strategicznej Francji w Indiach. W połączeniu z 1600 ludźmi, którymi dysponował pełnomocnik Kompanii Wschodnioindyjskiej, siły te przewyższały znacznie liczebność wojsk gubernatora Dupleix, który tak znakomicie uratował pozycję Francji w Indiach w poprzedniej wojnie. I znów wzajemna niechęć między dowódcami, nietakty wobec ludności tubylczej, wreszcie chybiona próba zajęcia Madrasu, wywołały powszechną reakcję przeciw Francuzom, a poparcie dla Anglików. Pozostałe siły zbrojne zamknęły się w Pondichery. Gubernator Thomas Arthur Lally de Tollendal przez rok bronił się w tej twierdzy, skapitulował 17 lutego 1761 roku. Dysproporcja sił francuskich i brytyjskich w Kanadzie z góry przesądzała o wyniku walki na niekorzyść Francji. Najdotkliwszą okazała się blokada portów francuskich, która uniemożliwiła dostanie posiłków i materiałów. Wprawdzie próba desantu Anglików w francuskim porcie Saint-Malo zakończyła

się fiaskiem, ale ten chwilowy sukces nie zmienił istotnego stanu rzeczy.

Dowódca wojsk francuskich w Kanadzie przez dwa lata stawiał skuteczny opór. Jednakże jego stosunki z gubernatorem Philippe Vaudreuil i intendentem Bigot nie były dobre i tu intryga i zawiść osłabiały ducha obrony. Zawzięty i zdecydowany premier Wielkiej Brytanii, William Pitt, wysłał 33 okręty z dużą ilością wojska w kierunku Québecu od strony zatoki Świętego Wawrzyńca, przez jezioro Champlain i rzekę Ohio. Pierwsze poniosły porażkę w starciu z Montcalmem. Padły natomiast francuskie forty Louisbourg, Frontenack i Duquesne (1758). 13 września 1759 kapitulował Québec. W trakcie rozpaczliwej obrony zginął jego bohaterski dowódca Montcalm. Rok potem Anglicy zajęli Montreal. Kanada była stracona. W chwili gdy tekę ministra spraw zagranicznych obejmował były ambasador Etienne François de Choiseul, wojna jeszcze trwała. Nie zamierzał on tak łatwo kapitulować. Strat jednak odrobić się nie udało. Francuzi stracili w czasie wojny zbyt wiele jednostek morskich. Kolejne próby zaskoczenia Anglików czy też wywołanie dywersji w Irlandii nie powiodły się. Również Anglicy zmęczeni byli nadmiarem sukcesów, które kosztowały ich bardzo drogo, a nawet wywołały opozycję we własnym kraju. Wojowniczy William Pitt ustąpił. Miejsce premiera zajął faworyt młodego króla Jerzego II, lord Bute. Anglia okazała się skłonna do rokowań, a nawet kompromisu. O rokowaniach marzyła także zdesperowana i zrezygnowana Maria Teresa. Jej zawzięty wróg Fryderyk II gonił też ostatkami, ale wiedział, że Śląska nikt mu nie odbierze.

Negocjacje pokojowe odbywały się w dwóch niejako turach, w Paryżu między Francją, Anglią i Hiszpanią i w Hubertsburgu, na terenie Saksonii, między Austrią, Prusami i Saksonią. Francja straciła obszary kolonialne: Kanadę, Senegal (bez Gorei), Indie prócz pięciu faktorii, odstępowała Hiszpanii Luizjanę w zamian zrzeczenia się przez nią Florydy. Byłyby to istotnie straszliwe straty, gdyby rzeczywiście przywiązywano do nich taką miarę, jak to dziś nam się wydaje. W oczach przeciętnego Francuza nie były to ubytki tak bardzo dotkliwe, wszak Kanada nie wabiła osadników. Jej klimat zrażał poszukiwaczy lepszego jutra, Luizjana była jeszcze nie znana. Dla francuskich kupców i francuskiej burżuazji znacznie większą wartość przedstawiały „słodkie wyspy” Indii Zachodnich, a te zostały uratowane dla Francji. Wynegocjowano także prawo połowów przy brzegach Kanady i Funlandii, pięć faktorii kupieckich w Indiach pozostało w rękach francuskich kompanii na stałe (dopiero w latach 1952–54 zostały one włączone do imperium Indii). Następstwem pokoju było także wzmocnienie, zachwia-

nego w toku wojny, paktu familijnego między domami burbońskimi o wzajemnej solidarności, pomocy i współpracy gospodarczej.

„Pokój, który właśnie zawarliśmy – pisał Ludwik XV – nie jest ani dobry, ani chwalebny. Nikt tego lepiej nie odczuwa aniżeli ja sam, ale w tych nieszczęśliwych okolicznościach nie mógł być lepszy i zapewniam pana, że gdybyśmy kontynuowali wojnę, pokój w przyszłym roku byłby jeszcze gorszy”.

Choiseul mógł sobie pogratulować, że wojny tak zupełnie nie przegrał, a w każdym razie Anglików wyprowadził nieco w pole. Opinia francuska łatwo przyjęła utratę Kanady. Wtórował jej chór oświeconych filozofów z Wolterem na czele. Niejednokrotnie wyrażał on negatywne opinie o przydatności tego odległego kraju, skutego śniegiem i lodem przez większą część roku. Obiegowe stało się jego powiedzenie: „Francja może być szczęśliwa bez Québecu”.

XI. Królobójca Damiens

5 stycznia 1757 roku dwór przebywał w Trianon. W pałacu wersalskim pozostała jedynie córka Madame Victoria, której ostre przeziębienie nie pozwalało opuszczać łóżka. Król, zaniepokojony o zdrowie córki, postanowił ją odwiedzić i dość niespodziewanie, z małą świtą, zjawił się po południu w Wersalu. Pojazdy miały nakaz oczekiwania na dziedzińcu marmurowym. O godzinie szóstej król pożegnał córkę i przez pokój straży opuścił pałac. Było już ciemno. Monarchę poprzedzali dwaj strażnicy z pochodniami. Towarzyszył mu delfin. Za królem podążali: pierwszy marszałek królewskiego domu książę Richelieu i komendant straży książę d'Ayen de Noailles. Zwyczajem ustalonym, królewska straż ustawiła się szpalerem w przejściu między odrzwiami a karetą. W tym momencie z ciemności wyłonił się jakiś osobnik. Przedarł się przez szpaler straży, chwycił króla za ramię i z całej siły pchnął nożem w prawy bok. Po czym usiłował wydostać się tym samym przejściem. Król zawołał do księcia d'Ayen, iż jest uderzony i wskazał napastnika, wydając rozkaz, by go wziąć pod straż i nie zabijać. Król był przekonany, że cios zadany był pięścią. Gdy jednak przez szaty dotknął miejsca uderzenia, poczuł ciepło sączącej się krwi i ręka była nią zbroczona. Wśród powszechnej konsternacji, wszyscy po trochu potracili głowy. Zimną krew, o dziwo, zachował sam król. Nie pozwolił, by go wnoszono po schodach, lecz o własnych siłach przebył kręte schody prowadzące do jego sypialni. Tam dopiero zasnął. Posłano po medyków. Służba królewska przebywała w Trianon, królewskie łóżce nie było zasłane. Ułożono go na materacu i jako tako opatrzono. Wobec chwilowej nieobecności w Wersalu królewskiego spowiednika, ojca Desmareta, wezwano innego kapelana dworu, ojca Soldiniego. Ludwik XV zdołał odbyć z nim krótką spowiedź, prosił o święte oleje, po czym stracił przytomność. Dopiero wtedy nadbiegł medyk delfina Prudent Havin, a niebawem sprowadzeni z Trianon medycy królewscy, Germain de La Martinière i Senac Jean Baptiste. Ocenili głębokość rany, stwierdzili, że organy wewnętrzne nie zostały naruszone, ostrze nie było zatrute, mogli więc zapowiedzieć, że rana zagoi się niedługo. Cios zadany królowi okazał się niegroźny, gdyż ostrze przez grubą, zimową odzież nie zdołało wejść głęboko między żebra. Groźne jednak pociągnął skutki przede wszystkim dla głównych aktorów tragedii: króla i zamachowca, a pośrednio i całego systemu monarchicznego.

Wstrząs był ogromny, a wyrazem tego jest wymowa informacji płynącej przez prasę, oficjalne dokumenty i relacje świadków.

Od dnia zamachu sprawa zajmowała w prasie czołowe miejsce. Charakteryzowano osobę królobójcy, zohydzano jego czyn i niskie pobudki zbrodni, informowano o stanie zdrowia króla i wynikach prowadzonego śledztwa. Społeczeństwo Paryża i całej Francji otrzymywało we wszystkich mutacjach prasowych codzienną dawkę wiadomości, które pogłębiały wzruszenie, utrwały w pamięci to wydarzenie, budzić mogły zarówno ciekawość, jak i refleksje.

Ustalono, że zamachowiec nazywał się Robert François Damiens. Jego długi proces przesłuchań i oskarżeń stał się tematem dnia, a przerażająca egzekucja skazańca, wielkim, otwartym widowiskiem. Dominowało potępienie sprawcy, nazywano go ojcobójcą. Doszukiwano się dalszych sprężyn, które jego ręką kierowały. Głosy w obronie zamachowca były ścigane i wy-ciszane, ale i takich nie brakło. Zamach uświadomił społeczeństwu, iż zaszło coś niezwykłego, coś przełomowego. W wielkiej monarchii nastąpiło pęknięcie i nieodwracalne mogły być tego skutki.

Zamach skierowany przeciw królowi uderzył w monarchię absolutną, wystawiał ją na ciężką próbę. Sam król nie od razu zdawał sobie sprawę z konsekwencji zbrodniczego czynu. Pierwszą jego reakcją po odzyskaniu świadomości i otrzymaniu informacji o sprawcy zamachu było zaskoczenie, gorycz i poczucie niezawinionej krzywdy. „Dlaczego to uczynił, przecież nie wyrządziłem mu niczego złego”. Ludwik XV – *Le Bien-Aimé* (Ukochany) zetknął się z brutalną rzeczywistością, przekonał się, że mógł być znieawidzony.

Więść o zamachu rozeszła się błyskawicznie. O dziewiątej wieczorem powiadomione zostały władze miasta Paryża i parlamentu. Już nazajutrz informacja znalazła się w doniesieniach prasowych. Wszystkie spektakle zostały tego dnia odwołane, a w kościele zarządzono 40-godzinne nabożeństwo. Zapanowała konsternacja, niepokój, wyczekiwanie. Nie wiedziano jeszcze, czy życiu króla nie zagraża niebezpieczeństwo. Pierwsze kilkanaście godzin miały o tym zadecydować. Wyczerpany upływem krwi i przeżytym szokiem Ludwik XV czuł nadchodzącą śmierć. Przywołał żonę, delfina i córki. Żegnał się z nimi, prosił o przebaczenie i modlitwę. Zwracając się do otoczenia i wskazując na syna, rzekł: „Jestem szczęśliwy, wiedząc, że odąd królestwo otrzyma dobrego władcę”. Lekarze na wszelki wypadek puścili mu dwukrotnie krew, wywołując tym dalsze osłabienie. Do ataku ruszyła grupa dewotów, jezuiti i wrogowie pani de Pompadour. Chcieli przekonać króla, że dla jego zbawienia i szczęścia Francji wyjazd faworyty jest konieczny. Dowodzili, że nie może pogodzić się z Bogiem, póki jego życie osobiste budzi zgorzsenie i niepokój Francji. Niewiele brakowało, aby po-

dobnie jak w Metz rozegrała się scena odepchnięcia przez króla kochanki. Przed pałacem zgromadziła się ludność Wersalu, wzywając na cześć uratowanego króla i złorzeczając pani de Pompadour: *Vive le Roi. Mort, a la Pompadour* (Niech żyje król, śmierć dla Pompadour). W tę intrygę dworsko-jezuicką zaangażowali się również główni ministrowie Rady Królewskiej – Machault i d'Argenson. Tym posunięciem kompromitowali się jako mężowie stanu i politycy. Do nowego triumfu partii dewotów nie doszło, gdyż król z dnia na dzień czuł się lepiej i nie zgodził się na odsunięcie swej przyjaciółki. Natomiast wierni mu dotychczas ministrowie, którzy wplątali się w intrygi dworskie, stracili jego zaufanie i niebawem swe stanowiska.

Groza, która zawisła nad królem i Francją, trwała krótko. Już na trzeci dzień po zamachu król nie miał gorączki, 8 stycznia lekarze przestali wydawać codzienny biuletyn o stanie jego zdrowia. 9 stycznia pojawiła się w prasie wiadomość o pomyślnym skutku zaaplikowanej królowi lewatywy. Tego dnia, a była to niedziela, król uczestniczył we mszy św. i spotkał się ze swą Radą.

W Paryżu wznowiono teatralne spektakle. Pierwsi dostojnicy państwa i arystokracji przybywali do Wersalu, by królowi złożyć powinszowania z okazji cudownego ocalenia. 10 stycznia w wielkiej sali audiencyjnej Ludwik XV w łożu swego pradziada przyjmował nuncjusza papieskiego i korpus dyplomatyczny. 11 stycznia król odziany w szlafrok spożywał publicznie obiad. Przez te i następne dni przewijały się przez pokoje audiencyjne delegacje parlamentów prowincjonalnych, zagraniczne posłowie i dworskie damy. 12 stycznia król całkowicie ubrany zasiadł do pracy wraz z Radą Królewską. Zdecydował się wprowadzić do Rady swego syna, który po raz pierwszy uczestniczył w niej 13 stycznia. Delfin liczył już 30 lat i na ogół stronił od spraw państwowych. On to objąć miał dziedzictwo w razie nagłej, a niespodziewanej śmierci ojca. Wszak we Francji król nie umierał. Następca musi być przygotowany do powinności stanu. Jak wielkiego wstrząsu trzeba było doznać, by się o tym przekonać. Wiemy, że delfin nie przeżył ojca, i że dopiero jego syn w młodocianym wieku, obejmie tron po dziadku, również nie przygotowany do czekającej go funkcji.

Król powracał do zdrowia i dawnego trybu życia. Odnalazł znów rozrywkę i przyjemność w łowach. Prasa odnotowała ten fakt skrupulatnie: Król znowu chętnie poluje (*Le Roi a repris le plaisir de la chasse*). 23 stycznia w okolicy Trianon upolował daniela.

A sprawca zamachu, niedoszły królobójca? Zgodnie z rozkazem królewskim obezwładniono śmiałka na dziedzińcu wersalskim i rozwścieczona straż gorliwie się nim zajęła. Poddano go wstę-

pnemu przesłuchaniu. Zaprzeczał jakoby miał współników swej zbrodni. Pochopny minister Machault d'Arnouville, wbrew wyraźnemu zakazowi króla, kazał w ogniu rozgrzać żelazo i przypalając mu boleśnie stopy próbował wymusić odpowiedzi. Nie na wiele się to przydało. Zamachowiec trwał w oporze i odmawiał zeznań. Odtąd nie mógł już stanąć na własnych nogach i dlatego wszystkie ilustracje i ryciny przedstawiają groźnego złoczyńcę w pozycji leżącej, zakutego w łańcuchy opasujące jego nosze. Miałże by to być fanatyk działający w pojedynkę, bez współników i inspiratorów zbrodni? Już nazajutrz pojawiły się w prasie komentarze nawiązujące do poprzednich królobójców, sfanatyzowanych jednostek (Clementa, zabójcy Henryka III, i Ravaillica, zabójcy Henryka IV). François Damiens miał lat 42. Pochodził z ubogiej rodziny, pracował jako służący w prowincjonalnym mieście. Okradł swego pana, zbiegł i przebywał w Paryżu bez zatrudnienia i stałego zamieszkania.

Więści o zamachu na Ludwika XV i pierwsze informacje o zabójcy i podjętym śledztwie rozeszły się po całej Francji i Europie. 10 stycznia wieść dotarła do Hagi, 13 stycznia do córki królewskiej, księżnej Parmy, i tam odwołane zostały wszelkie spektakle i imprezy rozrywkowe, podobnie było w Madrycie (14 stycznia). W Warszawie dowiedziano się o zamachu 15 stycznia, acz w prasie informacja pojawiła się nieco później. Specjalny kurier przybył do Petersburga ze złowieszczą wiadomością 28 stycznia. W miarę jak fatalną wiadomość łagodziły informacje o szybkim powrocie do zdrowia monarchy, napływały do Wersalu listy i gratulacje z powodu jego ocalenia, wyrazy współczucia i wierności. W Wersalu pojawili się specjaliści posłowie wiozący od swych dworów życzenia i wyrazy ubolewania. Przybywały również delegacje z różnych miast i prowincji Francji.

W przeciwieństwie do zbrodni królobójstwa dokonanych przez Jacquesa Clementa (Henryk III – 1589) czy przez François Ravaillica (Henryk IV – 1610), cios zadany Ludwikowi XV nie był śmiertelny. Królobójstwa nie było. Zamachowiec okazał się fuszerem, a być może wcale nie chciał zgładzić monarchy, lecz tylko go ostrzec. Wolter minimalizował próbę zamachu, pokpiwając, że nóż zamachowca był akurat dobry do temperowania gęsiego pióra. Ponura wymowa jego czynu przyniosła królowi zamierzony sukces. Na pewien czas stał się znów najpopularniejszą osobą w państwie, ojcem narodu, królem umiłowanym (*Le Bien-Aimé*). Groza czynu zamachowca, targnięcie się brutalne na życie Pomazańca Bożego podniosły prestiż monarchy, zjednoczyły naród wokół niego. Zamilkła opozycja. Członkowie paryskiego parlamentu natychmiast pośpieszyli złożyć w Wersalu wyrazy ubolewania z powodu zamachu i zapewnić o gotowości przeprowadzenia procesu. Gdy Ludwikowi XV gratulo-

wano, iż rana nie jest głęboka, odpowiedział rozmówcy: „Jest głębsza, niż Pan sądzi, gdyż sięga samego serca”. W kościołach paliły się świece i płynęły nieustanne modły o zdrowie króla i pomstę Bożą. A gdy król wyzdrowiał, w katedrze Notre Dame wśród zgromadzonych tłumów bił pod niebo dziękczynny hymn *Te Deum*. Podobnie działo się w całej Francji. Nie mniej żywe i spontaniczne były reakcje z zagranicy. Naprzód przerażenie i potępienie, potem radość z ocalenia. Gazety rozpisywały się o tych reakcjach głów koronowanych, o ich oburzeniu, współczuciu. W doniesieniach prasowych polską opinię reprezentował nie dwór, lecz polska elita. „Wystarczy znać jej poglądy... by zrozumieć, że była wstrząśnięta tą wiadomością” – donosił serwis zagraniczny gazety. 2 marca Ludwik XV udzielił audyencji nadzwyczajnemu posłowi króla polskiego.

O, paradoksie, zamachowiec Damiens oddał znaczną przysługę królowi i monarchii, na czas jakiś podniósł nadwerżony prestiż osoby króla. Zewsząd pytano, kto kierował ręką, która podniosła się na majestat królewski. W kieszeni Damiensa znaleziono trzydzieści kilka ludwików, co po dokonanej kradzieży mogło stanowić cały jego ruchomy majątek. Kapelusze jego oznaczony był cyfrą jeden i mógł sugerować, że zamachowców było więcej. Nic jednak nie wskazywało na to, by miał w Paryżu współników czy zleceniodawców. A jednak opinia publiczna, a także sam król, byli przekonani, że zamach był wynikiem spisku.

Francja była w tym czasie poruszona – wewnętrznymi sporami, antywojenną propagandą, łzami i rozpaczą podatników. Państwo wkraczało w nową wojnę. Armie ciągnęły nad Ren i w kierunku frontu południowego. Dochodziły już wieści o wojennych triumfach Fryderyka II. Wojna była niepopularna i niechciana. Skarb wyczerpany. Król domagał się podwójnego podatku powszechnego. Parlament paryski odmówił zarejestrowania królewskich dekretów podatkowych i ponownie wszedł w otwarty konflikt z królem. Wszak niedawno wydalony został do Pontoise i po dłuższym oddaleniu powrócił w roku 1754. Konflikt o podatki wzmógł atak francuskiego episkopatu i jezuitów na jansenistów. Janseniści, których intelektualna doktryna teologiczna przekształcała się z czasem w populistyczny ruch ludowy, sekundujący parlamentarnej opozycji, byli odłączeni od Kościoła obowiązującą nadal bullą papieską *Unigenitus*. W obronie jansenistów opowiedział się parlament. Ludwik XV, daleki od nietolerancji religijnej, chciał jednak uniknąć, przynajmniej do czasu, konfliktu z Kościołem, nie chciał też wywołać nowej wojny z parlamentem. Wyżalał się jednemu ze swych doradców: „Parlament i kler walczą stale na noże. Doprowadzają mnie do rozpaczy przez swe kłótnie. Ale większą niechęć budzą we mnie togi parlamentarne. Mój kler w gruncie rzeczy jest

bardziej przywiązany i wierny. Tamci chcieliby mnie wziąć pod kuratelę... Doprowadzić do zguby państwa. To jest zgromadzenie republikańskie”. Ci dziedziczni wielmoże spośród najzamożniejszych rodzin mieszczaństwa paryskiego dalecy byli wprawdzie od idei republikańskiej. Przyświecał im raczej wzór parlamentu angielskiego, w którego decyzjach leżały sprawy podatkowe i wojenne. Domagali się zatem prawa do kontroli dekretów królewskich i odwlekali ich zarejestrowanie. W sytuacji, gdy wojna wymagała dodatkowych wysiłków, parlament paraliżował królewskie poczynania, działał na szkodę państwa. Ludwik XV był szczerze przekonany, że konstrukcja państwa, którą jego dziadowie wzniesli, jest doskonała i naruszać jej nie trzeba. Miejsce zaś i rola króla są wyraźnie i prawidłowo określone. Jemu należy się bezwzględne posłuszeństwo. W obliczu trudności król zmieniał ministrów, zawieszał inwestycje budowlane, ograniczał wydatki dworu w przekonaniu, że tym pobudzi patriotyzm i da przykład innym. Żądał posłuszeństwa zarówno od stróży wymiaru sprawiedliwości, jak i od duchowieństwa. Celu nie osiągnął. Autorytet jego malał, tracił dawną popularność i szacunek. Szemrano już głośno.

Minister i pamiętnikarz d'Argenson zanotował w swym dzienniku pod datą 1 stycznia 1757 roku: „Lud trwa w niemych gniewie. I niech nikt nie myśli, iż brak wielorakich kanałów do przekazywania w masę ducha oporu, iż nie rośnie głuche niezadowolenie wobec dworu, nie ukrywana wściekłość przeciw chciwości poborców skarbowych, otwarty bunt przeciw intendentom, zazdrość, bieda, głód...”

Pięć dni później zamachowiec podniósł rękę na królewski majestat. W protokole sporządzonym z pierwszego przesłuchania Damiens wyznał: „Tak, to ja! Uczyniłem to dla Boga i dla ludu... dla religii. – Cóż przez to chcesz powiedzieć – padło pytanie. – Rozumiem, że lud ginie. Czyż to nieprawda, że Francja ginie?” Pytany, w imię jakiej zasady religijnej popełnił swój czyn, odpowiedział: „Moją zasadą jest nędza, która jest udziałem trzech czwartych królestwa”. W kolejnych zeznaniach i w liście napisanym do króla za namową jednego z ludzi ze straży, powoływał się na autorytet kilku członków parlamentu, znanych ze swych wystąpień przeciw uciskowi podatkowemu. Wobec uporczywego powtarzania tych samych zeznań, ślad spisku ginął, pozostawały domysły, pogłoski, domniemania, co miało swój wpływ na dalszy przebieg śledztwa. Wspólników nie znaleziono, a jednak opinia publiczna trwała w przekonaniu, że ręką zamachowca kierowali zakamuflowani spiskowcy. Jedni widzieli w tym rękę jezuitów, inni jansenistów, wreszcie byli i tacy, którzy w łonie samego parlamentu paryskiego dostrzegali niebezpiecznych podżegaczy.

Gniew ludu spontanicznie obrócił się przeciw jezuitom. Ich kolegium obległy rozkrzyczane tłumy, na murach klasztornych pojawiły się plakaty i obelżywe zarzuty. Rodzice pośpiesznie zabierali swych synów z kolegium. Zakonnicy zażądali ochrony wojskowej. Rozpętanie przeciw jezuitom podejrzania i reakcja tłumy przyczyniły się walnie do ich upadku, który nastąpił po pięciu latach.

Inne podejrzania skierowane były pod adresem parlamentu. Na ten ślad prowadziły zeznania samego sprawcy i nazwiska parlamentarzystów wymienione w jego liście do króla. W liście tym zamachowiec ostrzegał króla przed możliwością ponownego zamachu i niebezpieczeństwem, które zawisło również nad delfinem. Insynuacje pod adresem parlamentu wywołały poruszenie wśród jego członków, gwałtowne z ich strony protesty i próby przerzucenia odpowiedzialności na równie gorąco protestujących jezuitów, ci zaś z kolei pomawiali swych wrogów – jansenistów i filozofów. W atmosferze wzajemnych podejrzeń, pomówień i spontanicznych reakcji paryskiej ulicy najlepszym wyjściem było pozbyć się co rychlej śmiałka, uznać go za wyrzutka społeczeństwa, zbrodniarza działającego w pojedynkę, bez rozeznania i zastosować wobec niego surowy wyrok. Sędziowie parlamentu paryskiego zabiegali gorliwie o przekazanie im więźnia w celu przeprowadzenia procesu przed Najwyższym Trybunałem Sprawiedliwości. Nieszczęśnik, zmaltratowany już dostatecznie w areszcie Wersalu, przekazany został 17 stycznia w ręce Najwyższego Trybunału. Los jego był przesądzony. Przebywał odtąd pod ścisłą strażą w kazamatach Pałacu Sprawiedliwości, w ponurym zakamarku więzienia Conciergerie, zwanym wieżą Montgomery'ego. Było to najściślejsze odosobnienie, przeznaczone dla zbrodniarzy stanu. W okresie Rewolucji, po ścięciu Ludwika XVI, przebywała w tej wieży królowa Maria Antonina i stąd wyruszyła w więziennym wózku na swą ostatnią drogę pod gilotynę.

Czy Damiens istotnie działał w pojedynkę – tego nie dowiemy się już nigdy. Opublikowane po egzekucji na rozkaz króla akta procesu dowodzą, iż Damiens współników nie miał i czyn swój brał wyłącznym na siebie. Dowodzą również, iż był człowiekiem w pełni rozumu, a w chwilach, gdy mniej cierpiał, potrafił nawet dowcipkować i celnymi powiedzonkami wprowadzać w zakłopotanie strażników i sędziów. Samo narzędzie zbrodni, rodzaj scyzoryka o dwu ostrzach, tylko w sprzyjających okolicznościach mogło zadać cios śmiertelny. Odzienie zimowe króla stanowiło bowiem dostateczną ochronę. Gdyby więc zamach był dobrze przygotowany i obmyślony przez spiskowców, tego rodzaju okoliczności byłyby przewidziane, a narzędzie zbrodni bardziej skuteczne.

A jednak procedura śledztwa ciągnęła się długo i opinia publiczna, karmiąc się co dzień okruchami toczących się przestępstw, długo wyczekiwała na ich finał. I znów powstaje pytanie. Po co przeciągano tę tak oczywistą i z góry przesądzoną sprawę? Zamachowiec musiał zginąć, gdyż każdy inny wymiar kary zmniejszyłby jego winę, a tym samym ocalenie króla nie wyglądałoby tak patetycznie. Musiał zginąć tak, jak we Francji ginęli królobójcy, choć od ostatniego królobójstwa upłynęło blisko 150 lat i nad Europą zabłyśły światła racjonalizmu, tolerancji, humanitaryzmu. Musiał zginąć, gdyż zachowanie jego życia dałoby szansę ponownego rozpatrywania wątpliwych jego zeznań i znów rodziłaby się możliwość poszukiwania domniemyanych współników, inspiratorów. Zgładzenie Damiensa to finał dla każdej ze stron nieunikniony i oczekiwany. Wyrok musiał też dokonać się w majestacie prawa, po kolejnych przesłuchaniach świadków, wyłączeniu domniemyanych współników zbrodni, sprawdzeniu tożsamości zamachowca, zebrania o nim informacji, oględzinach narzędzi zbrodni oraz nieustannych, dręczących indagacjach. Pozwolono też nieszczęśnikowi doznać pociechy duchowej. Zbawieniem jego duszy zajął się proboszcz kościoła Świętego Pawła, przygotowywał go na pokorne przyjęcie wyroku i godną śmierć. Egzekucję jednak należało opracować, a jej regulamin był długi i skomplikowany. Damiens był człowiekiem fizycznie silnym, wytrzymałym i odpornym. Panował nad odruchami, gdy go torturowano. Wylizywał się powoli z ran, unikał gangreny. Ale codzienne niemal przesłuchania, duszne powietrze więzienne, otwarte rany na stopach oraz przebywanie w pozycji leżącej przy skuciu łoża łańcuchami powodowały powolny zanik sił i wygasanie organizmu. Dalsze przedłużanie procedury doprowadzić mogło do sytuacji, w której egzekucja okaże się niemożliwa, a oczekiwane widowisko się nie odbędzie.

Kilka dni przed ogłoszeniem wyroku, na placu de Grève rozpoczęły się przygotowania do wielkiego spektaklu, oczekiwanego niecierpliwie przez podnieconą i żądną silnych wrażeń publiczność paryską. Specjalne służby porządkowe otoczyły środek placu silną barierą, która chronić miała miejsce egzekucji od naporu ciekawskich, zapewnić porządek i zapobiec jakimkolwiek incydentom. Za ogrodzeniem wykopano głęboki dół, w którym ustawiono stos belek, drewnianych polan, przygotowano worek łatwopalnego materiału dla wzniecenia ognia. Na potężnych słupach wbitych głęboko w ziemię przymocowano w formie stołu blat czterocalowy zбитy z desek, na którym dokonać się miała krwawa ofiara. Zginąć miał człowiek, który zadał Francuzom śmiertelny cios, godząc w ich króla i ojca. Miał oddać życie własne, by przebłagać swój naród. Paryscy kaci

zwrócili się do kolegów z innych miast o pomoc w tym trudnym dla nich zadaniu.

Zjechało się ich kilku i odbywali długie fachowe narady, gdyż sprawa była niecodzienna. Nikt już nie pamiętał, jak zginął Ravvaillac, a każdy element krwawej łaźni należało przygotować ściśle według dawnych regulaminów. Nie łatwo było również dobrać odpowiednie konie, które rozerwać miały członki nieszczęśnika. W pamięci pozostało, iż przy egzekucji Ravvaillaca konie znarowiły się i trzeba było je przeprząc, a nawet pożyczyc od woźniców. Znalaziono cztery rosłe i silne rumaki, które w dniu oznaczonym zostały przyprowadzone na miejsce kaźni. Przygotowano też straszliwe narzędzia tortur, m.in. szczypcy, kolce, żelazne obręcze, ołów, siarkę. Niczego nie mogło zabraknąć w trakcie spełniania ofiary. Przy tym delikwent musiał żyć do końca. Przedwczesna jego śmierć, przed zakończeniem męczeństwa, byłaby dużym błędem w sztuce i zawodem dla publiczności, całej ceremonii zaś odebrałaby jej symboliczne, sakralne niemal znaczenie.

Ukazujący się w Warszawie „Kurier Polski” w numerze 15 z roku 1757 donosił z Paryża pod datą 24 marca: „Mówią, że sprawa Damiensa jest zakończona i że egzekucja nastąpi w poniedziałek przyszły. Na placu de Grève do tej okropnej sceny wszystkie czynią przygotowania. Ksiądz pleban od Świętego Pawła do dysponowania na śmierć złoczyńcy przeznaczony. Często się z nim widuje. Ten zaś po rozmowie z księdzem płacze ustawicznie”.

Mieszkańcy placu de Grève i okolicznych ulic przygotowywali się do widowiska, dekorując okna i balkony dywanami, makatami i stosownymi napisami. Wynajęcie pokoju z balkonem osiągnęło cenę 300 liwrów, pojedynczy stołek 12 lub 15. Równie wysokie były opłaty za dostęp do okna lub wejście na dach posesji. Informacje zawarte w pamiętnikach orientują nas w swego rodzaju giełdzie na miejscu, a nawet funkcjonowaniu procederu „koników” odsprzedających wykupione już miejsca.

Wyrok ogłoszony został po dziesiątej sesji procesu sądowego 26 marca. Czyn Damiensa określono jako zbrodnię pohańbienia majestatu boskiego i ludzkości. Egzekucja wyznaczona została na poniedziałek 28 marca („Kurier Polski” nie omylił się).

W sentencję wyroku nikt nie wątpił. Od dnia, gdy sprawę podjął najwyższy trybunał parlamentu paryskiego, wiadomo było, że Damiensa czeka los Ravvaillaca i że kara za królobójstwo wykonana będzie zgodnie z dawnym prawem i z tą samą surowością regulaminową. Gorliwi stróże prawa interpretowali, że zamach na króla był ojcobójstwem, a jednocześnie ludobójstwem, zbrodnią na całym narodzie (*Histoire de Robert François Damiens, contenant les particularités de son parricide et de son supplice*, Amsterdam 1757).

Już w przeddzień egzekucji tłumy ciągnęły w kierunku placu de Grève. Balkony zapełniły się ludźmi, uliczki prowadzące do placu były szczelnie wypełnione. Żądni spektaklu paryżanie nie szczędzili trudu i niewygód, by w oznaczonym dniu z bliska widzieć i przeżywać ten pokaz okrucieństwa. Niektórzy wdrapywali się na okoliczne drzewa, a nawet na kominy. Dwie osoby – jak zapisał naoczny świadek – spadły z tej niezwykle trybuny, raniąc się dotkliwie. Dzień zapowiadał się długi. Zaopatrzone się więc w żywność i napoje, biwakowano wesoło, oczekując na przybycie skazańca, głównego na scenie aktora. Apetyty dopisywały nawet w toku samej przedłużającej się kaźni. Wśród stłoczonej publiczności panowało podniecenie, przypominało to atmosferę odpustu, festynu ludowego czy areny. Spełnić się miało coś wielkiego, niezwykłego, spodziewano się mocnych wrażeń.

O odczuciach publiczności świadczy dochowanych 39 relacji i opisów tej straszliwej sceny – a być może było ich znacznie więcej. Są to relacje oficjalne i biuletyny prasowe oraz zapisy prywatne świadków wydarzenia, sporządzone bądź bezpośrednio pod wpływem chwili, bądź włączone do pamiętnikarskich wspomnień. We wszystkich tych relacjach powtarzają się te same elementy faktograficzne. Przebieg męczarni oddany był skrupulatnie. Reakcje skazańca również odnotowane zostały w podobny u wszystkich sposób. Trafiają się relacje dokładne niemal jak scenariusz filmu. Zawierają plastyczne szczegóły, obserwacje, refleksje. A jednak w żadnej z nich nie odnajdujemy dezaprobaty dla tej straszliwej kary, poniesionej przez zamachowca, choć niemal wszyscy byli wstrząśnięci ogromem wyrafinowanej tortury.

Odtworzmy zatem wydarzenia tego pamiętnego poniedziałku 28 marca. Zbudzony nad ranem przez strażników, Damiens powiedział do nich: „Zapowiada się trudny dzień”. Odczytano mu wyrok i raz jeszcze powiedziano przed oblicze czterech sędziów w celu nadzwyczajnego przesłuchania, co należało do procedury obowiązującej. Po czym przekazany został w ręce spowiedników. O trzeciej po południu Damiens, w więziennym, jednokonnym wózku, w towarzystwie kata, jego pomocnika i kapelanów wyruszył z więzienia Conciergerie. Wózek przystanął przed katedrą Notre Dame, gdzie Damiens złożył symboliczną ofiarę z ogromnej woskowej świecy i wypowiedział słowa pokutnego żalu za popełnienie ohydnej zbrodni ojcostwa. Po czym mały orszak wyruszył do placu de Grève. Ulice zapełnione były ciekawskimi, z okien wychylały się zewsząd głowy, sypały się epitety i złowrogie okrzyki. Podjęto nadzwyczajne środki ostrożności. Wózek skazańca otoczony był niby honorową gwardią, oddziałkiem lekko zbrojnych łuczników i konnych

oficerów. W całej dzielnicy krążyły patrole wojskowe, a brzeg Sekwany obsadzono wojskiem i strażą. Wojsko strzegło ratusza i kolegium jezuickiego, gmachów publicznych i pałaców wielmożów.

Mały orszak zatrzymał się ponownie u bram ratusza, gdzie nastąpiło jeszcze jedno spotkanie z sędziami. Przesłuchanie trwało ponad pół godziny, budząc zniecierpliwienie oczekującej na placu publiczności. Gdy więc skazaniec pojawił się na placu, powitały go złorzeczenia i wrogie nastroje. Dopiero około godziny piątej po południu rozpoczęła się właściwa egzekucja. Kaci przystąpili do wykonania trudnego zadania. Nie wiodło im się. Łatwopalna mieszanka siarki i ołowiu nie chciała się zapalić. Niełatwo też było umocować skazańca na ofiarnym stole. Miał leżeć nieruchomo, na kształt krzyża św. Andrzeja, a ruchy głowy ograniczała żelazna obroża przytwierdzona do deski. W prawą dłoń wetknięto mu narzędzie zbrodni – nożyk o dwu ostrzach. Mimo uległej postawy skazańca kaci nie okazali się dostatecznie biegli w swoim rzemiośle. I oni byli zatem współaktorami tego niezwykłego spektaklu, i ich oceniała widownia, z aktorem głównym złączyła ich w tej straszliwej godzinie więź zawodowej ambicji i lęk przed kompromitacją. Damiens miał umrzeć godnie. Kaci chcieli wykazać się mistrzostwem w swej sztuce. Musieli oczekiwać pomocy skazańca, by zachowaniem swym i reakcją ułatwić im zadanie. Odprawiali wspólne misterium śmierci i ofiary. Dobrotliwym gestem jeden z katów podał skazańcowi kubek wina.

Kara za królobójstwo była reliktem sprawiedliwości wieków średnich, była to bowiem kara za morderstwo i zbeszczeszczenie porządku przez Boga ustanowionego. Śmierć, podobnie jak z wyroku inkwizycji, musiała nastąpić na stosie ofiarnym. Ogień miał oczyścić duszę, zniszczyć fizycznie ciało. Preludium do ofiarnego stosu były wyrafinowane tortury, każda z nich o charakterze obrzędowym symbolizowała odwieczne zyczące. Zaczęto od palenia dłoni, która dzierżyła narzędzie zbrodni. Siarka z ołowiem zmieszana nie buchnęła właściwym płomieniem i dzięki temu skazaniec zniósł tę torturę bez głośnych jęków. Osmalony, szerniały kikut dłoni rozradował publiczność. Oczekiwano na dalsze sensacje. Nastąpił drugi akt karnej procedury. Rozżarzonymi do czerwoności obcęgi kaci wyrwali kolejno sutki jego piersi, a w otwarte rany wlewali żywy ogień roztopionej mieszanki. Rozległ się nieludzki krzyk, wrzask, skowyt przebijający niebo. Widzowie ostupieli, zadrżeli. Nieludzki ryk katowanej ofiary niósł się daleko po placu i ulicach. Mniej odporni zatykali uszy i zamykali oczy, a nawet mdleli. Po latach jeszcze w pamięci świadków pozostał ten nieludzki skowyt żywcem obdzieranego ze skóry i przysmażanego rozpa-

loną miksturą nieszcześnika. Damiens wytrzymał, nie zawiódł. Gdyby zmarł w trakcie tortur, spektakl zostałby uznany za nieudany. Obok ofiary stał kapelan i udzielał mu pociechy krzyża. Zbliżał się straszny finał. Damiens miał być żywcem rozerwany przez cztery konie. Do rąk i nóg rozkrzyżowanego skazańca zaprzęgnięto konie. Obok nich woźnice na dany znak mieli podciąć batami konie, by jednocześnie szarpnęły, każdy w swą stronę, odrywając tym samym kończyny od tułowia. Mimo okrzyków woźniców i poganiania batami mięśnie i ścięgna skazańca stawiały tak wielki opór, iż konie nie mogły go przełamać. Nie mogły lub instynktownie broniły się przed tym haniebnym potraktowaniem człowieka. Próbę ponowiono. I znów ścięgna nie puściły, a nieludzkie cierpienia przedłużały się. Bezradni woźnice przeprzęgli konie. Publiczność poczęła się niecierpliwie. Kolejna próba zawiódła. Ofiara słabła. Obawiano się, że umrze przedwcześnie. Wreszcie komisarze wymiaru sprawiedliwości, odpowiedzialni za prawidłowy przebieg egzekucji, zgodzili się, by kaci podcięli nożami ścięgna i mięśnie u ramion i podudzi. Damiens został więc poddany dodatkowej torturze. Upust krwi był ogromny, zapowiadał rychły zgon. Przy następnej próbie, podcięte ciało nie stawiało już oporu. Po kolei odpadły poszczególne kończyny. Skazaniec wyzionął ducha. Ostatnia przewidziana już po zgonie kara to wrzucenie tułowia i pourywanym kończyn do płonącego, ofiarnego stosu. Zniknął w płomieniach wszelki ślad po François Damiensie, „królobójcy”.

A co Ludwik XV, ofiara wołającej o pomstę do nieba zbrodni? Dzień kaźni spędził na polowaniu. Wieczorem dowiedział się o przebiegu egzekucji. Był wyraźnie speszony i ze szczególnym niesmakiem przyjął wiadomość, że egzekucji z upodobaniem przyglądały się damy dworskiego kręgu i salonów paryskich. Ludwik XV nie był człowiekiem złym ani mściwym. Nie mógł jednak ułaskawić zamachowca, gdyż bezmiar jego niegodziwości straciłby swój wymiar. Śmierć „królobójcy” miała umocnić siłę monarchii, być dla innych ostrzeżeniem. Francja była już w stanie wojny siedmioletniej z Prusami i Anglią i wszelkie spiski czy działania wrogie królowi mogły mieć nieobliczalne następstwa.

A jednak dziwi fakt, iż w najbardziej oświeconym społeczeństwie nikt przeciw średniowiecznym torturom zadawanym królobójcy nie protestował. Najwybitniejsi spośród oświeconych milczeli. Nikt nie wołał o litość dla nieszcześnika, nie wystąpił przeciw publicznej kaźni. Milczał Wolter, milczeli filozofowie, głosiciele praw człowieka. To nie spod ich pióra wyszły anonimowe druki i ulotne pisma kwestionujące wysokość kary w stosunku do zbrodni, która się nie dokonała. Oficjalne sprawo-

zdania, kolportowane również poza granicę Francji, głosiły, że proces i kara odbyły się z poszanowaniem prawa, Ludwik XV kazał opublikować akta tej sprawy.

Historia jest przekorna, a prawo wyrazem przemian społecznych. Jules Michelet, historyk XIX wieku, określił zamach i kaźń Damiensa jako preludium roku 1793. Na majestat królewski porwał się przedstawiciel najbardziej poniżonej i przez los dotkniętej grupy społecznej, służby prywatnej. Trzydzieści lat później tacy jak Damiens znaleźli się w szeregach sankiulotów, burzycieli znienawidzonego reżymu. Kolejne królobójstwo dokona się w majestacie prawa rewolucyjnego, o ironio, na placu Ludwika XV, największym publicznym placu Paryża. Na szafocie zginie jego następca i wnuk, Ludwik XVI. Zgromadzona publiczność wzniesie okrzyki, w euforii wywołanej widokiem ściętej głowy pomazańca Bożego i nurzać będzie chustki w jego krwi. Podobnie jak ludek paryski poprzedniego pokolenia radował się widokiem rozkrzyżowanego i ogniem przypalanego królobójcy Damiensa.

XII. Kryzys „starego ładu”

Po straceniu Damiensa wszystko pozornie powróciło do dawnego trybu. Król przewodniczył nadal swym Radom, decydował i czuł się panem absolutnym. Umocniła się zagrożona zamachem pozycja pani de Pompadour. Z jej też poręki Ludwik XV powołał niebawem i obdarzył bezgranicznym zaufaniem wspomnianego już byłego ambasadora w Wiedniu, Etienne François de Stainville'a, obdarzonego tytułem księcia de Choiseul (1719–1785). Objął on najważniejszą w latach wojny tekę ministra spraw zagranicznych, a w praktyce pełnił rolę pierwszego przy królu ministra (1758–1770).

Wbrew pozorom władza nad społeczeństwem nie leżała niepodzielnie w rękach absolutnego króla. Podobnie też rząd dusz i mniejszy wymykał się hierarchii kościelnej. Oba – zdawałoby się – nienaruszalne autorytety kompromitowały się bowiem wewnętrznymi sporami, skandalami czy wręcz politycznymi porażkami. Z biegiem czasu przywództwo duchowe objęli w społeczeństwie „filozofowie”. Ich myśli, słowa i dzieła stały się pożywką dla umysłów dziesiątek, a niebawem i tysięcy ludzi.

W latach 1750–1771 dokonał się we Francji prawdziwy „przewrót umysłowy”, który zmienił podstawy światopoglądu i przygotował umysły i serca do przemian Wielkiej Rewolucji. Eksplozja twórczości, która znamionowała to dwudziestolecie, doprowadziła do nieodwracalnego podważenia dwu filarów „starego porządku” – monarchii i Kościoła. Narodziła się krytyka, której ani cenzura, ani zakazy, ani nawet słynne królewskie „listy z pieczęcią” (*lettre de cachet*), jak i groźby oraz anatemy rzucane z ambony poskromić i ujarzmić nie mogły. Monarchia absolutna musiała liczyć się z narastającą siłą opinii publicznej, musiała przed nią ustępować. Zmagania i sukcesy filozofów, jak i ludzi pióra śledziła z uwagą cała Europa. Stali się oni wzorem i nadzieją środowisk intelektualnych. Towarzyszyły im sympatie oświeconych monarchów, poparte nieraz hojnym darem, honorowym wyróżnieniem czy zaproszeniem na dwór. Prawdziwym jednak oparciem i źródłem inspiracji było samo społeczeństwo, z którego wyrosli, analizowali mechanizmy rozwoju, solidaryzując się z jego potrzebami. Wszak byli jego częścią, emanacją duchową, elitą umysłową. Na tej glebie zasiać mieli ziarno swych nauk i przekonań. Była to gleba żyzna, przygotowana, jak ziemia na wiosnę. W społeczeństwie francuskim dokonywały się istotne zmiany, wobec których stary porządek, oparty na przywilejach stanowych i hierarchii autorytetów, chwiał się i załamywał. Nowe grupy i warstwy wysuwały się na czoło społeczności. Budził się stan trzeci.

Zacznijmy od spraw podstawowych. Francja XVIII wieku przeżywała znaczny rozwój demograficzny. W chwili śmierci Ludwika XIV, jak obliczają szacunkowo demografowie, Francja liczyła zaledwie 16 mln mieszkańców. W latach siedemdziesiątych osiągnęła 24 mln, a w przededniu rewolucji 26 mln. Przedłużył się też czas życia ludzkiego. Warunki egzystencji stały się znośniejsze i zdrowsze. Francję przestały gnębić cykliczne głody i endemiczne choroby, niedostatek i nędza nie towarzyszyły już tak dokuczliwie społecznemu bytowaniu.

Przez lat kilkadziesiąt Francja przeżywała pomyślną koniunkturę gospodarczą. Cechował ją wzrost zatrudnienia, a zatrudnienie dawało chleb. Chleb zaś był nie tylko znojny, z grubo mielonego żyta – jak to widać na obrazach Le Naina, malarza XVII wieku – lecz także z mąki pszennej. Bułki i ciasta stają się z czasem powszechnym pożywieniem. Popyt na produkty rolne wpłynął na wzrost ich cen. Rolnik dążył do podniesienia wydajności ziemi i wprowadzał nowe uprawy. Z Anglii przenikały teorie nowoczesnego rolnictwa, ale był to proces powolny i nie zawsze we Francji opłacalny, jak to stwierdził podróżujący po tym kraju w ostatnich latach *ancien regime*'u angielski agronom Artur Young. Francja przewyższała Anglię żyznością swej gleby, łagodnością klimatu – darem słońca. Mimo że rozdrobnienie ziemi w rękach małych dzierżawców i chłopskich użytkowników nie sprzyjało wprowadzaniu wydajniejszych form uprawy, postęp zaznaczył się jednak w likwidowaniu ugorów, zagospodarowaniu nieużytków, wprowadzaniu płodozmianu. Znaczne były też osiągnięcia w hodowli bydła. W propagowaniu uprawy ziemniaka uczestniczył sam dwór królewski, na południu Francji pojawiły się kukurydza i tytoń – choć dominowała tu nadal uprawa winorośli. Eksperymenty w rolnictwie dały impuls do badań naukowych i narodzin oryginalnych teorii w przyrodznawstwie i ekonomii.

W naukach przyrodniczych nowe perspektywy otworzył zdumiewający pracownością i śmiałościami George Leclerc Buffon (1709–1788). Tworzył z dala od powabów świata, salonów i klubów dyskusyjnych, gdzie bywali inni uczeni i myśliciele. Warsztatem, w którym spędził całe swe pracowite życie, były dwa ogrody: własny w Montbard i królewski ogród botaniczny (Jardin des Plantes w Paryżu), którego intendentem, a tym samym kierownikiem naukowym był przez 50 lat. Na podstawie badań, obserwacji i eksperymentów stworzył własny system przyrodznawstwa i wywarł olbrzymi wpływ na rozwój nauki. Opracował 44-tomową historię naturalną (*Histoire Naturelle Générale et Particulière*), której za życia nie zdołał w całości wydrukować. Przeciwwstawił się w niej powszechnie przyjmowanej teorii Linneusza układu systematycznego, głosił za-

sadę badania i opisywania zwierząt na tle ich naturalnego środowiska. Zjawiska życia tłumaczył racjonalistycznie. Toteż jego teorie początku świata i życia, uznane za sprzeczne z Pismem Świętym, zostały potępione przez uczoną Sorbonę w roku 1751. Była to już teoria ewolucji. Autor musiał się jej wyrzec, jeśli chciał kontynuować swe badania empiryczne. W pracach Buffona występuje deistyczne rozumienie przyrody. Uznając Istotę Najwyższą twierdził jednak, że prawa przyrody są niezienne. Kwestię natury ludzkiej i zwierzęcej rozpatrywał w ujęciu kartezjańskim. Czynności biologiczne i umysłowe zwierząt pojmował mechanicznie, intelekt człowieka wiązał z istnieniem niematerialnej duszy i rozumu. Jednak dostrzegał możliwość zmienności gatunku pod wpływem przemian środowiska, takich jak klimat, pokarm, udomowienie. Buffon wywarł znaczny wpływ na poglądy filozofów francuskiego Oświecenia, z którymi współpracował w dziele *Encyklopedii*. Stanisław Staszic poznał go osobiście i postarał się o udostępnienie jego poglądów w Polsce. W roku 1786 ukazało się w Warszawie dzieło pt. *Epoki natury, przez pana Buffona wydane w języku francuskim, przez Stanisława Staszica wytłumaczone na język polski, z dodaniem myśli i niektórych uwag*. Był więc Buffon inspiratorem i jednym z twórców filozofii przyrody, prekursorem ewolucjonizmu.

Praktyczne, doraźne zalecenia płynęły z teorii fizjokratyzmu. Twórcą jej był François Quesnay (1694–1774) – biolog z wykształcenia, lekarz z zawodu i powołania. Zyskał sławę zarówno znakomitą praktyką lekarską, jak i medycznymi dziełami. Jego pacjentką była markiza de Pompadour. Od roku 1752 został osobistym lekarzem Ludwika XV. Król darzył go szczególnym zaufaniem i przyjaźnią – wyznaczył mu małeńki apartamentcik tuż obok siebie. Nazywał go swoim „myślicielem”, słuchał z zainteresowaniem jego rad i wywodów, osłaniał przed atakami zawistnych i dewotów.

W roku 1758 w wieku lat sześćdziesięciu czterech Quesnay ogłosił swe pierwsze dzieło z zakresu ekonomii politycznej. Sam król doglądał pracy drukarzy. Złożone z trzech podstawowych części nosiło ono nazwę *Tableau économique (Obraz ekonomii)*. Stało się sensacją, a sława Quesnaya rosła z dnia na dzień. Budził entuzjazm, zyskiwał wyznawców, którzy zwali się fizjokratami, a w ich szeregach znaleźli się bardzo wybitni ludzie, politycy, uczeni, pisarze. Fizjokraci, wzorem swego mistrza, głosili władztwo natury (od słów greckich *physis* – natura, *kratos* – władza), czyli porządku naturalnego. Do powstania i rozwoju fizjokratyzmu przyczynił się postęp w rolnictwie i rosnąco jego znaczenie. W przeciwieństwie do systemu merkantylizmu Jean Baptiste Colberta, doradcy Ludwika XIV,

Quesnay twierdził, że jedyną dziedziną ludzkiej aktywności przynoszącą prawdziwe zyski jest rolnictwo. Minerality, kopaliny, metale zużywają się. Ich wydobycie i przeróbka pomniejszają zasoby, jedynie rolnictwo pomnaża dobra i bogactwa natury. Rolnictwo jest podstawową formą współpracy człowieka z przyrodą, z ziemią, matką życiodajną. Praca rolnika prowadzi do reprodukcji zasobów naturalnych, które można spożywać, nie zubożając ich podstaw. A więc rolnicy stanowią jedyną prawdziwie produkcyjną klasę. Priorytet rolnictwa nad przemysłem i górnictwem to podstawowa teza fizjokratyzmu. Biorąc pod uwagę, iż ponad 80% ludności francuskiej żyło na wsi i trudniło się rolnictwem, doktryna ta była w pełni uzasadniona i społecznie postępową. Żywiciele kraju znaleźli w niej właściwe miejsce i uznanie, domagano się większej opieki nad nimi ze strony państwa. Na tej zasadzie Quesnay i jego zwolennicy rozwijali swe teoretyczne konstrukcje i wysuwali postulaty. System ich obejmuje teorię wartości, populacji, cyrkulacji i podziału bogactwa narodowego. Domagali się wolności handlu, ochrony własności i wreszcie zajęli się doktryną władzy i ustroju politycznego, opartego na porządku naturalnym. W tych rozbudowanych teoriach i postulatach uczniowie Quesnaya wprowadzili różne warianty i interpretacje. Nic dziwnego też, że sprawy rolnictwa znalazły tak duże odbicie w *Encyklopedii*, którą przenika „duch fizjokratyzmu”. Również i w Polsce doktryna fizjokratów cieszyła się znacznym zainteresowaniem i znalazła rodzimych wyznawców i interpretatorów. Wierząc w porządek naturalny świata, fizjokraci – tak we Francji, jak i w Polsce – byli zwolennikami monarchii dziedzicznej. Jedynie bowiem władca dziedziczny nie może – w ich mniemaniu – zaszkodzić swemu narodowi, nie może naruszyć jego „praw naturalnych”. Teoria Quesnaya zawierała załączki społecznych przeobrażeń i nowej ekonomicznej myśli, opartej na zasadzie wolności człowieka i jego działania. Kierując zaś uwagę ekonomistów, polityków i całego społeczeństwa ku produkcji rolniczej i sytuacji bezpośrednich producentów wiejskich, przywracała im jednocześnie ich prawa do własności, które ustrój stanowy odebrał lub ograniczał.

Na wsi francuskiej utrzymywał się bowiem nadal system feudalny, jakkolwiek znikły już niemal zupełnie jego najbardziej jaskrawe i drastyczne formy: poddaństwo i pańszczyzna. Chłop był wolny, ale obciążony świadczeniami różnego typu na rzecz państwa, Kościoła i pana. Te ostatnie, ograniczone do niewielkiego czynszu, dorocznej daniny czy podarunku, dawały się jednak we znaki w latach ciężkich, przypominały na co dzień o nie wygasłej zależności. Najbardziej dokuczliwy był system fiskalny, gdyż podatki były wydzierżawiane, a poborcy na własną rękę

kę wyciskali nieraz z chłopa dodatkowe opłaty do własnej kieszeni. Długie lata wojen w okresie panowania Ludwika XV pogorszyły znacznie sytuację materialną chłopa i mieszczanina, tym bardziej że stany uprzywilejowane uchylały się nadal od świadczeń na rzecz państwa. A jednak w XVIII wieku bunt chłopów ustały. Historycy dziwią się temu. Czyżby wygasły dawne anse i krzywdy? Dlaczego z takim gwałtownym nasileniem wybuchły w roku 1789? Odpowiedź nie jest łatwa. Osobiście przychyłam się do zdania tych, którzy sądzą, że XVIII wiek przyniósł duży wzrost gospodarczy, w którym również partycypowali chłopi, i że dopiero załamanie się całej struktury państwowej i społecznej stało się impulsem do definitywnego rozprawienia się z feudalizmem.

W XVIII-wiecznej wsi francuskiej rozwijał się już system kapitalistyczny. Większość chłopów, nie zadowolając się przypadającą im z czynszowych umów działką ziemi, brała dodatkowo w dzierżawę grunta wielkiej własności, płacąc za nie czynsz umowny, przeważnie połowę plonu lub jego wartość (*métayers*). Chłopi pozostawali więc zarówno w feudalnej, jak i kapitalistycznej zależności od właścicieli – świeckich czy duchownych. Chłop był nadal użytkownikiem, a nie pełnym właścicielem gruntu, na którym pracował. Uprawnienia łowieckie pana wsi do chłopskich pól były nie mniej uciążliwe, groziły zasiewom, oziminom i plonom, uniemożliwiały wprowadzanie nowych metod gospodarki i gradzenie upraw. Polowanie była to pańska rozrywka, piękne widowisko, relikw rycerskich obyczajów i senioralnego prawa. Ta rycerska zabawa na koniach z oszczepem czy też fuzją w otoczeniu sfory psów, hałaśliwa – radosna, obwieszczana dźwiękami trąbek i rogów myśliwskich, symbolizowała naocznie feudalne uprawnienia pana i ich prastary podział. W pogoni za jeleniem czy lisem tratowano pola, niszczone oziminy i zasiewy. Najpierwszym łowczym w całym kraju był sam Ludwik XV. Polowanie było dla niego zarówno ulubioną rozrywką, jak i formą sportu. Potrzebował ruchu, fizycznego wysiłku podtrzymującego kondycję. Częste wyprawy wyniszczały jednak zwierzostan, doprowadzały do jego zanikania, nawet w specjalnie dla króla zarezerwowanych lasach, jak Fontainebleau, Compiègne i in. Kłusownictwo było surowo karane. Szczególnie zaś łowne tereny królewskie były pod specjalną ochroną prawa. Śmiałek, który by złowić zwierzę w dobrach królewskich, mógł za to zapłacić własnym życiem.

Pozycja ekonomiczna większości szlachty nie była bynajmniej mocna, tym bardziej więc strzegła ona swych przywilejów. Broniła się przed każdym rodzajem podatków, zastrzegając dla swych synów beneficja kościelne oraz szarże wojskowe i nie chciała wypuszczać niedawnych mieszczan w swe szeregi. Nie-

trudno było zostać szlachcicem za Ludwika XIV. Za jego następcę zdarza się to już coraz rzadziej. Szlachta urzędnicza zapomniała o swych mieszczańskich przodkach, stopiła się całkowicie z odwieczną szlachtą. Nowo uszlachconych spotykały szykany, otaczano ich pogardą, wyśmiewano ich świeży herb. Przepisy odsuwały na dalsze pokolenie uzyskanie pełnych uprawnień szlacheckich. Zresztą i ministrowie skarbu walczyli z nadmiarem nobilitowanych, a więc zwolnionych od świadczeń podatkowych.

Globalną liczbę francuskiej szlachty niełatwo ustalić. Współczesny memoriał z roku 1756 szacuje ją na 80 tysięcy rodzin, czyli około 400 tysięcy osób, a więc poniżej 2% ogółu mieszkańców. (W tym czasie szlachtę polską szacowano na 10% ludności). Arystokraci i możni, kierowani ambicją polityczną i aspiracjami towarzyskimi, przenosili się na stałe do Paryża lub jednego ze znaczących miast, latem tylko przebywali w swych wiejskich rezydencjach. Na wsi mieszkali na stałe ziemianie mniej zamożni i biedota szlachecka. Nierzadki to widok – szlachcic idący za pługiem. Rodzina takiego biedaka sama zatrudniona była w gospodarstwie, wiodła tryb życia nie odbiegający od standardu pogardzanych przez nią chłopów. Zdarzało się także, że wzbogacony wieśniak nabywał opustoszały dwór, podczas gdy jego właściciel, w poszukiwaniu zatrudnienia, przenościł się do pobliskiego miasta. Wówczas tracił szlachectwo. Warunkiem utrzymania praw szlacheckich było życie ziemiańskie, na wsi, w majątku własnym.

W różnych prowincjach różnie przedstawiała się własność szlachecka i jej zróżnicowanie. Szlachta utrzymywała się przeważnie z czynszów i rent wypuszczonej chłopom ziemi. Jej własna rezerwa (folwark) odgrywała niewielką rolę w dochodowości majątku. Jeśli suma rocznych rent i czynszów wynosiła ok. 10 tysięcy liwrów – starczyło na spokojne wiejskie życie, ale bez ekstrawagancji. Już nie można było pozwolić sobie na podróże, mieszkanie sezonowe w mieście, utrzymywanie synów w renomowanych kolegiach. Nudne, jednostajne było to wiejskie życie na prowincji, urozmaicone jedynie rozrywką towarzyską, sąsiedzką wizytą, polowaniem. Nieliczni tylko pasjonowali się nowym rolnictwem. Szlachta prowincjonalna tęskniła do miasta, popadała w kompleksy niższości i tym bardziej pogardzała ludźmi trzeciego stanu.

Zróżnicowanie wśród chłopstwa postępowało nadal. Trudno pokusić się o jakąś generalną ocenę. W każdej prowincji – jak zauważali podróżni odwiedzający Francję – inne były tradycje, zwyczaje i stosunki. Ogólnie rzecz można, iż własność chłopska ulegała rozdrobnieniu na skutek działań rodzinnych. Jednocześnie jednak postępował proces koncentracji ziemi. Występu-

je on w ramach własności chłopskiej, gdyż szlachta i możni panowie nie byli zainteresowani w powiększaniu obszaru swych majątków. Rosły więc gospodarstwa bogaczy wiejskich kosztem małych skrawków traczonej przez innych ojcowizny lub małych nieopłacalnych dzierżaw. Na wsi uformował się też proletariat wiejski. Sytuacja bezrolnych nie była jednak tak jak ongiś tragiczna. Znikają ludzie gościńca, wędrujący w poszukiwaniu chleba i doraźnego zatrudnienia. Łatwiej można znaleźć pracę w gospodarstwach bogatych chłopów i w folwarku szlacheckim, również w rzemiośle wiejskim i w chałupnictwie. Nadwyżki siły roboczej wchłaniały miasta, stanowiące niezły rynek pracy, jednak głód ziemi trwał i pogłębiał antagonizmy między wieśniakami a szlachtą. Zmianę miała przynieść dopiero Rewolucja i okres napoleoński.

W latach tłustych, zwłaszcza po wojnie siedmioletniej, wieś francuska nabiera cech stabilizacji i względnego dostatku. Chłopi nie byli już tylko żywicielami kraju, ale też konsumentami wytwórczości miejskiej. Ożywiały się zatem rynki lokalne. Wzrosła liczba jarmarków i targów. Chłop korzystał z rzemiosła miejskiego. Były to zarówno niezbędne w gospodarstwie narzędzia, jak i przedmioty użytku powszechnego, wyrabiane w manufakturach, wreszcie artykuły bardziej wyrafinowane, ozdoby, sprzęty mieszkalne, tkaniny wyższej jakości itp. Dowiadujemy się też o swoistych formach umysłowej kultury ludowej. Dla wsi drukowano specjalną literaturę dewocyjną, kalendarze, poradniki, a nawet literaturę rozrywkową. A zatem chłop czytał, a w każdym razie we wsi ktoś czytał. I tam więc promień wiedzy i oświaty rozjaśniał chłopskie zgrzebne życie. Niemal w każdej parafii była szkoła elementarna, do której uczęszczać mogły dzieci w ciągu kilku miesięcy w roku. W literaturze naukowej nie zdołano jednak ustalić, jak wielki był procent alfabetyzacji społeczności wiejskiej.

Więcej od swych parafian czytali wiejscy proboszczowie. W ich bibliotekach znajdowały się nie tylko dzieła teologiczne i dewocyjne czy wzory niedzielnych kazań. Trafiały tam też bynajmniej nie nabożne, ale jakże pobudzające utwory. Wśród nich takich autorów, jak Monteskiusz, Wolter, Rousseau czy Toussaint.

Wielu z tych wiejskich plebanów zgłosiło subskrypcję na *Encyklopedię*. Wydatek obciążający znacznie dochody szeregowego duszpasterza. Dzieła te podważały również tradycyjny światopogląd, którego miał być przeciw strażnikiem. Zyjący wśród wiejskiej społeczności ksiądz reprezentował wprawdzie uprzywilejowany stan duchowny, ale jego własna pozycja bynajmniej o tym nie świadczyła. Proboszczowie i niższy kler różnił się zasadniczo pozycją majątkową i socjalną od wyższej hierarchii kościelnej.

Przyjrzyjmy się liczbom. Francja XVIII wieku liczyła 135 diecezji. Dostojnicy kościelni, arcybiskupi, biskupi, prałaci, kanonicy, honorowi członkowie kapituł tworzyli grupę ok. 11 tysięcy, pozostałe duchowieństwo świeckie liczyło do 60 tysięcy osób. Trudniej ustalić liczbę zakonników. W przybliżeniu oceniamy ją również na 60 tysięcy, ale grupa ta malała. Należeli oni do 110 zakonów różnych reguł i różnych zadań. Do powinności opata należało również zarządzanie dobrami zakonnymi. Niektóre z nich były niekłamnie bogate, a nominacje na godność przeorów wielkich opactw zależały od łaski i decyzji króla. Zdarzało się, że dochody z opactwa przypadały też osobom świeckim. Praktycznie więc do stanu pierwszego zaliczano tylko wyższe duchowieństwo i ono przejęło polityczną reprezentację całego duchownego stanu. Wyższa hierarchia kościelna mogła zająć wobec państwa pozycję groźną, wręcz wrogą, a miało to za Ludwika XV szczególnie ostry przebieg. Król bezskutecznie próbował uzyskać od duchowieństwa daninę dwudziestego grosza. Duchowieństwo podatków nie płaciło i płacić nie chciało – zgadzając się jedynie na doraźne dobrowolne ofiary dla kraju i króla. Do obowiązków Kościoła należała natomiast działalność charytatywna i oświatowa, zresztą coraz bardziej kwestionowana przez ludzi Oświecenia. Kościół dysponował znacznymi fortunami. Ponad 10% własności ziemskiej całej Francji było w jego rękach, co według obliczeń Woltera przynosiło 90 mln liwrowo rocznie, dochody te pomnażały dziesięciny dostarczane do diecezji przez proboszczy z parafii. Obliczano ją sumarycznie na 123 miliony liwrowo rocznie. Przyjął się też zwyczaj kumulowania stanowisk przez najmożniejszych. Biskupi zazwyczaj sprawowali jednocześnie godności opatów, oddzielnie opłacane.

Wyższe duchowieństwo tworzyli z reguły ludzie z zamożnych, utytułowanych rodów. Nie zdarzało się już – jak to bywało dawniej – by przecisnął się w górę człowiek ze stanu trzeciego. Tłuste beneficja i opactwa nadawane były młodszym synom arystokracji, którzy rzadko obierali stan duchowny z prawdziwego powołania. Beneficja i dochody z dóbr zakonnych otrzymywali już w młodym wieku, a obowiązki swe przeważnie zaniedbywali lub spychali na młodszych. Fiolet i pastorał były dla nich drogą do dobrobytu, znaczenia, władzy. Otaczali się przepychem, rezydowali w wytwornych pałacach, sezonowo przebywali w Paryżu, odwiedzali salony i ich boginie, używali życia i jego powabów na równi ze swymi utytułowanymi kuzynami. Wywoływali zgorzelenie, rozżalenie wśród niższego duchowieństwa, opędzającego z trudem potrzeby najskromniejszej egzystencji. Oczywiście i w tej grupie trafiali się prawdziwi pasterze – oddani swej misji. Nie zdołali oni jednak zmienić ustalonej o wyż-

szym duchowieństwie opinii wśród niższego kleru. Dystans między wyższą a niższą hierarchią zamieniał się w trwałą niechęć, w klasowe uprzedzenia.

Posłużmy się przykładem księdza Jana Mesliera, zacnego proboszcza z Etrepigny w Szampanii. Pełniąc nienagannie swe obowiązki duszpasterskie, ksiądz ten borykał się z własnym sumieniem. Pod wpływem obserwacji świata i ludzi stał się społecznie rewolucyjny. Za życia poglądów swych nie ujawnił. Zmarł w opinii świętego, miłosiernego kapłana. Dopiero po śmierci odnaleziono jego osobiste rozważania, które wydawcy zatytułowali *Mój testament*. Był on prawdziwą rewelacją. I natychmiast poczęły krążyć jego odpisy. Pismem księdza zainteresowali się myśliciele Oświecenia: Wolter, Holbach, d'Alembert. Wyjątki jego wyznań ukazały się drukiem. Nie znany proboszcz po śmierci stał się sławny.

Jakże proroctwa i na czasie wydają się jego życzenia powierzone notatnikowi. „O, jaka szczęśliwa i wielka rewolucja nastąpiła by na świecie, gdyby filozofia zastąpiła religię”.

Słowa te, pochodzące od jednego z szeregowych księży, świadczą o głębokim kryzysie, który trawił Kościół we Francji. Był to kryzys wiary, a co znamienne – wystąpił on w łonie samego Kościoła, szczególnie zaś w obrębie wyższej hierarchii, jej zmaterializowanych, sceptycyzmem ogarniętych kadr. Młódź szlachecka wdzięwała szaty kapłańskie dla kariery, w nadziei beneficjów, tłustych opactw, prebend. Autentycznych powołań było niewiele. Klerycy z plebsu zadawali się często pierwszymi święceniami i tytułem abbé, które otwierały możliwości pełnienia funkcji preceptora, sekretarza, pisarza. Ci „łabusiowie” to niejednokrotnie głosiciele idei niezgodnych z religią i oficjalnym stanowiskiem Kościoła, to element najbardziej podatny na poddmuchy nowej epoki. Maleje też znacznie liczba powołań do zakonów żebraczych i kontemplacyjnych. Racjonalizm, sceptycyzm, niewiara przenikały do hierarchii kościelnej. Zawzięte spory toczą się jeszcze między zwolennikami jansenizmu a nieprzejednanymi jezuitami. Dopatrzeć się w nich można łatwo podłoża politycznego i prób zyskania poparcia opinii publicznej dla zgoła nie religijnych celów. Obie strony przegrają. Sytuacja w Kościele – jak widać – nie była dobra. Nic dziwnego, że oświeceni coraz ozięblej odnosili się do spraw wiary i w nowej, racjonalistycznej filozofii szukali odpowiedzi na gnębiące ich pytania i problemy ludzkiej egzystencji. Kościół był jednak nadal potęgą moralną, ekonomiczną i polityczną, Ludwik XV zaś, wierny tradycjom swych poprzedników oraz niemal zabobonnemu przywiązaniu do wiary, nie chciał doprowadzić do otwartego konfliktu z hierarchią kościelną ani z Rzymem.

XIII. Mieszczaństwo w ofensywie

Historycy z łatwością dostrzegają, że Francja Ludwika XV stała przed wielkim przełomem, że dobiegał kres jednej epoki, a zmiany zachodzące były tak dostrzegalne, iż nie można było wątpić w nieuniknione skutki. Czy jednak współczesnym wydawało się to tak oczywiste, że przeżywają okres schyłkowy, po którym przyjdzie nowa epoka. Czy było to mniemanie powszechne? Trudno nam sądzić. Oceniano wprawdzie krytycznie własne czasy, ale jaki kierunek przybiorą zmiany, nikt przewidzieć nie mógł. Powszechnie jednak zdawano sobie sprawę, że klasą wschodzącą jest mieszczaństwo, że pieniądze, a nie herb, decydować będą o pozycji w społeczeństwie.

O rozmiarach zamożności i wzrostu ekonomicznego świadczą najwymowniej obroty handlu zagranicznego. Gdy Ludwik XV obejmował tron, import wynosił 93 miliony liwrów, a eksport 122 miliony. W ciągu jego panowania liczby te potroiły się i, mimo chwilowych wstrząsów wojennych, obroty zagraniczne w latach 1764–1777 szacuje się na 725 milionów liwrów. W przededniu Rewolucji wzrosły one do 1061 milionów rocznie. Czy handelowano i przez czyje ręce przepływał ten ożywczy strumień złota? Nie jest możliwe ani potrzebne roztoczyć przed czytelnikiem obrazu ekonomii francuskiej. Posłużmy się kilku przykładami.

Około 600 statków pod francuską banderą wypływało rocznie z Marsylii do wymiany handlowej z Lewantem. Francja ze wszystkich państw europejskich miała bowiem największe obroty z krajami Bliskiego Wschodu i Turcją. Nie mniejsze zyski kupcom i przedsiębiorcom przynosiły „słodkie wyspy” atlantyckie, Antyle, uratowane dla Francji w pokoju paryskim. Stamtąd przywożona była melasa, która przerobiona w rafineriach francuskich, już jako cukier eksportowana była do wszystkich krajów europejskich. Wyspy te dostarczały też kawy ziarnistej, przemysłowej rośliny indygo i innych rarytasów. W zamian miejscowi Kreole, bogacący się szybko na plantacjach uprawianych rękami niewolników, zakupywali we Francji wyroby przemysłowe, za sumę 78 milionów liwrów rocznie. Toteż ruch panował w portach atlantyckich. Z Bordeaux 310 statków odpływało rocznie z ładunkiem na szlak atlantycki. Z Nantes wyruszało ich 150. Kupcy i przedsiębiorcy nie wahali się włączyć do asortymentu przewożonych towarów niewolników zakupywanych w Afryce i transportowanych na Antyle lub bezpośrednio do kolonii hiszpańskich i portugalskich. W zamian płynął do Francji cenny kruszec, srebro i złoto. Dobrze stosunki handlowe zacieśniał burboński pakt familijny,

który – zdaniem ministra Choiseula – był kluczem, a raczej fundamentem polityki zagranicznej Francji.

Kwitł zatem i prosperował handel Murzynami, ale istniał też znaczny popyt na białych niewolników. W koloniach królewskich brakło francuskich osadników. By zagospodarować dziewicze tereny, agenci różnych kompanii werbowali po miastach amatorów dalekomorskich wypraw. Organizowano nawet istne łapanki i polowania na ludzi. Szczególnie Paryż, gdzie kręciło się wielu wagabundów, niebieskich ptaków i dziewcząt podejrzanej profesji oczyszczany był tą metodą z mętów społecznych. Łapaczom zależało na szybkim wykonaniu zadania i dowiezieniu do portu zaplanowanych kontyngentów. Chwymano się i innego sposobu. Kompanie handlowe zakupywały całe komplety z domu sierot, najchętniej dziewczynki, przeznaczone na żony i towarzyszki wysyłanych do kolonii przymusowych osadników i skazańców. Tak właśnie zaludnić się miała Kanada i bezmierne przestrzenie Luizjany. Po utracie tych terenów proceder ten nie ustał całkowicie.

Ograniczony i uszczuplony w okresie długoletnich wojen z Anglią handel wschodnioindyjski odzyskiwał swe dawne znaczenie. Jakże zadziwiające zmiany ekonomiczne niosła za sobą pomyslna koniunktura handlowa. Rósł kapitał finansowy. Pojawiali się pierwsi milionerzy, np. jeden z nich, Joseph Hugues, kupiec z Marsylii, w ciągu swego życia zgromadził 18 milionów liwrów. Prawdziwymi potentatami byli armatorzy i właściciele stoczni. Raz po raz nowe jednostki floty handlowej spływały na wody mórz i oceanów. Nie zapomniano o flocie wojennej. W samej tylko Marsylii od roku 1719 wyposażono 75 wojennych statków. Kolejni ministrowie, Maurepas, Machault i Choiseul, troskliwie odrabiali straty zadane marynarce wojennej w toku dwu kolejnych morskich wojen. Skutki tej odbudowy odczuła Anglia w latach wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Wokół rozrastających się i tętniących życiem miast portowych rosły prawdziwe rezydencje lokalnych bogaczy. Zadziwiały okazałością i przepychem zewnętrznym. Ich właściciele mogli sobie pozwolić na wszelkie ekstrawagancje i luksusy. Sprowadzali z dalekich krajów ozdobne rośliny, zakładali oranżerie, zdobili ogrody w kosztowne fontanny o skomplikowanych instalacjach wodnych, a w zacisznych alejkach, niczym w wersalskim parku, napotkać można było marmurowe posągi Wenus, Diany czy Apollina.

Oczywiście, handel nie wyprzedzał produkcji, ale stwarzał dla niej dodatkowe bodźce. Handel zamorski stanowił tylko część wymiany handlowej. Rozwijała się ona nie mniej intensywnie z krajami sąsiedzkimi. Gros wywozu stanowiły wyroby przemy-

śtu lekkiego, konsumpcyjnego. Zaplecze przemysłu lekkiego tworzył jednak przemysł ciężki, dzięki znacznemu wzrostowi produkcji żelaza i stali. Jesteśmy wprawdzie dopiero u progu przewrotu przemysłowego, który we Francji nasili się na dobre po Rewolucji i wojnach napoleońskich, ale jego pierwsze przejawy są widoczne. Rewolucja zahamowała je na czas jakiś.

W przemyśle dostrzegamy elementy pierwotnej akumulacji kapitału i najemną pracę. Istniały już wtedy huty żelaza i stali zatrudniające do 4 tysięcy robotników i 600 koni. Powstawały spółki przedsiębiorców dysponujących manufakturami zatrudniającymi tysiące chałupników lub wyrobników. Inwestowano i modernizowano tradycyjne metody wytwórczości. Utrzymywał się jednak nadal system monopoli i cechowych uprawnień zapewniający wyłączność produkcji lub sprzedaży pojedynczym osobom czy firmom.

Największe zmiany dokonywały się w przemyśle tekstylnym, który wymykał się całkowicie z organizacji cechowej. Dominowała tu manufaktura scentralizowana lub rozproszona, poszerzała też baza surowcowa. Wełnę i len wypierała importowana bawełna. Jej obróbka wymagała innych narzędzi i maszyn, nie mieściła się bowiem w tradycyjnych umiejętnościach rzemiosła wiejskiego. Systemem nakładczym produkowano nadal pończochy, wełniane trykotaże, koronki. W okręgach przemysłowych, takich jak: Rouen, Lille, Orlean czy Lyon nierzadko jeden przedsiębiorca zatrudniał setki chałupników, którzy na jego maszynach przerabiali dostarczany im surowiec. Okręg Lyoński zasłynął z produkcji jedwabiu naturalnego, którego głównym odbiorcą był wersalski dwór i manufaktury królewskie, produkujące obicia mebli i ścian. Luksusy Wersalu, fanaberie pani de Pompadour czy pani du Barry znakomicie przyczyniały się do nakręcania koniunktury w przemyśle lekkim. A to dawało zatrudnienie i chleb. Rozrzutność, nie zaś oszczędność, sprzyja rozwojowi i dynamizmowi pracy.

„Gust francuski zadecydował o naszych meblach, naszym ubiorze i o wszystkich drobiazgach, które pozostają pod tyranią mody” – miał powiedzieć wielki antagonistą Ludwika XV, twórca protekcyjnizmu państwowego we własnym kraju, Fryderyk II. I nie mylił się. Do dziś Francja nie straciła w tym zakresie swego priorytetu. Rozwojowi i uatrakcyjnieniu przemysłu lekkiego sprzyjały rozluźnione i zanikające przepisy cechowe, rygorystycznie przestrzegane w czasach J.B. Colberta. Reglamentację wypierała myśl twórcza i konkurencyjność poszczególnych zakładów, tak w rzemiośle, jak i w manufakturze. Kształtował się kapitalistyczny rynek pracy, a z nim problem robotniczy. Robotnicy w małych czy dużych przedsiębiorstwach zdani byli całkowicie na właściciela, który określał wymagania i wysokość

zarobków. W dużych skupiskach robotniczych rośnie przekonanie o niesprawiedliwości społecznej i postępującej degradacji człowieka pracy. Przedsiębiorcy łączyli się w spółki i korporacje, zabezpieczając się przed ewentualną presją robotników, których najczęstszą reakcją było porzucenie pracy lub sabotaż. Wobec przejawów oporu reagowało też państwo. W imieniu króla Ludwika XV ukazały się dekrety (1749) zakazujące porzucenia pracy lub samowolną absencję. Nawet zgodę na urlop należało otrzymać na piśmie. Kolejne dekrety potwierdzały lub zaostrzały te nakazy i zakazy. Surowo zabroniono wszelkich zreszeń robotniczych, a już istniejące obowiązane były przedstawić swe statuty i regulaminy.

Położenie robotników nie było jednak aż tak tragiczne. Zarobki w toku XVIII wieku wzrosły, poprawiły się też warunki pracy i technika produkcji. Rozwój techniki wymagał jednak od robotników wyższych kwalifikacji i dość długiej nauki zawodu. Powstawała więc kadra wykwalifikowanych i na trwale związanych z zawodem robotników. Ich prawa nie były jednak gwarantowane.

Rośnie też wielka burżuazja z dala od Paryża, w tętniących życiem ośrodkach przemysłowych i portach. Duże dochody pozwalają jej na kupno ziemi i łączenie rozkoszy życia ziemiańskiego z kupieckimi czy przemysłowymi zajęciami. Jej ambicje prowadzą do urzędów i stanowisk w samorządzie miejskim i foteli w parlamentach prowincjonalnych. Finansowe zaś operacje często wiążą ją bezpośrednio ze skarbem państwa, którego staje się wierzycielem. To wzbogacone, regionalne mieszczaństwo przyjmuje w swych miastach również rolę mecenasa. Miasta rozbudowują się i pięknieją, nierzadko stare domy i wyburzane rudery ustępują miejsca nowym dzielnicom zakładanym z urbanistyczną koncepcją, z myślą o przyszłości miasta i jego mieszkańców. Obronne mury ustępują zieleńcom i bulwarom. Nie brak więc zatrudnienia dla architektów i artystów. Również dla wielbicieli muz i nauki ujawniły się pewne możliwości. W dużych miastach powstają akademie, czyli towarzystwa miłośników nauki, sztuki i literatury. Ich działalność określały statuty zatwierdzane przez króla, a właśnie wiek Ludwika XV zaznaczył się narodzinami tych instytucji, których członkowie wyróżniali się na niejednym polu, przysparzając nauce i własnemu miastu sławy i znaczenia. Ideologia Oświecenia, jego śmiała, krytyczna myśl znalazła w akademiach i naukowych towarzystwach doskonałe podglebie. Pada na nie ziarno racjonalistycznej filozofii. Dzieła filozofów i głosicieli reformy są czytane i dyskutowane. Rosną biblioteki prowincjonalne. Regularne zebrania naukowe ożywiają nurt życia intelektualnego.

Z tętniących życiem i obrastających bogactwem stolic francuskich prowincji, przeniesiemy się teraz do stolicy kraju. Paryż pod każdym względem bił na głowę wszystkie regionalne ośrodki. To, co można było powiedzieć o rozwoju innych miast, w Paryżu było wielokrotnione na skalę metropolii liczącej już ponad pół miliona mieszkańców. (Rozpiętość szacunkowa 500–750 tysięcy). Było to największe centrum kapitału i pracy, twórczych talentów, a także społecznego marginesu. Paryż rósł i piękniał dzięki ogromowi pracy ludzkiej, inwencji architektów i artystów, protekcji kolejnych królów, a przede wszystkim dzięki potężde pieniądza. Ludzi zamożnych przybywało, rozrastały się też niepomierne dzielnice ubogie. Zamożni lokowali się wzdłuż nowej arterii – Pól Elizejskich. Powstawały tu rezydencjonalne domy, pałace arystokracji i możnej burżuazji. Do dziś jest to dzielnica wytworna i bardzo kosztowna. Do eleganckich dzielnic należała nadal Marais, której centrum stanowił klasycystyczny plac (obecnie place de Vosges) oraz Faubourg Saint Germain, dzielnica bogatego mieszczaństwa i intelektualistów. Ludwik XV ofiarował miastu plac swego imienia (obecny plac Zgody), na którym stanął konny pomnik władcy. Miał on upamiętniać triumf odniesiony w wojnie siedmioletniej. Propaganda dworu głosiła, iż pokój był zwycięstwem, choć nikt w zwycięstwo nie wierzył. W okresie Wielkiej Rewolucji, o czym już była mowa, miejsce obalonego posągu zajęła gilotyna. Oto metamorfoza Paryża!

Wersal był politycznym centrum państwa, siedzibą króla i jego rządu. Ludwik XV wymagał, by ministrowie i członkowie Rady stałe przebywali w Wersalu. Ale Paryż był nadal prawdziwą stolicą kraju. Tutaj mieściły się też ambasady państw obcych, parlament, Najwyższy Trybunał, najstarszy uniwersytet i inne uczelnie. Także biblioteka królewska (licząca ok. 200 tysięcy woluminów), siedziba archidiecezji paryskiej i wielu instytucji i urzędów państwowych, nie mówiąc o władzach miasta i podległego mu aparatu. Sąsiedztwo królewskiego Wersalu nie umniejszało, a wręcz podnosiło, rolę samego Paryża. Bez paryskiego zaplecza i jego niezrównanego środowiska król w Wersalu nie czułby się naprawdę królem Francji. Paryż pełnił też ważną rolę reprezentacyjną. W Paryżu zatrzymywały się poselstwa koronowanych głów, jego przystrojonymi ulicami odbywały się ich okazałe wjazdy. W Paryżu lokowano też dostojnych turystów, jak np. cara Piotra I. Paryż witał księżniczki, które stać się miały żonami następców tronu. Przez miasto przewijały się korowody wersalskich gości, którym ulica paryska gotowała zawsze serdeczne przyjęcie, a Rada Miejska nie szczędziła wydatków, by impreza dobrze wypadła. W Paryżu też świętowano wszelkie ważne chwile monarchii. W katedrze No-

tre Dame rozlegał się dziękczynny hymn *Te Deum* na wieść o zwycięstwach wojennych, narodzinach lub małżeństwach dzieci królewskich, w wypadku zaś śmierci członka rodziny królewskiej celebrowano z dostojnym przepychem żałobny cermonial (*pompa funebris*).

Ludność Paryża była wierna monarchii. Króla szanowano, widziano w nim naturalnego władcę. Żaden z burzycieli tego oświeconego wieku nie podjął myśli o detronizacji, jak to było częstym zjawiskiem w polskiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Od dziecka przyłgnęła doń nazwa „Ukochany” (*Le Bien-Aimé*) i dopiero niefortunny schyłek jego panowania przyniósł ironiczną jej trawersację *Le Mal-Aimé*.

Ludwik XV, w przeciwieństwie do swego pradziada, od Paryża nie stronił. Zwłaszcza w początkach panowania bywał tu częstym gościem. Olśniewał swą urodą i dobranym do niej strojem. Jego sieroce dzieciństwo budziło litość i sympatię. Gdy na stałe zamieszkał w Wersalu, odwiedzał Paryż jako gość i władca. Odbyswał swoje „łozę sprawiedliwosci” w parlamencie, odwiedzał Radę Miejską, akademie. Uczestniczył w uroczystych nabożeństwach w Notre Dame, bywał na spektaklach w teatrze.

Maria Leszczyńska, w drodze po koronę, nie przejeżdżała przez Paryż. Po raz pierwszy przybyła tu w roku 1728, by w katedrze Notre Dame złożyć votum o urodzenie delfina. Przybyła niejako prywatnie, więc i orszak nie był liczny. Składał się z czterech ośmiokonnych karet otoczonych 20 konnymi gwardzistami, kilku paziami i kilkunastu piechurami. Zewsząd zbiegli się mieszkańcy, by ujrzeć przyjazd królowej. Przywitanie było iście godne królowej Francji. Witali ją ojcowie miasta i gubernator Paryża, w otoczeniu wielu straży, wojska i miejskich notabli. Zagrzmiały na wiewat armaty z Bastylli i na placu przed ratuszem. Część wędrowki przez miasto, od Tuilerii do Notre Dame, królowa odbyła pieszo. U progu katedry dostojnego gościa witał kardynał de Noailles i wprowadził ją do wnętrza. Królowej towarzyszył jej kanclerz i damy dworu. Po nabożeństwie królowa odbyła przejażdżkę po Paryżu, po czym udała się na obiad zamówiony w pałacyku La Murette w Lasku Bulońskim. Jakże radośnie wspominała tę swoją pierwszą wizytę w Paryżu i przyjęcie, jakiego doznała od mieszkańców.

Z frenetyczną radością przyjął Paryż wiadomość o narodzinach delfina. Wydane zostały natychmiast zarządzenia co do porządku uroczystości, przewidzianych na tę okoliczność. Iluminowane miały być wszystkie gmachy publiczne. Parlament zawiesił obrady, a w jego wielkiej sali 100-osobowy chór wykonał dziękczynne *Te Deum*. Cztery dni trwały przygotowania do przyjęcia króla – szczęśliwego ojca. W katedrze Notre Dame odprawić

miano dziękczynne nabożeństwo. Ludwik XV, w otoczeniu najpierwszych panów królestwa, przybył w pełnej gali. Towarzyszyły mu dwie kompanie muszkietarów – lekkobrojnych jeźdźców, sokolników z ptakami u nadgarstka. Zagrzmiały armaty i salwy piechoty. Obok króla, usadzonego w fotelu pod baldachimem, miejsca zajęli dwaj kardynałowie, de Rohan i Fleury. Po nabożeństwie odbyło się przyjęcie w Ratuszu, które trwało do późnej nocy. Ulice Paryża i brzegi Sekwany lśniły od iluminacji, ognie sztuczne zabłyśły nad placem Zwycięstwa. Fundował je najzamożniejszy bankier Paryża, Samuel Bernard.

Hojność Paryża wobec dworu manifestowała się również z okazji innych wydarzeń w królewskiej rodzinie. W dniach zaślubin królewskiej córki Ludwika Elżbiety z hiszpańskim infantem, Don Filipem, miasto wydało bal w ozdobionych z przepychem salach ratuszowych. Tysiące świec jarzyło się w kryształowych kandelabrach, zwielokrotniając swe blaski w rozwieszonych zwierciadłach. Brzeg Sekwany, udekorowany lampionami, mienił się kolorową iluminacją, a w jej oświetleniu kołysały się na wodzie statki i barki, symbolizując związek dwu morskich państw. Wrażeniom wzrokowym towarzyszyły muzyczne. Zebrana na ulicach publiczność podziwiać mogła piękno rozśpiewanej i rozświetlonej weselnej uroczystości w scenerii paryskiej architektury.

Powrót króla z Metz po ciężkiej chorobie stał się okazją radosnych manifestacji i zabaw. Król podejmował mieszkańców ustawionymi na moście i placach bufetami. Wino biło z fontanny. W kościołach intonowano hymn dziękczynny *Te Deum*. Przed królem na osławionym placu de Grèves, miejscu zabaw i publicznych egzekucji, defilowali młodzi ludzie różnych cechów i zawodów. Przy bufetach było tłoczno i gwarno. Ludwik XV czuł się dobrze w tej atmosferze festynu i wesołości. Spacerował po Paryżu, oglądając iluminacje i dekoracje uliczne. Podobne sceny i podobne dekoracje towarzyszyły dwu małżeństwom delfina. Nie brak też opisów i gawior z tych wspinających uroczystości. Przymiemy nawiasem, iż pierwszą żoną Ludwika-delfina była księżniczka hiszpańska Maria Teresa (zm. 1746), drugą zaś córka Augusta III, króla Polski i elektora saskiego, Maria Józefa, matka trzech królów Francji (zm. 1767). Paryż zgotował również triumfalny wjazd Ludwika XV po zwycięskiej bitwie pod Fontenoy. Równie żywo, choć w inny sposób, miasto wyrażało swe przywiązanie, a nawet miłość, do monarchy po zamachu Damiensa. Witano ocalałego króla jak triumfatora. Ostatnia ceremonia *ancien regime'u*, celebrowana z żywym zainteresowaniem Paryża, to małżeństwo kolejnego delfina (Ludwika XVI) z Marią Antoniną Austriaczką, która nie zdobyła sobie nigdy serca paryżan.

Pod koniec panowania Ludwika XV w rodzinie królewskiej częściej gościła żałoba niż rozbrzmiewał weselny hymn. Zmarli członkowie rodziny królewskiej żegnani byli w katedrze Notre Dame żałobną ceremonią, odbywaną przy wspaniale udekorowanym katafalku tzw. *pompa funebris*.

W roku 1759 królewska para radowała się odwiedzinami najstarszej swej córki, Ludwika Elżbiety, księżnej Parmy. Zatrąskana o zdrowie ojca, po zamachu Damiensa, zdecydowała się na tak długą i uciążliwą podróż do Wersalu. W czasie pobytu zapadła na bardzo groźną odmianę ospy, i zgasła w męczarniach (6 grudnia 1759). Zwłoki przewieziono do St. Denis, w katedrze Notre Dame zaś żałobny ceremoniał zorganizowany był z przepychem godnym królewskiej korony. Paryż żegnał królewską córkę, wyrwaną jakże przedwcześnie rodzinie wbrew politycznym nadziejom i oczekiwaniom.

Lud paryski opłakiwał szczerze śmierć królewskiego syna, delfina (1765) i jednocześnie podziwiał *decorum*, w jakim ceremonia się odbywała. Z równym przepychem i dostojenstwem odbyło się nabożeństwo po śmierci ojca królowej, Stanisława Leszczyńskiego (1766). Przebywający w Paryżu Benjamin Franklin (1766) trafił w katedrze Notre Dame na wielką iluminację świątyni ku czci zmarłej żony delfina, Marii Józefy Saskiej. Amerykanin, nie obeznany z tym ceremoniałem, podziwiał okazałość katafalku i technikę jego montażu. Był też pod wrażeniem tłumów oblegających świątynię. Koszty tych imprez były ogromne. Toteż skrzętni intendenci przechowywali dekoracje i maszyny je poruszające, by mogły być ponownie zastosowane przy następnej uroczystości.

Odwiedziny królewskie, wjazdy ambasadorów, wesela czy żałobne uroczystości należały do wyjątkowych, przez lata wspomnianych atrakcji paryskiej ulicy. Świadczyły one o ścisłym związku między Wersalem a Paryżem. Życie codzienne tej kolosalnej aglomeracji miejskiej toczyło się jednakże w odmiennie niż wersalskiego dworu atmosferze. Odmiennie również w zależności od sytuacji społecznej i majątkowej poszczególnych grup ludności.

Możni panowie przebywali w okazałych rezydencjach otoczeni rojem służby. W podwórcach trzymali konie i wytworne powozy. Wyrazem zamożności było między innymi poruszanie się własnym pojazdem ze stangretem. Jedynie kramarze, rzemieślnicy i szarzy urzędnicy używali fiakrów, opłacanych w zależności od kursu. Przejazdźki w powozie lub konno zażywano w Lasku Bulońskim. Ale interesy wiodły do centrum. Ruch na ulicach miasta był olbrzymi. Ciężkie karety czy powozy rozpryskiwały błoto uliczne, w dnie upalne wzniewały tumany kurzu, wciskały się w ludzką cizbę, rozpędywały przechodniów. Gwar

uliczny mieszał się z pokrzykiwaniem stangretów, turkotem kół i stukotem kopyt końskich. Rejwach na ulicy był więc nieopisany. Dochodziło do zatorów; nieraz do wypadków. Ponoć aż stu ludzi rocznie ginęło pod kołami rozpędzonych powozów. Wśród pieszych rosła niechęć do moźnych. Komunikacja miejska to jeden z podstawowych problemów tej wielkiej aglomeracji, i jest nią do dziś. Dola konia uwzględniana też została w popularnym powiedzeniu, że „Paryż jest rajem kobiet, czyśćcem dla mężczyzn i piekłem dla koni”.

Osobnym problemem było zaopatrzenie miasta w żywność i wodę. Dniem i nocą płynęły Sekwaną i nadchodziły ładem dostawy do Paryża. Wsie w promieniu 50 mil żywiły tego miejskiego kolosa. Cała Francja, jej pola, lasy, łąki, rzeki, morza i kraje kolonialne dogadzały wyrafinowanym podniebieniom moźnych. Wodę pobierano przeważnie z Sekwany. Czystość jej była wątpliwa, nieprzyzwyczajeni po wypiciu jej chorowali na biegunkę. 20 tysięcy nosiwodów dostarczało wodę mieszkańcom Paryża, roznosząc ją w specjalnych nosidłach do domów. Inny sztab ludzi oczyszczać musiał doły kloaczne i nieczystości płynące rynsztokami wzdłuż ulic. Dzięki tym zabiegom warunki higieniczne w mieście ulegały pewnej poprawie. Odpowiednie przepisy zabraniały zanieczyszczania ogrodów, skwerów i promenad. Nocą 1500 latarni olejnych rozpraszało ciemności na głównych arteriach miasta. W czasie pełni księżyca oszczędzano oleju i latarni nie zapalano. Wówczas srebrna poświata miesiąca otaczała uśpione miasto. W dzień, jak w ulu, toczyło się pracowite życie. Jedni zarabiali grosz, by dzień przeżyć, inni zdobywali krocie. Niekiedy fortuna uśmiechnęła się promiennie i z rzemieślnika zrobiła szlachcica.

Taka niecodzienna szansa spotkała syna zacnego zegarmistrza nazwiskiem Caron. W warsztacie ojca przyuczył się zawodu, wykazując jednocześnie duże zainteresowanie muzyczne i artystyczne, fantazję i ciekawość świata. Ulepszenia techniczne, które przy wyrobie zegarków wprowadził, zyskały mu w cechu renomę. Niebawem markiza de Pompadour zamówiła u niego miniaturowy zegareczek w charakterze oczka do pierścionka. Zamówienie zostało wykonane i odtąd Caron pracuje dla dworu. Rozwesela też swą grą na flecie markotne córki Ludwika XV. Z czasem uzyskuje urząd i szlachectwo. Wtedy zmienia nazwisko na Beaumarchais. Jest to ten sam Beaumarchais, który odegra tak ważną rolę w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, późniejszy właściciel 40 okrętów i okrętu wojennego o 60 armatach i autor śmiałej sztuki odegranej na dworze Ludwika XVI: „Wesele Figara”.

Niewątpliwie trzon pracowitego, twórczego mieszczaństwa stanowiąli cechowi majstrowie, którzy z czasem przedzierzgnęli się

w samodzielnych przedsiębiorców. Zrzeszeni w setkach cechowych organizacji majstrowie i czeladnicy utrzymywali dawne zwyczaje i styl pracy. Ustawy cechowe pozostały bowiem nie zmienione, chociaż coraz trudniej było wejść w szeregi majstrów. Tylko synowie zamożnych rzemieślniczych rodzin mogli się wyzwolić, innym się to nie opłacało. Ubożsi bądź godzili się z losem i całe życie pozostawali pomocnikami swego majstra, bądź uprawiali rzemiosło jako tzw. partacze, bądź wreszcie przechodzili do manufaktury jako najemnicy. Istniała jednak zasadnicza różnica między rzemieślnikiem a najemnikiem w manufakturze. Rzemieślnik pracował własnymi narzędziami, we własnym warsztacie i sprzedawał produkt swej pracy, najemnik zaś sprzedawał samą swą pracę i poddać się musiał narzuconej mu dyscyplinie organizacyjnej. Rzemieślnicy wyżej nosili głowy i karku przed nikim nie zginali. Ale rozwój techniki i kapitału zwiastował nieuchronny zmierzch rzemiosła.

Do Paryża natomiast ciągnęli zewsząd wiejscy i małomiasteczkowi proletariusze, waga bundzi, w poszukiwaniu zatrudnienia lub lekkiego chleba. O pracę było nietrudno. Oferowały ją mieszczańskie i królewskie manufaktury. Praca jednak była ciężka, żmudna i słabo wynagradzana, dzień pracy długi. Zapłata starczyć mogła jedynie na bardzo skromne utrzymanie. Paryż zaś przedstawiał tyle blasków, uroków i pokus. Ileż zazdrości i zawiści wywoływało bogactwo innych. Przepych pałaców, pojazdów, strojów rzucał się w oczy przechodniom zapuszczającym się w dzielnice bogatych. Na giełdzie przesypywało się złoto. Paryska biedota z trwogą odliczała zarobione sous, by starczyły na chleb codzienny. Zamachowiec Damiens w swych wyznaniach odwoływał się do nędzy ludu.

Ostre kontrasty sprzyjały tworzeniu się marginesu społecznego i groźnych przejawów patologii społecznej. „Bogactwa skupione w nielicznych rękach – pisał Sebastian Mercier – dają początek zbytkowi tak groźnemu zarówno dla tych, co zeń korzystają, jak dla tych, którzy patrzą nań zawiistnym okiem. Te same bogactwa podzielone sprawiedliwiej, zamiast gźubnego jadu, który rodzi się z nadmiernych zbytków, przywodziłyby do statek – owoc pracy i źródeł cnót domowych... Państwu, które będzie wspierać tak niesłuszną nierówność, nie pozostaje nic innego, jak rozbudowywać bez końca kodeks karny. Gdy tylko wzniosą się liczne pałace, wnet wypadnie budować przestronne więzienia”. „W Paryżu – pisał na innym miejscu – niepodobna prawie być szczęśliwym, wspaniałe uciechy bogaczy zbyt mocno kłują w oczy nędzarza. Biedak ma aż nadto powodów do westchnień, widząc niszczycielską rozrzutność, z której sam nigdy nie korzysta”.

Około 50 tysięcy osób żyło z rabunku, paserstwa i oszustwa.

Policja była bezsilna, pomimo brutalnych prób wyławiania tych mętów. Szczególnym wzięciem cieszył się najstarszy zawód świata – prostytutka. Zamykanie złapanych na tym procederze dziewcząt w domach pracy, a nawet wywożenie ich za Ocean, nie zmniejszało natężenia tego zjawiska. Staje się ono natomiast tematem eksponowanym przez autorów powieści. Ten gatunek literacki szczególnie bliski był życiu. Różnił się też zasadniczo od sentymentalnych powieści poprzedniego stulecia. Romans XVIII wieku przedstawiał realistyczny, autentyczny obraz życia, niejednokrotnie oparty bezpośrednio na obserwacjach autora. Największym bestsellerem tych czasów, którego poczytność do dziś się utrzymuje, była powieść księdza Prévosta (Antoine François Prévost 1697–1763), zatytułowana od imienia jej bohaterki *Manon Lescaut*. Jest to historia miłości młodzieńca ze szlacheckiego rodu do dziewczyny publicznej; miłości bezgranicznej, zdolnej zarówno do poświęceń i ofiar, jak i przestępstwa. Romans ten daje świadectwo ówczesnej obyczajowości – zamiłowania do światowego życia, rozrywek, hazardu. Podobne wątki odnajdujemy w powieściach Pierre Marivaux. Dwie z nich określić można jako arcydzieła: *Zycie Marianny* i *Kariera wieśniaka* (1735). Do dziś są one czytane i wystawiane w przeróbkach teatralnych i filmowych.

Sugestywne w swej wymowie powieści obu autorów wyrażały krytykę stosunków społecznych. W ich ujęciu objawy deprawacji, patologii, zła są następstwem układów społecznych i zakłamaniej moralności. Wraz z powieścią wkraczamy w kręgi intelektu i kultury.

Styl życia Wersalu naśladowały królewskie dwory, natomiast intelektualną stolicą oświeczonej Europy stał się Paryż, budził jej aspiracje, gusty, zainteresowania. Z jego oficyn rozchodziły się po dalekich krajach nowości wydawnicze, niosąc impulsy ożywczej oświeceniowej myśli. Europa stała się francuska, język francuski językiem uniwersalnym. Dominował w wymianie intelektualnej, negocjacjach i korespondencji dyplomatycznej, w salonowej konwersacji. Makaronizmy łacińskie ustąpiły miejsca francuskim wyrazom wplatanym w rodzimy język. Podróż do Paryża, do Mekki sztuki, nauki i dobrego tonu, należała do programu edukacji nie tylko zamożniejszych sfer, ale też studentów i uczonych, którym podróż fundowali ich protektorzy. Zaroiło się więc w Paryżu od tych obcych przybyszów i spragnionych wrażeń turystów oraz chłonących atmosferę jego intelektualnego życia ambitnych młodzieńców. Ileż możliwości i okazji. Dostojna Akademia, uczelnie specjalistyczne, Collège Royal, księgarnie, parlament, opera, teatry i spektakle, udostępnione przez Ludwika XV galerie malarstwa w Luwrze, kościoły oraz lokale gastronomiczne, a szczególnie wchodzące

w modę życie kawiarniane. Wraz z rozpowszechniającym się zwyczajem picia kawy liczba kawiarni wzrosła zaskakująco. Na niektórych ulicach było ich nawet kilka obok siebie. Kawa stała się napojem powszechnego spożycia i – jak słusznie mniemano – wpływała dodatnio na samopoczucie i pobudzała umysł. Tego zdania był również Ludwik XV, który w swych prywatnych pokojach i w apartamentach córek parzył osobiście kawę, sobie tylko znanym sposobem. W kawiarniach było gwarно i wesoło. Toczyły się tam rozmowy na wszystkie możliwe tematy. Szczególnym powodzeniem cieszyły się kawiarnie wokół opery. Można było sycić wzrok widokiem wytwornej publiczności udającej się na spektakl, obgadywać znajomych i znane paryskie osobistości. O kawiarniach opinie były różne. Traktowano je jako miejsce obiegowych plotek i pomówień złych języków, jako sposób spędzania, a raczej tracenia czasu, wreszcie schronienie dla cudzoziemców utrudzonych wędrówkami po mieście. Jeden z ich bywalców, Sebastian Mercier, taką daje charakterystykę kawiarni: „liczą u nas sześćset do siedmiuset kawiarni. Są zwyczajną ucieczką darmożjadów i przytuliskiem ubogich. Bywalczy grzeją się tam zimą, by oszczędzić w domu na opale. Kilka z nich to jakby prezesi Akademii. Wyrokują tam o pisarzach i o sztukach, wyznaczają im rangę i cenę; a największą wrzawę podnoszą poeci, którzy mają dopiero objawiać się światu... Tam to knuje się spiski za lub przeciw dziełom. Tam powstają przywódcy stronnictw, co nie omieszkają dać się we znaki, od rana bowiem do wieczora wywracają na nitce niemiłego sobie pisarza... Gadanina w innych kawiarniach jest przeważnie jeszcze bardziej cicha. Kręcą się bez ustanku wokół gazety. Niejeden przychodzi do kawiarni o dziesiątej przed południem, wychodzi zaś o jedenastej wieczorem... Nie przystoi bawić zbyt długo w kawiarni, świadczy to bowiem o braku znajomości i dostępu do wyborowego towarzystwa. A przecież kawiarnie gromadzące ludzi przyjemnych i wykształconych przedkładalibyśmy dla swobody i wesołości nad wszelkie, często przymusne salony”.

W salonach paryskich dam bywała wyborowa publiczność. Były to salony literackie i salony filozoficzne. Niektóre z nich cieszyły się wielkim rozgłosem i stały się trwałym elementem francuskiej kultury XVIII wieku. Były kuźnią pomysłów, nowych śmiałych myśli, debiutów literackich, rozsadnikami towarzyskich plotek i tendencji opozycyjnych. Nieufnie patrzono na nie w Wersalu, szczególnie zaś wrogo spoglądała na nie hierarchia kościelna, gdyż niejeden *abbé* błyszczał tam swym intelektem i zrewoltowanymi poglądami. Kobiety, które prowadziły salon, to jednostki wybitne, ambitne, odcytane, śmiało odrzucające konwenanse i wzorce obyczajowe. Gotowe jednak utra-

cać rywalki i dążyć do jedynowładztwa w dziedzinie triumfów towarzyskich. Prowadziły zawzięte boje o utrzymanie grona bywalców i wielbicieli, a tym samym prześcigały się w pomysłach, by podnieść rangę salonu i panującej w nim atmosfery. Damy te ułatwiały debiuty obiecującym młodzieńcom, wspierały ich nieraz materialnie. Zasługi dam dla intelektualnego życia Paryża były niewątpliwe. Kobiety-sawantki patronowały umysłowemu życiu, urabiały opinie, wpływami swymi trafiały do Akademii, miały swój zakulisowy udział w obsadzaniu wolnych stanowisk. W salonach ich pojawiali się bowiem ministrowie i różni radcy królewscy. Choiseul i d'Argenson czy Malesherbes sprzyjali salonom. A zatem wpływ salonów sięgał i na dwór królewski.

Salon jako element życia towarzyskiego nie był rzeczą nową, wszak już w XVII wieku istniały znane salony, w których produkowali się przede wszystkim literaci i autorzy małych form. Rodziła się w nich również i schronienie znalazła buntownicza ideologia Frondy. W salonach oświeconego wieku zajmowano się głównie filozofią, moralnością, naukami przyrodniczymi, które nie znalazły właściwego miejsca w prastarej Sorbonie. Filozofowano tu na ogół wolnomyślnie, politykowano w duchu liberalnym, wolnościowym, krytycznym wobec monarchii absolutnej. Niejeden bywalec salonu za swe zbyt śmiałe wystąpienia przesiedział czas jakiś w „salonach” Bastylii. Z salonem arystokratycznym konkuruje skutecznie salon mieszczański, utytułowane damy niejednokrotnie ustąpić musiały pierwszeństwa wzbogaconym kupcowym. Spośród salonów paryskich wyróżniał się czynny przez wiele lat salon markizy de Tencin (siostry kardynała Tencina), której nieślubnym dzieckiem był wielki Jean d'Alembert. Salon ten, rzecz można, to pierwowzór salonu intelektualnego. Z salonem pani Tencin konkurował salon markizy Marii de Deffand, kobiety o bujnym temperamencie i dużej osobowości. Bywalcem jej salonu był Stanisław Leszczyński, gdy odwiedzał Paryż i Wersal. Pani de Deffand szczególnie opiekę roztoczyła nad d'Alembertem i wielu innymi talentami, które lansowała i które w swym rydwanie utrzymać usiłowała. Salon pani de Deffand opustoszał, gdy opuściła go jej urocza wychowanka Julia de Lespinasse i pociągnęła do własnego salonu „klientelę” swej chlebobawczyni. Zwano ją Muzą Encyklopedii, a jej salon laboratorium. Życie jej bynajmniej nie było szczęśliwe. I ona walczyła o d'Alemberta, lecz nigdy prawdziwej miłości nie zaznała.

Najgłośniejszym w połowie XVIII wieku był salon Marii Teresy Geoffrin, żony dyrektora manufaktury lustrzanej. Była rówieśnicą i rywalką markizy de Deffand. Oba salony prześcigały się w pomysłach i sposobach pozyskiwania bywalców. Zwycięstwo

ostateczne przypało pani Geoffrin, zwanej niejednokrotnie królową salonów paryskich, choć nie była nawet szlachcianką. Mąż jej natomiast zawiadywał królewską manufakturą zwierciadeł i doszedł do znacznego majątku, co pozwoliło ambitnej damie otworzyć we własnym pałacyku renomowany salon. Po śmierci pani de Tencin, przygarnęła bywalców jej salonu. Okazała się doskonałą organizatorką tych regularnych, cotygodniowych przyjęć. Podczas gdy pani de Deffand i jej wychowanica – pani de Lespinasse, przedkładały towarzystwo filozofów i encyklopedystów, pani Geoffrin skupiała u siebie raczej literatów i mistrzów pędzla i dłuta. Szczególnie gwarno było w dni, gdy gościnna gospodyni podejmowała swych gości obiadem. Młodym talentom okazywała wiele pomocy. Oszczędna dla siebie, zakupywała ich dzieła, gromadząc własną galerię obrazów. W ciągu 20 lat zakupiła ich 73. Na jej zamówienie tworzyli tak wybitni artyści, jak Van Loo czy Boucher, niemal „nadworny” malarz pani de Pompadour. Ubogim literatom sprawiała z okazji imienin wytworne przyodziewki lub obdarowywała poszukiwanymi, a przekraczającymi ich możliwości finansowe bakaliarniami, kawą i cukrem. Była dobroczynną i hojną kobietą, rozgrzewając serca twórców, wspierając ich ambitne zamierzenia, wymagała w zamian lojalności i osobistego uznania. Hołd jej składały nawet osoby ze świata politycznego, przyjezdne znakomitości. Gościem i bywalcem jej salonu stał się Stanisław Antoni Poniatowski, późniejszy król Stanisław August, gdy w młodzieńczym wieku uzupełniał w Paryżu swą edukację. Stał się wielbicielem jej umysłowości, wiernym korespondentem. Gdy został królem, dotrzymał obietnicy i królową salonu zaprosił do stolicy swego królestwa. Pani Geoffrin, aczkolwiek już leciwa, podróż tę odbyła i iście królewskie spotkało ją przyjęcie. Po jej śmierci salon przejęła córka, z nią również Stanisław August utrzymywał kontakt korespondencyjny. Bywalcem tego salonu stał się kolejny reprezentant rodziny Poniatowskich, bratanek króla – książe Stanisław i inni Polacy. Obok salonów literackich i, rzec można, towarzyskich, wyróżniały się salony filozoficzne. Trudno je nawet nazwać salonami. Zbierali się w nich bowiem wyłącznie niemal mężczyźni, a spotkania te miały charakter naukowej dysputy. Co czwartek podejmował swych przyjaciół obiadem Paul Henri de Holbach. Przybywali tu uczeni z całego świata o najgłośniejszych nazwiskach. „Schodziliśmy się około 2. godziny – pisał jeden z uczestników – i pozostawaliśmy do 7–8 wieczorem. Tutaj słyszało się swobodniejszą rozmowę, najbardziej ożywioną i najbardziej pouczającą. Żadnych uprzedzeń religijnych czy politycznych, wszystko było przedmiotem dyskusji i wypowiedzi, *pro* i *kontra*. Często jeden tylko głos zabierał i wykladał swoją teorię nie-

przerwanie. Innym razem odbywały się istne boje słowne, które pozostali śledzili z napięciem...” W innym dniu podobne towarzystwo zbierało się w domu Claude Adrien Helvétiusa. I tak w dysputach, sporach i konfrontacjach weryfikowały się nowe teorie i poglądy, słowo mówione wyprzedzało druk, potęgą swojej wymowy zdobywało nowych wyznawców i zwolenników.

Z gwarnych kawiarni czy wytwornych salonów ludzie pióra i talentu powracali do swych skromnych mieszkań, jakże często ulokowanych na poddaszu. Tam, pod dachami Paryża, przy migotliwym blasku świecy, skrzybiały pióra. Chudzi literaci pisali na zamówienia, sprzedawali swój talent możliwym, pracowały mózgi. Najwięksi artyści spędzili na poddaszu większą część życia, póki sława nie zapewniła im lepszej pozycji społecznej. Sięgamy znów do cytowanego już reportażysty, Sebastiana Merciera. Oto jego słowa: „Pogadajmy najpierw o osobliwszej »dzielnicy« Paryża, o poddaszach. Jak w machinie ludzkiej wierzchołek mieści najszlachetniejszą część człowieka – narząd myśli, tak też i w naszej stolicy geniusz, przemysłność, pracowitość, cnota w najgórniejszych przemieszkują regionach. Tam to w cichości kształtuje się malarz, tam poeta składa pierwsze strofy, tam przebywają dzieci muz, ubogie a pracowite, pilni badacze cudów natury darzący świat użytecznymi wynalazkami i naukami. Tam poczynają się w myśli arcydzieła kunsztów, tam to piszą list pasterski biskupowi, mowę prokuratorowi, księgę przysłemu ministrowi, projekt, co przemieni oblicze państwa, sztukę teatralną mającą świat zadziwić. Zapytajcie Diderota, czy zamieni swój kącik na mieszkanie w Luwrze, a zobaczycie, co odpowie. Nie ma bodajże znakomitego człowieka, który by nie zaczął od poddasza. Widziałem tam twórcę *Emila* [J.J. Rousseau – dop. Z.L.], jak żył w ubóstwie rad z podniesionym czołem... Opuściwszy swe wyżyny – stwierdza autor z odcieniem wyrzutu – pisarze tracą częstokroć cały żar, pogrążają się w żalu za pomysłami, co nachodziły ich ciżbą, gdy jako jedyne widoki mieli szczyty kominów”.

XIV. Filozofowie i encyklopedyści

Ludwik XV nie lubił filozofów. Jako człowiek przywiązany do religii obawiał się wszystkiego, co naruszyć mogło teologiczną wykładnię władzy absolutnej i ustalone przez Kościół potrzeby reformy w samym kościele francuskim, ani nie aprobował postępu nauki, wytwórczości, wynalazków, lepszych metod w poznaniu, ujarzmianiu i korzystaniu z dóbr natury. Wszak fizjokratę Quesneya powołał na preceptora swego syna, a ewolucjonistę Buffona na dyrektora królewskiego ogrodu botanicznego. Długie godziny spędzał król na dysputach ze słynnym astronomem i kartografem Cassinim, błędząc wraz z nim po niebieskich konstelacjach i omawiając plany topograficznej mapy Francji. Nie odrywał się od tych naukowych zainteresowań nawet wtedy, gdy wojna wymagała największego natężenia królewskiej uwagi. Łatwy dostęp do dworu mieli uczeni owiani renomą wynalazków, nosiciele nowości i poprawy świata. Ku własnemu zaskoczeniu zaproszenie do wersalskiego dworu otrzymał również Benjamin Franklin w roku 1767, gdy w czasie pobytu w Anglii zdecydował się na krótką wycieczkę do Francji. Wtedy to Franklin znany był jedynie ze swych moralitetów, zawartych w szeroko rozpowszechnionych kalendarzach, i kilku pomysłów jako fizyk będący na tropie tajemniczej siły natury, zwanej enigmatycznie elektrycznością. Z właściwym sobie humorem Franklin opisał tę wizytę na dworze i był szczerze poruszony łaskawością króla, choć nieco zaszokowany etykietą i obowiązującym na dworze protokołem.

Ludwik XV czytał dużo i gromadził bogatą naukową bibliotekę. Pamięć miał doskonałą. Ale jego zainteresowania nie przekraczały granic wyznaczonych mu przez tradycję i rolę króla arcychrześcijańskiego. Bał się naruszać prawo boskie, a tym samym i własny autorytet króla z Bożej łaski. A właśnie w trakcie jego panowania wyrósł i okrzepł we Francji, a także i w innych krajach Europy, obóz filozofów. Zajmijmy się nimi bliżej. Sami siebie zwali filozofami, a epokę, w której żyli, określali mianem Oświecenia. Wierzyli, że świat wychodzi z mroków ciemnoty, zabobonu, ucisku, tyranii i wkracza w wiek rozumu, że przywrócone prawa naturalne przyniosą jednostce wolność, ludzkości zaś postęp nieograniczony. Występowali przeciw ustalonym autorytetom i schematom myślenia. Wypowiadali posłuszeństwo wiekami utrwalonym prawom. Do czasów Oświecenia chrześcijaństwo żyło pod grozą ostatecznego sądu, który wydawał się bliski. Entuzjaści Oświecenia natomiast nie czekali dnia sądu, lecz ery rozumu. Ufali, że przyszłość należy do lu-

dzkości, jeśli wyzbędzie się ona dawnych uprzedzeń, potrafi przemieniać świat rozumnie i zgodnie z regułami, które sama natura określiła. Zafascynowani postępem nauk przyrodniczych i ścisłych mniemali, że one dadzą ludzkości odpowiedź na trapiące ją problemy i zagadki. System Newtona zapoczątkował filozofię przyrody i próby zastosowania jej również w naukach społecznych. Filozofowie atakowali stary porządek, przywileje, monarchię absolutną, Kościół, zakony, nierówność wobec prawa, zakłamaną moralność wielkich tego świata. Posługiwali się różnymi formami wypowiedzi – rozprawą, publicystyką, literaturą piękną, satyrą, moralitetem, listem.

Oddziaływali poprzez salony, gdzie sprzymierzeńcami ich były urocze sawantki, oraz poprzez kawiarnie, w których toczyły się żywe, intelektualne lub pseudointelektualne spory i dysputy. Zawsze jednak w duchu krytycznym do rzeczywistości. Znajdowali poparcie i uznanie wśród masonerii, której siedemset łóż rozsiansych we Francji opowiadało się również za braterstwem i postępem ludzkości. Mieli przyjaciół i mecenasów wśród wydawców i księgarzy, trafiali do czytelników zachłannych i żarliwych, publikacje rozchodziły się w stosunkowo dużych, nawet wielokrotnych nakładach.

Wśród tych filozofów rzadko tylko trafiał się profesjonalista, wykładający filozofię. Ci bowiem, którzy zasiadali na katedrach w Sorbonie czy w kolegiach zakonnych, w pojęciu epoki określani byli jako „antyfilozofowie”. Usiłowali oni stosować zawile sofizmaty, by powstrzymać napór nowego myślenia, odwrócić huragan, zastraszyć śmiałków. Przegrywali. Pompatyczne werdykty uczonej Sorbony i parlamentu były lekceważone. Potępienia episkopatu trafiały w próżnię.

Filozofowie wieku Oświecenia działali z dala od oficjalnego systemu oświaty i nauki. Uprawiali filozofię niejako po amatorsku, ale była to filozofia zaangażowana i wrośnięta silnie w społeczną sytuację kraju. Nie tworzyli jednolitego systemu, różnili się głęboko między sobą poglądami i koncepcją świata, niemniej łączyła ich krytyczna wobec rzeczywistości postawa i wyjściowe założenia. Wierzyli w sens i skuteczność swej misji. Byli przekonani, że w erze rozumu, która nadchodzi, „filozofom” przypada decydująca rola, że jej nadejście należy przyspieszyć, pomóc ludzkości wydobyć się z otaczającej ją skorupy przesądu, niewiedzy, skamielin feudalizmu. Podzielali na ogół optymizm, iż ludzkość, kierując się racjonalizmem i przestrzegając naturalnych praw, które przysługują każdej jednostce, ma przed sobą możliwości nieograniczonego postępu, scientyzmu, rozwoju. Rozum przeciwstawiali przesądom i ślepej wierze, tolerancję fanatyzmowi, równość i wolność krzywdzącym podziałom stanowym.

Cechowała ich wiara w człowieka, w siłę jego rozumu, inwencji, w wartości moralne z natury ludzkiej wynikające. Ujmując lapidarnie, filozofia Oświecenia głosiła, że człowiek zastąpić może Boga i aniołów. Co nie oznacza, by ludzie tej epoki byli ateistami, przeciwnie, niemal wszyscy wierzyli w Istotę Najwyższą, Stwórcę, lecz unikali tego, co w wierze niezgodne było z rozumem. Byli więc zwolennikami religii naturalnej, zgodnej z naturalnym porządkiem świata. Określali się jako deiści, uznający wielkość Bożego dzieła i praw naturalnych, które Stwórca temu dziełu nadał. Niektórych z nich deizm zaprowadził do ateizmu i materialistycznego pojmowania świata, dla innych deizm był pomostem między wiarą a wiedzą, między sercem a rozumem, między religią objawioną a wyprowadzoną z mechanizmów świata przyrody. Szermierki filozofów, choć raczej toczone w ich własnym gronie, uważnie śledziły koła klerykalne i czujna cenzura. Zarówno poglądy deistyczne, jak i ateistyczne były ostro zwalczane i określane jako bezbożne. Te nie miały dostępu do Wersalu. Nie znaczy to jednak, by ludzie talentu i poglądów liberalnych nie znajdowali tam gościny, wsparcia i zainteresowania. Wszak największy reprezentant francuskiego Oświecenia, François Marie Arouet (od roku 1718 przybrał nazwisko Voltaire, Wolter), którego utwór *Lettres Philosophiques* (1734) (*Listy Woltera o Angielczykach*, tłumaczenie polskie 1793), został spalony na rozkaz parlamentu, korzystał do czasu z opieki i mecenatu królewskich protektorów: Stanisława Leszczyńskiego w Luneville i Ludwika XV w Wersalu. Ten ostatni, za namową pani de Pompadour, zgodził się na fotel Akademii dla Woltera (1746) i mianował go królewskim historiografem. Wolter układał panegiryczne dytyramby zarówno na cześć Marii Leszczyńskiej – po jej zaślubinach z królem Francji, jak później sławiące piękną oblubienicę królewską panią de Pompadour. Jako historiograf królewski podjął się epickiej poezji, układając długie i niezbyt udane strofy o zwycięstwie pod Fontenoy.

Ten niezwykle płodny pisarz i historyk niezrównany, wszechstronny talent literacki i filozoficzny, poeta, dramaturg, moralista, żarliwy publicysta, satyryk, encyklopedysta stał się uosobieniem swej epoki, prawdziwym autorytetem i jedynowładcą w republice literackiej – jak przyjęło się określać obóz filozofujących pisarzy. Zdaniem Goethego był to najświetniejszy Francuz (*Français suprême*). W roku 1750 zaproszony na dwór Fryderyka II, przebywał tam przez trzy lata. Swój kult i podziw dla oświeconego monarchy wyrażał jawnie w dobie wojny siedmioletniej, przyłączając się tym samym do propagandy antyfrancuskiej rozniecanej przez śmiertelnego wroga Francji, filozofa z Sans-Souci – Fryderyka II.

Wolter żadnemu panu długo nie służył, choć monarchowie zabiegali o jego aplauz. Wielbił Semiramidę Północy – Katarzynę II. Pochwałę wyraził o Stanisławie Leszczyńskim. Wstępującego na tron Stanisława Augusta określił pochlebnie królem-filozofem.

Z czasem Wolter doszedł do własnej fortuny i monarchom już się nie kłaniał. Ze swej siedziby w Ferney mógł im nawet dawać admonicje i prowadzić rozległą akcję na rzecz tolerancji i humanitaryzmu, głosił jawnie i bez obawy swe hasło *écrasons l'infâme* (zniszczmy gadzinę), jednocześnie, o paradoksie, budował kościół w swej posiadłości i stał się jego kolatorem. W jego olbrzymiej spuściźnie pisarskiej największą i nieprzemijającą wartość zachowały do dziś miniaturowe utwory, powiastki filozoficzno-moralne, myśli ujęte w formę literacką, krótkie opowiadanie, nowelę krotochwilną. Przez lat trzydzieści, tj. od roku 1746, gdy ukazał się pierwszy tego typu utwór zatytułowany *Tak toczy się światek*, do 1775, ostatniego z tej serii pod tytułem *Uszy hrabiego Chesterfield*, Wolter zadziwiał publiczność świetnymi, celnymi powiastkami, w których temat realny lub alegoryczny był dlań pretekstem do zjadliwych polemik i walki o nowe widzenie świata. Mistrz pióra i małych form literatury, Wolter zyskał sobie ogromną poczytność i sławę wśród filozofów, choć – jak współcześni określali – „jego filozofia jest jak niewielkie źródółko, przejrzyste, lecz mało głęboka”.

Przez lata na scenach teatrów paryskich wystawiane były, z różnym zresztą powodzeniem, jego dramaty, w formie wierne zasadom klasycznym, lecz w warstwie aksjologicznej zgodne z duchem Oświecenia. Dramaty te trafiały również do repertuaru amatorskiego teatru w Wersalu, organizowanego przez panią de Pompadour.

Wolter (1694–1778) objął swym życiem całość tzw. wieku francuskiego Oświecenia i wraz z nim kończyła się ta epoka. Jako historyk pozostawił dzieła, które głoszą zarówno chwałę monarchii Burbonów (*Wiek Ludwika XIV* i *Wiek Ludwika XV*), jak hołdują idei postępu i nowoczesności. Należał do tych, którzy wywołały „przewrót umysłowy” we Francji i w całej Europie. Był przekonany, że rolą władców jest przebudować świat i społeczeństwo. Stąd jego wiara w oświeconego monarchę i oświecony absolutyzm. Za jego życia o jego względy ubiegali się wielcy tego świata, o duszę zaś rozegrała się walka między Kościołem a wiernymi wyznawcami jego poglądów. Obie te pozostające w stałym sporze strony, Kościół i Wolter, przekazały potomności karykaturalny obraz swego przeciwnika.

Największą skarbnicą myśli i poglądów Woltera jest jego korespondencja. Kilkakrotnie podejmowane były próby jej uporząd-

kowania i wydania. Dziś nauka szczerze się może pełnym wydaniem jego pism i korespondencji dotychczas odnalezionej. Istnieje nadal szansa, iż nieznanne listy Woltera i do niego pisane tkwią jeszcze w prywatnych zbiorach lub archiwach. Powstały dwie światowe placówki naukowe, w których badania nad Wolterem są prowadzone, a ich wyniki publikowane. Jedną z nich znajduje się obecnie przy Uniwersytecie w Oxfordzie (tzw. Voltaire Foundation), druga w Szwajcarii (Genewa), w jego ongi własnym domu zwanym „Les Delices”, odrestaurowanym staraniem kolekcjonera i mecenasa nauk T. Bestermana. Ośrodek ten zgromadził olbrzymią, bezcenną dla badaczy wieku XVIII bibliotekę. A zatem François Marie Arouet, Wolter, tak różnie przez własną epokę i potomność oceniany, patronuje nadal uczonym i miłośnikom Oświecenia, toruje im drogę i pociąga ku swej idei poznania prawdy o człowieku i przywrócenia należytej mu godności.

Wolter, choć cieszył się szacunkiem i uznaniem członków republiki literackiej, był z wielu z nich skłócony. Przeciwstawiał się przez całe życie dwu skrajnym w niej tendencjom: fideizmowi i materializmowi.

Mimo swego sarkazmu i ostrej krytyki społeczeństwa, Wolter dostrzegał we władcy absolutnym szansę uzdrowienia starego ładu pod berłem Ludwika XV – opiekuna oświeconych. Uznał też priorytet Europy: „tego najlepszego ze światów”.

Umiarkowanym niedowiarkiem, głosicielem wolności sumienia, opinii i słowa, był Charles de Secondat Montesquieu (Monteskiusz), przedstawiciel wczesnego Oświecenia, debiutujący w latach regencji. Członek i prezydent parlamentu w Bordeaux, prawnik z wykształcenia i zamiłowania, Monteskiusz wierzył w autorytet prawa, nie zaś rządzącej jednostki. W jego mniemaniu dobre prawa, nie sam władca, były warunkiem postępu, społecznego ładu i sprawiedliwości. Był zwolennikiem parlamentaryzmu i liberalizmu. Był to wprawdzie liberalizm bliższy systemowi arystokratycznemu niż demokracji, skierowany jednak przeciw jedynowładztwu monarchy z Bożej łaski i wszelkiej tyranii. Monteskiusz postulował trójpodział władzy i przestrzeganie w nim równowagi sił. Priorytet jednak przyznawał władzy prawodawczej, gdyż od niej pozostałe pochodzą. Gdy zaś chodzi o Francję, dostrzegał jej przyszłość w parlamencie paryskim o poszerzonych uprawnieniach. W taką szansę uwierzyli sami członkowie parlamentu, wdając się w nieustanne spory z królem Ludwikiem XV i domagając się ściślejszej ingerencji w królewskie dekrety. Teza trójpodziału władz i ich równowagi, szczególnie dosłownie rozumiana w Stanach Zjednoczonych, stała się dogmatem pierwszej na świecie kon-

stytucji. Zasada ta legła również u podstaw Konstytucji 3 Maja w Rzeczypospolitej i Konstytucji Francuskiej 1791 roku. Teoria podziału władz to tylko jeden z wniosków wynikających z Monteskiuszowskiej głębokiej analizy porównawczej systemów ustrojowych w różnych kręgach kulturowych i geograficznych świata. Dzieło *O duchu praw*, które ukazało się w roku 1748, wyd. polskie 1777, poczytność i zainteresowanie torowała sława jego autora jako pisarza (*Listy perskie*, 1721, wyd. pol. 1778, 1918, 1951) i znakomitego znawcy starożytnego Rzymu (*Uwagi nad przyczynami wielkości i upadku Rzeczypospolitej Rzymskiej*, 1734), a także renoma światowca, podróżnika, bywalca salonów paryskich. W ciągu dwu lat dzieło było dwudziestokrotnie wznowione. Ukazało się niebawem w przekładzie na języki obce, w tym również i polski (1762). Pisarz był modny, ale czy naprawdę czytany? Pani Deffland pokpiwała z treści dzieła, trawestując tytuł jako „Duch o prawach”. Ziarno padało w różną glebę i różny przynosiło plon. Dla ówczesnych bigotów i ultramontanów nie trójpodział władzy, ale relatywizm religijny i filozoficzny wynikający – jak dowodził Monteskiusz – z samej natury rzeczy, był tezą niebezpieczną i niezgodną z objawieniem. Krytyki, które się posypały, wychodziły, o dziwo, zarówno ze strony jezuitów i dewotów, jak i jansenistów, i samego obozu filozofów. Ugodzony brakiem zrozumienia replikował drukiem. Dzieło *O duchu praw* było Monteskiuszowskim *opus vitae*, pracował nad nim lat 20, zbierając materiały po całym świecie. Do dziś wzbogaca ono intelektualnie czytelnika, jest nie tyle świadectwem swojej epoki, co świadectwem wielkości umysłu, wiedzy pisarza i olśniewającej jego wizji. Umarł młodo, wyczerpany nadmierną pracą, wysiłkiem i rozczarowaniami. W ostatnich latach życia związał się z encyklopedystami. Opracował hasło „le Gout” (gust). Zmarł w styczniu 1755 roku. Denis Diderot, twórca *Encyklopedii*, był jedynym literatem na jego pogrzebie.

O ile pozycja społeczna i majątkowa pozwalała Monteskiuszowi na dostatni i urozmaicony tryb życia, o tyle ubóstwo, a nawet predylekcja do ubóstwa, cechowały życie Jana Jakuba Rousseau. Różnił się on zasadniczo od swego wielkiego antagonisty Woltera i liberalnego arystokraty Monteskiusza, choć wyrósł na tym samym co oni podglebiu idei Oświecenia, krytyki i poznawczego sceptycyzmu. Jego rozważania, doświadczenia i własne przeżycia wiodły go jednak innym torem, torem serca, uczucia i intuicji. Zapewne zamiłowania muzyczne, jego pierwsza i główna pasja, wyrobiły w nim szczególną wrażliwość, uczuciowość i zmienność usposobienia. Syn zegarmistrza, urodzony w Genewie, opuścił to miasto w wieku siedemnastu lat. Po burzliwej, wędrowniej młodości w poszukiwaniu zawodu

i chleba osiadł w Paryżu w roku 1742. Wszedł tutaj do kręgu filozofów, pisał swe pierwsze prace z zakresu sztuki i muzyki. W roku 1749 wygrał konkurs ogłoszony przez akademię w Dijon rozprawą *Czy odnowienie sztuk i nauk przyczyniło się do odnowienia obyczajów*. Sam przyznał, że było to dla niego szczególnie wyzwanie. Uświadomił bowiem sobie, co jest jego właściwym powołaniem i doktryną na przyszłość. Stał się głośny i sławny, choć większość ówczesnych filozofów nie podzielała jego poglądów i z nimi polemizowała (wśród nich król-filozof Stanisław Leszczyński). Postanowił być pisarzem. Dwa podstawowe dzieła zapewniły mu nieśmiertelność i poczytność aż do naszych dni. Powieść sentymentalna, zapowiedź nowego gatunku literackiego, *Julia, czyli Nowa Heloiza* (1756–58), i traktat społeczno-polityczny *Umowa społeczna* (1762). Ścigany przez policję za odwagę słowa i głoszone poglądy, uciekł z Paryża i pędził przez kilka lat życie wygnańca. Wtedy podjął pisanie utworu autobiograficznego, refleksje nad samym sobą, *Wyznania*. Przewodnia nić russoistycznej myśli to uwolnienie człowieka od narzuconego mu ustroju społecznego, przywrócenie mu praw naturalnych, wyzwolenie w nim własnej osobowości. W tej osobowości największą rolę odgrywa nie – jak twierdzili jego koledzy z kręgu filozofów – rozum, ale uczucie, wrażliwość, przeżycie. Rousseau, choć zmieniał wyznania, nigdy nie porzucił wiary. W polityce był wrogiem monarchii, głosił zasady powszechnej równości. Jeśli Monteskiusz głosił liberalizm bez demokracji, Rousseau był zwolennikiem demokracji bez liberalizmu, demokracji bezpośredniej i egalitaryzmu społecznego. *Umowa społeczna* była utopijnym modelem demokracji, funkcjonującej na zasadzie woli powszechnej. Koncepcje wychowania pełnowartościowego człowieka i obywatela, zgodnie z prawem natury, ujął w utopijnej powieści zatytułowanej, *Emil, czyli o wychowaniu* (1762). Rozczytywali się w niej nie tyle filozofowie, co kręgi salonowe i damy z arystokratycznych rodzin.

U schyłku życia, na prośbę konfederatów barskich, a szczególnie ich republikańskiego lidera Michała Wielhorskiego, napisał swe porady dla Polski *Uwagi o rządzie polskim* (1772).

Spory między filozofami i wręcz dzielące ich anse świadczyły o bogactwie myśli i rozgałęzionych obszarach jej władania. Jak się wyraził Wolter, była to „wojna między niewierzącymi”, boć przeciw jednakowo nie wierzyli ani w monarchię z Bożej łaski, ani w religię objawioną, niepojętą dla rozumu, ani w słuszność prawa, które pozwalało jednym gardzić drugimi i wysyskiwać ich naiwność i uległość. Spory miały charakter taktyczny, interpretacyjny, dotyczyły bardziej wizji przyszłości niż stosunku do teraźniejszości. Scierały się w nich odmienne temperamenty

osobiste, indywidualne ambicje, rywalizacje, ludzkie słabostki, próżność. Ludzie pióra nie są wolni od kompleksów i drażące ich zawiści.

Obok deistów, do których należała wielka trójka (Volter, Monteskiusz, Rousseau) pojawili się zdeklarowani ateści i materialści: La Mettrie (1709–1751) – autor rozprawy zatytułowanej znamienne *Człowiek maszyna* (1748, przekład polski 1984) i nieznany z imienia Morelly, autor nie mniej śmiałego traktatu *Kodeks natury, czyli prawdziwy duch jej praw* (1755, wydanie polskie 1953). Ich myśli podjęli Condillac, Condorcet, Volney, Mably, Raynal i inni. Wspomniany już poprzednio gospodarz salonu filozoficznego baron Paul Holbach (1723–1789) wypowiada otwartą walkę religii chrześcijańskiej w dwu głośnych dziełach *Chrześcijaństwo bez osłony* (*Le christianisme dévoilé*, 1766) i *System przyrody* (*Système de la Nature*, 1770, wydanie polskie 1957). Jego przyjaciel Claude Adrien Helvétius (1715–1771) deklarował się jako materialista w filozoficznym dziele *O umyśle* (1758, wydanie polskie 1959). Między tymi skrajnymi stanowiskami oscyluje filozof, eseista, literat i uczyony Denis Diderot, szukający rozwiązań kompromisowych i ściąający do wspólnego wielkiego dzieła wszystkich członków tej filozoficznej społeczności. Tym wspólnym, wielkim pomnikowym dziełem obozu filozofów stała się *Encyklopedia*.

Diderot pochodził z miasteczka Langres, leżącego w północno-wschodniej Francji, nad rzeką Marną. Ojciec Denisa był szlifiерzem, rzemieślnikiem o nieskazitelnej opinii. Mógł więc oczekiwać, że i syn temu zawodowi się poświęci. Niezwykłe zdolności chłopca zwróciły uwagę jego duchownych wychowawców. Pod ich wpływem w wieku trzynastu lat przywdział już szaty zakonne. Lecz w powołaniu nie wytrwał i po ukończeniu kolegium podjął praktykę w kancelarii prokuratora. Paragrafy i dysertacje prawnicze nie pociągały jednak młodzieńca. Rozczytywał się natomiast w literaturze pięknej, w dziełach filozofów przyrody i pisarzach klasycznych. Postanowił, wbrew woli ojca, pędzić życie intelektualisty, z rodziną zerwał i odtąd wolny, lecz ubogi związał się z paryską cyganerią. Piórem władał biegle. Pisywał na zamówienie listy, przemówienia, kazania. Chwytał się przekładów z angielskiego, zarabiał dorywczo. Wraz z żoną żyli na granicy niedostatku. Wtedy to przyszła propozycja księgarzy podejmujących wydanie słownika encyklopedycznego (luty 1745). Denis Diderot przyjął ją skwapliwie. Stała się ona życiowym celem, umiłowaniem i pasją. Narzucił wydawcom swoją koncepcję, opracował konspekt zamierzonego dzieła, przekonywał, iż słownik ten musi być wielotomowy, a praca nad nim długofalowa. Nie wystarczy zgromadzić

informacji i stworzyć kompedium nauki. Należy wykazać związki i zależności między nimi. Trzeba zbadać wszystko, wszystko bez wyjątku poruszyć, niczego nie oszczędzając „stawić czoło teoriom zacofanym, które byt swój opierają wyłącznie na zasadzie autorytetu. Trzeba przetrząsnąć do gruntu wszystkie przestarzałe dziedziny, obalić światła, których rozum nie ustanowił i oddać wiedzy i umiejętnościom wolność, która im jest tak potrzebna”. Encyklopedia – jak dowodził – pojawi się we właściwym czasie, jest to bowiem wiek rozumu, a „cel, jaki sobie stawia, jest zająć się tym wszystkim, co może zaspokoić ciekawość człowieka, ułatwić mu pracę, odpowiadać jego potrzebom i stać się rozrywką”.

Encyklopedia, albo słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł – to największe zbiorowe dzieło pokolenia oświeconych. Zawierało ono bowiem sumę wiedzy ludzkiej, prezentowało jej stan i perspektywy. Potęgą swojej wymowy, inspirowaną przez geniusz epoki, burzyło bastiony feudalizmu i wszelkiej staroświecczyny. O wielkości tego dzieła świadczy również jego kolektywny charakter, szeroki zespół współpracowników i ogromne nakłady finansowe poniesione przez samych wydawców. Rzec można, że było to wielkie przedsięwzięcie, spółka umysłów, kapitału i wykonawców-rzemieślników. Finałem dwudziestopięcioletnich trudów, zmagani i załamań było siedemnaście opasłych, w skórę oprawnych tomów *in folio* i jedenaście równie wielkich tomów ilustracji. W kilka lat potem pojawiło się jeszcze pięć tomów suplementów i dwa tomy indeksów. Całość liczyła łącznie trzydzieści pięć tomów!

Dała ona zatrudnienie prawie tysiącu robotnikom – drukarzom, rysownikom, papiernikom, introligatorom i wielu innym, związanym z produkcją wydawniczą, rzemieślnikom. Obroty jej przewyższały znacznie obroty niejednego dużego przedsiębiorstwa handlowego. Było to pierwsze w świecie tej miary przedsięwzięcie wydawnicze. Inicjatywa wyszła od drukarza Le Bretona. Nie mógł on jednak zaangażować tak daleko idących nakładów finansowych i ponosić ryzyka w pojedynkę. Znalazł więc wśród księgarzy trzech współników, którzy partycypowali w kosztach i organizacji przedsiębiorstwa. Nazwiska ich figurują na karcie tytułowej *Encyklopedii*. Breton brał na siebie połowę kosztów i zająć się miał stroną organizacyjną, pozostali współnicy partycypowali każdy po jednej szóstej części kosztów. Rozmiary przysięgłego dzieła nie zostały ustalone, a okazały się z czasem gigantyczne. Wśród kosztów najniższą pozycję stanowiła pensja redaktora odpowiedzialnego za całość, Denisa Diderota. Zgodził się na proponowaną mu stawkę 1200 liwrow rocznie, tj. 100 liwrow miesięcznie, gdyż zapewniała mu ona pewną stabilizację życiową, a przede wszystkim dlatego, że

od pierwszej chwili dzieło to ukochał i stało się ono głównym celem jego życia. Był wtedy jednak wśród filozofów osobą mało znaną, a w kołach salonów paryskich całkowicie nie znaną. Reklamę przedsięwzięciu mogły nadać tylko koła intelektualne. Udało mu się do idei *Encyklopedii* pozyskać bywalca salonów, sławnego już wtedy matematyka Jeana d'Alemberta, cieszącego się protektoratem i przyjaźnią Fryderyka II. D'Alembert podjął się opieki nad naukami ścisłymi i eksperymentalnymi. W ślad za d'Alembertem i inni wielcy spośród filozofów zgłosili swój udział. Pozostali autorzy to dobrani przez Denisa Diderota specjaliści, fachowcy, amatorzy, hobbisci, autorzy jednego lub kilku haseł – często nieznani nam dziś z nazwiska. Bezsprzecznie najwięcej artykułów wyszło spod pióra Diderota, a dotyczyły one przeważnie rozważań społecznych, filozoficznych, pojęć moralnych i religijnych, a także artykułów o rzemiosłach. Za jego *porte-parole* i zastępcę uważać należy tzw. „Kawalera” (Chevalier) de Jaucourta, autora ogromnej liczby haseł politycznych, geograficznych, historycznych. Jest on również autorem hasła „la Pologne”, w którym zamieścił ciekawe uwagi o naszym ustroju republikańskim i jego degeneracji! Haseł dotyczących Polski jest znacznie więcej, są to przeważnie nazwy geograficzne z komentarzami historycznymi. Jeden tylko Polak figuruje w spisie autorów, znany muzyk i polityczny emigrant, Michał Kazimierz Ogiński, twórca hasła „harfa”. Spis autorów obejmuje 162 nazwiska. Wiele haseł pozostało jednak anonimowych. W niepamięci też pograżyli się liczni rozmówcy, konsultanci, korespondenci, udzielający wyjaśnień i informacji oraz rysownicy. Zaledwie niewielki procent haseł wyszedł spod pióra luminarzy wieku. Zapewnili jej oni rozgłos i sławę. D'Alembert unieśmiertelnił się rozprawą *Wstęp do Encyklopedii*, która otwiera pierwszy tom dzieła. Był to jego debiut literacki, a zarazem wykład z zakresu teorii historii i klasyfikacji nauk oraz metod w nich uprawianych. Opierając się w zasadzie na klasyfikacji Bacona, poszerzył znacznie jego interpretację w duchu wieku Oświecenia i nowoczesnej wiedzy. Była to jego deklaracja ideowa i światopoglądowa. Przyniosła mu rozgłos, a w konsekwencji fotel w Akademii Francuskiej (1754). Z czasem jednak rozeszły się drogi dwu tak blisko współpracujących redaktorów Denisa Diderota i znakomitego uczonego Jeana d'Alemberta. Ten ostatni nie wytrzymał napięć i zagrożeń, które towarzyszyły tytanicznej pracy redaktorów, załamał się. Odszedł, ku wielkiemu żalowi i rozgoryczeniu przyjaciela i współwydawców.

Jakie były to zagrożenia? Nie licząc finansowych, które w każdej chwili spowodować mogły upadek całego przedsięwzięcia, największe niebezpieczeństwa i przeszkody stwarzali wpływo-

wi wrogowie: stara Sorbona, kręgi kościelne, ruchliwi i zawistni jezuita, którzy przygotowywali własną encyklopedię i uczone pisma, janseniści, dopatrujący się w kulcie rozumu niebezpieczeństwa dla swych wpływów na ludzką mentalność. Przeciwnicy tkwili również w samym Wersalu, wśród koterii dworskich i rywalizujących ze sobą ministrów królewskich. Przez dwadzieścia pięć lat, gdy rodziło się dzieło *Encyklopedii*, sytuacja się zmieniała. Myśl Oświecenia również i na dworze znalazła orędowników i protektorów. Trudno więc podtrzymać tezę, iż to dwór i Wersal szkodzili *Encyklopedii*. Przeciwnie, wypada przyznać, że właśnie z Wersalu przyszedł dla niej kilkakrotnie ratunek.

Cenzura obyczajowa i religijna czuwały. Denis Diderot był nie tylko redaktorem dzieła *Encyklopedii*, ale i pisarzem, filozofem. Pierwszy jego utwór, o wymowie deistycznej – *Myśli filozoficzne* (1746, wydanie polskie 1953) – został potępiony uchwałą parlamentu i skazany na spalenie. Nie mniejszą czujność wzbudziły następne. Tytuły ich brzmiały podejrzanie. *Przechadzka sceptyka*, *Biały ptak*, *List o ślepcach dla użytku tych co widzą* (wydanie polskie 1953). W repertuarze znalazły się też frywolne opowiadki. Był to rok 1749. Diderot ściągnął na siebie ponownie uwagę stróża porządku moralnego, doszło do rewizji w jego mieszkaniu. Jako niedowiarek i burzyciel porządku moralnego powędrował do więzienia w Vincennes. Rozpoczęta praca nad *Encyklopedią* została zawieszona, a przygotowane do niej materiały w toku rewizji porozrzucane. Trzy miesiące trwało odosobnienie filozofa. Jego powrót nie zażegnał dalszych kłopotów. Nie brakło bowiem czujnych donosicieli, którzy śledzili każdy krok redaktora i czekali na jego kompromitację. Wszystko jednak zapowiadało sukces. Wyznaczony urzędowo teolog, po zapoznaniu się z materiałami orzekł, że nie zawierają one niczego niezgodnego z doktryną Kościoła. Ogłoszona subskrypcja dała nieoczekiwane pomyślny rezultat. Zamówienia były tak liczne, iż trzeba było przedłużyć termin ich przyjmowania. Na liście subskrybentów – wpłacających przedpłatę za pierwsze dwa tomy, znaleźli się zarówno intelektualiści, uczeni, ludzie pióra, akademicy, członkowie łóż masońskich, jak i prominenci, funkcjonariusze państwowi, wyższy i niższy kler, bywalcy salonów i ich boginie, wzbogaceni mieszczanie, a także sam władca Wersalu i członkowie jego dworu. Jednym słowem subskrybenci prezentowali szeroką panoramę całego społeczeństwa czytającego i zamożnego. Czekał ich duży wydatek, być może dla niejednego nadmierny. Pierwszy tom ukazał się jeszcze w roku subskrypcji, tj. w lipcu 1751. Swą okazałością i zawartością nie zawiódł czytelników. Oprawny w żółtą cielącą skórę o czerwonym obramowaniu po-

ciągał swym estetycznym wyglądem. Ilustracja umieszczona wewnątrz okładki przedstawiała alegorię triumfującej prawdy. W blaskach światła, postać w koronie – uosabiająca rozum, zdziera z jej twarzy osłaniający ją welon. Postacie po prawej stronie personifikują różnorodne gałęzie wiedzy, z lewej zaś strony ku prawdzie podąża korowód prezentujący sztukę i rzemiosło, niosąc dary swej bogini. Trzy umiejętności: nauka, sztuka i rzemiosło, mające swoje źródła w rozumie, pamięci i wyobraźni, prowadzą zagubioną dotychczas ludzkość do pełnej prawdy o człowieku i otaczającym go świecie.

Teoria czerpie z praktyki i doświadczenia, praktyka teorię weryfikuje i ulepsza, talent i wyobraźnia ją opromieniają i wiodą ludzkość do krainy szczęścia. Oto cała filozofia i cel *Encyklopedii*. Rozprawa wstępna pióra d'Alemberta zawierała właśnie tę zapowiedź. Wstęp ten, który zapewnił uczonemu sławę filozofa i literata, powstał w sytuacji trudnej i niepewnej, nie zapowiadał więc jeszcze umysłowego przewrotu. Autor operował w nim metodą historyzmu. Kto umie jednak czytać między wierszami dopatry się w nim niejednej aluzji, niejednego dwuznacznika i polemiki z przeciwnikami dzieła i wstecznictwem.

Pierwszy tom obejmował hasła na literę A i liczył 915 stron formatu *in folio*. Stało się oczywiste, iż rozmiary całości przekroczyły zapowiedzi rozesłane w prospekcie. Gdy po wielu przeciwnościach losu, o których za chwilę, w roku 1757 ukazało się już drukiem siedem tomów, doprowadzały one dopiero do litery G. Narodziny pierwszego tomu uważać można za wielkie zwycięstwo i tak też przeżywali je redaktorzy i wydawcy. Tom drugi wchodził pod prasy drukarskie. Następne były w przygotowaniu. Przeciwnicy ruszyli do ataku. Parsknęli krytycznymi recenzjami, jadowitymi zarzutami, skargami, nabożnym zgorszeniem i donosami do Wersalu. Obawiali się, by autorytet rozumu nie zastąpił autorytetu religii objawionej. Jeden z liberalnych ministrów załamywał ręce: „biada nieprzyjaciołom jezuitów. Inkwizycja we Francji rozprzeźrzała się i potężnieje. Biada ludziom uczciwym i spokojnym, zdrowo myślącym i czujnym, ale którzy nie powstrzymują dostatecznie języka, gdy mówią o filozofii i wolności”. Oszczercy znaleźli dojskie do króla. Rada Królewska wydała dekret (1752) zakazujący rozpowszechniania, sprzedaży i przedruku obu pierwszych tomów pod karą wysokiej grzywny. Tym samym całe wydawnictwo zawisło w próżni. Konfiskata groziła zgromadzonym materiałom i przygotowanym już opracowaniom. Jezuita byli gotowi przejąć tę spuściznę. Trzeba było ukryć i zabezpieczyć bezcenne kartoteki. Dzięki pomocy ministra Malesherbesa zostały one dobrze przechowane. Wydrukowane zaś już tomy, mimo zakazów wysokiej Rady, dochodziły ukradkiem do subskrybentów.

Pod naporem opinii, zabiegów pani de Pompadour i ministra Malesherbesa, król uchylił zakaz i znów praca potoczyła się wartko. Zainteresowanie *Encyklopedią* rosło, jej powodzenie i kłęski szły w parze z nasileniem toczącej się z Oświeceniem walki. Wspierały ją największe autorytety i najgłośniejsze nazwiska. „Póki tchu mi starczy – pisał Wolter – będę na usługach *Encyklopedii* i czuć się będę zaszczycony, mogąc uczestniczyć w miarę moich słabnących sił w tym największym i najpiękniejszym pomniku naszej literatury”. Istotnie wielki filozof, raczej autorytetem niż piórem wspierał to dzieło. Podobnie rzecz można o Janie Jakubie Rousseau, który stał się nieświadomie przyczyną rozłamu w samej czołówce encyklopedystów. Gorszy niż królewski dekret okazał się ten rozłam. Tak zwana zdrada d’Alemberta, decyzja porzucenia rozpoczętego wspólnie dzieła wywołana skargą Rousseau za niewłaściwe – zdaniem jego – opracowanie hasła: „Genewa”, przypadła na krytyczny ponownie moment. Francja wchodziła w wojnę siedmioletnią w zmienionych sojuszach, bulwersujących opinię publiczną. Spory wyznaniowe i doktrynalne między jezuitami i jansenistami zaostrzyły się. Parlament paryski opowiadał się po stronie jansenistów, frondował przeciw królowi. Kościół wobec króla zajął niejednoznaczne stanowisko. Zamach Damiensa rozjątrzył te spory, przyczynił się do ich zaostrenia, do niewybrednych wzajemnych oskarżeń. Poświęciliśmy tej sprawie osobny rozdział.

Ataki na *Encyklopedię* wzmagaly się. Były chwile, gdy osamotniony Diderot i wydawca Le Breton zamyślali o zaniechaniu druku. Trzeba było jednak wyroku połączonych izb parlamentu paryskiego (23 stycznia 1759), potępiającego *Encyklopedię* wśród ośmiu niebezpiecznych publikacji, by pobudzić energię jej realizatorów. Potępione dzieła miały być zniszczone i spalone ręką kata. Jedynie w stosunku do *Encyklopedii* uchylono nakaz zniszczenia. W ślad za wyrokiem parlamentu odwołane zostało ponowne zezwolenie na jej druk, wydawcy zaś zobowiązani byli zwrócić subskrybentom wpłaconą przedpłatę w wysokości 72 liwrow. Godna i jednoznaczna okazała się postawa abonentów *Encyklopedii*. Nikt nie zgłosił się po odbiór utraczonej gotówki. Do wyroku parlamentu i królewskich dekretów dołączyło potępienie *Encyklopedii* przez papieża Klemensa XIII. Nie załamało to Denisa Diderota. Okazał się niezłomny. Pozbawieni możliwości druku wydawcy zgodzili się z projektem Diderota przygotowania edycji plansz nie objętych zakazem. Tomy rycin i ilustracji stały się największym bogactwem *Encyklopedii*, wizualną jej prezentacją, dokumentacją graficzną hasel z zakresu sztuki i rzemiosła. Na szczególną uwagę zasługują tomy poświęcone architekturze, medycynie, pracy rę-

kodzielniczej w warsztacie rzemieślniczym i w manufakturze. Głosiły pochwałę pracy, pochwałę człowieka produkującego i służyły mu modelowym wzorem warsztatu i narzędzi. Nieznani na ogół z nazwiska grawerzy wykonywali pracę zasługującą na najwyższe uznanie, tak pod względem estetycznym, jak i technicznym. Krzątając się wokół gromadzenia tak olbrzymiego materiału ilustracyjnego, Diderot nie zaniechał pracy nad kolejnymi tomami samego słownika. Po chwilowym załamaniu i depresji, oświadczył wydawcy: „Wracam do *Encyklopedii*”. Starannie przygotowane tomy wędrowały do drukarni pod innym szyldem. Karta tytułowa głosiła, że dzieło ukazuje się w Neuchatel i fikcyjne było nazwisko jego wydawcy. Aż trudno uwierzyć, że te stopy przygotowanych egzemplarzy przechowywały się bezpiecznie w Paryżu za wiedzą ministra Malesherbesa, czuwającego nad prasą i księgarstwem.

W roku 1765 dostarczono odbiorcom dalszych dziesięć tomów, całość zatem liczyła siedemnaście tomów i była zakończona. Tomy plansz, a było ich łącznie jedenaście, ukazywały się jeszcze do roku 1772. Nikt już wrzawy nie podnosił. Milczeli jezuita, gdyż i ich dotknął przewrotny los. *Encyklopedii* sprzyjali sekretarze stanu, i w tym najpotężniejszy wśród nich, i najbardziej oświecony – minister Choiseul. O *Encyklopedii* mówiła już cała Europa. Zamawiały ją dwory oświeconych. W trudnych latach po zakazie jej druku, oświeceni władcy proponowali jej dokończenie w swych krajach. Zabiegała o to szczególnie Katarzyna II, zwracając się z tą propozycją do Diderota. Encyklopedyści, choć prześladowani i ścigani, postanowili jednak dokonać dzieła we własnym kraju, by stało się ono pomnikiem jego kultury i myśli.

Gdy jednak ostatni tom plansz wyszedł spod prasy drukarskiej, Diderot odbył, na zaproszenie Katarzyny II, upragnioną podróż do Rosji. Obsypała go swymi łaskami, ale odrzuciła propozycję reform, które wiozł w zanadrzu. Wielkoduszność Imperatorowej szła dalej. Cierpiącego na niedostatek i skazanego na stałe ubóstwo Denisa Diderota wsparła skutecznie, wykupując jego bibliotekę i zostawiając mu ją przy tym w dożywocie. Francja w ten sposób straciła wspaniały księgozbiór i część archiwum samej *Encyklopedii*. Ubolewać należy, iż luminarze francuskiego Oświecenia nie znaleźli we własnym kraju należytego wsparcia i mecenatu. Oglądać się musieli na obce dwory. Nic więc dziwnego, że wystawiali im chlubne świadectwa monarchów oświeconych. Wersal filozofów nie wspierał, gdyż jak się wyraził Ludwik XV: „to nie jest w zwyczaju we Francji”. Mamy jednak dowody, że Ludwik XV korzystał z *Encyklopedii*, że na dworze wersalskim powodzeniem cieszyły się jej hasła, że nawet damy i gospodynie domowe sięgały po dzieło filozofów, znajdując w nim wiele pożytecznych wskazówek i porad.

Jeśli każdy znaleźć mógł w *Encyklopedii* to, co go interesować mogło i było mu przydatne w nauce czy w wykonywaniu zawodu, to jest to niewątpliwie wielkie osiągnięcie dzieła, jako kompendium wiedzy i umiejętności. Ważniejsza jednak od samej funkcji informacyjnej i instruktazowej była jego rola jako nosiciela „ducha epoki”. Zestaw haseł i dobór ich autorów nie był jedynie mozaiką różnych specjalizacji, składały się one na syntezę epoki, syntezę opartą na przeświadczeniu, że co rozumne jest dobre, że rozum jest wyznacznikiem poznania i użytecznego postępowania, jeśli ludzkość wyrwie się z okowów przesądu i nierówności społecznej. Duch epoki to również fizjokratyzm, który przeniknął to wielkie dzieło, głoszące użyteczność w imię zasady zgodności między naturą i kulturą.

XV. Upadek jezuitów

Zwycięstwo encyklopedystów wiąże się poniekąd z upadkiem ich zjadłych przeciwników w czarnych habitach. Towarzystwo Jezusowe, wierne Rzymowi, broniło do końca ortodoksji katolickiej i papieskich dyrektyw, domagało się respektowania bulli *Unigenitus* (1713), prowadziło wojnę z jansenistami, masonami i ich obrońcami w parlamentach. Towarzystwo Jezusowe, zainstalowane we Francji w XVI wieku na mocy enigmatycznie sformułowanej umowy z ówczesnym królem Francji, rozrosło się w ciągu 200 lat do rozmiarów prawdziwej potęgi – duchowej, materialnej i kadrowej. Nagły, nieoczekiwany upadek tego potężnego bastionu Kościoła katolickiego nazwać można wydarzeniem przełomowym, wstrząsem w skali krajowej i międzynarodowej. Jak do tego doszło, a raczej jak do tego dojść mogło? Pytanie nie znajduje dotychczas pełnej odpowiedzi. To, co się bowiem stało, wyszło daleko poza pierwotne zamysły. Nikt przypuszczać nie mógł, iż toczący się ponad wiek spór między jezuitami i jansenistami przybierze taki obrót. A gdy po latach pragniemy odtworzyć i ustalić przyczyny całej sprawy, gubimy się w wątku prawniczym, w retoryce słów, które osłaniają ukryte w nich intencje. Co zgubiło jezuitów: ich bogactwo, ich pewność siebie i lekceważenie przeciwników, wierność monarchii absolutnej? Przeciw nim połączyły się jakże odmienne siły: janseniści, parlamenty, obóz filozofów i minister Choiseul, którego roli nie sposób przecenić. Nie sposób też nie zwrócić uwagi na postawę Ludwika XV, który w tym krytycznym dla zakonu momencie postąpił tak, jak przystało na władcę oświeconego. Zgodził się na rozwiązanie zakonu, ale powstrzymał rozpetaną przeciw jego członkom nagonkę.

Zrodzone z ducha kontreformacji Towarzystwo Jezusowe, którego celem było utrzymanie jedności Kościoła rzymskiego i autorytetu papieża oraz walka z Reformacją, stało się w ciągu dwu wieków swego istnienia wielką ponadnarodową organizacją, potęgą samą w sobie. Zasięg jej działania wybiegał znacznie poza regułę zakonną. Towarzystwo Jezusowe posiadało własny system oświatowy. W samej Francji jezuita prowadzili ponad 100 kolegiów dla młodzieży, mieli oczywiście również własne akademie i nowicjaty, w których rosły nowe kadry zakonne. Na wszystkich dworach katolickich zajmowali ważne stanowiska kapelanów, kaznodziej, spowiedników, włączali się do polityki i spraw państwowych, oddziaływali przez swych penitentów, uczniów, wychowanków. Zgromadzili olbrzymie majątki, którymi świetnie zarządzali. Mając rozległe międzynarodowe stosunki, prowadzić mogli również operacje finansowe na wielką

skale, udzielali pożyczek na procent, byli wierzycielami skarbu państwa i dworu. Państwa i kraje złączone burbońskim paktem rodzinnym szczególnie odczuwały ich obecność i szczególnie stwarzały im możliwości działania.

Kolegia i akademie jezuitów nie były – jak niektórzy mniemali – siedliskiem obskurantyzmu i zacofania. Przeciwnie, i oni prowadzili badania i studia z zakresu nowoczesnej fizyki, nauk ścisłych i empirycznych, ale opatrywali innym komentarzem niż filozofowie przyrody. W zakonie trafiali się znakomici uczeni, apologety religijni, moralizatorzy. Jezuici wydawali czasopisma naukowe i religijne, posiadali własne drukarnie i wierznych czytelników oraz rozległą sieć odbiorców. Akceptując postęp i wynalazczość wieku walczyli z Oświeceniem, z jego racjonalistyczną i scientywną postawą. Zwalczali tych, którzy usiłovali być niezależni czy duchowo zrewoltowani. Zajadłe boje na pióra i na słowa prowadzili z encyklopedystami od chwili, gdy narodził się pomysł podjęcia tego dzieła. Wiekowy spór doktrynalny z jansenistami zamienił się z czasem w zajadłą walkę polityczną. Janseniści szukali protektorów wśród niechętnych zakonowi członków parlamentu. Jezuici zaś czuli się chronieni potężną partią dewotów wersalskich i protekcją Rzymu. Ani parlament, ani janseniści nie reprezentowali sił społecznego postępu.

Niemniej przeciw jezuitom od dawna opowiedziała się oświecona elita intelektualna, wśród niej zaś wielu ich wychowanków i zyskujące coraz liczniejszą klientelę loże masońskie. Pierwszoplanową rolę w decyzji zniesienia zakonu odegrali sami oświeceni władcy i ich ministrowie. We Francji minister Choiseul, w Portugalii Pombal, w Hiszpanii Aranda. Arcychrześcijańskie monarchie podjęły wojnę z zakonem, choć to on stał na straży monarchicznego systemu i bronił zasady, iż władza od Boga pochodzi. Paradoks historii czy jej logika?

Zaczęło się w Portugalii, po domniemanym zamachu na życie króla Józefa I. Śledztwo wykazało, że zamieszani w nim byli trzej bracia zakonni. Na torturach przyznali się do winy. Opinia publiczna była wzburzona. Dekret z 3 września 1759 roku, skazujący zakon na wygnanie z kraju, spotkał się z aprobatą. Minister Pombal odniósł osobisty sukces, wzmocnił swą władzę i finanse państwa. Potężne ogniwo pękło. Państwo tak silnie związane z katolicyzmem obeszło się bezwzględnie z wiernymi sługami papieża i Kościoła. Zakonników przepędzono z kraju. Ich dobra przeszły na własność państwa i rządzącej oligarchii. Dekret obowiązywał też w posiadłościach zamorskich Portugalii. Szczególnie wielkie straty poniósł zakon w Brazylii. Pozycja zgromadzenia w świecie została zdecydowanie nadzarpięta.

We Francji wielka afery rozpoczęła się niemal od przypadkowego incydentu. Jezuita, ojciec La Valette, który objął w roku 1741 zarząd jezuickich posiadłości na Martynice, okazał się pomysłowym gospodarzem. Wyciągnął zaniedbaną majątność z zadłużenia, sprzedawał cukier produkowany na własnych plantacjach, kupował w zamian niewolników, których również korzystnie odsprzedawał. Jego przedsiębiorstwo prosperowało w spółce z kupcami z Marsylii. Mała flotylla handlowa rosła. Nastąpiła jednak katastrofa. Flotyllę (5 stateczków) zagarnęli Anglicy, a wprowadzona przez nich blokada portów uniemożliwiła wszelką dalszą sprzedaż cukru. Reszty zniszczenia dokonał cyklon, który zrujnował doszczętnie plantacje. Wspólnicy księdza La Valette zażądali odszkodowania, ogłosili jego bankructwo, domagając się, by straty, które oszacowali w niebotycznych sumach, zostały im zwrócone przez zakon. Proces w pierwszej instancji odbył się w Marsylii, w sądzie, do którego wpłynął pozew. Sąd zasądził odszkodowanie. Zakonnicy odwołali się do parlamentu paryskiego. Na to tylko czekali ich przeciwnicy, których w parlamencie nie brakło. Również minister Choiseul postanowił skorzystać z okazji, by zjednać sobie członków parlamentu.

Sprawa odszkodowania toczyła się przed izbą cywilną. W długich debatach i na podstawie ogromnego materiału dowodowego parlament potwierdził sentencję sądu marsyjskiego, uznał roszczenia odszkodowawcze za uzasadnione i nakazał zakonowi zwrócić spółce kupieckiej Lionci i Gouffre (6 kwietnia 1761) poniesioną stratę. Na tym się jednak nie skończyło. W nawale materiału dowodowego, do którego należała również reguła zakonna i regulaminy wewnętrzne Towarzystwa, dopatrzono się niezgodności reguły zakonu z obowiązującymi prawami państwa. Kwestie te wniósł na forum parlamentu H. Philippe Chauvelin, doradca w sprawach kleru, domagając się wszczęcia kolejnego procesu, tym razem już natury karnej, o naruszenie przez regułę zakonu praw państwowych. Była to już afery zmontowana i *a priori* przesądzona. Zakon, który nie respektował praw krajowych, nie mógł w tym królestwie istnieć, tworzyć państwa w państwie. Reguła Ignacego Loyoli ustalona była jeszcze przed ostatecznym uregulowaniem za czasów Ludwika XIV zasad Kościoła gallikańskiego i jego stosunków prawnych z Rzymem. Zakon jezuitów stanął pod zarzutem ich łamania. Pracownicy adwokaci wertowali księgi i archiwa, sporządzali znów całe strony materiałów dowodowych. Robili z nich wyciągi i tak skutecznie dobierali cytaty, by „wina” zakonu stała się oczywista i bezsporna.

Skąd ta gorliwość i dlaczego to milczące, ale zakulisowe poparcie ze strony najpotężniejszego filara monarchii ministra Choiseula?

Nietrudno przeniknąć jego grę. Jak pamiętamy, Etienne François de Stainville, który jako minister Ludwika XV przyjął nazwisko księcia de Choiseul, objął tekę ministra spraw zagranicznych w toku wojny siedmioletniej (1758), był jednym z twórców przewrotu aliansów i zwolennikiem sojuszu francusko-austriackiego. Wojna przeciw Prusom – jak to widzieliśmy – okazała się w społeczeństwie niepopularna i nieskuteczna, co gorsza, parlament czynił królowi trudności w rejestrowaniu dekretów podatkowych. Frondował przeciw królowi. Ludwik XV uciekał się do środków nadzwyczajnych, w „łożu sprawiedliwości” wydawał swe królewskie decyzje. Niefaską swą skazywał parlament paryski na wygnanie do małych, odległych miejscowości. Z drugiej strony, niemniej dotkliwie dla interesów państwa reagował Kościół. Odmawiał subsydiów na wojnę, zastrzył interpretację papieskiej bulli *Unigenitus*, zakazując księżom udzielania jansenistom ostatnich sakramentów, a z kolei ciskając gromy na encyklopedystów.

Obie potężne i wpływowe siły, parlament i Kościół, frondując przeciw królowi, znalazły się również w ostrym konflikcie między sobą. Liberalny minister, określany nawet jako libertyn, dążąc do pojednania króla z parlamentem uznał, iż okazja nadarza się szczególna. Obalenie jezuitów, których sam szczerze nie lubił, wytrącało Kościołowi potężną podporę jego działalności duszpasterskiej, edukacyjnej i doktrynerskiej. Zaprzeczyc bowiem nie można, że w zakonie jezuitów skupiała się elita umysłowa teologów, że i papieństwo i jego doktrynalne decyzje bazowały na tym zakonie. W państwach burbońskich, a szczególnie we Francji, Towarzystwo Jezusowe dominowało zarówno nad duchowieństwem świeckim, jak i innymi zakonami. Utrącenie jezuitów uwalniało niejako państwo od kurateli doktrynalnej, a dodatkowo, co niemniej ważne, przynieść mogło wielkie materialne korzyści w wypadku konfiskaty ich mienia. Można było do tego doprowadzić przez sofizmaty prawne. Państwo potrzebowało doraźnego wsparcia na potrzeby wojenne, ratowanie armii i wyrównanie poniesionych strat, choć wiadomo już było, że wojna jest przegrana. Ludwik XV zaufał swemu ministrowi. Nie przeszkadzał w jego posunięciach, zresztą dobrze maskowanych. Wymiar sprawiedliwości działał z pełnym przestrzeganiem procedury prawnej, towarzyszyła mu gwałtowna wojna pamfletów i ataki na ojców w czarnych habitach. Wśród zarzutów pojawiły się również bezpodstawne insynuacje ich udziału w królobójstwie dokonanym przez Damienasa i wypominanie im podobnej roli w poprzednich królobójstwach (Henryka III i Henryka IV).

Opinia publiczna była już dostatecznie przygotowana, by zapisać mogły wyroki. 6 sierpnia 1761 roku parlament paryski

orzekł, iż wszystkie kolegia jezuickie zostaną zamknięte 1 października i skazał na spalenie niektóre ich pisma. Wyrok ten jednak obowiązywał jedynie na terenie objętym zasięgiem parlamentu paryskiego. Inne parlamenty miały się wypowiedzieć samodzielnie. W całym kraju zawrzało. W każdym parlamencie prowincjonalnym odbywały się debaty i procesy. W Rennes, Aix, Rouen – w jeszcze ostrzejszej niż Paryżu formie, Bordeaux, Perpignan, Metz, Pau, Tuluza, Dijon, Grenoble również potępiły jezuitów, ale w formie bardziej oględnej, Nancy, Douai, Colmar i Besancon zaś nie podjęły sprawy. Fala publicystyki towarzyszyła tym debatom. Opinia publiczna była podniecona, być może nieco zbałamuciona. Jezuita próbowali się bronić. Przygotowali obszerną odpowiedź na czynione im zarzuty, dowodząc, że były one oparte na błędnej interpretacji tekstów. Druk tej odpowiedzi i jej rozprowadzenie zostały jednak zakazane.

Ludwik XV, zaskoczony natężeniem toczącej się kampanii i bezwzględnością wyroku, obawiał się, że pogłębi on jeszcze trudności państwa i poróżni go z papieżem. Na dworze wersalskim silne były wpływy jezuitów i wielu z nich bezpośrednio pełniło posługi kapłańskie i kapelańskie. Partii dewotów przewodził sam delfin, za jezuitami opowiadała się gorliwie królowa Maria Leszczyńska. W gwałtownej rozmowie z ministrem Choiseulem delfin powiedział, iż wolałby stracić pół królestwa, niż zgodzić się na rozwiązanie zakonu. Dworska społeczność i królewskie rady oscyływały między dwoma stanowiskami. Choiseul prowadził ryzykowną grę. Byli tacy, którzy czyhali na jego potknięcie.

Niełatwa była również pozycja Ludwika XV, który – jak to żartobliwie oceniano – znalazł się między dwoma biegunami: Marią Leszczyńską i panią de Pompadour, przeciwniczką jezuitów. Sam król czuł zabobony strach przed ewentualnością kar kościelnych i perspektywą wiecznego potępienia. Podjął decyzję rozsądną i zgodną z państwową racją stanu. Dał szansę Kościołowi i jego sługom. Nie zmieniając sentencji parlamentu, zawiesił je na pół roku, do chwili porozumienia z Rzymem i uzyskania od niego zgody na zmianę reguły zakonnej zgodnie z prawami państwowymi. Do papieża wysłał specjalne poselstwo w celu wyjaśnienia sprawy i przedstawienia kompromisowej propozycji. Ten gest pojednawczy wobec Stolicy Apostolskiej i zagrożenia zakonu nie został właściwie zrozumiany. Generał zakonu, nazwiskiem Ricci, odpowiedział wyniośle: *Sint ut sunt, aut non sint* (Niech będą czym byli lub niech nie będą wcale). Papież Klemens XIII nie docenił powagi sytuacji. Nie zgodził się na żadne zmiany w regule zakonnej. Odrzucił ofertę króla Francji. Gdy termin zawieszenia wyroku minął, Lu-

dwik XV zaniechał dalszych kroków wstrzymujących decyzję parlamentów. Pierwszy prezydent parlamentu paryskiego przygotował dla króla i na jego życzenie wyciąg z materiałów obciążających zakon. Wyrok wszedł w życie, w ciągu 1762 roku eksmitowano wszystkie domy zakonne będące w zasięgu jurysdykcji parlamentu paryskiego. To samo miało niebawem miejsce w innych prowincjach, nie obyło się bez nadużyć i zwykłego rabunku. Młodzi klerycy i uczniowie kolegów mieli złożyć przysięgę na ustawy gallikańskiego Kościoła, jeśli nadal chcieli pobierać nauki w tych zakładach. Zwycięski parlament mnożył dalsze wyroki. Zakonnikom nie wolno było chodzić w stroju zakonnym, utrzymywać kontaktów ze swymi byłymi przełożonymi, nie mogli nauczać, posiadać lub użytkować beneficjów kościelnych, zajmować jakichkolwiek funkcji publicznych. W roku 1764 parlament paryski ponowił atak, zawyrokował o wygnaniu zakonników rozwiązanej kongregacji. Tym razem jednak Ludwik XV użył swej władzy absolutnej i wyrok ten anulował. W listopadzie 1764 roku wydał królewski edykt tolerancyjny. „Wolą naszą i naszym życzeniem jest, by w przyszłości Towarzystwo Jezusowe w naszym królestwie nie istniało..., niemniej tym, którzy do tegoż Towarzystwa należeli, pozwalamy mieszkać w naszych krajach, jeśli przestrzegać będą praw naszego królestwa i zachowując się we wszystkim tak, jak przystało na dobrych i wiernych nam poddanych. Wolą naszą jest również, by wszelkie postępowanie karne (*criminel*) wszczęte przeciw Towarzystwu Jezusowemu było umorzona”. Niebawem doszło do zniesienia zakonu jezuitów w Hiszpanii i brutalnego wypędzenia jego członków z kraju. Również i wnuk Ludwika XV, młody książę Parmy, przepędził ich ze swego księstwa. Spowiednicy i kapelani rodziny królewskiej pozostali nadal w Wersalu. Musieli jednak zmienić strój zakorny na zwykłą suttannę. Wielu byłych jezuitów przyjęło stanowiska prywatnych nauczycieli i guwernerów w zamożnych rodzinach. Niektórzy parafianie zajęli się również ich losem, udzielając wygnanym dachu nad głową i żywiąc ich. Wielu jezuitów opuściło kraj, trafiając również i na ziemię polskie. Wszystkie domy zakonne na terenie Francji zostały ewakuowane. Mianowani zarządcy objęli swe obowiązki. Kościoły klasztorne obsługiwać mieli księża z sąsiednich parafii. Sami zakonnicy zadbali o los swych wychowanków i postulantów. Rozesłali do rodziców zawiadomienie, że w następnym roku szkolnym kolegium będzie nieczynne i sami zabiegali o ulokowanie swych pupilów w innych szkołach, podobnie było z nowicjatem. W jednym z dawnych paryskich kolegów (La Fleche) została zainstalowana królewska akademia wojskowa. Do innego ewakuowanego klasztoru paryskiego wprowadziła się loża masońska, a przylegający do kla-

sztoru kościoł został po prostu zburzony. Większość kolegiów nie była jednak nieczynna. Zostały one oddane pod opiekę administracji i kleru. Nauczanie w nich opierało się nadal na kanonie literatury klasycznej. Do przedmiotów eksperymentalnych brakło nauczycieli. Brak ich odczuwała cała Francja do samej Rewolucji.

Obalenie zakonu było politycznym zwycięstwem ministra Choiseula. Poczł się silny w Wersalu i w państwie, pozyskał parlamenty, oddając im na łup zakon, którego sam szczerze nie lubił.

Na terenie parlamentu paryskiego sprawa wygasła, tliła się jednak nadal w kręgach dawnych zwolenników zakonu. Nie wygasła też w płaszczyźnie międzynarodowej.

W latach 1764–1767 jezuiti zostali usunięci ze wszystkich państw burbońskich w Europie, Ameryce i Azji, z Francji, Hiszpanii, królestwa Neapolu i Sycylii, Parmy, Peru i Paragwaju, Argentyny, Filipin i Meksyku, już poprzednio wypędzeni z Portugalii i Brazylii. Papież ze względów pryncypialnych nie przyjął ich w Rzymie, wielu z nich skierował na Korsykę. Korrespondencja dyplomatyczna między burbońskimi dworami w sprawie obalenia zakonu wskazuje, iż inspiratorem tej wielkiej akcji i głównym jej motorem był minister Choiseul, najbardziej zaufany od czasu kardynała Fleury'ego minister Ludwika XV. Butna i arogancka reakcja papieża, który zastosował najgroźniejszą w Kościele sankcję, rzucając klątwę na księcia Parmy, wnuka Ludwika XV, wywołała reakcję spokrewnionych dworów. Ludwik XV uciekł się do szantażu, wojskom swym nakazał okupację posiadłości papieskich na terenie Francji, tj. okręgu Avignonu i Comtat. Podobnie w swoim państwie postąpił król Neapolu. Hiszpania i Francja postanowiły zgodnie przekazać Stolicy Apostolskiej ultimatum, żądając całkowitej i nieodwołalnej likwidacji Towarzystwa i sekularyzacji wszystkich „osób doń należących”. Wszelkie próby jednak nie dały rezultatu tak długo, jak na papieskim tronie zasiadał uparty papież Klemens XIII (Rezzonico 1758–1769).

Śmierć nieprzejednanego papieża położyła kres sporowi. Jego następca, Klemens XIV, z zakonu franciszkanów, nazwiskiem Ganganelli, nie lubił jezuitów. Ambasador Ludwika XV w Rzymie, kardynał Bernis, miał ułatwione zadanie, domagając się kasaty Towarzystwa. Zajęło to jednak jeszcze trzy lata stałych zabiegów, rokowań i dyplomatycznych nacisków. Ostatecznie ogłoszona została światu papieska bulla, wydana 21 lipca 1773 roku rozpoczynająca się od słów *Dominus ac Redemptor*. Zakon jezuitów przestał istnieć w krajach katolickich. Uratował się jedynie w królestwie Prus (Braniewo) i na ziemiach zajętych przez Rosję w pierwszym rozbiórce. Tam przetrwał do chwili

swych ponownych narodzin. Rok 1773 zamyka w Kościele katolickim ponury rozdział wojującej kontrreformacji i nietolerancji.

W Polsce z tą datą łączą się narodziny Komisji Edukacji Narodowej. We Francji obalenie zakonu nastąpiło o 10 lat wcześniej. Państwo bynajmniej nie było przygotowane do sekularyzacji szkoły, zwłaszcza tej średniej. Mnożyły się projekty zarówno edukacyjne, jak i organizacyjne. Brakło nauczycieli świeckich, jak i pieniędzy na utrzymanie szkół. Różnymi sposobami zapobiegano tym trudnościom. Ale ich w pełni nie rozwiązano, nastąpił znaczny upadek szkolnictwa i do Rewolucji reforma szkolna nie została ani wprowadzona, ani nawet opracowana. Pierwsze próby i projekty reformy szkolnej zasługują na uwagę, a co ważniejsze, że zastosowane zostały nie tylko we Francji, ile właśnie w krajach, gdzie dokonywały się reformy w duchu Oświecenia, m.in. w Polsce.

Załamanie się potężnego bastionu ortodoksji kościelnej, jaki stanowiło Towarzystwo Jezusowe, uznać można za zwycięstwo oświeconego wieku. Przede wszystkim jednak było ono wynikiem gry politycznej i międzynarodowych powikłań.

Jeśli decyzję rozwiązania Towarzystwa Jezusowego określamy jako zwycięstwo ofensywy oświeconych, działań parlamentów nie można identyfikować z ideą postępu. Właśnie w czasie, gdy rozpoczynała się dysputa nad modelem przyszłej szkoły i zasad wychowania, parlament paryski wydał wyrok potępiający wydaną drukiem i cieszącą się ogromnym powodzeniem książkę J.J. Rousseau *Emil ou l'Education (Emil, czyli o wychowaniu)*. Decyzją parlamentu książka miała być spalona ręką kata, nakład jej zniszczony. Rousseau, ostrzeżony, zdołał uciec za granicę. Skutek wyroku był znamienity. Książka, którą sprzedawano za 18 liwrow, osiągnęła po jej potępieniu – jak podaje pamiętnikarz Barbier – 2 luidory. Przewidywano też, że następne wydanie ukaże się w Holandii. Filozofowie deiści i pisarze niezależni traktowani byli przez parlament bezwzględnie. Potępiane ich dzieła (Holbach, La Mettrie, Helvétius) palone były ręką kata. Z nie mniejszą zajadłością dostojne grono prawników potraktowało pismo wzywające do zniesienia ekskomuniki kościelnej w stosunku do aktorów. Broszura ta wyrokiem sprawiedliwości oddana została również w ręce kata, jej wydawca wykluczony z izby adwokackiej.

Sumieniem oświeconych wstrząsnęły też wyroki parlamentu w sprawach oskarżenia o przejście na protestantyzm księdza Rochette i trzech szlachciców, skazano ich na karę śmierci. Inny szlachcic, nazwiskiem La Barre, ponieść miał karę spalenia na stosie za dopuszczenie się świętokradztwa. Wreszcie głośna i przełomowa stała się słynna sprawa Calasa, której rozgłos na-

dał występujący w jego obronie Wolter. Nieszczęśnik, niesłusznie posądzony o spowodowanie zgonu swego syna Marka Antoniego, wyrokiem parlamentu Tuluzy skazany został na śmierć przez łamanie kołem (1762). Sprawa doszła do króla już po wykonaniu wyroku. Ludwik XV wyrok anulował (1765), pośmiertnie Calasa rehabilitował, a rodzinie zapewnił opiekę.

„Jest więc człowieczeństwo i sprawiedliwość ludzi, szczególnie w łonie Rady króla umiłowanego i godnego miłości” – komentował Wolter królewską decyzję.

Rozdział ten zamykamy wyjątkiem z *Traktatu o tolerancji*, napisanego przez Woltera po zabójstwie Calasa. Ustęp, z którego czerpiemy cytaty, zatytułowany jest: „Modlitwa do Boga”.

„Tedy nie zwracam się już do ludzi, lecz do Ciebie, Boże wszech istot, wszech światów i wszech czasów. Jeżeli słabym stworzeniem, zagubionym w bezmiarze i niedostrzegalnym dla reszty wszechświata, wolno jest okazać tę śmiałość, by prosić o coś Ciebie, któryś dał wszystko, Ciebie, którego wyroki są równie niewzruszone jako i wieczne, to racz spojrzeć miłosiernie na błędy przywiązane do naszej natury. Niechaj te błędy nie pograżają nas w nieszczęściu. Nie dałeś nam serca po to, abyśmy się nienawidzili, i rąk po to, abyśmy się mordowali. Spraw, abyśmy sobie nawzajem pomagali nieść brzemię tego życia ciężkiego i znikomego. Niechaj drobne różnice w ubiorach, którymi ukryte są nasze kruche ciała, we wszelkich naszych niedostatecznych językach, we wszelkich naszych śmiesznych obyczajach, we wszelkich naszych niedoskonałych prawach, we wszelkich naszych niedorzecznych poglądach, we wszelkich dolaх tak różnych dla naszych oczu, a tak różnych przed Twoim obliczem, niechaj te wszystkie nieznaczne różnice, które znamionują atomy zwane ludźmi, nie stają się sygnałami nienawiści i prześladowania (...).

Obyż wszyscy ludzie przypomnieli sobie, że są braćmi! Obyż zmierzli sobie tyranie sprawowaną nad duszami, podobnie jak brzydzą się rabunkiem, który siłą wydziera owoce pracy i spokojnego rękodziela! Jeżeli już plagi wojny są nieuniknione, porzućmy nienawiść, nie rozdierajmy się wzajemnie pośród pokoju i korzystajmy z chwili naszego istnienia, aby jednakowo w tysiącu języków od Syjamu aż do Kalifornii wielbić Twoją dobroć, która nas obdarzyła tą chwilą”.

XVI. „Pragnę wolności dla Polaków”

Je veux la liberté des Polonais

Jednym z najbardziej zawitych i do końca nierozplątanых wątków dyplomacji Ludwika XV jest jego stosunek do spraw polskich. Tajemnicze *Secret du Roi*, o którym nie wiedzieli nawet ministrowie królewscy, pozostało do dziś jedną z nierozwiązanych zagadek jego panowania. Tym bardziej że poufni agenci i korespondenci niejednokrotnie się zmieniali, tylko jemu przekazywali swe raporty i mieli nakaz niszczenia przekazywanych instrukcji. Najbardziej zaufani wśród nich to nie lubiany przez funkcjonariuszy oficjalnej służby dyplomatycznej Charles François de Broglie, hrabia Jean-Pierre de Tercier, ongiś jeszcze powiernik króla Leszczyńskiego, oraz zasłużony generał Jean Antoine Monet. Utajenie tego, podwójnego w niektórych sytuacjach, kanału dyplomatycznego nie wynikało z odmienności celów obu nurtów, ale raczej z odmienności środków i metod, a także z niepełnego zaufania do ministerialnej siatki służby zagranicznej, tym bardziej gdy w okresie saskim funkcjonowała oficjalnie wspólna dyplomacja polsko-saska. Tajne porozumienia z Polakami różnych orientacji politycznych odbywało się przez poufne zlecenia.

Jest rzeczą niewątpliwą, iż Ludwik XV miał szczerą chęć pomocy Polsce i wciągnięcia jej w orbitę polityki francuskiej, wyrwania spod dyktatu sąsiadów. Zarówno jego małżeństwo, jak i częsty kontakt z teściem Stanisławem Leszczyńskim doprowadziły do niefortunnie przygotowanej jego elekcji, a potem do tzw. wojny sukcesyjnej polskiej. Nierzadko w Wersalu pojawiali się polscy goście, krewni Marii Leszczyńskiej lub półtajni wysłannicy magnackich ugrupowań.

W toku austriackiej wojny sukcesyjnej i wojny siedmioletniej, którym poświęciliśmy odrębne rozdziały, nastąpiła również zmiana stosunku Francji do zasiadającego na tronie polskim Augusta III. Od projektu jego detronizacji w sojuszu z Prusami do obrony jego praw do korony jako sojusznika Austrii, z którą alians został zawarty. Stosunki francusko-saskie umocniło też drugie małżeństwo delfina z córką Augusta III, Marią Józefą. Nawiasem dodać można, że Ludwik XV okazywał dużo serdeczności i żywego zainteresowania drugiej synowej. Śledził przebieg jej kolejnych ciąży i z troskliwością asystował przy porodzie. Toteż po przedwczesnej i nieoczekiwanej śmierci Augusta III Francja opowiedziała się za utrzymaniem w Polsce domu saskiego (książę Ksawery) lub powrotem do koncepcji fran-

cuskiego księcia. O tronie polskim zdecydowała jednak Rosja i jej nowa władczyni Katarzyna II. Nad Polską rozciągnął się protektorat rosyjski.

Z perspektywy francuskiej sytuacja w Europie Wschodniej przedstawiała się niejasno. Zawiedzeni magnaci i stronnicy Sasów odwoływali się bowiem do dworów obcych, by nie uznały obranego w Polsce Stanisława Augusta i poparły ich opozycyjne zamiary. Przede wszystkim liczone na Francję. Ale Francja po wojnie siedmioletniej to nie Francja Ludwika XIV, który w Polsce widział godnego swych celów partnera. Ludwik XV niczego od Polski oczekiwać nie mógł, możliwości jego zaś były więcej niż ograniczone. Nadal jednak chciał prowadzić swą tajną dyplomację, poprzez własnych agentów baczyć na to, co w tym kraju się dzieje i zasilać niewielkimi subsydiami (Francja tonęła w długach powojennych) wiernych sobie zwolenników. Z Rosją nie zamierzał wchodzić w otwarty konflikt. Inaczej jego minister, rzutki, lecz konsekwentny, książę de Choiseul. Przyjrzyjmy się więc jego zamysłom.

Powstały po wojnie siedmioletniej układ europejski, jakkolwiek w przekonaniu ministra Choiseula – który ten pokój negocjował – otwierał Francji duże szanse na przyszłość, w istocie degradował ją do rangi drugorzędnego mocarstwa. W Europie dominował tzw. system północny, porozumienie państw zwycięskich: Wielkiej Brytanii, Rosji i Prus. Państwa poszkodowane, zgrupowane w tzw. przymierzu południowym: Francja, Austria i Turcja, tak pod względem ekonomicznym, jak i militarnym pozostawały daleko w tyle. Zarysowała się obawa, że państwa systemu północnego, dążąc do wzajemnej równowagi, wykorzystują słabość sąsiadów, by ich kosztem tę równowagę osiągnąć. Wojna siedmioletnia w swych dalszych skutkach zrodziła kwestię wschodnią, tj. trwałe zagrożenie dwu najsłabszych państw europejskich – Polski i Turcji. Rozbicie systemu północnego przez wsparcie Polski i Turcji stało się jednym z rozległych celów mocarstwowej i ekspansjonistycznej polityki Choiseula, której wielowątkowość i wizjonerskie perspektywy nie szły w parze z realiami politycznymi. Gdy celów za wiele, żadnego się nie osiąga.

Aktywność dyplomacji francuskiej i podejmowane przez nią inicjatywy na różnych polach europejskiej polityki budziły natomiast przekonanie, iż Francja nie zesza jeszcze ze swej mocarstwowej pozycji i że zdolna jest odwrócić bieg wydarzeń i zagrożeń. Opozycja wobec Stanisława Augusta, łącząc najbardziej zacofane elementy dawnego republikanizmu z przebłytkami idei patriotycznych, postawiła na tego konia, i przyczyniła się ewidentnie do własnej klęski narodowej. Odwracać tej prawdy nie można, obwiniając Francję czy jej władcę i jego ministrów,

że dopuścił do pierwszego rozbioru Polski. „Naród wewnętrznie skłócony – pisał L. Laugier, jeden z ministrów Ludwika XV – skazany jest na zagładę”.

Wstępując na tron polski, dzięki poparciu Katarzyny II i interwencji jej wojsk, Stanisław August pragnął wywinąć się spod kurateli systemu północnego, pójść drogą reform politycznych i przezwyciężyć anarchię czasów saskich.

Podjął działalność dyplomatyczną, chcąc nawiązać stosunki z państwami europejskimi, a tym samym przekonać się o ich uznaniu. Również z Francją i Wiedniem. Na to jednak musiał uzyskać zgodę czujnego dworu rosyjskiego i ominąć zasady polskiego parlamentaryzmu, które sprzeciwiały się dyplomatycznej wymianie poselstw z zagranicą. Król polski ograniczył się więc do gabinetowej działalności i doraźnych misji. W stosunku do Francji próba została podjęta. Misję o powiadomieniu dworu francuskiego o swym wyborze i jednocześnie wszczęciu kroków w celu ustalenia stałej dyplomatycznej wymiany Stanisław August powierzył swemu szambelanowi, uzdolnionemu ekonomieście, Feliksowi Łoyko. Znał on tak dalece obyczaje dyplomatyczne, iż sprawozdanie z odbytej misji zrehabilitował w poprawnej francuszczyźnie, języku dyplomatów i salonów. Z relacji wynika, że poseł miał znaczne trudności w skompletowaniu odpowiedniego orszaku i wyposażeniu go w wymagane akcesoria podnoszące splendor podobnej uroczystości i autorytet własnego monarchy. Z nielicznym tylko poczem pojawił się w Paryżu. Na miejscu więc musiał wypożyczać od innych dyplomatów lub najmować ludzi do swej świty, przydziać ich w jednakową liberię. Oficerowie gwardii francuskiej, lokaje, forysie i stangreci zostali przydzieleni do poselskiego orszaku przez stronę francuską.

1 kwietnia 1766 roku pod jego rezydencję w Paryżu zajęchały dwie karety. Poseł zajął miejsce obok towarzyszącego mu introduktora, w drugiej zaś karocy towarzyszącej posłowi, szlachcic Morsztyn z francuskim urzędnikiem dworskim. W drodze do Wersalu dwukrotnie przepręgano konie – w Sèvres i pod wielkimi stajniami pałacu. Ostatni postój przeznaczony był na wypoczynek, poprawę wyglądu i właściwe uformowanie orszaku. Należało bowiem paradnie i dziarsko zajęchać przed główny podjazd. Przy Schodach Ambasadorów oczekiwali przybyli członkowie korpusu dyplomatycznego oraz grupa Polaków zaproszonych z tej okazji. Chwilę potem sekretarz ceremonii oznajmił, że król czeka. W ustalonym porządku posuwano się po schodach i przez królewskie apartamenty. U wejścia do każdej komnaty straż otwierała i zamykała drzwi. W królewskiej sypialni zatrzymano się i oczekiwano na wejście do sali przyjęć. Po krótkiej chwili otwarły się odrzwia i introduktor powiódł

polskiego dyplomate do królewskiego fotela. Za nim ustawili się towarzyszący mu Polacy. Obok króla, poza barierą dzielącą go od sali, stał minister spraw zagranicznych (był nim w tym czasie Choiseul-Praslin). W sali było też wielu książąt, dostojników, oficerów gwardii. Zgodnie z protokołem wielkiego poselstwa pokoje i klatka schodowa zapełnione były członkami dworu i urzędnikami państwa.

Król siedział w fotelu w kapeluszu na głowie. Poseł podchodząc, trzykrotnie wykonał pokłon. Przy każdym ukłonie król uchylał kapelusza. W czasie przemówienia i wręczenia przez posła listu od króla Stanisława Augusta, Ludwik XV kapelusza już nie zdjął. W kilku zdaniach podziękował i audiencja była skończona. Protokół ceremonii nie przewidywał żadnych rozmów czy pytań. Poseł wycofał się powoli, zwrócony wciąż twarzą do króla i ugiął się ponownie w trzykrotnym ukłonie. Król reagował trzykrotnym uchYLENIEM kapelusza.

Audiencja u królowej rodaczki została odwołana z powodu jej choroby. Królowa od śmierci delfina nie pokazywała się oficjalnie. Spotkanie Feliksa Łoyki z Marią Leszczyńską nastąpiło znacznie później, łącznie z jego pożegnalnymi wizytami składanymi w Wersalu, w niedzielę Zielonych Świąt, które przypadły na 18 maja.

Bezpośrednio po audiencji u króla nastąpiły kolejne wizyty w pokojach rodziny królewskiej, u młodocianego delfina, wnuka królewskiego, w pokojach jego braci i siostrzyczek, które już wtedy tytułowano Mesdames. Małe panienki odpowiadały grzecznym skinieniem głowy na potrójne ukłony posła. Z kolei wizytę przyjęła królewska córka, Adelajda, a w następnym salonie poseł spotkał trzy pozostałe siostry: Wiktorię, Zofię i Luizę Marię. Wszystkie te wizyty odbywały się tym samym trybem. Po rundzie, obejmującej rodzinę królewską, odbyła się uroczysta audiencja w Sekretariacie Spraw Zagranicznych u diuka Choiseul-Praslin, w trakcie której poseł mógł przysiąc na fotelu poniżej księcia. Podobny ceremoniał miał miejsce w czasie wizyty u jego małżonki, diuszesy de Praslin. Dama ta przywitała naszego posła u progu swego salonu, a on ujął jej rękę i poprowadził do wnętrza, po czym zajął miejsce na wskazanym mu krześle poniżej fotela gospodyni.

Po tych morderczych wizytach, wypełnionych zdawkowymi komplementami i gestami, nastąpił obiad w towarzystwie posłów zagranicznych, potem kawa w reprezentacyjnych apartamentach. Utrudzony poseł i jego towarzysz wracali wieczorem karocami królewskimi do Paryża. Przez kilka tygodni Feliks Łoyko bawił w stolicy Francji, kilkakrotnie jeszcze udawał się do Wersalu na rozmowy i przyjęcia, w których uczestniczył wraz z korpusem dyplomatycznym. Na pożegnanie, zgodnie ze

zwyczajem obowiązującym wobec ambasadorów, otrzymał od króla wysadzone diamentami pudełeczko z wizerunkiem monarchy. Posła również obowiązywały prezenty, dla introduktora wartości 50 liwów i jego sekretarza 25 liwów. Pierwszy otrzymał pamiątkową kasotę, sekretarz od podarku wolał gotówkę.

Relacja sporządzona przez Łoykę po jego powrocie posłużyła mi do tego opisu. Jest to zarówno obraz dyplomatycznego obyczaju przestrzeganego w Wersalu, jak i dowód szansy otwierającej się przed polskim władcą obejmującym tron w jakże trudnych dla siebie warunkach.

W odpowiedzi na polskie poselstwo przybył do Warszawy wysłannik Wersalu, Louis Gabriel Conflans, „ze zwyczajnym w tych okazjach komplementem”. W ten sposób Francja uznała królem Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jej śladem poszły wszystkie dwory paktu familijnego. Z ociąganiem zdecydowała się na to również Austria. Pierwsza runda zabiegów dyplomatycznych Stanisława Augusta była wygrana.

Wbrew nadziejom i oczekiwaniom poselstwo Łoyki nie przyniosło dalszych skutków. Przeciwnie, opozycja antystanisławowska, szukając w tych krajach oparcia przeciw własnemu królowi i jego planom reformatorskim, niweczyła wszelkie próby porozumienia króla polskiego z Wersalem i Wiedniem.

Ludwik XV nie dążył do usunięcia Stanisława Augusta z tronu, swego uznania dlań nigdy nie cofnął, choć tego domagała się radykalna część opozycji, zarówno konfederacji radomskiej, jak i barskiej. Zdawał sobie sprawę, że wszelkie awanturnictwo polityczne prowadziłyby do wojny z Rosją, bądź unicestwienia przez nią opozycji. Inne plany wygrania polskiej karty wyszły od ministra Choiseula.

Pomimo iż Ludwik XV nie powołał nigdy pierwszego ministra i niejednokrotnie podkreślał, iż rządzi Francją osobiście, nie ulega wątpliwości, że od śmierci kardynała Fleury'ego, najbardziej wpływowym i najpotężniejszym człowiekiem Wersalu i Francji stał się diuk de Choiseul. Stosunek Ludwika XV do ministra Choiseula był inny niż do wiekowego preceptora, kierownika sumienia, doradcy jego młodości. Kardynałowi Fleury'emu ulegał z nawyku, z braku doświadczenia poddawał się jego dyrektywom, kochał go szczerze i darzył pełnym zaufaniem. Ministra Choiseula wybrał Ludwik XV świadomie, gdyż jego polityczne przekonania i koncepcje były zbliżone do królewskich. Widział w nim człowieka silnego, obdarzonego wybitną inteligencją, intuicją oraz talentem dyplomatycznym i wojskowym. Wszak Choiseul był również oficerem w randze dowódczej w toku austriackiej wojny sukcesyjnej. Choiseul cieszył się także sympatią i przyjaźnią pani de Pompadour, panowała

między nimi harmonia, tak często niweczona poprzednio intrygami koterii. Choiseul był Lotaryńczykiem, Francuzem z wyboru, wielkim panem, światłym człowiekiem, liberałem, przyjacielem filozofów i znawcą nowoczesnej ekonomii. Miał wielu przyjaciół i oddanych sobie ludzi oraz nie mniej wrogów, którzy czyhali na jego potknięcia i nierozważne decyzje. Sam sobie najczęściej zaszkodził niepohamowaną ambicją i epikurejskim trybem życia. Ten *bon viveur*, brzydki, krępy, rudowłosy, uwielbiał życie towarzyskie. Jako bywalec salonów paryskich był niejako łącznikiem między dworem a środowiskami oświeconymi i antyklerykalnych intelektualistów, frondujących przeciw monarchii, jezuitom i Kościołowi. Hołdował pięknu, estetyce i radości życia. Był rozmowny, by nie powiedzieć gadatliwy, zawsze wesół i pewny siebie. Przenosił do Wersalu ducha nowości, ale też gorszył dewotów swobodnym trybem życia, rozmiłowaniem w zbytku i powodzeniem wśród dam. Zaprawiony w służbie zagranicznej i rzemieśle dyplomaty ogarniał szerokie horyzonty, decyzje podejmował szybko, snuł wybiegające w daleką przyszłość wizje. Jego projekty, pozornie pociągające i realne, okazywały się często złudne.

Gdy w roku 1759, po rezygnacji kardynała Bernisa, Choiseul obejmował tekę ministra spraw zagranicznych, wojna w zasadzie była już przegrana. Ratować można było tylko pokój, przystosowywać nową linię powojennej polityki Francji i jej sojuszników oraz zażegnać skutki wojny poprzez rekonstrukcję sił lądowych i morskich i wzmocnienie całej maszyny państwowej Francji. Plan odbudowy autorytetu Francji w świecie był długofalowy i przeprowadzony miał być etapami. Program Choiseula, zbieżny z poglądami Ludwika XV, opierał się na następujących przesłankach. Głównym wrogiem Francji jest Wielka Brytania, zagrażająca jej sytuacji jako państwa morskiego – Francja musi więc oprzeć swą politykę na dwu podstawowych sojuszach: aliansu z domem habsburskim i wzmocnieniu paktu familijnego. Utrzymanie aliansu z Habsburgami łączyło się z podtrzymaniem dawnych sojuszników: Polski, Turcji i Szwecji. Pakt familijny to obrona interesów ekonomicznych i światowego handlu przez utrzymanie szlaków wodnych atlantyckich i śródziemnomorskich. Długofalowym celem tej polityki odnowy był rewanż na Wielkiej Brytanii, przygotowywany dyplomatycznie i militarnie. By cele te osiągnąć, należało zacząć od dźwignięcia ekonomiki kraju, a społeczeństwu dać zapomnieć o klęskach. Ponowne potwierdzenie paktu familijnego przy utrzymaniu szczególnych uprawnień Francji w portach atlantyckich (Kadyks) i śródziemnomorskich, potęgowało szanse Francji w handlu światowym. Pakt familijny wzmocniał małżeństwa krewniacze, które sypnęły się po skończonej woj-

nie. Więzy krwi świadczyły o jedności Burbonów (Paryż, Madryt, Neapol, Parma), umacniały też sojusz z Wiedniem. Cesarz Józef II ożenił się z infantką hiszpańską, a księżę Asturii z jej siostrą. Obie infantki były wnuczkami Ludwika XV. Natomiast wnuk Ludwika, młody książe Parmy, pojął za żonę Habsburżankę, jej siostra została królową Neapolu, a najmłodsza z arcyksiężniczek, Maria Antonina, miała stać się żoną młodego delfina. Małżeństwa były wynegocjowane przez Choiseula, zaangażowanego bez reszty w umacnianiu sojuszy i nadaniu im specyficznego familijnego charakteru. W tym świecie kuzynów, szwagrów, bratowych itp. Ludwik XV stawał się dziadkiem i pradziadkiem „połowy świata”. Prestiż niemłodego już monarchy rósł w kolejnych pokoleniach. Ten weselny w rodzinie nastrój psuł Ludwikowi widok starzejących się w staropanieństwie córek i kolejne zgony najbliższych mu osób.

Pakt familijny to na swój sposób dzisiejsza Wspólnota Gospodarcza. Wspólny rynek, wolny transport, przywileje celne. Warto więc płynęły do Francji strugi kruszcu z Ameryki Południowej, cukier produkowany na Antylach zalewał rynki europejskie. Utrata Kanady nie zlikwidowała francuskich łowisk na Atlantyku, droga do Indii była nadal otwarta, choć możliwości jej wykorzystania ograniczone. Pozycja Francji na Morzu Śródziemnym była silniejsza niż kiedykolwiek. Przyczyniła się do tego transakcja zakupu Korsyki od słabnącej i niezdolnej do jej utrzymania republiki genueńskiej. Choiseul działał pośpiesznie, warunki stawiane przez republikę były dogodne. Minister nie zdawał sobie jednak sprawy, jakie wady ukryte zawiera nabytek pozornie tak korzystny. Mieszkańcy Korsyki nie chcieli podlegać nikomu. Wyspa ogarnięta została powstaniem skierowanym początkowo przeciwko macierzystej republice, z kolei przeciw Francji. Zakup Korsyki zamienił się w podbój tej wyspy, trzeba było wprowadzić znaczne siły wojskowe, mieszkańców spacyfikować. Powstanie popierała, a nawet podniecała Wielka Brytania, dążąc do osłabienia Francji w tym rejonie. Przywódca powstania Pascal Paoli stał się postacią legendarną, symbolem walki wyzwolenczej i wolnościowej, zjednał sobie intelektualistów francuskich. Opanowanie Korsyki nastąpiło ostatecznie w roku 1768, ale opór mieszkańców nie ustał.

Nie wystarczy mieć dostęp do morza i otwarte szlaki handlowe. Trzeba ich również bronić i osłaniać kupieckie konwoje. Po raz trzeci za panowania Ludwika XV (Maurepas, Machault) podjęto zdecydowane kroki odbudowy morskich sił Francji, w toku wojny siedmioletniej niemal unicestwionych. Należało odrobić nie tylko straty ilościowe, ale też podnieść sprawność bojową i organizacyjną tak armii lądowej, jak i marynarki. Połączenie

kilku resortów w ręku Choiseula, a raczej dwu Choiseulów (Choiseul-Praslin), działających niczym bracia syjamscy, ułatwiało tę reformę. Poprzednio istniały bowiem głębokie podziały i antagonizmy między ministrami domagającymi się dla swych resortów większych udziałów w finansach, etatach, gratyfikacjach. Obecnie połączenie ministerstwa spraw zagranicznych, wojny i marynarki, a praktycznie biorąc i innych resortów w rękach Choiseula i uległego mu krewniaka, pozwoliło na lepszy podział środków. W stoczniach i portach francuskich rozpoczęła się produkcja jednostek wojennych i handlowych szybko dorównująca poniesionym w poprzednich wojnach stratom. Porty Brest, Cherbourg, Rochefort i Toulon zostały ufortyfikowane, posiadały własne arsenały i magazyny. Podobnie porty Marsylia, Bayonne, Lorient przystosowane zostały do potrzeb marynarki wojennej. Na wyspach powstały bazy operacyjne. Marynarze i żołnierze marynarki przechodzili specjalne ćwiczenia, opracowane zostały nowe regulaminy. W porcie Brest powołano Akademię Marynarki Wojennej, której wychowankowie stali się chlubą i nadzieją Francji.

Podobne zmiany zachodziły w armii, którego kadra dowódcza została w wojnie przetrzebiona lub skompromitowana. Dzielny, lecz zniedołężniały marszałek Belle-Isle ustąpił ze swego stanowiska. Aczkolwiek Choiseul pełnił tylko niewysokie stanowiska dowódcze, znał się na wojnie i jej potrzebach. Okazał się świetnym organizatorem i zdolnym reformatorem. Nie tknięta prawie od czasów Ludwika XIV organizacja francuskiej armii wymagała zmian i nowocześniejszego wykształcenia bojowego.

Wprowadzono reformy w systemie rekrutacyjnym i w zakresie dyscypliny żołnierzy i oficerów. Ustalony został stan liczebny armii na czas pokoju (160 tysięcy), przy możliwościach szybkich uzupełnień na wypadek wojny. Oficerowie obowiązani byli pozostawać stale w obozie. Co ważniejsze, znikł system wojsk zaciężnych, rekrutowanych przez samych dowódców jednostek. Król ogłaszał pobór i żołnierz stawał się żołnierzem królewskim, nastąpił koniec nie obsadzonych etatów, z dzieleniem porcji i żołdu nieobecnych. Nowoczesność armii polegała też na lepszym wyposażeniu w broń inżynierską,aperską. Tytuł szlachecki już nie wystarczał, by stać się zawodowym oficerem. Natomiast dla szlachty uboższej szanse wojennej kariery otwierały szkoły wojskowe (La Flèche i l'Ecole Militaire) w Paryżu. Fachowość, dyscyplina, stałe podnoszenie kwalifikacji cechowało tę nową kadre oficerską.

Była to do czasów Rewolucji największa reorganizacja wojska, a szła w parze z reorganizacją administracji państwowej, skutecznie zmieniała charakter państwa. Historycy nie zwracali

dostatecznej uwagi na te przemiany. Francja Ludwika XV z monarchii klasycznego absolutyzmu przekształcała się w państwo administracyjne. Administracyjna machina państwowa, której król był formalnym zwierzchnikiem, niweczyła dawne struktury lokalne na rzecz zintegrowanego systemu zarządzania, systemu prawnego, finansowego i wojskowego. Wzrosła liczba centralnych komisji i rad, łączność z prowincjami stała się bardziej spójna.

Król pozostawał formalnie jedynowładcą, przestrzegał jednak reguł systemu politycznego i porządku prawnego. Niechętnie też sięgał do oręża, jakim były osławione listy z pieczęcią, tj. bezpośrednie zastosowanie kary więzienia czy zesłania, bez procedury sądowej. Owe „listy” utkwily głęboko w pamięci społeczeństwa francuskiego aż do czasów Rewolucji, stwarzając nastroje niepokoju, niepewności, zagrożenia. O ich skasowanie dopominano się powszechnie w zeszytach skarg. Z najnowszych badań źródłowych wynika, że w wypadku Ludwika XV ogromna większość wydanych przez niego listów z pieczęcią sporządzona była na podstawie skargi samej rodziny obwinionego. Spory, niesnaski, wzajemne zawziętości przedkładane były swego rodzaju rzecznikowi praw obywatelskich, którym w powszechnym mniemaniu był król. Ludwik XV kładł więc swój podpis pod przygotowane przez swych doradców rozstrzygnięcia, kanclerz zaś przybijał królewską pieczęć. Zapewne były one nieraz krzywdzące, ale sami zainteresowani woleli tę drogę niż długą i kosztowną procedurę sądową. Inną kategorię stanowiły listy zwiastujące niełaskę królewską w stosunku do członka dworu, rady, sekretarzy, członków parlamentu czy nawet ministrów. Sporządzał je odręcznie sam król. Były to jednak wypadki sporadyczne, ale ich rozgłos ogromny. Nie pociągały za sobą represji karnych, tylko zwolnienie ze stanowiska, przeniesienie do innej funkcji lub, co najdotkliwsze, wydalenie z dworu do własnych posiadłości. Wbrew potocznemu mniemaniu Ludwik XV unikał ekstremalnych rozwiązań. Przywiązywał się do swoich rad i komisji, z którymi na co dzień przez lata współpracował, dążył do stabilizacji kadry zarządzającej. Rotacja ministrów nie była tak częsta, jeśli wziąć pod uwagę cały okres panowania. Wyżsi dostojnicy państwowi byli bardzo dobrze płatni i wszyscy po kilku latach stawali się zamocnymi ludźmi. Byłoby jednak uproszczeniem sądzić, że pracowali dla pieniędzy i że na nich jedynie im zależało. Mamy wiele dowodów autentycznego z ich strony przywiązania do króla. Jemu zaś jakże trudno przychodziło okazać im zwykłą ludzką przyjaźń. Nieśmiały z natury, w kontaktach z ministrami, sekretarzami stanu i urzędnikami dworu był małomówny, powściągliwy, oschły lub nawet zgryźliwy. Budził respekt, lęk,

czasem wręcz gorycz. „Oziębłość [króla] jest najokrutniejszym wyrokiem, gdyż pozwala snuć najgorsze domysły” – zaobserwował współczesny pamiętnikarz. W spotkaniach kameralnych król stawał się rozmowny, dowcipny, odprężony, a nawet ujmujący. Wprost odmienny temperament prezentował minister Choiseul, któremu król szczególnie zawierzył. Choiseul był z natury wesoły, gadatliwy, zawsze w dobrym humorze, zarażał swym optymizmem, niespożytą siłą witalną i wielkimi planami. Niepowodzeniami nie zrażał się, w polityce improwizował, czasem blefował. To on, Choiseul, przez kilka lat trzymał w rękę inicjatywę polityczną, kierował polityką państw paktu familijnego i przymierza południowego. Zmuszał Europę, by śledziła ruchy podejmowane przez Francję.

Minister Choiseul dążył do szybkiego rewanzu i wojny z Wielką Brytanią podjętej wraz z sojusznikami. Wielką Brytanię osiągnąć można było poprzez desant z morza lub ugodzić w jej zamorskich obszarach i na szlakach handlowych. Osłabić ją można było również pozyskiwaniem nowych sojuszników, osłabieniem przymierza północnego, wytrąceniem jego poszczególnych ogniw. Polska po wojnie siedmioletniej, choć w niej udziału nie brała, znalazła się w okowach państw północy, ściślej pod protekcją Rosji. Ludwik XV zgadzał się z ogólnym kierunkiem polityki swego ministra. Pragnął natomiast uniknąć rozwiązania militarne, liczył na negocjacje i międzynarodowy autorytet Francji. Wszystko wskazywało, iż Francja wraca na arenę europejską jako liczące się państwo. I on również uwagę skupiał, niezależnie od poczynań swego ministra, na sprawach Polski, prowadził nadal swą tajną dyplomację, gromadził informacje, słał pieniądze.

Rosja w ostatniej wojnie była sojuszniczką Francji i Austrii. Okazała się lojalna, pomocna i zwycięska. Caryca Elżbieta żywiła dla Ludwika XV szczerą sympatię, a nawet wdzięczność za poparcie udzielone jej w momencie, gdy dokonała zamachu stanu, by objąć tron. Ongiś była to kandydatka na żonę Ludwika. Mgielka wspomnień towarzyszyła wojennemu aliansowi i współdziałaniu militarnemu. Cud domu brandenburskiego uratował Prusy od zupełnej klęski. Następca Elżbiety, Piotr III, wycofał się z wojny, stał się sojusznikiem Fryderyka II. Gdy z kolei Katarzyna pozbawiła męża władzy i ogłosiła się imperatorką Wszechrosji, wojna była już skończona. Europa wyczekiwała, jaki kurs w polityce zagranicznej przyjmie nowa władczyni, Niemka z urodzenia. Spośród państw sojuszniczych walczących z aliansem angielsko-pruskim jedynie Rosja wyszła z wojny jako zwycięzca. Stała się najsilniejszą potęgą kontynentalną w Europie. Dla powstrzymania ekspansji Prus objęła protektorat nad Polską wraz z gwarancją jej gra-

nic i doprowadziła do elekcji jednego z członków „Familii”, znanej ze swych reformatorskich dążeń, Stanisława Augusta Poniatowskiego. O jego dawniejszym romansie z Katarzyną jako Wielką Księżną było głośno już w całej Europie. Stanisław August dał się również poznać w Paryżu jako młodzieniec pełen intelektualnych zainteresowań. Ludwik XV, po wzajemnej wymianie posłów, uznał jego królewskie prawa. Wojny z Rosją ani nawet złąch z nią stosunków nie pragnął.

Arbitralne postępowanie Rosji wobec Polski i jej króla, wiernego sojusznika, gwałty Repnina, podsycana przez niego antykrólewska konfederacja radomska budziły w Europie grozę i dezorientację. Nic dziwnego więc, że podjęty w nadgranicznym Barze ruch oporu (29 lutego 1768), którego hasła, choć społecznie zachowawcze, były antyrosyjskie i wolnościowe, wzbudziły zainteresowanie rządów i ministrów państw przymierza południowego. Również i Choiseul liczył na wyłuskanie Polski z protektoratu ligi północy i wznowienie koncepcji bariery wschodniej: Turcja, Polska, Szwecja, tym razem nie przeciw Habsburgom, lecz przeciw ekspansji rosyjskiej. Groźbę Prus lekceważono. W planach Choiseula polityka wschodnia odgrywać miała rolę uzupełniającą w ogólnej jego strategii osaczenia Anglii.

Polityka wschodnia ministra Choiseula okazała się żalosnym nieporozumieniem. Choiseul, wizjoner polityczny, gracz i ryzykant podjął niebezpieczną i nie rokującą powodzenia inicjatywę poparcia polskich konfederatów przez zaktywizowanie Turcji zagrożonej również przez Rosję. Do planu tego wciągnąć musiał Austrię, bynajmniej nie zainteresowaną wzmocnieniem potęgi tureckiej. Choiseul działał bez dostatecznego rozeznania w realiach polityki polskiej i szansach dywersji tureckiej.

Jednakże i Choiseul był ostrożny, a Polska była pionkiem w jego rozległych planach. Oto fragment instrukcji przesłanej do przedstawiciela Francji w Konstantynopolu 12 stycznia 1769 roku.

„Na początku tej depechy muszę zaprzeczyć uczuciom, które W Pan wyrażasz w ostatniej... relacji. Jesteś Pan widocznie wzruszony losem nieszczęśliwego Królestwa Polskiego. Takie rozczulenie oddaliłoby Pana od głównego celu, tj. od wywołania w jakikolwiek sposób wojny między Portą a Rosją i od użycia wszystkich bez wyjątku środków, w celu przedłużenia tej wojny tak długo, jak tylko będzie można. Jakkolwiek i ja rozczulam się nad losem Polski, bardziej jeszcze wzrusza mnie los Szwecji... Polacy chcieliby mieć pomoc, a nie życzą sobie mieć wojny w swoim kraju, to są rzeczy niemożliwe. Koniecznie trzeba im wyperswadować, że Turcy bez posiadania Kamieńca nie mogą ich posiłkować... Na razie nie chcę nikogo posyłać do Polaków”.

Dyplomatyczna akcja (Charles de Vergennesa i François Saint Priesta) przyniosła pierwszy sukces. Turcja zdecydowała się na wznowienie wojny przeciw Rosji, pod pretekstem, że kozacy (faktycznie była to grupa hajdamackich chłopów) ścigali na ich terenie rozproszonych konfederatów. Turcja postawiła Rosji ostre ultimatum, żądała wycofania jej wojsk stacjonujących w Polsce. Umieędzynarodowienie konfliktu lokalnego, jakim była konfederacja barska, dodała dogasającemu już ruchowi sił i nadziei, powstały nowe jej ogniwa. Podjęte zostały próby ujednoczenia jej kierownictwa militarnego i politycznego. Ludwik XV komentował z daleka: „Turcy zadecydują o losie Polski, ale obawiam się, że i tak zostanie ona zniweczona”.

Turcja rychło została wyeliminowana z gry. Wojska jej poniosły ogromne klęski na lądzie i na morzu. Rosjanie dopięli marzeń poprzednich carów. Napoili konie w Dunaju. W istocie jednak Rosja zmuszona była przerzucić na front turecki część swych wojsk operujących poprzednio w Polsce. Stanisław August znalazł się w potrzasku. Katarzyna II wzywała go do wypowiedzenia również wojny Turcji, wskazując na korzyści, jakie przynieść może usunięcie jej z krajów naddunajskich. Z drugiej strony, apelowano do króla, by sam do konfederacji przystąpił, stanął na jej czele i przy pomocy sojuszników zrzucił protektorat rosyjski. Wszystkim tym dyplomatycznym manewrom przyglądał się spokojnie Fryderyk II i czekał na swą chwilę. Stanisław August obie propozycje odrzucił, lecz zawiesił działania militarne przeciwko konfederacji, która z kolei respektowała warszawską rezydencję. Jako polityk prowadzący rozrachunek z samym sobą, Stanisław August uważał – po latach – iż popełnił błąd, nie decydując się na współdziałanie z Rosją przeciw Turcji. Korzyści – jak mniemał – odniosłaby Polska znacznie bardziej wymierne od tego, co ją spotkało.

Zacietrzewienie jednak rosło. Przedstawiciele konfederatów i pierwsi emigranci pojawili się w Wersalu. Najbardziej zawzięci wrogowie Stanisława Augusta urabiali opinię zagraniczną. Znalezli zrozumienie i poparcie niektórych luminarzy Oświecenia, gdyż polski republikanizm budził zainteresowanie i pozytywne skojarzenia (J.J. Rousseau, G. Mably).

Ludwik XV przyjął wprawdzie w Wersalu delegata Generalności Michała Wielhorskiego, co oceniano jako gest wyjątkowej kurtuazji, wychodzącej poza zwyczaje protokołu dyplomatycznego, lecz obietnice jego były mgliste i ogólnikowe. Zapewniał konfederacji pomoc pieniężną (przy pustym skarbie!) i dyplomatyczną. Nie myślał jednak o detronizacji Stanisława Augusta, nie zmierzał do jawnej interwencji wojskowej w Polsce. Wojny z Rosją nie chciał. Negocjacje dyplomatyczne powierzył swemu ambasadorowi w Wiedniu François Durandowi. Fran-

cja zdecydowała się również na wysłanie do Polski grupy specjalistów i obserwatorów wojskowych. Misję tę powierzył Choiseul (w 1766 roku objął ponownie tekę ministra spraw zagranicznych) pułkownikowi François Dumouriezowi. Decyzja ta zapadła dopiero wtedy, gdy przekonano się o słabości partnera tureckiego.

Był to rok 1770. Współczesny wypadkom Rulhière, autor dzieła *Historia anarchii w Polsce*, pisanego w pierwszej redakcji na użytek przyszłego króla Ludwika XVI, skonstruował lapidarnie paradoks polityki ministra Choiseula: „Początkowo przy pomocy Turcji chciał ochronić Polskę, a z kolei przy pomocy Polaków ratować Turcję”. Widząc załamanie się Turcji, minister francuski uznał za konieczne wesprzeć upadającą już konfederację, zainteresować nią Austrię i Saksonię, tę ostatnią obietnicami korony i nabytków terytorialnych. Turcja domagała się anulowania pokoju karłowickiego i zwrotu Kamieńca Podolskiego. Emigracyjny rząd barski (Generalność) gotowy był ofiarować koronę Polski elektorowi saskiemu i unieważnić elekcję Stanisława Augusta. Saksonia zgodziła się na militarne wsparcie tego planu pod warunkiem, iż sześciotysięczny korpus ekspedycyjny będzie finansowany przez Francję.

Pod wpływem nacisków dyplomatycznych i zabiegów Generalności Austria uznała rząd konfederacki, zgodziła się popierać kandydaturę elektora saskiego w przypadku detronizacji Stanisława Augusta, któremu cofnęła swe uznanie. Nie na długo. Depesze François Duranda do ks. d’Aiguillon były alarmujące. Przewidywał już bliski i nieunikniony rozbiór Polski, „każdy z jej sąsiadów już zagarnia co uważa, iż mogłoby mu przyspaść i sam sobie wymierza sprawiedliwość. Jeden drugiemu nie zaprzeczy prawa do czynienia podobnie”. „Dwórah wiedeński – jak podaje poseł – dał temu początek” (Durand do Vrillière, 5 I 1771. AAE, Corr. Pol. Autriche v. 316).

Stanowisko Ludwika XV i jego polecenia nie uległy zmianie. Komentował ponownie ambasador Durand: „Widać, że zamiarem króla jest przeszkodzić, jak tylko jest to w jego mocy, ujarzmieniu Polski. W tym celu chce sprzeciwiać się wszystkim nadużyciom, których dokonuje się wykorzystując słabość tej Rzeczypospolitej i skłonny jest udzielać pomocy tym, którzy zjednoczyli się w imię miłości ojczyzny, o ile ich starania rokować będą o sukcesie”.

Zamieszanie w polityce było duże, a sukcesów militarnych niewiele. Wyszkolona, zawodowa armia rosyjska górowała nad spopolitym ruszeniem szlachty gromadzonej w konfederacjach wojewódzkich. Ich szanse z każdym dniem malały. Byłoby krzywdzące i niesprawiedliwe oskarżać Ludwika XV i jego rząd o nieudzielenie oczekiwanej przez konfederację pomocy. Sam

Dumouriez, oceniając bardzo wysoko swój własny wkład w konfederację, winił również swoich mocodawców za niepowodzenia. A jednak wbrew instrukcjom samowolnie objął faktycznie dowództwo, a tym samym i odpowiedzialność. Popełnił wielki błąd polityczny. Wymógł na Generalności decyzję detronizacji Stanisława Augusta (22 października 1770) i ogłoszenia bezkrólewia, co z kolei zawiodło desperatów do próby porwania lub unicestwienia monarchii. Sam Dumouriez pokonany został przez Suworowa w bitwie pod Lanckoroną (maj 1771) i odwołany został ze stanowiska.

Oficjalny dyplomata francuski François Durand dążył do pojednania stron. Decyzji Generalności nie popierał. Francja jednak zabrnęła już za daleko w sprawy Europy południowo-wschodniej, by móc się z nich wycofać. Pozostał jeszcze jeden nie wygrany atut – Szwecja, i ją usiłował Choiseul napuścić na Rosję. Nie zdążył. Jego niełaska spadła tak niespodziewanie, iż jej powody różnie tłumaczono. 23 grudnia 1770 roku Choiseul przedłożył królowi do podpisu dokument w sprawie banalnej. Król, bez słowa, z wyrazem zniecierpliwienia i głębokiego rozdrażnienia, „skrobnał” swój podpis. Choiseul zrozumiał ten odruch. Nazajutrz rano on i jego krewniak Choiseul de Praslin otrzymali rozkaz opuszczenia Wersalu i udania się do swych dóbr. Był to grom z jasnego nieba. Cała Europa komentowała tę niełaskę. W Wersalu mówiono o wielkim antagonizmie między ministrem a hrabiną du Barry, ostatnią kochanką króla. Istotnie, pod wpływem pani du Barry król stracił zaufanie i przyjazne uczucia dla niezawodnego – zdawałoby się – ministra. Sprzymierzeńcem hrabiny w jej walce z Choiseulem był książę d’Aiguillon, który jako komendant prowincji Bretanii popadł w zatarg z lokalnym parlamentem i został w konsekwencji odwołany ze stanowiska. Choiseul był po stronie zrewoltowanego parlamentu. D’Aiguillon dołączył więc do grupy wrogów ministra. On sam, analizując w swych pamiętnikach przyczyny dymisji, przypisuje ją zarówno pani du Barry, jak i ministrom, którzy po nim objęli stanowiska – d’Aiguillonowi, Terrayowi i Maupeau. Widział też w swym upadku zemstę jezuitów i rączkę królewskiej córki, Madame Adelajdy. Nie zdołał jednak zauważyć, że główną przyczynę swej niełaski przypisać winien sobie samemu. Dworskie intrygi personalne miały niewątpliwie znaczenie duże, wyolbrzymiane przez komeraże i komentarzy wersalskiego światka.

Jeśli jednak intrygi doprowadziły do przesilenia gabinetowego, musiała im sprzyjać sytuacja ogólna. W chwili powodzeń nie zmienia się ministra ani skutecznej linii politycznej. Zmiana ministra to przede wszystkim fiasko jego polityki, próba przezwyciężenia narastających trudności przez powołanie nowego

szefa resortu. Wielki Choiseul wygrał już za wiele kart atutowych, brakło ich już w jego ręku. Ludwik XV zawiódł się na nim, jego plany i decyzje wychodziły poza wytyczoną przez króla linię postępowania. Ludwik XV był pacyfistą i legalistą. Nie chciał szukać nowych wrogów, nie dążył do wojny z Rosją, rewanż w stosunku do Wielkiej Brytanii odkładał na lata. Tymczasem konflikt o Falklandy między Wielką Brytanią a Hiszpanią wojnę nagle przybliżył i Choiseul namawiał władcę do wojskowej interwencji. Król propozycję odrzucił i uznał że nadeszła chwila, by pozbyć się ministra.

Zanim w następnym rozdziale powrócimy do intryg dworskich i wysiłków króla oraz jego nowej ekipy, by Francję znów postawić na nogi, przyjrzyjmy się finałowi polityki wschodniej po upadku Choiseula i odwołaniu Dumourieza. Książę d'Aiguillon, który objął sprawy zagraniczne, zapewniał w imieniu swego władcy, że Francja swych zobowiązań dotrzyma. Do Polski przybyła nowa grupa oficerów, w tym również ochotników, doradców i instruktorów (Charles Hyacinthe Viomenil), podnieśli ducha walczących i sami wykazali męstwo i poświęcenie. Wzięci w toku walk do niewoli francuscy ochotnicy powędrowali wraz z barżanami na Sybir. Te pojedyncze akty bohaterstwa i oddania sprawie nie zmieniały pogarszającej się sytuacji wojskowej i ogólnej. Czający się z dala Fryderyk II utrudniał ją znakomicie. Korzystając z okazji, zalewał znów kraj fałszywą monetą, a doszedłszy do porozumienia z Katarzyną i jej ministrem Paninem obsadził swym wojskiem miasta wielkopolskie. W warunkach upadającego wysiłku i powszechnie już odzywających się głosów o zaniechaniu pomysłów nowej elekcji, ekstremiści uciekli się do terrorystycznego aktu porwania króla, a jak głosiła prasa i propaganda – usiłowali dokonać królóbójstwa. Ty samym w oczach Europy konfederacja była politycznie pogrzebana i moralnie skompromitowana. Zawiadomiony o dokonany zamachu, Ludwik XV przesłał Stanisławowi Augustowi kurtuazyjne kondolencje i gratulacje z powodu ocalenia.

Rozbiór Polski, który snuł się już w gabinetowych negocjacjach, stał się niebawem faktem. D'Aiguillon (posądzony o złą wolę) zapobiec temu nie mógł. Dla Austrii pokusa była zbyt wielka, by w tym wypadku nie odstąpić francuskiego sojusznika. Z łatwością odłączyła się od umacnianego przez Choiseula przymierza państw dążących do rewanżu i w sojuszu z Prusami i Rosją wyegzekwowała swój rewanż na bezbronnej Polsce. Rosja Katarzyny II zrezygnowała również z systemu protekturatu nad całą Polską, tak jak to gwarantowała w czasach Repnina, na rzecz trójporozumienia i podziału, wiążąc ze sobą niepewnych dotychczas kontrahentów w imię równowagi sił, tak modnej w polityce XVIII wieku.

Tak więc wschodnia polityka Ludwika XV przyniosła w rezultacie niekorzystne dla Francji przegrupowania w tej części Europy. Austria alians z Francją zamieniła na trójprzymierze państw rozbiorowych. Słynne królewskie *secret du Roi* pozostało papierowym zabytkiem. Grę polityczną zastąpiła polityka pozorów. Wobec faktów dokonanych, takich jak rozbiór Polski (1772) i zwycięstwo Rosji nad Turcją (pokój nastąpił dopiero w roku 1774 w Küczük Kainardży), należało trąbić na odwrót i zachowując bierność nie szczędzić sojusznikom nadziei. Tę politykę rezygnacji ocenił po latach książę Adam Jerzy Czartoryski, odwołując swego władcę, cara Aleksandra I, od tendencji pacyfistycznych. „Ludwik XV, z chwilą gdy się zdecydował już więcej nie prowadzić wojny, stracił wszelkie wpływy w Europie i znalazł się na trzeciorzędnym miejscu”.

To, co nie udało się w Polsce, powiodło się po części w Szwecji. Zabiegi ministra Choiseula w tym kraju wydały jeszcze spóźniony rezultat, niestety, nie skoordynowany z akcją w Polsce i Turcji. Doszło tam do odgórnej rewolucji przeprowadzonej skutecznie przez Gustawa III (19 sierpnia 1772), w oparciu o stronnictwo francuskie i zasiłki pieniężne z Wersalu. Rosja i Prusy zagroziły interwencją w tym kraju. Ludwik XV zareagował stanowczo, oświadczając, że jego flota gotowa jest bronić praw króla Gustawa. Pogróżki zostały cofnięte. W sprawie polskiej popełniono już tyle omyłek i poniesiono tyle porażek, iż jedynie biernie należało przyjąć jej podział.

Szczerze i z przekonaniem pisał Ludwik XV do poufnego korespondenta i powiernika swych polskich planów, księcia de Broglie: „Pragnę wolności dla Polaków”.

Od pragnień do realizacji droga okazała się zbyt trudna.

XVII. Ostatnia, niekoronowana

królowa Wersalu

Gdy w roku 1764 zmarła markiza de Pompadour, Ludwik XV miał pięćdziesiąt cztery lata. Był w pełni sił męskich i wyjątkowo pobudliwy w stosunkach z kobietami. Już od wielu lat ustały jego intymne spotkania z markizą de Pompadour. Pozostała natomiast jego nieodłączną powiernicą, przyjaciółką, wierną i oddaną towarzyszką i organizatorką wieczornych kolacyjek i spektakli. Rozpraszała nudę wersalskiego dworu i królewskie skłonności do melancholii i apatii. Umęczona wypełnionym obowiązkiem dniem na dworze, markiza traciła jednak swe powaby kobiece, i nie pragnęła przedłużać pożycia z królem. Miłość, którą króla otaczała, stała się miłością bez seksu. Markiza jak lwica broniła swej pozycji przy Ludwiku XV, ale godziła się z myślą, że pożądanie zaspokoić może król u boku innej kobiety, byleby to nie była jedna z dam dworu, która zajęłaby jej miejsce. Stąd narodził się pomysł osławionego Parku Jeleni. Król, chcąc oddzielić sferę prywatnego życia od dworskiego, oficjalnego, stanowiącego własność całej społeczności wersalskiej, wzorem innych wielmoży zakupił w nowo zbudowanej dzielnicy miasta Wersal, na obszarze dawnego Parku Jeleni, małą rezydencję. W tym zacisznym zakątku odbywał miłosne schadзки ze ślicznotkami, podsuwanymi mu przez zaufanych stręczycieli. Proceder ten wydaje się nam dziś, a tym bardziej i wtedy, co najmniej dziwny. Wypada jednak zaznaczyć, jak wiele zgorszenia na dworze wywoływały wszelkie królewskie zaloty, jak sprawy królewskiego łóża były przez wszystkich dyskutowane i omawiane, i co tu ukrywać, wkraczały jawnie w politykę i intrygi personalne. Ludwik XV zdawał sobie sprawę, że popełnia wielki grzech, ale uważał, że oszczędza w ten sposób nowych rozczarowań własnej żonie i rodzinie i nie narusza mocnej pozycji markizy. Łudził się, że jego wyskoki pozostaną odkryte tajemnicą. Dyskretnie organizowane wycieczki króla nie uchodziły jednak uwagi czujnych dworaków, a plotka dworska snuła nieprawdopodobne wprost domysły i wymysły. Erotyczne zainteresowania i możliwości królewskiego kochanka wychodziły niewątpliwie znacznie poza przeciętność. Można by go nazwać erotomanem, gdyby nie fakt, że i kobiety do niego lgnęły i niemal każda uwiedziona zakochiwała się w nim autentycznie i pragnęła przedłużenia tego związku.

Dziewczęta z Parku Jeleni pochodziły na ogół z dobrych domów, na ich przygodę godzili się rodzice lub opiekunowie. One

zaś, choć jeszcze w tych sprawach nie miały doświadczenia, gdyż król preferował dziewice, ulegały mu chętnie, przeważnie nie orientując się, kim jest ten piękny starszy pan, o uwodzicielskich oczach i czułym sposobie bycia. Często przedstawiał się jako polski arystokrata w podróży do Francji, okazywał hojność i umiał z igraszką zalotnością ująć serce młodej dziewczyny. Fama niosła, że setki ich przewinęły się przez królewską willę w Parku Jeleni. Plotka też głosiła, że dziesiątki dzieci poczęły się w tym zacisznym gniazdku. Wiemy o kilku z nich i kilku złamanych sercach, skoro uwiedzione przekonały się, iż nie mogą liczyć na wierność i stałość kochanka. Spryciary łatwo domyślały się z kim mają do czynienia. Wiedziały jednak, że lepiej jest milczeć. Kresem krótkich zresztą znajomości była ciąża lub jakikolwiek sygnał, że rozpoznały króla. Gorzej jeszcze, gdy któraś z nich zwróciła się o protekcję lub podjęła na własną rękę nić intrygi.

Francuscy historycy całe książki poświęcali życiu prywatnemu i erotycznym przygodom swych królów. Ludwik XV wiedzie wśród nich prym. Przeciętny Francuz niewiele więcej wie o tym monarsze, jak to – iż jakoby nużał się w rozpuście. Wokół Parku Jeleni wyrosła czarna legenda króla – uwodziciela i rozpustnika, rzucającego dukatami, by dogodzić swoim zachciankom. Snuła się też opowieść o pokrzywdzonych, uwiedzionych dziewczynach i smutnej doli nielegalnego ich potomstwa. Królowie francuscy przekonali jednak swój naród, iż pochodzenie od bastardów królewskich nie wstyd, ale zaszczyt tym rodzinom przynosi. I dziś jeszcze tego rodzaju snobizmy zakorzenione są w społeczeństwie, a świadomość posiadania domieszki królewskiej krwi podnosi prestiż rodziny z pokolenia na pokolenie. Ludwik XV nie usynowił żadnego z bastardów – jak to uczynił jego pradziad, zagrożony wymarciem dynastii. Miał on czterech wnuków i sądził, że los dynastii jest zabezpieczony. Dzieciom z przypadkowych kontaktów (według wielu historyków było ich ośmioro), zapewnił jednak wykształcenie, zawód i karierę w obranej służbie. Uczęszczanie do zakonspirowanej garsoniery, jak niektórzy określali ją serajem lub haremem, z czasem również obmierzło królowi, a ustało całkowicie, gdy na wersalskim dworze pojawiła się nowa, olśniewająca uroda i czarem, hrabina du Barry.

Wróćmy jednak do chwili, gdy śmierć markizy de Pompadour, oficjalnej metresy króla, zamknęła dwudziestoletni okres obopólnego zrozumienia, głębokiego przywiązania i wzajemnego zaufania. Król tracił partnera i powiernika. Na dworze zakotłowało się. Koterie i piękne, lub nawet mniej piękne, panie ruszyły do ataku. Która z nich zajmie miejsce oficjalnej metresy i stanie się nieoficjalną królową Francji, a w każdym razie pier-

wszą damą Wersalu? Ludwik XV nosił żalobę w sercu, zachcianki zmysłowe zaspokajał bez nadawania im dworskiego rozgłosu. Postanowił natomiast więcej uwagi poświęcać własnej rodzinie, w której był mężem, ojcem i dziadkiem. Między nim a delfinem, również Ludwikiem, nie było bowiem pełnego zrozumienia.

Delfin wyraźnie popierał partię dewotów, domagał się przywrócenia zakonu jezuitów, usunięcia znenawidzonego przezeń ministra Choiseula etc. Nie wykazywał przy tym żadnego zapasu do dziedzictwa władzy i nudziło go przeciągające się od lat czekanie na koronę. Usposobieniem różnił się zasadniczo od ojca. Nie lubił polowania. Poza małżeństwem nie interesował się kobietami, nie lubił dworskich uroczystości ani samego dworu. Nad te płocności przedkładał naukę i medytację. W istocie rzeczy niewiele się z nim liczone. W drugim małżeństwie z Marią Józefą Saską miał sześcioro dzieci (z dziesięciu urodzonych). Najstarszy syn zmarł w dzieciństwie, trzej pozostali kolejno zasiadali na tronie francuskim w najtragiczniejszym dla rodziny okresie (Ludwik XVI, Ludwik XVIII, Karol X). Delfin był słabego zdrowia. Nadmierna otyłość i ociężałość fizyczna zwiastowały niebezpieczną chorobę. Wywiązała się gwałtownie, z banalnego przeziębienia, którego nabawił się podczas manewrów własnego pułku w Compiègne, w lipcu 1765 roku. Gdy powrócił do Wersalu, nie chciał się poddać medykam, odmówił leczenia. Niknął w oczach z dnia na dzień. 13 listopada zasłabł niebezpiecznie. Na polecenie króla przybyli najlepsi medycy, stosowali różne leki, odżywiali go rosółem z żółwia. Bezskutecznie. Ludwik czuł nadchodzącą śmierć, w chwilach przerwy między atakami gwałtownego kaszlu, sporządził swą ostatnią wolę. Pamiętał o wszystkich, aż do najdrobniejszego posługiwacza. 20 grudnia zakończył życie.

Jego przedwczesna, smutna śmierć stała się znów okazją do pomówień i insynuacji, iż został on otruty przez ministra Choiseula i jego klikę. Zaostrzyły się spory między parlamentem i dworem, między partią dewotów i grupą Choiseula. Śmierć w królewskiej rodzinie nie tylko pograżyła dwór w żałobie. Była również wydarzeniem, które rzutowało na politykę i sprawy państwowe. Następny delfin miał dopiero jedenaście lat.

Śmierć syna była ciężkim ciosem dla Ludwika XV. Odtąd też zajął się gorliwiej wychowaniem wnuków, dobierał im preceptorów, prowadził z nimi długie rozmowy, starał się poznać ich nawyki i skłonności. Nawiązała się nić serdeczności między dziadkiem a chłopcami, acz każdy z nich inne prezentował walory i, niestety, duże przywary. Troszczył się więc starzejący monarcha o przyszłość Francji, gdyż nowy delfin (późniejszy Ludwik XVI) nie okazywał wcale cech odpowiednich do królo-

wania. Był dobrym, pobożnym chłopcem, pilnym uczniem, a to nie wystarczało. Z dwu córek zmarłego delfina, starsza Maria Adelajda (ur. 1759) uniknęła złego losu rodziny, wychodząc za mąż za przyszłego króla Sardynii. Młodsza, Elżbieta, zwana Madame Elisabeth, zginie pod gilotyną w 1794 roku. Z własnymi córkami Ludwik XV utracił ongiś bliski i serdeczny stosunek. Nie lubiły pani de Pompadour. Jako gorliwe katoliczki żywiły doń żal, a jako dorosłe i już mocno zgorzkniałe panie mogły sobie nawet pozwolić na udzielanie ojcu admonicji, a w każdym razie wyrażać mu swą dezaprobatę. Najbardziej zaskakująca inteligencją i serdecznością była Adelajda, której obawiał się cały dwór, a i król liczył się również z jej zdaniem.

I wreszcie Maria Leszczyńska, prawowita żona i królowa Francji. Spotykali się obecnie częściej, przestrzegali wymaganych protokołem wspólnych posiłków w obecności licznego dworu i zaproszonych gości. Przeżywali wspólnie i boleśnie coraz częściej goszczącą w rodzinie żałobę. Śmierć najstarszej córki i pierwszego z wnuków, śmierć królewskiego teścia, Stanisława Leszczyńskiego. Wreszcie cios, który ich jednakowo dotknął, to śmierć jedyne go syna. Niebawem i delfinowa, Maria Józefa, wzorowa żona i matka, żegnała się z tym światem, pograżając w smutku i żałobie jakże jeszcze młode potomstwo. Wspólne smutki, przeżywane rozstania, pożegnania z własnymi dziećmi, wiązały małżeństwo z powrotem nicią zrozumienia i przekonywały o ponadczasowej trwałości związku, który ongiś przed ołtarzem zawarli.

Ludwik XV lękał się śmierci. Maria korzyła się przed jej majestatem i gorzko opłakiwała każde rozstanie. Wiele godzin trwała na klęczniku zatopiona w modlitwie. Stan swej duszy wyraziła w refleksji: „Jestem smutna i smutek ten towarzyszyć mi będzie przez resztę życia. Pociechę znajduję jedynie w myśli, że ci, których opłakuję, nie chcieliby powrócić na ten padół płaczu”.

W ostatniej chorobie żony król okazał maksymalną troskliwość i czułość. Kilkakrotnie w ciągu dnia odwiedzał ją, doglądał czy leczenie jest prawidłowe i czy niczego nie zaniedbano, chciał ulżyć jej cierpieniom. W przewidywaniu najgorszego pisał do księcia Parmy, swego wnuka: „Stan królowej pozostawia lekarzom mało nadziei, mnie przeszywa serce”. Wreszcie 24 czerwca 1768 roku nadeszła chwila krytyczna. Nie można było już dłużej zwlekać z pożegnaniem i ostatnim błogosławieństwem matki i żony. Ludwik XV, w otoczeniu córek, ukląkł przy łożu umierającej i przyjął od niej błogosławieństwo, znak przebaczenia i pożegnania. Po czym rodzina oddaliła się, a królowa, z różańcem w dłoni, czekała na połączenie się z Bogiem. Gdy pierwszy doktor królowej, Lassonne, oznajmił królowi o zgonie żo-

ny, wszedł wraz z nim do sypialni i złożył na jej stygnącym czole ostatni pocałunek. Nazajutrz pisał do wnuka: „Wczoraj o godzinie dziesiątej piętnaście wieczorem straciłeś swą babkę. W chwili obecnej nie jestem w stanie więcej ci napisać. Serdecznie Cię całuję, mój wnuku”. Nocną porą ciało królowej, przy zapalonych pochodniach, odwiezione zostało do katedry St. Denis na wieczny spoczynek. Zgodnie z życzeniem Marii Leszczyńskiej jej serce spoczęło obok rodziców w ich grobowej krypcie w Nancy.

„Ta królowa – pisał w swym memuarach diuk de Croy – która przez całe życie czyniła tylko dobrze, zasługuje na szacunek swego narodu. Dobroć jej charakteru malowała się na jej twarzy, a była to twarz jak najbardziej ujmująca”.

Niemal nazajutrz po śmierci Marii Leszczyńskiej w pałacu żalobą spowitym snuło się pytanie: czy król w Wersalu może istnieć bez żony i bez metresy? Jedni uważali, że króla trzeba ponownie ożenić, złączyć go legalnym związkiem z którąś z panujących dynastii. Wymieniano nawet jedną z arcyksiężniczek wiedeńskich, którą rajono królowi również w imię zacieśnienia przyjaźni z tym dworem. O małżeństwie morganatycznym z damą francuską mowy nie było. Byłoby zapewne za wiele kandydatek, a sam król nie chciał wprowadzać do pałacu następnej pani de Maintenon. Akcja swatania z księżniczką austriacką (Elżbietą), podjęta przez ministra Choiseula, upadła z chwilą, gdy król zobaczył jej portrecik. Była wprawdzie mniej więcej w wieku jego wnuków, ale brak jej było ponętnych cech, na które król, wytrawny kobieciarz, zwracał szczególną uwagę. W urodzie kobiety, jego zdaniem, największe znaczenie odgrywa gors, tj. górna część piersi, zazwyczaj odsłonięta wykrojem dekoltu. Nie tylko kształt piersi kandydatki i ślady przebytej ospy zniechęcały go do ponownego małżeństwa. Chciał przede wszystkim uwolnić się od implikacji politycznych i układów dworskich, które by ono pociągnęło. Wbrew bowiem opinii niektórych historyków, Maria Leszczyńska rolę królowej spełniała doskonale i godnie, acz z dala od intryg dworskich. Zyskała sobie szacunek i sympatię wszystkich, zyskała miłość swego narodu. Na razie nikt nie mógł jej zastąpić.

Ucichły więc, chwilowo, komeraże i namowy, w których udział brały nawet królewskie córki. Zajęto się natomiast drugim wakującym przy królu stanowiskiem – nie obsadzonym od śmierci pani de Pompadour – oficjalnej metresy królewskiej.

Tego stanowiska klan Choiseulów nie chciał wypuścić ze swej kontroli. Skoro król nie ma żony, musi mieć oficjalną kochankę, pierwszą damę na dworze, pośredniczkę łask i osobę zapewniającą utrudzonemu Majestatowi chwile prywatnego spokoju, odprężenia. Jednym słowem drugą panią de Pompadour. Pre-

tendentek było kilka. Rekrutowały się z otoczenia markizy. Były to jej przyjaciółki, wysunięte przez nią do dworskich stanowisk, towarzyszyki wspólnych z królem kolacji i imprez dworskich, a więc niejako przedłużające tradycje stylu dworskiego życia w okresie rządów markizy. Najagresywniej i z największym tupetem o stanowisko królewskiej metresy dobijała się hrabina de Gramont, siostra ministra Choiseula, jedna z najbliższych przyjaciółek zmarłej markizy. To, iż hrabina była mężatką, nie stanowiło poważniejszej przeszkody, gdyż rodzina zyskałaby tylko na tym wywyższeniu. Król, jak mógł, unikał hrabiny. Wymigiwał się od czynionych propozycji i awansów. I wtedy właśnie, gdy toczyła się walka o serce króla i cały dwór czynił już zakłady, która z dam je zdobędzie, pojawiło się, nieoczekiwanie i ku powszechnemu zaskoczeniu, nowe olśnienie.

Joanna Becu, późniejsza hrabina du Barry, pochodziła z nizin społecznych na granicy marginesu społecznego czy raczej półświatka. Była dzieckiem nieślubnym kucharki i nieznanego ojca. A ponieważ matka prowadziła życie swobodne, dorabiając w ten sposób do swych zarobków, dochodzenie ojcostwa byłoby trudem bezcelowym dla badacza. Gdy jednak uboga ta dziewczyna wyniesiona została na wyżyny Wersalu, poczęto gwałtownie odszukiwać jej antenatów, a z kolei jej własnych kochanków, by obrzydzić tego kopciuszka dworowi wersalskiemu i całej Francji.

Z krążących o jej wczesnej młodości wersji wynika, że zarówno matka, jak i córka nie były zwykłymi dziewczynami ulicznymi. Klientelę miały doborową. Same ją wybierały, a byli wśród nich bywalcy salonów paryskich, funkcjonariusze państwowi, oficerowie. Matka zadbała również, a być może także nieznanym ojciec Joanny, o jej wykształcenie. Oddana została na kilka lat do klasztornej pensji dla pańienek. Joannę pociągał świat i po wyjściu z klasztoru matka umieściła ją w salonie mody, jako sprzedawczynię czy prezenterkę. Uroda jej olśniewała klientów. Przyciągała bardziej niż prezentowane im części garderoby. Okazała się łatwa i skora do miłości. Rzec można, iż była do miłości stworzona. Świadczą o tym jej portrety i opisy współczesnych. Idealne proporcje ciała, kształtny owal twarzy, duże niebieskie oczy, w oprawie lekko ukośnej, nadający im wyraz marzycielski, zgrabny nosek, delikatny wykrój ust, bujne złoto-kasztanowe włosy i nieskazitelna biel cery, pozwalały ocenić ją jako prawdziwą boginię urody, jako „kąsek królewski”, jak to określił jej protektor hrabia du Barry. Ludwik XV dostrzegł jeszcze inne szczegóły jej niezwykłej urody, gors i cztery naturalne muszki na twarzy, podczas gdy zalotne damy musiały sobie przypinać sztuczne. Nie jest też ustalone, jak

doszło do spotkania władcy Wersalu z zalotnicą. Domyślamy się, że organizatorem tego spotkania był gracz i kobieciarz stojący u progu bankructwa – hrabia du Barry. Joanna nie trafiła jednak do Parku Jeleni, tak jak jej poprzedniczki przelotnych romansów, ale wkroczyła do Wersalu głównym wejściem, z całym ceremoniałem należnym pierwszej damie dworu i metresie króla. Gdzieś w ukryciu rozpoczął się romans tej pary i król zakochał się bez pamięci. Sprytna zaś dziewczyna umiała go owinać dookoła palca.

Ileż przeszkód trzeba było jeszcze pokonać. Joanna Becu nie była szlachcianką, nie miała więc wstępu do dworu. Hrabia Jean du Barry, licząc na wdzięczność króla, zaproponował wyjście. Odnalazł mieszkającego na prowincji swego brata Wilhelma (Guillaume'a), starego kawalera, a ten za sutą opłatą zgodził się pojąć za żonę Joannę i nadać jej swoje nazwisko. Wszystko szybko zostało załatwione i ślub kościelny został zawarty. Nie było więc przeszkód, żeby hrabinę du Barry wprowadzić na dwór królewski. Na dworze zawrzało – zwłaszcza w kobiecym świątku. Klan Choiseulów nie mógł znieść tej zniewagi. Poszły w ruch języki i pióra, dwór i Paryż zalany został paszkwilami i kupletami godzącymi w królewską wybrankę. Kuplety śpiewała już ulica paryska. Król monitował ministra Choiseula, oburzał się na kampanię oszczerstw skierowaną przeciw pani du Barry i dodawał: „Jest ładna, podoba mi się. To powinno wystarczyć”.

Nie wystarczyło. Żadna z dam dworu nie chciała być tzw. matką chrzestną, to jest damą wprowadzającą przy uroczystej prezentacji na dworze. Każda się wykręcała. Roli tej podjęła się wreszcie pani de Bearn, za cenę spłacenia przez króla uciążliwych jej długów. Ale i ona, odczuwszy powszechne oburzenie i wzgardę pod pretekstem choroby wycofała się z obietnicy. Trzeba było sprawę odłożyć. W tym czasie młoda hrabina odbywała lekcje tańca i dworskich manier pod kierunkiem wytrawnych preceptorów. Pani de Bearn leczyła symulowaną chorobę, a król kontuzję po upadku z konia. Zdania jednak nie zmienił. Manewr opóźniający nie dał – jak spodziewali się przeciwnicy pani du Barry – właściwego rezultatu. Król niecierpliwił się, a zakochany był jak nigdy. Przeliczyli się ci, którzy sądzili, że ta miłośćka szybko się wypali. Najsilniejsza jest miłość ostatnia. O dziwo, kopciuszek zakochany był również po uszy w swym wspaniałym „królewiczu z bajki”.

Ludwik XV zarządził ceremonię prezentacji 22 kwietnia 1769 roku i nakazał wszystkim przybyć na nią. Cały pałac szumiał od emocji. Z Paryża nadjeżdżały karoce i ciekawscy. Uczucia były oczywiście mieszane. Tak naprawdę nie było powodu do radości. Powstawało jednak pytanie, czy zgodzić się z nowym kaprysem króla, czy trwać w opozycji i negacji?

Pani du Barry opóźniła nieco swe przybycie, wywołując tym podniecenie, niepokój i nowe nadzieje. Wkroczyła jak prawdziwa dama, w naszyjniku z diamentów wartości 100 tysięcy liwów, ofiarowanym jej z tej okazji przez króla. Wypadła wspaniale, jej uroda wywoływała zachwyt mężczyzn i poruszała żółć u dam dworu. Zachowanie jej było nienaganne, poruszała się po wersalskiej scenie ze swobodą wyrobionej damy i dygotała układnie, poczawszy od swego pana i króla. Rozdawała przyjazne uśmiechy, promieniowała radością. Hrabina du Barry nie zamierzała rządzić w Wersalu ani iść niedościgłym wzorem pani de Pompadour. Pani du Barry zawładnąć chciała sercem królewskim i gotowa była walczyć z każdym, który by jej pozycję u boku króla podważył. Od tego dnia wiadomo było, że weszła do Wersalu nie nowa dama dworu, lecz królowa łoża królewskiego.

„Pani du Barry była jedną z najładniejszych kobiet na dworze i niewątpliwie najbardziej czarującą, dzięki doskonałości całej swej osobowości. Natychmiast podbijała swym urokiem... Pani du Barry była dobra i lubiła sobie zjednywać... nie mogą temu zaprzeczyć nawet najzagorzalsi jej wrogowie. Pod tym względem różniła się od pani de Pompadour, która nigdy nie zapominała krzywd i nie wiedziała, co to znaczy przebaczać. Pani du Barry nie żywiła urazy i pierwsza śmiała się z piosenek przeciw niej układanych. Przyjęła ton i maniery dam dworskich. Niejednokrotnie wymknęło się jej jakieś powiedzonko szokujące wersalski dwór. Znała jednak światowy obyczaj. I pozwalała sobie na te wybryki jedynie w obecności króla, którego ta nowość bardzo bawiła”.

Klan Choiseulów przycichł, ale broni nie złożył. Jego przeciwnicy, książę d'Aiguillon i Richelieu, zastanawiali się, jak się w tej sytuacji zachować. Woleli jednak nie podejmować niczego przeciw nowej metresie. Rodzina królewska nie mogła pogodzić się z obecnością pani du Barry, choć rychło przekonano się, że ma dobre serce i życzliwa jest ludziom. Najmłodsza córka królewska, Luiza Maria, postanowiła opuścić dom i wstąpiła do, znanego z ciężkiej reguły, zakonu karmelitanek. Tam oddawała się modłom i ekspiacji, by wybłagać dla ojca przebaczenie boskie. Powiadomiony o jej decyzji i wyjeździe Ludwik XV zegnał ją czułym listem: „Jeśli to zrobiąs dla samego Boga, nie mogę się sprzeciwić Jego woli, ani twojej decyzji... Bóg da ci siły, byś wytrwała w swym nowym stanie, gdyż po raz podjętym postanowieniu, nie ma już odwrotu. Całuję cię z całego serca i przesyłam Ci moje błogosławieństwo”. W klasztorze karmelitanek w St. Denis przyjęła imię siostry Teresy od św. Augustyna. 3 maja 1770 roku król odwiedził ją i spędził z nią trzy kwadransy. W klasztorze była

czynna i nabożna. Została jego przeoryszą. Zmarła w roku 1787, uniknęła więc burzy, która nadchodziła.

Pani du Barry zainstalowała się na dobre w Wersalu. Tuż nad pokojami królewskimi urządziła własny apartamencik. O ile pani de Pompadour była mistrzynią w urządzaniu wnętrza i stylu dekoracji, o tyle pani du Barry była wyrocznią mody i gustu kobiecego w stroju i jego dodatkach. Lubowała się szczególnie w klejnotach i zbierała te błyskotki, jak się wydaje na zapas, tj. na wypadek śmierci króla lub jego niełaski. Przymilna kotka, dogadzała królowi swą troskliwością i czułością, ale też wyłudzała od niego kosztowne prezenty. Król niczego jej nie odmawiał. Działał jednak z pewnym rozsądkiem. Ofiarowywał jej np. pałacyki, które od śmierci pani de Pompadour nie były używane. Dokończył też dla niej w obrębie Wersalu budowę pałacyku rozpoczętą jeszcze za życia pani de Pompadour, tzw. Mały Trianon, gdzie pani du Barry lubiła przebywać sam na sam z królem. Szczególnie upodobała sobie królewską rezydencję Louveciennes. Należała ona do królewskich domen i nie mogła przejść w ręce prywatne, ale by ją dostosować do potrzeb kapryśnej hrabiny, trzeba było zainwestować ogromne pieniądze i zatrudnić największe talenty Francji (C.N. Ledoux). Rozrzutność Ludwika XV i radość używania życia okazywana przez hrabinę budziły powszechny zgorznienie i zaskodziły monarchii więcej niż przegrywane batalie czy omyłki polityczne ministrów. W odczuciu społecznym to du Barry doprowadziła Francję do ruiny, to ona poniżała kraj i jego króla, panosząc się u jego boku. Nawet w czasie rewii wojskowej czy w podróżach „służbowych” monarchy podążała za nim w bogatej karecie i z kuframi pełnymi fatalaszków.

Ci, którzy stykali się z nią na co dzień dostrzegali, że była kobietą dobrą, litościwą, wrażliwą na ludzkie krzywdy i ludzką biedę. Niejedno u króla wyjednała. Od polityki stroniła i nie była w nią wtajemniczana. Intuicyjnie jedynie wyczuwała narastającą wokół niej wrogość klanu Choiseulów. Wiedziała, że może on zagrozić jej pozycji, domyślała się, że potężny minister i damy z jego otoczenia inspirują paszkwile i godzące w nią kuplety śpiewane przez ulicę paryską. Koabitacja tych dwu wrogich sobie biegunów trwała jednak ponad półtora roku. W tym czasie pani du Barry pozyskała sobie wielu sprzymierzeńców na dworze, szczególnie wśród ministrów wrogich Choiseulowi, także w partii dewotów, nawet wśród rodziny królewskiej. Organizowała kolacje w swym apartamencie. Zapraszała na nie dworskich dygnitarzy i wybranych ministrów, a na pięknie wypisanych zaproszeniach figurował dopisek „Jego Królewska Mość zapowiedział swą obecność”. Któż by z takiego zaproszenia nie skorzystał?

Pochlebców nie brak nigdy. Orientowano się bowiem, że romans królewski nie jest ulotną igraszka zmysłów, ale trwałą miłością, tym trwalszą, że ostatnią. Król chciał się podobać. Robił wiele wysiłków, by podtrzymać męskość. Używał przeróżnych afrodyzjaków i stosował odpowiednią dietę rozgrzewającą krew. Lecz ze wszystkich afrodyzjaków najlepszym była sama hrabina, biegła w sztuce kochania. Umiała też rozweselić króla, a raczej rozbawić, gdyż ripostę miała dobrą i używała gwarowego słownictwa nie znanego na wersalskim dworze. Mimo dworskiego obycia nigdy nie pozbyła się nawyków dziewczyny z ludu, które w sumie dodawały jej uroku i bezpośredniości. Szczęśliwie – rzecz można – pożycie tej niedobranej pary, wbrew mniemaniom powszechnym, nie odciągało króla od spraw państwowych. Czuwał nad nimi pilnie, a ostatnie lata królowania okazały się najlepsze.

Panią du Barry czekała jeszcze jedna „ogniowa” próba. Rzec można, następny sprawdzian na dworze w walce o jej akceptację. Wiązało się to z małżeństwem młodego delfina z córką Marii Teresy – Marią Antoniną, wynegocjowanym przez ministra Choiseula. Skoro król nie chciał się żenić, należało wyswatać co rychlej jego następcę, by dynastia trwała i sojusznicze związki z domem habsburskim przedłużyły się w następnym pokoleniu.

Małżeństwo to należało do programu związków rodzinnych i sojuszniczych i od dawna było planowane. Oboje zainteresowani byli jeszcze dziećmi, choć już wtedy przezorny Ludwik XV postawił warunki, by przyszła żona księcia du Berry (taki tytuł nosił Ludwik za życia ojca) znała biegle język francuski, zżyła się z jego kulturą, odebrała właściwą królowej edukację, co objawiać się miało umiejętnością tańca, pięknych gestów, wytwornych ruchów i miłych uśmiechów. Pedagogowie i nauczyciele języka francuskiego przybyli z Francji gorliwie podjęli swe obowiązki. Oficjalne swaty rozpoczęły się na przełomie 1770 roku. Ludwik XV wysłał do Wiednia nadwornego malarza nazwiskiem Ducreux, by sporządził pastelowy portret arcyksiężniczki, i z niecierpliwością oczekiwał na ocenę urody przyszłej delfiny. Powracającego z Wiednia wysłannika pytał z zaciekawieniem: „Jak pan ocenia księżniczkę, czy ma piękny gors?” A gdy zażenowany agent odpowiedział, iż nie miał odwagi zapuścić tak daleko wzroku, śmiejąc się odpowiedział: „Jest pan głupcem. To pierwsza rzecz, którą u kobiety mężczyzna zauważa”. Maria Antonina była najmłodsza z licznej pocztu córek cesarzowej Marii Teresy. Jej starszą siostrę Elżbietę rajono samemu królowi. Do związku wnuka z młodocianą arcyksiężniczką Ludwik XV przywiązywał ogromną wagę. Zarządził odpowiednie przygotowania do przyjęcia narzeczonej i uroczystości weselnych. Miały one przekroczyć swym rozmachem i wspaniałość

cią wszystkie dotychczasowe urządzone w wersalskim pałacu. Miały zaćmić Europę blaskiem francuskiej wystawności, prześcignąć okazałością wiedeński dwór. Dla młodej pani król przeznaczył apartamenty Marii Leszczyńskiej. Podjęto pośpiesznie prace nad ich odświeżeniem. Świadczyło to o intencji monarchy, by delfina stała się pierwszą Panią kobiecego dworu. Miejsce królewskiej faworyty wydawało się być zagrożone. Znów intrygi wzięły górę. Nie takie były jednak plany króla.

Po dokonanej ceremonii ślubu *per procuram*, 21 kwietnia 1770 roku wyruszył z Wiednia mały orszak wiozący Marię Antoninę do wybranej ojczyzny i przyszłego, nie znanego jej męża. Nigdy do rodzinnego kraju wrócić nie miała. Jechali pośpiesznie etapami, by zdążyć na umówione na granicy spotkanie. Delegacja pierwszych dworzan królewskiego domu i dam dworu oczekiwała w granicznej miejscowości Kehl. Ludwik XV wraz z rodziną wyruszył na spotkanie żony wnuka do Compiègne 13 maja. Ministrowi Choiseulowi zaproponował, by ten oczekiwał na delfinę w innym miejscu, zaznaczając w ten sposób, że jako negocjatorowi tego mariażu należy mu się specjalne wyróżnienie. Istotnie, Maria Antonina witała go z wielką szczerą serdecznością, wszak był ongiś ambasadorem w Wiedniu i Maria Teresa darzyła go specjalną sympatią, „nigdy nie zapomnę, że to Panu zawdzięczam mój szczęśliwy los”. Odpowiadał dwornie, iż „jest to również szczęśliwy los Francji”. Większe emocje wywołało powitanie z królem i młodzikiem mężem. Z królem poszło świetnie. Sprawiała na nim doskonale wrażenie. Piętnastoletnia dziewczyna mimo długiej podróży wyglądała świeżo, pełną i pięknie. Ludwik XV, który mógł być jej dziadkiem, i młode, naiwne dziewczę wyszkolone przez matkę, ale jeszcze nie przez życie, przypadli sobie wzajemnie do gustu. Maria Antonina działała raczej intuicyjnie, gdyż bała się dworu wersalskiego, o którym w Wiedniu różne chodziły słuchy. Najmniej zainteresowania i entuzjazmu okazywał piętnastoletni pan młody, zupełnie jeszcze nie przygotowany do małżeńskiego pożycia. Pierwsza kolacja przy udziale rodziny i wybranych członków dworu i rządu odbyła się w pałacyku Muette na ostatnim postoju podróży. Nie trzeba dodawać, znając już nieco środowisko dworskie, ile emocji sprawiała domysły, kto w powitalnej kolacji weźmie udział. Powszechnie mniemano, iż król nie odważy się zaprosić pani du Barry, a ona nie odważy się zaproszenia przyjąć. Oboje się odważyli. Pani du Barry oszłomiła obecnych swą toaletą. Wkroczyła z pełną gracją, oddała ukłon delfinie i z swobodnym uśmiechem zajęła miejsce przy królewskim stole. Była to druga, nie mniej ważna od poprzedniej, prezentacja faworyty dokonana na najwyższym szczeblu w obecności nowej delfiny. Tego wieczoru minister Choiseul

wyraźnie stracił apetyt. Maria Antonina poczuła awersję do królewskiej kochanki. Pomna jednak przestróg i admonicji matki unikała zarówno wszelkich starć, jak i każdej okazji do kurtuazyjnej nawet wymiany słów. Natomiast odtąd królewskiej metresie nadskakiwać zaczęli ministrowie d'Aiguillon i Richelieu.

Kilka dni trwały uroczystości weselne. Obiady, bale, spektakle, wieczorne iluminacje i ognie sztuczne. Zwyczajem wprowadzonym za czasów Ludwika XV wstęp do Wersalu w takich okazjach był wolny. Ciągnęły więc tłumy paryżan, by oglądać, choć z daleka, młodą parę i podziwiać piękno wersalskiego pałacu jarzącego się od 100 tysięcy lampionów i sztucznych ogni. Pani du Barry nie ominęła żadnego z punktów rozległego programu. Gwoździem uroczystości był wydany 16 maja wieczorny obiad dworski w sali Opery Wersalskiej, połączony z jej inauguracją. Znakomity architekt i artysta Jacques Gabriel, jej twórca, dołożył wszelkich starań, by wrażenie było jak najlepsze, a roboty terminowo wykonane. Sala budziła powszechny zachwyt. Dekorum było olśniewające. Rodzina królewska i książęta krwi zasiedli na scenie przy ogromnym stole (pierwsze miejsce zajął Ludwik XV). Ku zdziwieniu i pewnemu zaskoczeniu obecnych, przy stole dla najdostojniejszych gości dworskich zasiadła także hrabina du Barry. Pozostali członkowie dworu rozlokowani w łóżach przyglądać się mogli uroczystości i słuchać muzyki w wykonaniu świetnych artystów.

Hrabina du Barry wywoływała nie mniejsze zainteresowanie niż panna młoda. To raczej ona była sensacją tych wersalskich obchodów. Olśniewała zmienianymi kilkakrotnie strojami, klejnotami, klejnocikami i innymi akcesoriami toalety, z których głównym był jej uśmiech – radosny, triumfalny, a jednocześnie pełen życzliwej słodyczy. Ludwik XV wodził za nią okiem i dzielił swe zainteresowania, nadskakując zarówno jej, jak i delfinie. Marii Antoninie okazywał niezwykłą czułość, dobrodusność, wdzięczność i wyrozumiałość. Pocieszał ją, widząc mizerne wysiłki wnuka, by podobać się narzeczonej. Traktowała go jak ojca, przyjaciela, powiernika. A jednak nie przełamała się nigdy, by ze względu na łączącą ją z Ludwikiem przyjaźń i szczerą okazać jego metresie, jeśli nie sympatię, to przynajmniej tolerancję. Z czasem przyglęła do wszystkich klanów, które były wrogię pani du Barry.

Pomimo oszałamiającego przyjęcia, pomimo wielkiego zainteresowania dworu dla przyszłej królowej, początki jej pobytu w Wersalu wcale nie były takie radosne. Mąż stronił od niej, małżeństwo nie zostało spełnione. A radosne uroczystości weselne zwarzyła ponura katastrofa na ulicach Paryża. Tam bowiem przygotowano dla mieszkańców pokazy ogni sztucznych.

Coś się w machinie popsło i wyrzucony pocisk spadł na tłum. Wybuchła panika, w ucieczce ludzie zadeptywali się wzajemnie. Podobno zginęło około stu osób. Żałośnie więc dla Paryża kończył się weselny dzień dworu wersalskiego.

Młoda mężatka pisała do swej matki Marii Teresy w kilka tygodni po ślubie: „Król okazuje mi swą dobroć na tysiąc sposobów, i polubiłam go serdecznie. Ale słabość, jaką żywi wobec pani du Barry, wzbudza wprost współczucie. Jest to najgłupsza i najbardziej impertynencka, jak tylko można sobie wyobrazić, kreatura. Gdy byliśmy w Marly, co wieczór zasiadała z nami do gry. Dwukrotnie znalazła się obok mnie, ale się do mnie nie odezwała i ja również nie starałam się nawiązać z nią rozmowy. Ale gdy to było konieczne, zamieniłam z nią kilka słów”. Dni triumfu pani du Barry w toku weselnych korowodów były i dla niej zaprawione ziarnkiem goryczy i zwątpienia. Gdy w czasie iluminacji wersalskiego parku spacerowała z ministrem d’Aiguillon, wśród zgromadzonych licznie gości napotkali ministra Choiseula, prowadzącego pod ramię swą siostrę, hrabinę de Gramont. Wymienili kurtuazyjne ukłony. Pani du Barry odezwała się do swego towarzysza: „Ta dama zabiłaby mnie, gdyby tylko mogła”. W tym momencie z tłumu wysunęła się nieznana nikomu kobieta i wyrzekła prorocze słowa: „Ona cię nie zabije – Madame – umrzecie obie tą samą śmiercią, co delfina, której małżeństwo obchodzimy. Będzie to śmierć tragiczna. Gwiazdy się nie mylą”. Zanim oszołomiona hrabina zrozumiała sens złowieszczych słów, kobieta zniknęła w tłumie. Choć incydent został rychło zapomniany, zepsuł nastrój i wspomnienie tego dnia. Zapewne przypomniały się te słowa pani du Barry, gdy w październiku 1793 roku nieszczęsna Maria Antoina wchodziła na szafot. Wiedziała, że to sygnał dla niej.

XVIII. Mógł być wielkim królem?

Na wieść o upadku ministra Choiseula, Horacy Walpole, syn angielskiego męża stanu, zapisał krótko: „To jest rewolucja. Oto rozpoczyna się nowa scena”. Ludwik XV rozważnie rekonstruował swój rząd. Wiedziony długoletnim doświadczeniem, dążył do wyeliminowania w tym doborze przywódców dworskich koterii. Chciał mieć przy sobie ludzi wyrobionych, zawodowych administratorów, rzec można technokratów. Trzech z nich wiodło prym w tym ministerialnym zespole, nazywano ich potocznie triumwiratem. Byli nimi René Nicolas de Maupeou, kanclerz królestwa, Emanuel du Plessis de Richelieu, duc d'Aiguillon, minister spraw zagranicznych, i ksiądz Joseph Marie Terray, nadintendent finansów. Prócz nich w skład tego ścisłego gabinetu wchodził: Bourgeois de Boynes, minister marynarki (Secrétaire d'Etat à la Marine) i markiz Monteynard, minister wojny (Secrétaire d'Etat à la guerre). Ludzie ci, dobrani przez króla, jemu oddani i cieszący się do końca jego zaufaniem, podjęli trudne obowiązki ratowania państwa w ciężkiej sytuacji wewnętrznej, po dotkliwych porażkach poniesionych na forum międzynarodowym.

Trzy lata, zamykające długie panowanie Ludwika XV, stanowią logiczny finał wieloletnich dążeń władcy i pozwalają odtworzyć przewodnie linie tego znamienego w dziejach Francji i Europy półwiecza.

Niewątpliwie najbardziej głośną, bulwersującą współczesnych była podjęta przez kanclerza René Nicolasa Maupeau – za aprobatą króla, a nawet pod jego dyktando – decyzja rozwiązania parlamentów i stworzenia nowoczesnego systemu sądownictwa, jako dziedziny administracji państwowej. Decyzja określana jako odgórna rewolucja.

Czytelnik niemal w każdym z poprzednich rozdziałów zetknął się z francuskim systemem sprawiedliwości i rolą jego najwyższych trybunałów zwanych parlamentami. Na terenie Francji było ich trzynaście. Wiodącą rolę odgrywał najliczniejszy kadrowo i zasięgiem swym obejmujący trzecią część Francji parlament paryski. Dzielił się na wiele izb sprawujących różne funkcje prawnicze: sędziów, adwokatów, notariuszy, prokuratorów, urzędników proceduralnych, specjalistów prawa finansowego, państwowego, kościelnego itp. Łączna liczba członków parlamentu paryskiego sięgała 240.

Zasięg pozostałych parlamentów pokrywał się przeważnie z granicami jednej prowincji. Tam, gdzie istniały jeszcze stany prowincjonalne, uprawnienia parlamentów były ograniczone, tam zaś, gdzie stany lokalne nie istniały, parlamenty rościły

sobie pretensje do reprezentowania swej prowincji i obrony jej interesów. Ich współdziałanie z parlamentem paryskim układało się różnie. W toku jednak narastających utarczek z królem w sprawach podatkowych i walce o uprawnienia ustawodawcze, solidaryzowały się z wiodącym Paryżem. Skład osobowy tych parlamentów liczył od kilkudziesięciu do ponad stu członków. Łącznie zatem liczba parlamentarzystów na terenie Francji wynosiła około 1200 osób, wraz z personelem pomocniczym 10 tysięcy osób.

Prawnicy o dużym doświadczeniu i rutynie zdobyli sobie na ogół szacunek i poważanie społeczne. Niemniej łatwo dostrzec można było, że instytucje te zarówno w stolicy państwa, jak i na prowincji, z biegiem lat i generacji opanowane zostały przez zamożną szlachtę urzędniczą (*noblesse de robe*). Stanowiska w tym parlamencie stały się dziedziczne, szlachectwo również i, o paradoksie, te omszałe instytucje, porównywane przez współczesnych do Monteskiuszowskich ciał pośrednich, tworzyły zamkniętą oligarchię, choć mieniły się stróżami ludu i jego praw.

Parlament paryski miał szczególne uprawnienia. Jego obowiązkiem było rejestrowanie aktów i dekretów królewskich, i wszelkich zarządzeń ministerialnych, sprawdzanie ich zgodności z obowiązującym prawem w królestwie i podawanie do publicznej wiadomości. Podobnie przy decyzjach podatkowych podejmowanych przez ministra finansów i króla. Miał zatem prawo do remonstracji, to jest sprzeciwiania się ustawie, w której dopatrzone się niezgodności czy naruszenia ustalonych praw. Był to więc trybunał specjalny, czuwający nad praworządnością, a w konsekwencji roszczący sobie prawo do kwestionowania królewskich uprawnień ustawodawczych, i nadrzędnej w stosunku do nich kontroli. Taka interpretacja zadań parlamentu była nie do przyjęcia w monarchii absolutnej.

Parlamente wywodziły swe korzenie od pradawnych czasów germańskich, gdy owe zgromadzenia pełniły przy królach rolę współzrządzających. Współczesnym dla nich modelem był parlament angielski, nazwą jedynie im podobny. Od czasów Frondy nie wygasły tendencje antyabsolutystyczne i lokalne separatyzmy. Nasiliły się one za panowania Ludwika XV. Korzystając ze swych uprawnień parlamente, a zwłaszcza paryski, tworzyły niemal oficjalną opozycję, blokując zarządzenia króla, zmuszały go do stosowania decyzji wyjątkowych drogą łamania parlamentarnych orzeczeń i wydawania arbitralnych decyzji w tzw. „łożu sprawiedliwości”. Parlament uciekał się do metody strajku przez zawieszenie swych czynności sądowych. Król odpowiadał wygnaniem członków parlamentu z Paryża na prowincję. Powodów do konfliktu nie brakło. Nicią przewodnią kon-

fliktu, który snuł się przez ponad czterdzieści lat, była sprawa bulli *Unigenitus*, wydanej przez papieża Klemensa XI w roku 1713. Głosiła ona potępienie doktryny jansenistycznej i jej wyznawców, pod sankcją odłączenia od Kościoła, jeśli trwać będą w błędzie. Władze kościelne, jezuita i partia dewotów naciskały na króla i rząd (Ludwik XV był jeszcze młodociany), by bullę uznać zarówno za prawo kościelne, jak i państwowe. Pomimo silnych sprzeciwów i gwałtownych protestów wypowiedzianych przez różne społeczne kręgi, parlament pod naciskiem kardynała Fleury'ego został zobligowany do zarejestrowania bulli papieskiej również jako prawa obowiązującego w państwie. Tym samym prawa kościoła gallikańskiego zostały podważone (1730).

Wszelkie prześladowanie budzi nie tylko opór, ale i wzrost zainteresowania zwalczaną ideologią, rodzi fanatyzm w szeregach zagrożonych. Janseniści, o których mówiło się już mało, i których doktryna uformowana pod wpływem kalwinizmu przez wybitnych intelektualistów poprzedniego wieku stawała się z czasem formą ludowej pobożności, żywą wiarą potwierdzoną rzekomymi cudami i szczególnymi znakami Opatrzności. Ludwik XV dążył do wyciszenia rosnącej zajadłości, żądał obustronnego „milczenia” wobec bulli. Władze kościelne pierwsze przerwały to milczenie. Energiczny, świeżo powołany na stanowisko arcybiskupa Paryża (1749) Christoph de Beaumont wydał swym proboszczom zakaz udzielania jansenistom ostatnich sakramentów, spowiednicy ortodoksyjni zaś mogli tylko przyjmować spowiedź od tego rodzaju penitentów i wystawiać im bilety, iż spowiedź odbyli u właściwego księdza. Sprawa zaświadczeń o dobrej spowiedzi wywołała zrozumiały protest i oburzenie nie tylko wśród objętych nakazem jansenistów, ale w całej szeroko pojętej opinii oświeconych i księży orientacji gallikańskiej. Tak dalece idąca interpretacja bulli *Unigenitus* nie mogła być zaakceptowana jako zgodna z praworządnością. W latach pięćdziesiątych walka przybrała ostry ton i Ludwik XV, który próbował łagodzić sprawę, musiał sięgnąć do środków nadzwyczajnych. Parlament paryski otrzymał nakaz opuszczenia Paryża i udania się do miejscowości Pontoise. Król rozpoczął natomiast naciski na arcybiskupa, by zarządzenie swe zawiesił.

Gdy arcybiskup, silny poparciem Rzymu, zarządzenia nie cofnął, i on otrzymał nakaz opuszczenia Paryża. Hardy dostojnik Kościoła nie przestał ze swego wygnania prowadzić dalszej akcji przeciw jansenistom. Rozgniewany monarcha wyznaczył mu na miejsce wygnania miejscowość oddaloną znacznie od jego diecezji. Niełatwa była rola samego króla, wiernego syna Kościoła i arcychrześcijańskiego monarchy. Nie ustawały też

naciski ze strony jezuickich kapelanów i wersalskich dewotów. Podjął więc próby pojednawcze w stosunku do obu przeciwnych stron. Pozwolił na powrót parlamentu (1754). Arcybiskupa zwolnił z wygnania. Zażądał jednak kategorycznie, by od tego czasu wokół bulli nastąpiło milczenie. A więc choć nie odwołano jej poprzedniej rejestracji, nie miała być więcej stosowana. Nie zadowolono to wprawdzie żadnej ze stron, ale rzecz można, że główny powód długotrwałego sporu, wielu ans i obustronnych porażek został zażegnany.

Pojednawcze i kompromisowe stanowisko króla odbiło się w tym czasie również na jego stosunku do wielkiego dzieła oświeconych, do *Encyklopedii* i jej twórców, pomimo iż ataki na nią ze strony władz kościelnych, jezuitów i dworskich dewotów ponawiały się. Walka o prawa jansenistów i szeroko pojęta tolerancja utrwałała w społeczeństwie złudne mniemanie, że parlamenty bronią praw obywatelskich i ludzkich, że są po stronie ludu. Czy istotnie stanowiły czynnik równowagi uniemożliwiający rządowi nadużycie władzy? Wydaje się, że szermując hasłami obrony ludu i ochrony dawnych praw, parlamenty odgrywały rolę wsteczną, konserwatywną. Szczególnie daje się to we znaki w okresie następnym – po wyciszeniu spraw jansenistów przysłała kolej na walkę z samym rządem, z samą administracją i jej zarządzeniami, a w szczególności w obronie przywilejów podatkowych, ekonomicznych i odrębności prowincjonalnych. Ukazały to lata wojny siedmioletniej, kiedy parlament blokował wszelkie próby podniesienia podatku powszechnego od dochodu czy zdublowania podatku zwyczajnego. Również Kościół zastosował tę samą taktykę, odmawiając subsydiów dobrowolnych na potrzeby państwa.

Walka z bullą *Unigenitus* pośrednio tylko godziła w samego władcę. Od połowy lat pięćdziesiątych do roku 1770 parlamenty pod egidą paryskiego atakowały już bezpośrednio samego króla i państwo administracyjne. Ocena tego wielkiego sporu – jak dotychczas – nie jest jednoznaczna w historiografii. Obie instytucje – monarchia absolutna i parlamenty – były potężnymi filarami *ancien régime*'u, a jednak w stosunku do siebie stawały się coraz bardziej antagonistyczne. Monarchia czyniła wysiłki, by Francję zmodernizować, scalić, poddać jednolitej administracji, zastąpić lokalne samorządy i odrębności uporządkowaną jednolitą siecią administracyjną i fiskalną. Królewski Zarząd Dróg i Mostów pracował nad usprawnieniem komunikacji, połączeniem wszystkich prowincji siecią dróg wodnych i lądowych. Symbolem i triumfem tej nowej techniki i jej osiągnięć była konstrukcja mostu nad Sekwaną w Neuilly, otwartego w obecności Ludwika XV w roku 1772. Cały Paryż i okolice przybyły na tę chwilę zwiastującą początki ery nowoczesności

i industrializacji kraju. Mosty, które Ludwik XV chciał budować, miały przełamać separatystyczne tendencje prowincji i ich obrońców w parlamentach. Tę drogę również obrała Rewolucja Francuska.

Minister Choiseul próbował współpracy z parlamentami. Współdziałał z nimi w podjętej przeciw jezuitom akcji. Triumf nad jezuitami i pojednawcza postawa króla nie zmieniły zasadniczych punktów sporu, jakimi stały się zarządzenia administracyjne i podatkowe. Mnożyły się remonstracje parlamentu paryskiego, drukowane i rozpowszechniane godziły w państwo i jego rząd. Budziły solidarność parlamentów prowincjonalnych. Kryzys pogłębiał się z każdym dniem. Nad Francją zawisła groźba powszechnego strajku, ustania w kraju działalności sądowniczej. To był też straszak, którym posługiwał się nowy kanclerz Maupeou, ongiś pierwszy prezydent parlamentu paryskiego. Kanclerz był wiernym echem urazów, jakie Ludwik XV żywił do parlamentów, jansenistów i „republikanów”. Tym razem opór parlamentów miał być definitywnie złamany. Uznać one miały swoją służebną w stosunku do monarchii rolę, o ile chciały nadal funkcjonować. Akcja protestu z ich strony była w toku, gdy niespodziewanie spadł grom. W nocy z 19 na 20 stycznia 1771 roku każdy z członków parlamentu otrzymał z rąk królewskich muszkietierów list z pieczęcią i nakazem natychmiastowej odpowiedzi, czy opowiadają się za królewskim zarządzeniem, czy też nie. Większość odpowiedziała negatywnie. Następnego wieczoru prawnicy, którzy odpowiedzieli nie, otrzymali kolejny list z pieczęcią zawiadamiający o utracie stanowiska i nakazie wyjazdu. Na tę wiadomość ci, których odpowiedź była pozytywna, solidarnie wycofali swą zgodę i natychmiast spotkał ich ten sam los. Nie dla wszystkich był on równie ciężki. Sześćdziesięciu z nich miało spędzić wygnanie we własnych dobrach, stu siedmiu rozrzuconych zostało po całej Francji, niektórym wyznaczone zostały miejsca bezładne, o niezdrowym klimacie, czekał ich prawdziwie wygańczy los. Dopatrywano się w tym zemsty kanclerza Maupeau, uważanego po dymisji Choiseula za pierwszego ministra. Był z wykształcenia i profesji prawnikiem, wieloletnim członkiem parlamentu i jego prezydentem. Dotrzymał wierności i lojalności wobec króla. Po raz pierwszy król posunął się do tak zdecydowanych kroków. Samo wygnanie nie było zaskoczeniem dla członków parlamentu, nie pierwszy raz to przeżywali, ale pozabawienie ich funkcji i tytułów zapowiadało prawdziwy przewrót. Wszak tytuły te były dziedziczne, a w każdym razie dożywotnie. To była ich własność. Nikt tych miejsc zająć nie mógł. Była to prawdziwa rewolucja odgórna, ale mimo obaw u jednych, a nadziei u drugich, nie wywołała reakcji oddolnej w spo-

leczeństwie. Rozpoczęła się natychmiastowa gwałtowna i zdumiewająca reforma. Edykt z 23 lutego 1771 roku zmieniał całą zasadę wymiaru sprawiedliwości. Znosił zakup i dziedziczość stanowisk. Wymiar sprawiedliwości miał być odtąd bezpłatny, sędziowie i cały aparat sprawiedliwości byli funkcjonariuszami administracji państwowej, powoływanymi przez króla i z ważnych przyczyn mogli być też odwołani. Parlament paryski z racji swego ogromnego terytorialnego zasięgu podzielony został na sześć trybunałów, których kompetencje ograniczały się do spraw sądownictwa. Podobnie parlamenty prowincjonalne przeszły przez czystkę i reformę bez protestów i gwałtownych emocjonalnych deklaracji.

„Sire – zwracał się do króla prezydent parlamentu Burgundii, de Brosse – jest Pan królem na mocy prawa i tylko w zgodzie z prawem może Pan królować”.

Wierny królowi Malsherbes, przewodniczący Izby Podatkowej, wyrażał królowi swój żal: „Panie, aby wyrazić Pańskie niezadowolone, Sire, wobec parlamentu paryskiego, chce się odebrać narodowi jego podstawowe prawo wolnego ludu”. Odpowiedzią była likwidacja tej Izby i kilku innych, które w tym nowym systemie okazały się niepotrzebne. Nawet niektórzy książęta z rodziny Bourbon de Condé ostentacyjnie opuścili dwór. Powrócili jednak po pewnym czasie. Wśród oświeconych zdania były podzielone. Salony na ogół solidaryzowały się z obalonymi parlamentami. Natomiast Wolter, widząc upadek tej przestarzałej instytucji broniącej przywilejów i wrogiej filozofom, nie krył swego zachwyty.

Choć wielu prawników odmówiło zajęcia stanowisk w nowych parlamentach, zwanych parlamentami Maupeau, a członkowie dawnych parlamentów wprost je bojkotowali, społeczeństwo rychło zaakceptowało nową organizację systemu sprawiedliwości o uproszczonej procedurze. Nowoczesna organizacja sądownictwa, osiągnięta w wyniku odgórnego rewolucji, niemal przemocy i represji stosowanych wobec tych, którzy byli jej przeciwni, nie w pełni się jednak przyjęła. Pokrzywdzeni nie ustawali w swych żalach i choć wszelka propaganda była zakazana, jako „męczennicy” absolutyzmu zyskiwali sobie sympatię jego przeciwników, a więc salonów paryskich i wzbogaconego mieszczaństwa, których krewni ponieśli straty.

W ich mniemaniu wraz z upadkiem parlamentów społeczeństwo zdane było już wyłącznie na wolę monarchy i jego absolutystycznego aparatu. Reforma przyszła za późno. Mówiło się i pisało już wtedy o możliwości rychłej, oddolnej rewolucji i utworzeniu prawdziwej reprezentacji narodowej z woli narodu.

Reforma parlamentów pociągnęła za sobą dalszą reformę administracyjną państwa. Część dawnych kompetencji, względnie

zwyczajowo ukształtowanych nawyków w działalności parlamentów, przeszła do administracji państwowej. Szczególnie poszerzył się zakres uprawnień intendentów, urzędników fiskalnych i wielkich dzierżawców. Zacieśniała się łączność między wersalską centralą a prowincjami. Sieć dróg i system komunikacji ułatwiał te kontakty. Wiadomości i rozkazy rozchodziły się szybko. Sztafeta królewska pokonywała dziennie odległość ok. 100 km. Sprawy wymiaru podatkowego i gospodarki finansowej państwa wyłączone z kompetencji parlamentów znalazły się w rękach zdolnego, acz nie lubianego księdza Josepha Marie Terraya. Jego osobiste życie niezgodne ze stanem duchowym szokowało w Wersalu. Okazał się on jednak godnym następcą Colberta, w sanowaniu finansów państwa. Obejmował funkcję w sytuacji niemal beznadziejnej. Jego poprzednik Maynon d'Invault, składając dymisję, oświadczył: „Sytuacja jest więcej niż przerażająca. Nie można jej dłużej utrzymać. Doszliśmy do chwili, gdy doprowadzi ona królestwo do największych nieszczęść bez możliwości im zapobieżenia”. Zadłużenie skarbu państwa wynosiło ponad 120 milionów liwrow, deficyt budżetowy corocznie się pogłębiał. Należało więc dążyć do bilansowania budżetu państwa i powolnego wychodzenia z długów, na które czekali wierzyciele, przeważnie bankierzy, wielkie spółki kupieckie i kapitał zagraniczny. Terray i Ludwik XV, który reformy Terraya firmował, przełamali immunitet podatkowy uprzywilejowanych, wprowadzając wreszcie tak systematycznie odrzucany przez parlamenty pięcioprocentowy podatek dochodowy (*le Vingtième*). Dokonywał też różnych innych manipulacji finansowych i podatkowych, redukując znacząco deficyt budżetowy i wywiązując się z zobowiązań płatniczych. Programu oszczędności i redukcji wydatków nie udało się w pełni zrealizować.

Do zadłużenia skarbu przyczyniły się znacznie uroczystości weselne z okazji małżeństwa młodego delfina z Marią Antoniną. Pochłonęły one 9 milionów liwrow i na próżno rzesze dostawców, rzemieślników, artystów i służby dopominały się o należną im zapłatę. Do samej Rewolucji należności te nie zostały spłacone. Toteż intendent Terray, który brał udział w uroczystościach, zagadnięty przez Ludwika XV, jak je ocenia, odpowiedział z bolesnym wyrazem: „Sire, one były bezcenne”.

Dwór wersalski obciążał dotkliwie budżet państwa i zręczny minister nie zdołał doprowadzić do redukcji tych wydatków. Ludwik XV godził się jedynie na oszczędności związane z jego osobą, nie godził się jednak na żadne zmiany w stylu życia swoich dorosłych i żonatych już wnuków. Szczególnie sprzeciwiał się jakiegokolwiek redukcji wydatków delfiny Marii Antoniny ani rozrzutnej faworyty – pani du Barry. Ta ostatnia z czasem się

rozzuchwiała. Na własną rękę domagała się od nadintendenta zapłaty wygórowanych rachunków i żądała gotówki niewspółmiernie wysokiej w porównaniu do innych dworskich pensji. Służalcy minister ustępował obu damom rywalizującym o pierwszeństwo w wersalskim świątku, zyskał tym sobie opinię dworaka bez charakteru.

A jednak Francja wychodziła z najgorszego kryzysu i dobroczynne tego skutki dawały się zauważyć. Ożywił się kredyt i obroty handlowe, szczególnie z krajami paktu familijnego. Terray był też pierwszym na tym stanowisku, który wprowadził do swych planów i prognoz metody statystyczne, przeprowadził spis ludności i uporządkował rejestry podatkowe. W polityce fiskalnej dążył do równowagi obciążeń poszczególnych grup społecznych. Podjął też próbę reglamentacji cen i dystrybucji podstawowego produktu konsumpcji powszechnej – zboża. Wysanował francuskie finanse na tyle, iż widmo bankructwa zostało oddalone na piętnaście lat.

Wprowadzona przez ministra Choiseula i jego kuzyna reforma armii i marynarki była nadal w toku. Kierownicy obu resortów, Bourgeois de Boynes i markiz de Monteynard, w ścisłej współpracy z kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych, odbudowywali siły lądowe i morskie. Królewskie akademie wojskowe przygotowywały fachowych wyspecjalizowanych oficerów, rozwijano broń techniczną, wojska inżynieryjne. Do dziś szczególną renomą cieszy się też wojenna szkoła kawalerii w Saumur. Wiedzę wojskową wspierały Akademia Budowy Dróg i Mostów i Szkoła Administracyjna. Modernizacja floty i armii francuskiej budziła niepokój w kołach rządowych Wielkiej Brytanii. Wszak myśl o rewanżu za klęskę wojny siedmioletniej nurtowała zarówno Ludwika XV, jak i jego ministrów. Ostrożny król nie zamierzał jednak podejmować awanturniczych kroków, był zdecydowanym pacyfistą i przestrzegał zasady *pacta sunt servanda*. Jemu to jednak zawdzięcza Francja swój przyszły triumf: pokonania Wielkiej Brytanii w militarnym aliansie (1778) z walczącymi o swą niepodległość Stanami Zjednoczonymi.

W roku 1759 dowódca w Bretanii, książę d'Aiguillon, późniejszy minister spraw zagranicznych, pisał do ówczesnego ministra wojny i marszałka Belle-Isle: „Największym nieszczęściem jest brak pewności, kto jest moim przełożonym, wielka liczba tych osób odstrasza mnie całkowicie. Podlegam już piątemu z kolei Sekretarzowi Stanu do spraw marynarki i czwartemu generałnemu kontrolerowi. Każdy z nich ma swoje pomysły i swoje uprzedzenia... Żaden z nich nie miał stałego i zdecydowanego systemu... Spowodowało to wiele nieszczęść, kłopotów i zniechęcenia dla mnie samego i ogromne powszechne nie-

zadowolenie, które doprowadziło do pełnego zamieszania w umysłach i w samym toku służby”.

Te czasy należały już do przeszłości. Fatalne skutki wojny siedmioletniej powoli zanikały.

Gdy ksiązę d'Aiguillon obejmował urząd ministra spraw zagranicznych, Francja wplątana była w tzw. sprawę wschodnią. Chcąc ratować obu tradycyjnych swych sojuszników – Polskę i Turcję – przyspieszyła ich klęskę i upadek. Zamierzenia ministra Choiseula okazały się złudne, ksiązę d'Aiguillon z ciężkim sercem wycofywał się z nierealnych planów swego poprzednika, nie zdołał też powstrzymać Austrii od zmiany sojuszy i wejścia jej do trio rozbiorowego.

Z dawnych sojuszników pozostały Francji jedynie państwa układu familijnego i Szwecja. Należało zatem prowadzić politykę pacyfistyczną i żonglować w kierunku porozumienia z Rosją. Założeniem polityki księcia d'Aiguillon było utrzymać pokój, doprowadzić do równowagi, by nigdy więcej nie oddać ani pięćdzi terytorium francuskiego. Tego też oczekiwał jego mocodawca, Ludwik XV.

Okres triumwiratu, oceniany słusznie jako najlepszy w dziejach panowania Ludwika XV, przyniósł korzystne zmiany organizacyjne. Po raz pierwszy we Francji mówić możemy o rządzie, zespole ministrów działających zgodnie we wzajemnym porozumieniu i wspólnym programie. Był to program Ludwika XV. Król, nie rezygnując z uprawnień władcy absolutnego, chciał nadać państwu charakter państwa administracyjnego, uporządkowanego i praworządnego, w którym kompetentni funkcjonariusze państwowi niwelując różnice, przywileje i lokalne zaszłości działać mieli jednolicie na rzecz machiny państwowej i dobra ogółu. Choć Ludwik XV nie chciał być królem-filozofem i odżegnywał się od wszelkiego republikanizmu i laickości państwa, dążył własną drogą do reform, które gdzie indziej określano jako reformy absolutyzmu oświeconego. Na jego koncie znalazła się zarówno likwidacja zakonu jezuitów, ostoji ortodoksji rzymskiej, jak i doprowadzenie Kościoła francuskiego do respektowania autorytetu władzy świeckiej. Prześladowani janseniści i podejrzani o protestantyzm znaleźli również w nim swego obrońcę. Ludwik XV i jego światli doradcy chcieli też, by prawa królestwa były jednoznaczne i jednolite w formie. Zapoczątkowane zostały prace nad kodeksem cywilnym, zwanym kodeksem Ludwika XV, które za jego następcy zostały jednak przerwane, a ożyły dopiero w okresie rewolucji.

Nauka i wynalazcy cieszyli się mecenatem dworskim. Nowości techniczne znajdowały swe zastosowania w inwestycjach państwowych i prywatnych. Przypisywane Ludwikowi XV zdanie:

„Po nas choćby potop” było bądź źle zinterpretowane, bądź nigdy nie wypowiedziane.

Dalsze zamierzenia na drodze reform, podjęte przez króla i jego ekipę, przerwała przedwczesna śmierć władcy 10 maja 1774 roku.

Miał sześćdziesiąt cztery lata i zdrowie jego wydawało się doskonałe. Ulegał jednak nadal stanom melancholii, apatii i poczuciu samotności. Wiosną 1774 roku dwór wersalski przygotowywał się do Świąt Wielkanocnych, Ówczesnym zwyczajem święta poprzedzone były kazaniami wielkopostnymi. Tym razem przybył do Wersalu cieszący się sławą znakomitego kaznodziei ksiądz Beauvais, który za swą oratorską gorliwość uzyskał, za aprobatą króla, stanowisko biskupa. W ogłoszonym w Wielki Czwartek kazaniu dla dworu ksiądz biskup, przypominając biblijnego Króla Salomona, czynił wyraźne aluzje do Ludwika XV. Groził wszelkimi karami doczesnymi i wiecznymi, za jego cielesne grzechy. By rozerwać markotnego, ogarniętego złymi przeczuciami Ludwika, pani du Barry zaproponowała wyjazd do Małego Trianon.

Opuścili Wersal 16 kwietnia wraz z kilku najbliższymi przyjaciółmi, pierwszym medykiem Le Monnier i pierwszym pokojowym króla nazwiskiem Laborde. Ludwik XV odzyskał humor, przestał się dręczyć myślą o śmierci i zbawieniu. Z zadowoleniem przyznawał: „Jak dobrze jest żyć jak zwyczajny mieszczuch, oby to mogło trwać długo”. Codzienne polowania, miłe wieczory, oto prawdziwe odprężenie i pełne poczucie wczasowania. 27 kwietnia król skarżył się na silne bóle głowy i brak apetytu. Mimo to nie zmieniał zaplanowanego programu i nazajutrz wziął znów udział w polowaniu, ale konia już nie dosiadł i z karocy przyglądał się łowom. W nocy wystąpiła gorączka. Stan zdrowia budził niepokój. Do Trianon przybył pierwszy chirurg dworu La Martinière. Obejrzawszy chorego, oświadczył: „Sire, chorować trzeba w Wersalu, nigdzie indziej”. Gdy Richelieu protestował, król przeciął dyskusję mówiąc: „La Martinière ma rację, proszę zarządzić, by powozy podjechały”. Z wysiłkiem zeszedł ze schodów, podtrzymywany przez pokojowego. Wsiadając do powozu dał rozkaz woźnicy: „Co koń wyskoczy”. Było to 29 kwietnia.

Pierwsza noc w Wersalu nie przyniosła ulgi. Zdania lekarzy były podzielone. Nie umiając zidentyfikować choroby, zgodzili się wszyscy, a było ich już pięciu, na zastosowanie jedyne go na wszystkie dolegliwości środka – puszczanie krwi, i ponowili te zabiegi dwukrotnie. Nie ulżyli w niczym choremu, ale wzmogli jego osłabienie. W przekonaniu o jedynym zbawczym skutku puszczania krwi zamyślali o powtórzeniu go po raz trzeci. Dla ułatwienia zabiegów i pielęgnacji przeniesiono króla z jego piernatów na

zwykle łóżko polowe, ustawione w środku komnaty. Te przenosiny i zapowiedzi trzeciego puszczenia krwi wywołały konsternację i obawę, że jest to choroba śmiertelna. W tym momencie zaczęły się targi o duszę Ludwika XV. Myśl o sprowadzeniu księdza odrzucała pani du Barry i zaprzyjaźnieni z nią ministrowie d'Aiguillon i książę de Richelieu. Wszak ten ostatni opierał się decyzji przeniesienia króla z Trianon.

Pani du Barry wiedziała, że warunkiem dobrej spowiedzi i rozgrzeszenia, postawionym królowi przed przekroczeniem progu wieczności, będzie wygnanie jej z Wersalu. Rodzina królewska i pozostali ministrowie na to właśnie czekali i obłudnie upominali się, by królowi nie dać umrzeć bez pociechy ostatnich sakramentów. Rozstrzygnięcie przyszło samo. Pierwszy medyk królewski, podając królowi kubek do picia, spostrzegł w ściągniętych ustach i na dziąsłach groźne, czerwone plamki. Wezwał kolegów. Wątpliwości nie było. Król zapadł na ospę. W jego wieku był to wyrok śmierci. Osłabiony puszczeniem krwi organizm nie miał szansy się obronić. Choroby nie można było utrzymać w tajemnicy. Rodzina królewska została ostrzeżona, by do sypialni króla nie wchodziła. Złowróżbną nowinę ogłoszono również oficjalnie wersalskiej społeczności i całej Francji. Odtąd delfin i Maria Antonina nie przekroczyli już apartamentów króla. Pięlegnacji jego, pomimo ostrzeżeń, podjęły się córki na zmianę z panią du Barry. Przez kilka dni jeszcze ukrywano przed nim prawdę. Sam się domyślił dostrzegłszy punkciki ospy na rękach i ciele. Mniemał jednak, że chorobę tę przeżył w dzieciństwie i początkowo łudził się jeszcze. Ale gdy poprosił o zwierciadło, ujrzał śmierć na swojej twarzy. Zrozumiał, że nadszedł czas pożegnania i pogodzenia się z Bogiem. Długi czas rozmawiał z pierwszym ministrem, powierzał mu sprawy państwa. Nie mógł, ze względu na obawę zakażenia, przekazać ich bezpośrednio swemu następcy, tak jak ongiś on sam odbierał błogosławieństwo i wskazówki od swego pradziada. Zanim zdecydował się na wezwanie spowiednika, odbył nocną rozmowę z panią du Barry i poprosił, by opuściła Wersal już w dniu następnym, tj. 4 maja, opiekę zaś nad faworytą powierzył księciu d'Aiguillon i jego żonie, z którą wyjechała do ich rezydencji. Niedługo tam przebywała. Po śmierci Ludwika XV Maria Antonina odegrała się na znieawidzonej faworycie, kazała zamknąć ją w klasztorze. W królewskim pokoju pojawiało się coraz mniej dworzan. Znikali w popłochu, bojąc się zarazy, a groźna choroba czyniła szybkie postępy. Plamy zamieniały się w ropiejące czarne strupy. Następował powolny rozkład ciała. 7 maja król wezwał swego kapelana. Spowiedź trwała 16 minut. Sakrament ołtarza przyjmował uroczyście, podczas specjalnie odprawianej mszy św. w jego apartamencie, przy udziale wielu członków dwo-

ru. Płonęły świece, unosiły się dymy kadzidła. Wzruszenie było ogromne, król z wielkim trudem przełknął podaną mu hostię, po czym w jego imieniu przemówił spowiednik, przekazując zebrany prośbę króla o przebaczenie i wyrażony przezeń żal, iż zachowaniem swym wywoływał zgorszenie. Król, który mówić już nie mógł, skinieniem potwierdził słowa kapelana. Trzy dni jeszcze konał w mękach. Ciało jego pokryte było ropiejącą, szerniącą powłoką. Cierpienia znosił heroicznie, umierał bez skargi, godnie, bez jęku. Czuwali przy nim lekarze, księża i córki. Na oknie komnaty paliła się świeca, znak, że król jeszcze żyje. Agonia rozpoczęła się 10 maja przed południem. O godzinie trzeciej po południu wydał ostatnie tchnienie. Czuwający dworzanin podszedł do okna i zdmuchnął płomyczek świecy. Królem Francji był Ludwik XVI.

Skończył się wiek Ludwika XV, a wraz z jego śmiercią zaprzeczona została ostatnia szansa uchronienia monarchii od burzy rewolucyjnej.

Reforma sądownictwa przeprowadzona przez Ludwika XV i jego ministra nie przetrwała długo. Ludwik XVI, przejmując władzę, przywrócił dawne parlamenty w ich poprzednim składzie i układzie terytorialnym. Wracali z zesłania jako męczennicy i bohaterowie. Odwołanie reform Maupeau i rozpędzenie jego ekipy przez ostatniego władcę absolutnego było – jak zgodnie ocenia najnowsza historiografia (L. Langier, D. Echeverria, J. Egret) – jednym z najfatalniejszych pociągnięć Ludwika XVI. Była to rezygnacja z drogi reformy.

Spowiednik królewskich córek, ksiądz Nicolas Silvestre Berger, w liście do przyjaciela pisanym w miesiąc po śmierci Ludwika XV donosił (Wersal, 9 czerwiec 1774):

„Trzeba było być naocznym świadkiem, by pojąć, jak wielki przełom nastąpił wraz ze zmianą władcy. Zaledwie uświadomić sobie można, że przed obecnym ktoś inny był królem. Gdyby nie czerń żałoby, można by myśleć, że Ludwik XV zmarł 20 lat temu. Oto piękny temat do rozmyślań nad korzyściami monarchii dziedzicznej, nad sprawiedliwością, jaką lud oddaje swoim władcom i nad nicością ludzkiej wielkości. Posypały się epitafia, kuplety, ryciny bez szacunku dla pamięci zmarłego monarchy. A jeśli brać pod uwagę neodpartą pokusę wygadania się i zawziętość naszych pisarzy, ujrzymy niedługo kronikę różnego rodzaju skandali”.

Mądry kapelan przewidział trafnie, choć sympatie jego były po stronie młodocianej pary królewskiej i władczej córki królewskiej, pani Adelajdy, której autorytet wzrósł w rodzinie. Dalszych losów monarchii absolutnej przewidzieć nie mógł.

Nie wiedział, podobnie jak i jemu współcześni, że rok 1774 będzie punktem zwrotnym w dziejach Francji.

Rodowód Ludwika XV

(potomkowie męscy)

LUDWIK XIV (1638–1715), panował 1643–1715

Maria Teresa Austriaczka (1638–1683), c. Filipa IV, króla Hiszpanii

Ludwik, delfin Francji, zwany „le Grand Dauphin” (1661–1711)

Maria Anna (1660–1690), c. Ferdynanda, elektora bawarskiego

Ludwik, książę de Bourgogne (1682–1712)

Maria Adelajda (1684–1712), c. Wiktora Amadeusza II,
diuka Sabaudii, króla Sardynii

Diuk Bretanii
(1704–1705)

Diuk Bretanii
(1707–1712),
tytuł przejął
po zmarłym bracie

Diuk d’Anjou (1710–1774), przyszły
LUDWIK XV, panował 1715–1774
Maria Leszczyńska (1703–1768),
c. Stanisława Leszczyńskiego, króla Polski

Ludwik, delfin Francji (1729–1765)

Maria Józefa (1731–1767), c. Fryderyka
Augusta II (Augusta III), elektora saskiego,
króla Polski

LUDWIK XVI (1754–1793),
panował 1774–1792
Maria Antonina (1755–1793),
c. Franciszka I, cesarza
rzym.-niem.

Ludwik, hr. Prowansji
(1755–1824), przyszły
LUDWIK XVIII,
panował 1814–1815
i po „100 dniach”
Napoleona 1815–1824

Karol, hr. d’Artois (1757–1836),
przyszły **KAROL X**, panował
1824–1830

- Antoine M., *Le Conseil du Roi sous le Règne de Louis XV. These de doctorat en Lettres*, Genève 1970.
– *Louis XV*, Fayard, Paris 1989.
- Barbier E.J.F., *Journal d'un Bourgeois de Paris sous le règne de Louis XV*, Union Générale d'Édition, Paris 1963.
- Baszkiewicz J., *Historia Francji*, Wrocław 1974.
– *Ludwik XVI*, Wyd. Ossolineum, Wrocław 1983.
- Behrens C.B.A., *The Ancien Régime, Thames and Hudson*, London 1967.
- Bordonove G., *Les Rois qui ont fait la France*, t. IV: *Louis XV*, „Pygmalion”, Paris 1984.
- Boyé P., *Le mariage de Marie Leszczyńska et l'Europe*, Nancy 1939.
- Burkert M., *Frankreich und die erste Teilung Polen (1772). Die Krise des französischen Aussenpolitik in der 2-Hälfte des 18. Jahrhunderts*, München 1984.
- Cieślak E., *Wyprawa eskadry francuskiej na Bałtyk w roku 1733 dla poparcia elekcji Stanisława Leszczyńskiego*, [w:] *Polska-Niemcy-Europa*, Poznań 1977.
– *Stanisław Leszczyński*, Ossolineum, Wrocław 1994.
- Czartoryski A.J., *Pamiętniki i memoriały polityczne 1778–1809*, oprac. Jerzy Skowronek, „Pax”, Warszawa 1986.
- Dumouriez Ch., *Wojna w Polsce 1770 i 1771*, „Pamiętniki z Osiemnastego Wieku”, t. V, wyd. J.K. Żupański, Poznań 1865.
- Egret J., *Louis XV et l'opposition parlementaire (1715–1774)*, Armand Colin, Paris 1970.
- Feldman J., *Stanisław Leszczyński*, oprac. J. Staszewski, PIW, Warszawa 1984.
- Filion M., *Maurepas, Ministre de Louis XV (1717–1749)*, Les Editions Leméac, Ottava 1967.
- Gaxotte P., *Le siècle de Louis XV*, Fayard, Paris 1974.
- Germain M., *La grande industrie en France sous le règne de Louis XV*, Genève 1979.
- Godard Ph., *La querelle du refus des sacrements (1730–1765)*, Domet, Paris 1937.
- Hollis Ch., *Historia Jezuitów*, „Pax”, Warszawa 1979.
- Hours B., *Madame Louise, princesse du Carmel (1737–1787)*, Paris 1987.
- Kennet L., *The French Army in the Seven Years War*, Druham, N.Y. 1967.
- van Kley D.K., *The Damiens. Affaire and the Unreveling of the ancien régime 1750–1770*, Princeton University Press, 1984.

- Konopczyński W., *Konfederacja Barska*, t. I-II, Warszawa 1936-1938.
- *Polska w dobie wojny siedmioletniej*, Kraków-Warszawa 1909.
- Kunstler Ch., *La vie quotidienne sous Louis XV*, „Hachette”, Paris 1953.
- Langier L., *Un Ministère Reformateur sous Louis XV. Le Triumvirat (1770-1774)*, Paris 1975.
- Lefebvre H., *Diderot*, Editeurs Réunis, Paris 1949.
- Lercy A., *Marie Leszczyńska et ses filles*, Paris 1940.
- Levron J., *Nieznana Pani de Pompadour*, Warszawa 1961.
- *La vie quotidienne à la cour de Versailles aux XVII et XVIII siècles*, „Hachette”, Paris 1965.
- von der Kemp G., *J. Levron, Versailles – Trianon*, Arthaid, Paris 1951.
- Libiszowska Z., *Francja Encyklopedystów*, KiW, Warszawa 1973.
- Lubomirski S., *Pod władzą księcia Repnina. Ułamki pamiętników*, oprac. J. Łojek, „Pax”, Warszawa 1971.
- duc de Luynes Ch.Ph.A., *Mémoires sur la cour de Louis XV (1738-1758)*, Paris 1860-1865.
- Mazé J., *La cour de Louis XV*, „Hachette”, Paris 1944.
- Mercier S., *Obraz Paryża*, oprac. i przekł. A. Jakubiszyn-Tatar-kiewicz, PIW, Warszawa 1959.
- Methivier H., *Le siècle de Louis XV*, „Que sais-je”, P.U.F., Paris 1966.
- Michalski J., *Schyłek Konfederacji Barskiej*, wyd. PAN, Wrocław 1970.
- Michelet J., *Louis XV et Louis XVI (Histoire de France au dix-huitième siècle)*, Paris 1867.
- Nolhac P., *Louis XV et Marie Leszczyńska, d'après de nouveaux documents*, Paris 1924.
- *Madame de Pompadour et la politique d'après de nouveaux documents*, Paris 1928.
- Ozanam D., *M. Antoine, Correspondence secrète du Cte de Broglie avec Louis XV (1756-1766), (1767-1774)*, Paris 1956, 2 tomy.
- Perugia P., *Louis XV*, Paris 1976.
- Quesel C., *De par le Roy. Essais sous les lettres de cachet*, Toulouse 1987.
- Retat P., *L'attentat de Damiens. Discours sur l'évènement au XVIII siècle*. Presse Univ. de Lyon, 1979.
- Richard P., *La vie privée de Louis XV*, „Hachette”, Paris 1955.
- Rostworowski E., *O polską koronę. Polityka Francji w latach 1725-1733*, Wrocław 1958.
- *Historia Powszechna. Wiek XVIII*, PWN, Warszawa 1977.

– *La France de Louis XV et la Pologne: langue, livres*, „Acta Poloniae Historica”, no 22, R. 1970.

Rzadkowska H., *Encyklopedia Diderota w polskim Oświeceniu*, Wrocław 1955.

Saint-Simon, *Pamiętniki*. Wybór i przekład polski Aleksander i Maria Bocheńscy, t. I–II, PIW, Warszawa 1961.

Stryjeński K., *Mesdames de France, filles de Louis XV*, Paris 1902.

Tapié V.-L., *L'Europe de Marie Thérèse*, Fayard, Paris 1973.

Tarrach J., *Le commerce Colonial de la France à la fin de l'ancien régime, de 1763 à 1789*, t. I–II, Presses Univ., Paris 1972.

Wilson A. Mc. Candless, *French Foreign Policy during the administration of Cardinal Fleury 1726–1743*, Cambridge 1978.

Wołoszyński R.W., *Polska w opiniach Francuzów XVIII w., Rulhière i jego współcześni*, PWN, Warszawa 1964.

Indeks nazwisk*

- Adelajda, córka Ludwika XV 47, 49, 182, 192, 219
Aiguillon Emmanuel Armand de Vignerod du Plessis de Richelieu, diuk d', minister spraw zagranicznych 191–193, 202, 206–208, 215, 216, 218
Aleksander I, car Rosji 194
Alembert d'Jean, filozof 139, 152, 164, 166, 167
Anna, wnuczka Jerzego I, króla Wielkiej Brytanii 36
Anna Austriaczka, infantka hiszpańska 50
Anna Bretońska, dziedziczka prowincji Bretanii 66
Anna Stuart, królowa Anglii 20
Antoine Michel, historyk 9
Aragon d' Saint-Severin, dyplomata 101
Argenson d'Marc René, markiz, minister wojny i policji 87, 95, 96, 101, 123, 152
Arouet François Marie zob. Wolter
Artagnan d', komendant muszkieterów 30
August II Mocny, król Polski 38, 61, 62, 85
August III Sas, król Polski 64, 66, 103, 104, 106, 107, 146, 179
Augustyn święty, teolog 54
- Bacon Roger, filozof 164
Barbier, pamiętnikarz 177
Barry Wilhelm (Guillaume) de, brat Jeana du Barry 201
Barry Jean du, hrabia 200, 201, 206, 214
Barry Jeanne Bécu du, faworyta Ludwika XV 5, 49, 78, 79, 142, 192, 196–207, 214, 217, 218
Bearn de, dama dworu 201
- Beaumarchais Pierre Augustin de, dramatopisarz 148
Beaumont Christoph de, arcybiskup 210
Beauvanis, biskup 217
Belle-Isle Charles Louis Auguste Fouquet de, marszałek 95–97, 112, 114, 186, 215
Benedykt XIV, papież 57
Bergier Nicolas Silvestre, ksiądz 219
Bernard Samuel, bankier paryski 146
Bernis François Joachim de, kardynał, minister spraw zagranicznych 105, 111, 176, 184
Berry, książę du, przyszły król Ludwik XVI zob. Ludwik XVI
Berwick Jacques F. J. de, diuk, marszałek 66
Besterman T., kolekcjoner, mecenas nauk 159
Bigot, intendent 116
Bordonove Georges, historyk 9
Bossuet Jacques, kaznodzieja, uczonec 11
Boucher, malarz 153
Bouillon de, książę, wielki szambelan dworu 13
Bourbon Henryk Ludwik de, książę, pierwszy minister 34–37, 41–43, 51
Bourbon Louis Aleksandre de, hrabia Tuluzy, nieślubny syn Ludwika XIV 12, 46
Bourbon Louis Auguste de, nieślubny syn Ludwika XIV 12, 13
Bourgogne Ludwik, książę, ojciec Ludwika XV 11
Boyé, historyk 68
Boynes Bourgeois de, minister marynarki 208, 215
Braniccy 103

* W indeksie pominięto osobę Ludwika XV oraz nazwiska z bibliografii i spisu ilustracji.

- Breton Guy, historyk 78
 Broglie Charles François de, hrabia, ambasador w Polsce 103-105, 179, 194
 Broglie Victor François de, diuk, marszałek 96, 114
 Brosses de, prezydent parlamentu Burgundii 213
 Brühl Heinrich, minister 104
 Burbon Gaston, brat Ludwika XIII 15
 Burbonowie 5, 9, 15, 19, 21, 45, 69, 91, 101, 104, 113, 158, 185, 213
 Bute, lord 116
- Calas Jean, protestant 177, 178
 Calas Marek Antoni, syn Jeana 178
 Caron, zegarmistrz zob. Beaumarchais
 Cassini, astronom, kartograf 155
 Chartres, książę Orleański, syn Filipa Orleańskiego 20, 35, 38, 50
 Chauvelin H. Philippe, doradca w sprawach kleru 172
 Choiseul Etienne François de Stainville, diuk, minister spraw zagranicznych 87, 111-113, 116, 117, 131, 141, 152, 168, 170-174, 176, 180, 182-186, 188, 189, 191-194, 194, 197, 199-205, 207, 208, 212, 215, 216
 Choiseul-Praslin César Gabriel, diuk, minister spraw zagranicznych 182, 186, 192
 Cieślak Edmund, historyk 65, 66, 68
 Clement Jacques, zabójca Henryka III 121
 Clermont (Louis de Bourbon-Conde), hrabia 109, 114
 Coflans Louis Gabriel, wysłannik Wersalu 183
 Colbert Jean Baptiste, minister finansów 18, 133, 142, 214
 Condillac, filozof 162
 Condorcet, filozof 162
 Contades Louis Georges, markiz 114
 Conti de, księżęta 19, 35, 62, 99
- Crébillon, dramaturg 82
 Croy, książę de 199
 Cumberland, Wilhelm August, syn Jerzego II, książę 98, 108, 109
 Czartoryscy 103
 Czartoryski Adam Jerzy, książę 194
- Damiens Robert François, zamachowiec 88, 111, 118-131, 146, 147, 149, 167, 173
 Deffand Maria de, markiza 152, 153, 160
 Desmaret, królewski spowiednik 118
 Diderot Denis, filozof 154, 160, 162-165, 167, 168
 Don Carlos, książę Parmy, król Neapolu i Sycylii, przyszły król Hiszpanii jako Henryk III 60, 61, 66, 101
 Don Filip, mąż Ludwiki Elżbiety, córki Ludwika XV 101, 146
 Dubois Guillaume, kardynał, pierwszy minister 20, 21, 26, 28, 30-32, 50, 51
 Duclos Charles Pinot, pisarz 79
 Ducreux, malarz 204
 Du Luc, markiz, syn naturalny Ludwika XV i markizy Ventimille 73
 Dumouriez François, pułkownik 191-193
 Dupleix Joseph François, gubernator Indii 100, 101, 145
 Du Plessis Louis François Armand diuk de Richelieu zob. Richelieu diuk de
 Durand François, ambasador 190-192
 Durand Ives, historyk 53
- Echeverr D., historyk 219
 Egret J., historyk 219
 Elżbieta (Madame Elisabeth), wnuczka Ludwika XV 198
 Elżbieta, córka cara Piotra I, caryca Rosji 24, 35, 36, 100, 106, 111, 114, 188
 Elżbieta, księżniczka austriacka 199, 204

- Etioles d' Jeanne Antoinette zob.
 Pompadour de, markiza
 Etioles d' Aleksandryna, córka
 markizy de Pompadour 79, 88
 Etoiles d', Charles Wilhelm Le
 Normant, mąż markizy de Pom-
 padour 79
 Estrées Louis Ch. d', markiz,
 marszałek 107, 114
 Eugeniusz Sabaudzki, książę 67
- Feldman Józef, historyk 63, 68
 Fénelon Franciszek, filozof, pi-
 sarz 11
 Ferdynand Brunszwicky, książę
 109
 Filip V, król Hiszpanii, wnuk Lu-
 dwika XIV, ks. d'Anjou 11, 14,
 20, 21, 36, 60
 Filip, syn Ludwika XIV 15
 Filip, książę d'Anjou, syn Ludwi-
 ka XV 44
 Filip Orleański, książę, regent
 Francji 8, 12–18, 20–24, 26, 28–36
 Fleury André Hercule de, kardynał,
 wychowawca Ludwika XV 8,
 25, 30, 32, 39, 43, 45–47, 50–54,
 56–58, 60–63, 65–68, 71, 74, 90,
 91, 93–96, 176, 183, 210
 Fontenello Bernard, pisarz 79
 Fouquet Nicolas, nadinspektor
 finansów 95
 Franciszek Stefan, książę Lota-
 ryngii, mąż Marii Teresy, cesa-
 rzowej Austrii 61, 66, 94, 99
 Franklin Benjamin, mąż stanu,
 uczony 147, 155
 Fryderyk II Wielki, król pruski
 67, 88, 94–97, 101, 102, 105, 107–
 109, 111, 113, 114, 116, 122, 142,
 157, 164, 188, 190, 193
 Fryderyk August, syn Augusta II
 Mocnego 61
 Fryderyk Wilhelm, król pruski
 61, 94, 106
- Gabriel Jacques, architekt 206
 Gaxotte Pierre, historyk 9, 16, 82
 Geoffrin Maria Teresa 79, 152,
 153
- Germain, złotnik 42
 Goethe Johann Wolfgang, poeta
 157
 Gondi Paul de, kardynał 50
 Gouffre, kupiec 172
 Gramont de, hrabina, siostra mi-
 nistra Choiseula 200, 207
 Gustaw III, król Szwecji 194
- Habsburgowie 6, 35, 51, 59, 60,
 90, 95, 113, 184, 189
 Havin Prudent, medyk 118
 Helvétius Claude Adrien, filozof
 154, 162, 177
 Henault, prezydent paryskiego
 parlamentu 113
 Henriette Anne, córka Ludwika
 XV 44, 48, 49
 Henryk III, król Francji 121, 173
 Henryk IV, król Francji 5, 9, 121,
 173
 Henryk Walezy, król Polski i
 król Francji 35
 Hidburghausen von, książę 108
 Holbach Paul Henri de, filozof
 139, 153, 162, 177
 Hugues Joseph, kupiec z Marsylii
 141
- Jakub II, król Anglii 20, 90, 100
 Jakub Edward, syn Jakuba II 20
 Jan II Dobry, król Francji 98
 Jan III Sobieski, król Polski 20
 Jaucourt de, filozof 164
 Jerzy I, książę hanowerski, król
 Anglii 20
 Jerzy II, król Anglii 97, 116
 Józef I, cesarz rzym.-niem. 171
 Józef II, cesarz rzym.-niem. 185
- Karol V, król Francji 32
 Karol VI Habsburg, cesarz rzym.-
 -niem. 60, 94
 Karol VII, cesarz rzym.-niem. 95
 Karol X, król Francji 197
 Karol XII, król Szwecji 99
 Karol Edward, pretendent do tro-
 nu szkockiego i angielskiego 100
 Katarzyna II, caryca Rosji 158,
 168, 180, 181, 188–190, 193

- Kaunitz Wenzel Antoni, kanclerz 104
 Klemens XI, papież 210
 Klemens XIII (Rezzonico), papież 167, 174, 176
 Klemens XIV (Ganganelli) 176
 Konopczyński Władysław, historyk 104, 109
 Ksawery, księżę saski 179
- La Barre, szlachcic 177
 Labiszewski, ksiądz 43
 Laborde, pokojowy królewski 217
 Lacy, generał rosyjski 64
 La Martiniere Germain de, medyk królewski 118, 217
 La Mettrie, filozof 162, 177
 Lancret, malarz 34, 37, 40
 Langier L., historyk 219
 Lanssone, lekarz 198
 Laugier L., minister 181
 La Valette, jezuita 172
 Law John, główny intendent finansów 18, 19, 28, 34, 53, 54, 92
 Le Breton, drukarz, wydawca 163, 167
 Ledoux C. N., architekt 203
 Le Monnier, medyk 217
 Le Nain, malarz 132
 Lespinasse Julia de, animatorka salonu literackiego 152, 153
 Leszczyńscy 38, 42, 104
 Leszczyńska Maria zob. Maria Leszczyńska, królowa Francji
 Leszczyński Stanisław zob. Stanisław Leszczyński, król Polski
 Le Tellier, ksiądz 29
 Leury, biskup 37
 Levron Jacques, historyk 78, 82
 Linneusz Karol, przyrodnik 132
 Lionci, kupiec 172
 Loewenwolde, minister spraw zagranicznych Rosji 62
 Loyola Ignacy, założyciel zakonu jezuitów 172
 Ludwik IX Święty, król Francji 98
 Ludwik XIII, król Francji 15, 50
 Ludwik XIV, król Francji 5, 9, 11–18, 22, 23, 28–30, 34, 41, 42, 45, 46, 50, 51, 53, 55, 60, 68–70, 72, 92, 95, 96, 110, 132, 133, 136, 172
 Ludwik XVI, król Francji 5, 8, 9, 12, 124, 130, 146, 148, 197, 204, 205, 214, 218, 219
 Ludwik XVIII, król Francji 197
 Ludwik, syn Ludwika XIV, delfin Francji zwany „le Grand Dauphin” 11
 Ludwik, syn Ludwika XV, delfin Francji 44, 81, 98, 99, 118, 120, 146, 197, 198
 Ludwika Elżbieta, córka Ludwika XV, księżna Parmy 44, 101, 146, 147
 Luiza Maria, córka Ludwika XV 47, 49, 182, 202
 Luynes de, księżę 7, 20
 Luzerne de, hrabia, komendant floty 64
- Łoyko Feliks, polski poseł 72, 181–183
- Mably, filozof 162, 190
 Machault Jean Baptiste d’Arnouville, minister Rady Królewskiej 115, 120, 121, 141, 185
 Mademoiselle de Blois, przyszła żona Filipa Orleańskiego 12
 Mailly de, metresa Ludwika XV 73
 Maine Louis Auguste de, księżę, nieślubny syn Ludwika XIV 12, 14, 22
 Maintenon Françoise d’Aubigné, morganatyczna żona Ludwika XIV 13, 41, 73, 84, 199
 Malesherbes, minister 152, 166–168, 213
 Maria Adelajda, de Savoie, księżna de Bourgogne, matka Ludwika XV 11, 22
 Maria Adelajda, wnuczka Ludwika XV 198
 Maria Anna Wiktoria, infantka hiszpańska, narzeczona Ludwika XV 26, 27, 29, 35, 36, 60

Maria Anna Clermont de Bourbon-Condé, siostra księcia de Bourbon 41
Maria Antonina, królowa Francji, żona Ludwika XVI 6, 89, 124, 185, 204–207, 214, 218
Maria Józefa, córka cesarza Józefa I 104, 146, 147
Maria Józefa, córka Augusta III, synowa Ludwika XV 179, 197, 198
Maria Leszczyńska, królowa Francji 9, 35, 3–44, 46, 52, 59, 66, 69, 72, 77, 83, 87, 89, 145, 157, 174, 179, 182, 198, 199, 205
Maria Ludwika, córka Ludwika XV 48
Maria Teresa, infantka hiszpańska 48, 98, 146
Maria Teresa, cesarzowa Austrii 6, 9, 60, 61, 88, 94–96, 99, 100, 102, 104–107, 111, 115, 116, 204, 205, 207
Maria Teresa Austriaczka, żona Ludwika XIV 41, 50
Marigny Abel François Poisson de, brat markizy de Pompadour 84
Marivaux Pierre de, pisarz 34, 79, 82, 150
Maupéau René Nicolas de, kanclerz Francji 192, 208, 212, 213, 219
Maurepas Jean F., minister marynarki 56, 87, 88, 92, 93, 97, 115, 141, 185
Maurycy Saski, książę, syn Augusta II Mocnego 97–99, 101
Mayon d'Invault, nadinspektor finansów 214
Mazarini Jules, kardynał 30, 50
Mercier Louis Sebastian, pisarz 149, 151, 154
Meslier Jean, ksiądz 139
Michelet Jules, historyk 6, 51, 130
Molier zob. Molière
Molière, Jean Baptiste Poquelin, komediopisarz 41, 82
Monet Jean Antoine, generał 179
Montcalm Louis Joseph de, markiz, dowódca 116

Monteskiusz zob. Montesquieu
Montesquieu Charles de Secondat de, pisarz 54, 79, 137, 159–162
Montespan de, metresa Ludwika XIV 12, 45
Monteynard, markiz, minister wojny 208, 215
Monti Antoine Felix de, markiz, ambasador 62–65
Morelly, filozof 162
Morsztyn, szlachcic 181

Narbonne, urzędnik dworu w Wersalu 69
Nesle de, siostry 76, 77, 82, 83, 87
Newton Isaac, fizyk 156
Noailles Adrien Maurice, diuk de, przewodniczący Rady Finansów 17, 22, 97
Noailles Louis diuk d'Ayen, kapitan gwardii 118
Noailles Louis Antoine de, kardynał, arcybiskup Paryża 145
Nolhac Pierre, historyk 78, 82

Ogiński Michał Kazimierz, muzyk 164
Opalińska Katarzyna, żona Stanisława Leszczyńskiego 37
Orleani, rodzina 21, 36, 45
Oudry Jean Baptiste, artysta 46

Panin Nikita, hrabia, dyplomata rosyjski 193
Paris-Duverney Joseph, nadintendent finansów 34, 41, 43, 51
Paris bracia, finansiersi 42, 43, 51, 53, 54
Pascal Paoli, przywódca powstania na Korsyce 185
Pepin, król Francji 31
Piotr I, car Rosji 24, 35, 110, 144
Piotr III, car Rosji 114, 188
Pitt William, premier angielski 107, 111, 116
Pléto Brehan de, hrabia, ambasador francuski w Danii 64–66
Poisson Jeanne Antoinette zob. Pompadour de, markiza
Pombal, minister 171

- Pompadour Jeanne Antoinette de, markiza, faworyta Ludwika XV 7, 48, 71, 72, 76–89, 98, 99, 101, 104, 105, 107–109, 112, 114, 119, 120, 131, 133, 142, 148, 153, 157, 167, 174, 183, 195, 196, 198, 199, 202, 203
- Poniatowski Stanisław August zob. Stanisław August Poniatowski, król Polski
- Poniatowski Stanisław, książę, bratanek króla 153
- Portail, prezes parlamentu 56
- Potoccy 103
- Praslin de, diuszesa, żona Choiseula-Praslina 182
- Prevost Antoine François, ksiądz, literat 150
- Prie Jeanne Agnes de, metresa Henryka Ludwika Bourbona 34–38, 40–43, 51
- Priest François Saint, dyplomata 190
- Quesnay François, pisarz, filozof 88, 133, 134, 155
- Ravillac François, zabójca Henryka IV 121, 126
- Raynal Guillaume, filozof 162
- Repnin Mikołaj, książę, dowódca rosyjski 101, 189, 193
- Ricci, generał jezuitów 174
- Richelieu Jean Armand du Plessis, kardynał 15, 21, 50
- Richelieu Louis François Armand de Vignerod diuk de, marszałek Francji, pierwszy dostojnik dworu 74–76, 82, 87, 107–109, 202, 206, 208, 217, 218
- Rigaud Hyacinthe, malarz 24
- Rochette, ksiądz 177
- Rohan de, ksiądz, wielki kapelan dworu 29, 38, 44
- Rostworowski Emanuel, historyk 59, 62, 68
- Rousseau Jean Jacques, filozof 137, 154, 160–162, 167, 177, 190
- Rulhiere historyk 191
- Saint-Simon Louis, pamiętnikarz 14, 16, 19, 26
- Sainte Beuve (Charles Augustin), pisarz 8
- Salomon 217
- Sasowie 180
- Senac Jean Baptiste, medyk królewski 118
- Skrzetuski Kajetan, historyk 11
- Sobieska Klementyna, wnuczka Jana III Sobieskiego 20, 100
- Sobieski Jan III zob. Jan III Sobieski, król Polski
- Soisson, biskup 75
- Soldini, kapelan dworu 118
- Soubise Charles de Rohan, marszałek 108, 109, 114
- Stainville Etienne François de zob. Choiseul Etienne François de Stainville
- Stanisław August Poniatowski, król Polski 9, 11, 153, 158, 180–183, 189–193
- Stanisław Leszczyński, król Polski, ojciec Marii Leszczyńskiej 9, 35–38, 40–42, 59, 62–67, 103, 104, 147, 152, 157, 158, 161, 179, 198
- Starhemberg Jerzy Adam, hrabia, ambasador 104
- Staszic Stanisław, uczyony 133
- Stuartowie 20, 90
- Suworow Aleksander, generał rosyjski 192
- Tarło Michał, hrabia 42
- Tencin, kardynał 97, 152
- Tencin de, markiza, siostra kardynała 79, 152, 153
- Tercier Jean-Pierre de, hrabia 179
- Terray Joseph Marie, ksiądz, nadintendent finansów 192, 208, 214
- Thianges de, hrabia 63
- Tocqueville Alexis de, uczyony, pisarz polityczny 9
- Tollendal Thomas Arthur Lally de, gubernator 115
- Tournelle Maria de, księżna de Chateauroux, metresa Ludwika XV 74–76
- Toussaint, uczyony 137
- Urfanis B. C., uczyony rosyjski 106

Vallièrè Ludwika de, metresa
Ludwika XIV 12, 45
Van Loo, malarz 153
Vaudreuil Philippe de Rigaud,
gubernator Kanady 116
Ventadour de, piastunka Ludwi-
ka XV 12, 13, 22–24, 44, 48
Ventimille de, metresa Ludwi-
ka XV 73
Vergennes Charles Gravier de,
dyplomata 190
Villars Claude de, marszałek 31, 66
Villeneuve de, hrabia, ambasador 67
Villeroy, marszałek, wychowawca
Ludwika XV 23, 24, 27, 30, 34
Viomenil Charles Hyacinthe, oficer 193
Volney, filozof 162
Vrillière 191
Walpole Horacy, syn premiera
angielskiego 208
Walpole Robert, premier angielski 20, 60, 61, 93, 94
Wettyni 104
Wielhorski Michał, konfederat
barski 161, 190
Wiktoria, córka Ludwika XV 47,
49, 118, 182
Wolter, François Marie Arouet,
filozof 5, 9, 34, 36, 53, 54, 67, 79,
81, 82, 96, 117, 121, 129, 137,
139, 157, 159, 161, 162, 167, 178,
213
Yung Artur, agronom 132
Zofia, córka Ludwika XV 47, 49,
182

- Ludwik XV (Georges Bordonowe, *Les Rois qui ont fait la France*, t. IV, Paris 1982, s. 160; przy następnych rycinach skrót GB) po s. 32
- Maria Adelajda de Savoie, księżna de Bourgogne, matka Ludwika XV, mal. Pierre Gobert, Musée de Versailles (GB 161), po s. 32
- Ludwik, książę de Bourgogne, ojciec Ludwika XV, mal. Hyacinthe Rigaud, Musée de Versailles (GB 161), po s. 32
- Ludwik XV jako dziecko (1715), mal. Hyacinthe Rigaud, Musée de Versailles (GB 161), po s. 32
- Regent Filip Orleański, mal. Santerre (GB 161), po s. 32
- André Hercule, kardynał de Fleury (1654–1743), wychowawca Ludwika XV, mąż stanu, mal. Hyacinthe Rigaud, Muzeum w Sztokholmie (GB 161), po s. 32
- Koronacja Ludwika XV w katedrze w Reims (1722), mal. J.B. Martin, Musée de Versailles (C.B.A. Behrens, *The ancien régime, Thames and Hudson*, London 1967, s. 85; przy następnych rycinach skrót: Behrens), po s. 32
- Maria Leszczyńska, mal. Jean Marc Nathier (1685–1756), Musée de Beaux Arts, Dijon, po s. 32
- Stanisław Leszczyński, mal. Ch. van Loo (Edmund Cieślak, *Stanisław Leszczyński*, Ossolineum, Wrocław–Warszawa–Kraków 1994, s. 160), po s. 64
- Stanisław Leszczyński, *Oeuvres du Philosophe Bienfaisant*, t. I, Ditat et Docet à Paris 1763, po s. 64
- Pałac Chambord, rezydencja Stanisława Leszczyńskiego, później pałac księcia Maurycego Saskiego, po s. 64
- Książę Maurycy Saski, nieślubny syn Augusta II, zwycięzca spod Fontenoy (1745), mal. M.-Q. de la Tour, Staatliche Kunstsammlung, Drezno (Behrens 121), po s. 64
- Joseph François Dupleix (1697–1763), gubernator Indii, zwycięzca spod Pondichery (1743), grawiura (Mme de Cernel, Bibliothèque Nationale Paris), po s. 64
- Charles Gravier hr. de Vergennes (1717–1787), dyplomata, mąż stanu za Ludwika XV i Ludwika XVI, mal. Lindenberg (Behrens 159), po s. 64
- Diuk de Choiseul (1719–1785), minister spraw zagranicznych, zdymisjonowany przez Ludwika XV 24 XII 1770 r., mal. van Loo (1763), Musée de Versailles, po s. 64
- Festyn dworski na Sekwanie, po s. 64
- Markiza de Pompadour (1721–1764), mal. François Boucher (1703–1770), The Wallace Collection, Londyn (Behrens 92), po s. 144

Pałac de Matignon, Paryż, rezydencja brata markizy de Pompadour, ze zbiorów własnych, po s. 144

Pierwsza strona *Encyklopedii* (1751), po s. 144

„Urodzony, by cierpieć”, rycina satyryczna chłopca francuskiego, rys. N. Guérand (ok. 1710) (Behrens 8), po s. 144

Pani du Barry, mal. Vigée-Lebrun, Collection Duveen (GB 161), po s. 144

Ludwik XVI, wnuk Ludwika XV, mal. J.S. Duplessis (1780), Musée Rigaud, Perignon (Behrens 179), po s. 144

Maria Antonina, żona Ludwika XVI, mal. Vigée-Lebrun (1783), kolekcja księcia v. Hessen und bei Rhein (Behrens 178), po s. 144

Bazylika St. Denis, miejsce spoczynku królów Francji, ze zbiorów własnych, po s. 144

Na okładce: Ludwik XV (reprodukcja: GB 160)

Reprodukcje wykonał Janusz Frenkel

„Stanę się żalną postacią w historii”. Wprowadzenie	5
I. Regencja	11
II. Edukacja króla	22
III. Maria Leszczyńska wchodzi na scenę	34
IV. Król w rodzinie	40
V. Kardynał	50
VI. O polską koronę	59
VII. Przełom w Metz	68
VIII. Znana i nieznana pani de Pompadour	77
IX. „A jak poszedł król na wojnę”	90
X. „Francja może być szczęśliwa bez Québecu”	102
XI. Królobójca Damiens	118
XII. Kryzys „starego ładu”	131
XIII. Mieszczanstwo w ofensywie	140
XIV. Filozofowie i encyklopedyści	155
XV. Upadek jezuitów	170
XVI. „Pragnę wolności dla Polaków”	179
XVII. Ostatnia, niekoronowana królowa Wersalu	195
XVIII. Mógł być wielkim królem?	208
Rodowód Ludwika XV (potomkowie męscy)	220
Bibliografia	221
Indeks nazwisk	224
Spis ilustracji	231



Ludwik XV



Maria Adelajda de Savoie, księżna de Bourgogne, matka
Ludwika XV, mal. Pierre Gobert



Ludwik, książę de Bourgogne, ojciec Ludwika XV, mal.
Hyacinthe Rigaud



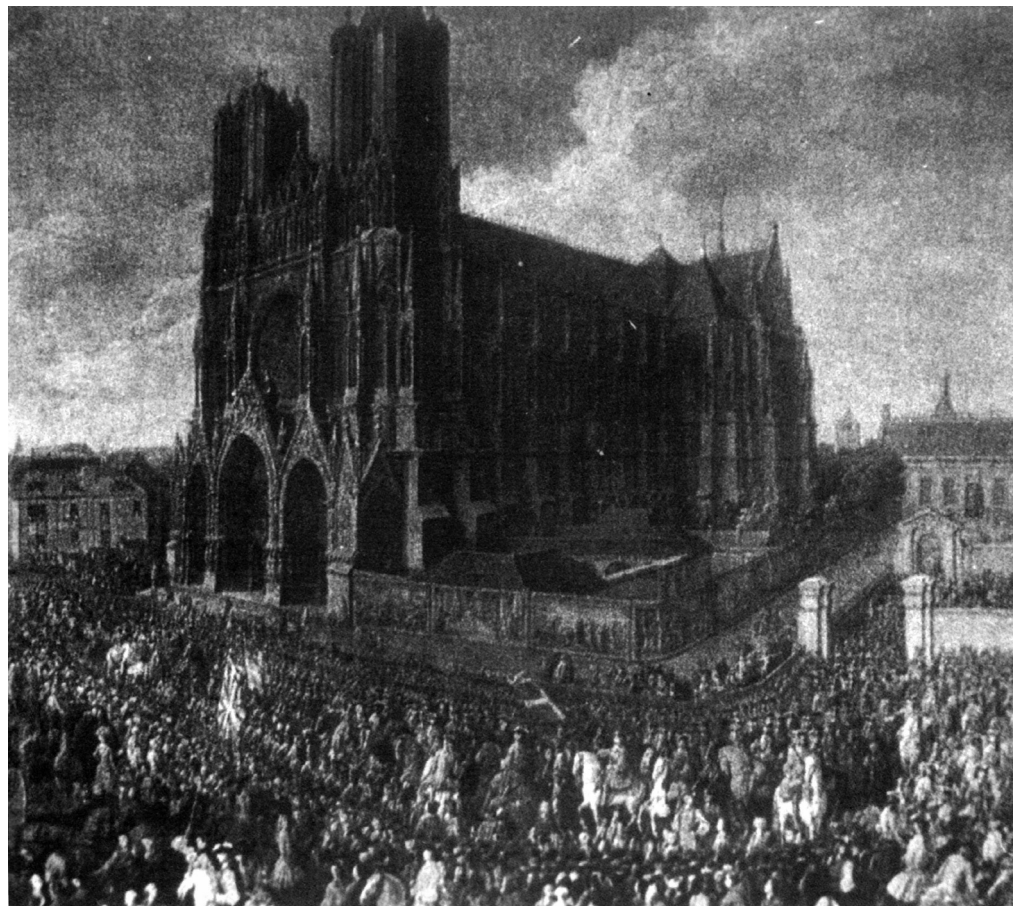
Ludwik XV jako dziecko (1715), mal. Hyacinthe Rigaud



Regent Filip Orleański, mal. Santerre



André Hercule, kardynał de Fleury (1654-1743), wychowawca Ludwika XV, mąż stanu, mal. Hyacinthe Rigaud



Koronacja Ludwika XV w katedrze w Reims (1722), mal. J.B. Martin



Maria Leszczyńska, mal. Jean Marc Nathier



Stanisław Leszczyński, mal. Ch. van Loo

ŒUVRES
DU
PHILOSOPHE
BIENFAISANT.
TOME PREMIER.

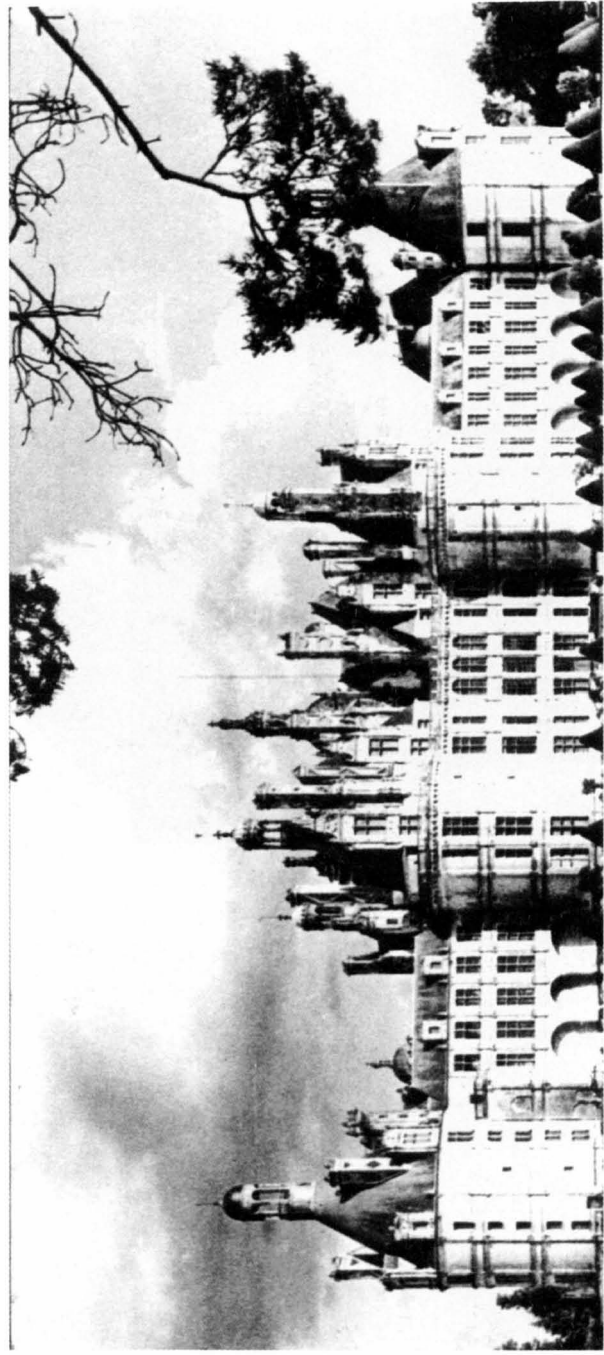


DITAT & DOCT

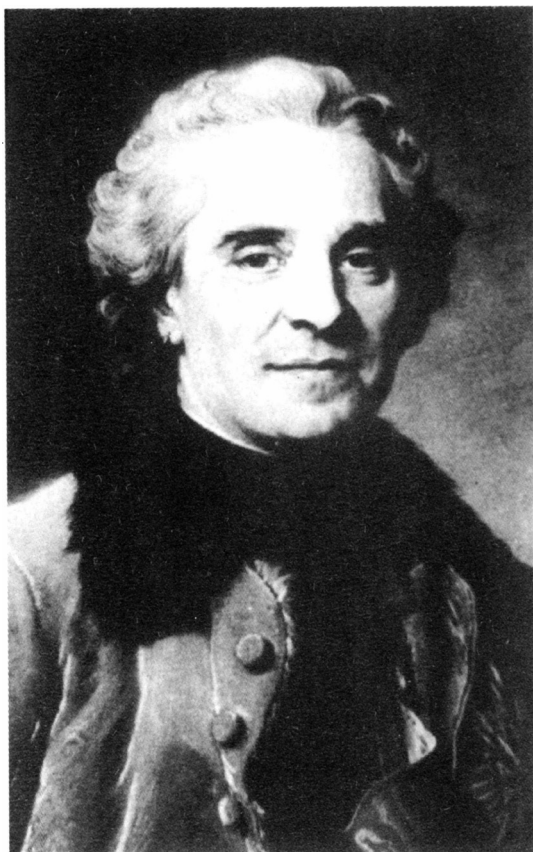
Schub Jr.

A PARIS.

M. DCC. LXIII.



Pałac Chambord, rezydencja Stanisława Leszczyńskiego, później pałac księcia Maurycego Saskiego



Książę Maurycy Saski,
nieślubny syn Augusta II, zwycięzca spod Fontenoy (1745)



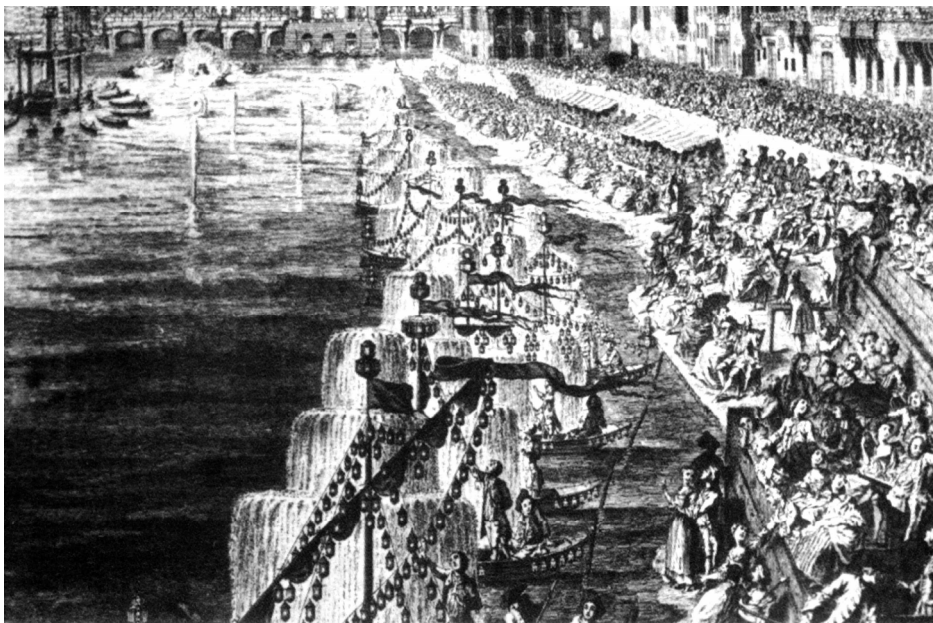
Joseph François Dupleix (1697-1763), gubernator Indii, zwycięzca spod Pondichery (1743), grawiura



Charles Gravier hr. de Vergennes (1717-1787), dyplomata, mąż stanu za Ludwika XV i Ludwika XVI, mal. Lindenberg



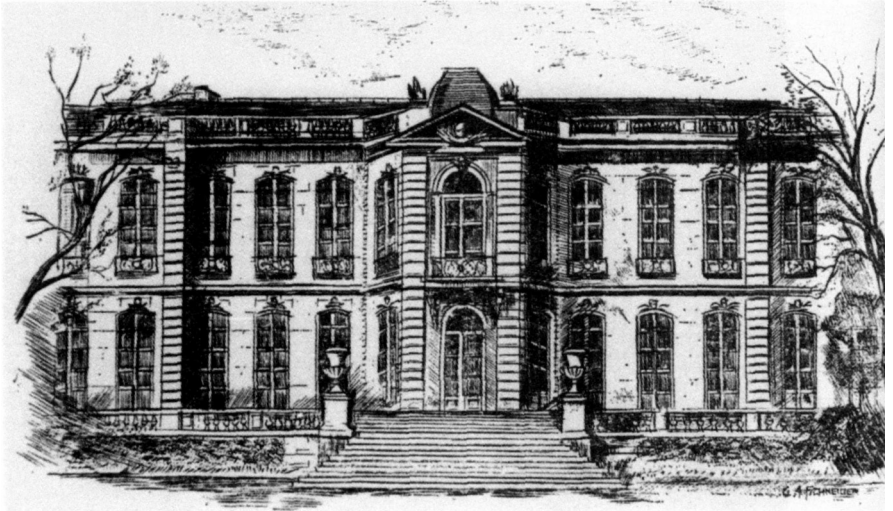
Diuk de Choiseul (1719-1785), minister spraw zagranicznych,
zdymisjonowany przez Ludwika XV 24 XII 1770 r., mal. van Loo



Festyn dworski na Sekwanie



Markiza de Pompadour (1721-1764), mal. François Boucher



Pałac de Matignon, Paryż, rezydencja brata markizy de Pompadour

ENCYCLOPÉDIE,
OU
**DICTIONNAIRE RAISONNÉ
DES SCIENCES,
DES ARTS ET DES MÉTIERS,**

RECUEILLI
DES MEILLEURS AUTEURS
ET PARTICULIÈREMENT
DES DICTIONNAIRES ANGLAIS
DE CHAMBERS, D'HARRIS, DE DYCHE, &c.
PAR UNE SOCIÉTÉ DE GENS DE LETTRES.

Mis en ordre & publié par M. DIDEROT; & quant à la PARTIE MATHÉMATIQUE,
par M. D'ALEMBERT, de l'Académie Royale des Sciences de Paris
& de l'Académie Royale de Berlin.

*Tantum series juncturae pollet,
Tantum de medio sumptis accedit honoris! HORAT.*

DIX VOLUMES IN-FOLIO,
DONT DEUX DE PLANCHES EN TAILLE-DOUCE,

PROPOSÉS PAR SOUSCRIPTION.



A PARIS, Chez { BRISSON, rue Saint Jacques, à la Science.
DAVID l'ainé, rue Saint Jacques, à la Plume d'Or.
LE BRETON, Imprimeur ordinaire du Roy, rue de la Harpe,
DURAND, rue Saint Jacques, à Saint Landry, & au Griffon.

M. DCC. LI
AVEC APPROBATION ET PRIVILEGE DU ROY.

N^o 83.



„Urodzony, by cierpieć”, rycina satyryczna chłopu francuskiego, rys. N. Guérand



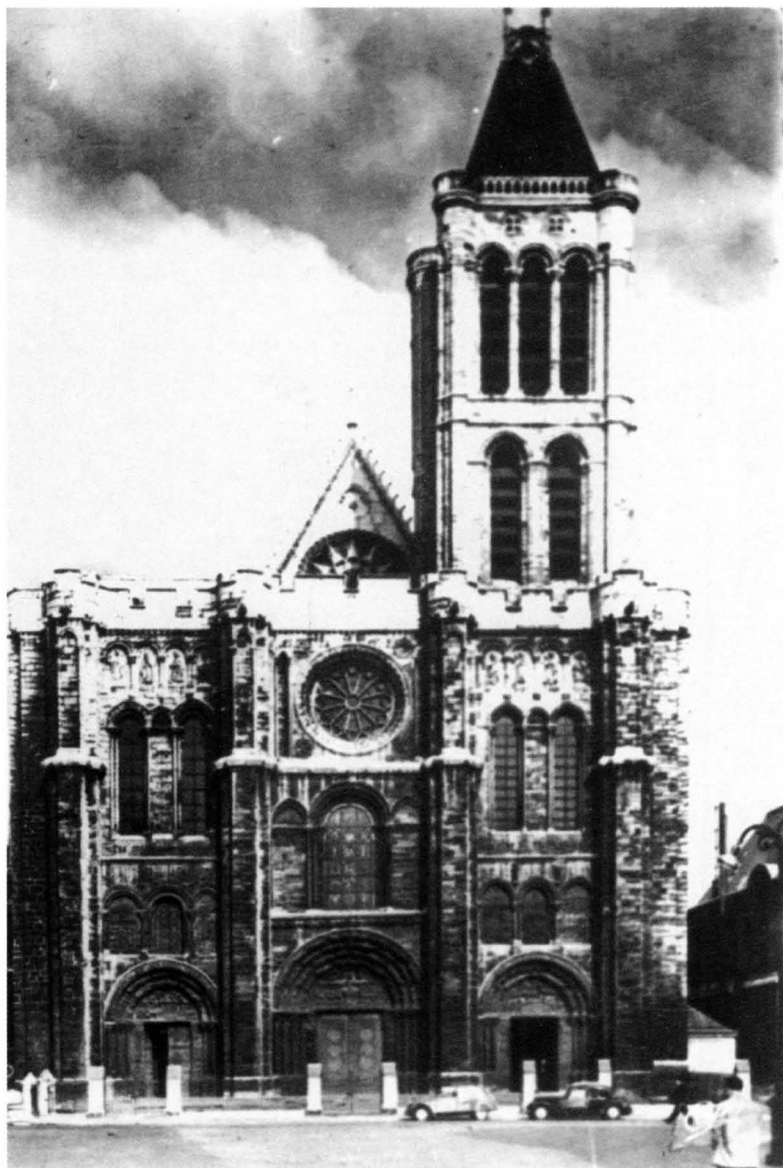
Pani du Barry, mal. Vigée-Lebrun



Ludwik XVI, wnuk Ludwika XV, mal. J.S. Duplessis



Maria Antonina, żona Ludwika XVI, mal. Vigée-Lebrun



Bazylika St. Denis, miejsce spoczynku królów Francji